



STUART B.
MACBRIDE

UBEZWŁASNOGŁOWIENI

Świetna, przerażająca i brutalnie inteligentna książka. Thriller, który mrozi krew w żyłach.

Michael Marshall

Stuart B. MacBride

Ubezważnoglówieni

Tytuł oryginału: Halfhead

Tłumaczenie: Wojciech Białas

Projekt okładki: ULABUKA

Materiały graficzne na okładce zostały wykorzystane za zgodą Shutterstock Images LLC.

ISBN: 978-83-283-2527-2

Originally published in the English language by HarperCollins Publishers Ltd. under the title Halfhead © Stuart MacBride 2009.

The author asserts the moral rights to be identified as the author of this work.

Polish edition copyright © 2017 by Helion SA.

All rights reserved.

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any information storage retrieval system, without permission from the Publisher.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 GLIWICE

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

- [Poleć książkę](#)
- [Kup w wersji papierowej](#)

- [Oceń książkę](#)

- [Księgarnia internetowa](#)
- [Lubię to!](#) » [nasza społeczność](#)

Grendelowi (mojemu własnemu, małemu, kudłatemu mordercy)

Bez którego...

Pisanie tej książki, od pierwotnej wersji aż po wersję finalną, trwało diabelnie długo. W trakcie jej tworzenia mogłem liczyć na pomoc wielu osób. Chciałbym więc podziękować Philowi Pattersonowi, Luke'owi Speedowi, Sarze Hodgson, Jane Johnson, Amandzie Ridout, Allanowi Guthrie, Jamesowi Oswaldowi i Christopherowi MacBride'owi za poświęcony mi czas i za to, że mogłem zawracać im głowę. Uwierzcie mi, byłem prawdziwym ekspertem od zawracania głowy.

Jednak przede wszystkim dziękuję Fionie i Grendelowi, którzy znoszą moje fanaberie już od wielu lat.

1

Krew jest wszędzie.

Połyскуje w świetle lamp jak bordowy aksamit usiany diamentami. Wypełnia powietrze zapachem palonej miedzi i rozgrzanej rdzy, który wywołuje mrowienie w brzuchu. Przesiąka kombinezon, przez co tani materiał klei się do wychudzonego ciała jak druga skóra.

To wspaniałe uczucie.

Kobieta pada na kolana, na podłogę brudnej kabiny toalety, czując, jak przeszywa ją dreszcz ekstazy. Wyciąga przed siebie roztrzęsione ręce, sięgając po coś, co wygląda jak gotowane buraki, choć nie ma z burakami nic wspólnego.

Jej pogruchotany umysł zalewają wspomnienia — soczyste i smakowite. Polowanie. Mord. Upajająco słodkie poczucie spełnienia. Chciałaby jęknąć, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku...

Przez dłuższą chwilę po prostu siedzi na podłodze, pośród tego, czego dokonała. A potem krok po kroku jej umysł zaczyna się budzić. Minęło sześć lat od chwili, gdy korzystała z niego po raz ostatni. Otaczają ją tylko odłamki o ostrych krawędziach i hałaśliwe brzęczenie.

Pszczoly i potłuczone szkło.

Po raz pierwszy od czasu procesu dociera do niej, gdzie jest — to miejska toaleta. Tanie kafelki upaprane ludzkimi wydzielinami i wysmarowane krwią. Żywiczna woń środka dezynfekującego zmieszana z gryzącym odorem zleżającego moczu. Powoli wstaje, a z jej zdrętwiałych palców upada na podłogę coś oślizgłego, rozbryzgując się u jej stóp.

Wychodząc z niskiej kabiny, płoszy chmurę much, które rozpoczynają pijany taniec w rozgrzanym powietrzu, odurzone hemoglobina.

To nie pszczoły. To niebieskie muchy. Są piękne.

Kobieta wyciąga rękę i jedna z much ląduje na lepkim, czerwonym opuszku jej palca. Tycie, włochate nóżki. Delikatne, szkliste skrzydełka. Jednym, gwałtownym ruchem kciuka przyszpila błyszczącego, szamoczącego się owada. Przytrzymuje go. Mucha brzęczy i próbuje się wydostać. Małeńkie życie.

Następnie powoli zaciska uchwyt, aż słyhać chrupnięcie. Niewielka eksplozja żółci. Małeńka śmierć.

Zmiażdżone muchy i potłuczone szkło.

Na ścianie nad umywalką wisi lustro. Jest popękane i pokryte bazgrołami. Odbija się w nim cała nędza pomieszczenia: brudne ściany, smugi tętniczej czerwieni, muchy i to coś w pokrwawionym, pomarańczowo-czarnym kombinezonie, gapiące się na kobietę...

Coś popsutego.

Nagle wszystko cichnie. Nawet muchy przestają latać, nie ośmielając się zakłócić tego momentu.

W oczach kobiety wzbierają łzy, kiedy wreszcie dociera do niej, w co się zmieniła. Twarz w lustrze to nie ludzkie oblicze, tylko pysk zwierzęcia. Zabójczyni. Ubezwłasnogłowiona. Bez włosów, bez umysłu, bez żuchwy.

Nie jest nawet w stanie krzyczeć.

2

— Dowództwo, tu Delta czternaście, odbiór.

— *Słyszemy cię, Delta czternaście. Możesz zaczynać.*

— Jacobs, ubezpieczasz mnie, Phillips, obstawiasz wejście. Ja idę pierwsza. Trzy, dwa, jeden... — Ciężkie, plastikowe drzwi huknęły o ścianę toalety i w całym niskim, cuchnącym pomieszczeniu momentalnie zaroilo się od much.

— Ruchy! Ruchy! Ruchy!

Jacobs wpadł do środka, mierząc ze swojego miotacza polowego we wszystkich kierunkach naraz. Phillips został na zewnątrz, w korytarzu, zwrócony w stronę drogi, którą przybyli, osłaniając wejście. Detektyw sierżant Cameron biegiem dopadła do ustępu i... zatrzymała się z poślizgiem na zakrwawionych kafelkach. Przez siedem lat służby w policji nigdy nie zdarzyło się jej jeszcze widzieć czegoś takiego. Jedna z kabin była całkowicie wysmarowana czymś ciemnym i lepkiem. To coś było kiedyś człowiekiem.

— Dowództwo... — Odwróciła się tyłem do zmasakrowanych szczątków. — Mamy problem.

* * *

— Czy ktoś może mi powiedzieć, co to jest? Ktoś chętny? Tak, Sophie?

Mała dziewczynka w neonowym niebieskim płaszczyku opuściła rękę, szczerząc się jednocześnie tak, że widać było wszystkie szczerby. — To zły człowiek.

— Tak jest, Sophie! — Nauczyciel się uśmiechnął. To były dobre dzieciaki. — A czy ktoś potrafi mi powiedzieć, *dlaczego* niedobrym ludziom obcina się połowę głowy?

Bez jednej chwili zastanowienia wszystkie dzieci, cała dwunastka, zaczęły się przekrzykiwać i podskakiwać:

— Bo byli niegrzeczni!

Trzeba uczciwie przyznać, że ubezwłasnowłowiony, któremu się przypatrywali, wcale nie wyglądał na szczególnie niegrzecznego, ot, jeszcze jeden biedak, który nigdy już nie będzie sprawiał problemów. Człowiek z połową twarzy, usmażonym mózgiem i z kodem kreskowym wytatuowanym na czole. Przemieszczał się powoli po hallu wejściowym, pucując mopem marmurową podłogę na wysoki połysk. Mała grupka szła za nim krok w krok, nie zwracając uwagi na bezcenne dzieła sztuki spoglądające ze ścian. Trafili na coś dużo ciekawszego. Niektóre dzieci robiły miny, szczerząc górne zęby, wciągając do tyłu podbródki i wywracając oczami. Jedno albo

dwoje z nich udawało, że szorują podłogę specjalnymi, niewidzialnymi mopami. Ich wyobraźnia była naprawdę godna podziwu.

— No dobrze — podjął nauczyciel, skręcając w rogu korytarza. — A jak myślicie, co takiego uczynił ten zły człowiek? Nigel, jak sądzisz? Co zrobił?

Nigel przez dobrą minutę wpatrywał się we własne buty.

— Cy on znęcał się na cymś kotem?

— Noo, to by było naprawdę niegrzeczne zachowanie, prawda?

— Taaak! — wykrzyknęły dzieci.

— Przepraszam. — Głos należał do elegancko ubranego mężczyzny, czekającego na windę.

— Momencik. Dzieciaki, co odpowiemy temu miłemu panu?

— Że nie rozmawiamy z obcymi!

— Tak jest! — Nauczyciel odwrócił się do dżentelmena w granatowym garniturze z szerokim uśmiechem na twarzy. — Czyż nie są inteligentne?!

Mężczyzna milczał przez krótką chwilę, po czym odparł:

— Rozkoszne.

— Lubimy tu przychodzić i oglądać wszystkie te piękne obrazy, prawda?

— Taaak!

Na twarzy nieznajomego po raz pierwszy zagościł uśmiech. To jasne, że dzieci nakłoniły go do rezygnacji z początkowego dystansu. W ciągu kilku sekund sprawiły, że nieznany im wcześniej człowiek stał się ich przyjacielem. Były pod tym względem wspaniałe.

— Przez przypadek podsłuchałem pańskie pytanie o to, co uczynił ten kryminalista.

Nigel aż podskoczył, wymachując wysoko uniesioną ręką, próbując za wszelką cenę znaleźć się ponownie w centrum uwagi.

— Znęcał się nad cymś kotem!

Nieznajomy wyciągnął rękę i zmierzwił mu włosy, wywołując na twarzy chłopca jeszcze radośniejszy uśmiech.

— Dokładnie tak. Wielu z nich od tego zaczyna. Zanim się rozkręcą. — Mężczyzna przykucnął i puścił oko do otaczających go dzieciaków. — Ćmy, żaby, koty, psy... Ten tutaj zajął się następnie małymi chłopcami. Lubili obcinać im palce, jeden po drugim, a potem wtykać im je tam, gdzie słońce nie dochodzi.

— Ojej! — mała dziewczynka pociągnęła nieznajomego za rękaw. — Czy wsadzał im je do nosa? Co? Bo Nigel *zawsze* wpycha palce do nosa.

— Wcale nie! Proszę jej nie słuchać, ona jest gupia.

— Wcale nie!

— Właśnie ze tak!

— Yyy... to chyba niezupełnie stosowne. — Nauczyciel po raz pierwszy uświadomił sobie, że oczy nieznajomego wcale się nie uśmiechają. Co więcej, przyjrzawszy mu się *dokładniej*, dostrzegł, że jest w nim coś zdecydowanie złowrogiego. — Chodźcie dzieci, musimy... yyy... musimy już iść. — Zebrał wszystkie dzieciaki w grupę, próbując uchronić je przed niebezpieczeństwem, ale ten okropny człowiek nie przestawał mówić.

— Następnie, kiedy chłopcy stracili już wszystkie palce u rąk, zabierał się do obcinania palców u stóp. Jeżeli mieli szczęście, umierali na skutek wstrząsu. A jeśli nie, to cały czas jeszcze żyli, kiedy rozcinał im brzuchy. Kuchennym nożem.

— To obrzydliwe! Jak pan śmie!

Drzwi windy piknęły, otwierając się na oścież, i mężczyzna wykonał krok w tył, pakując się do środka.

— Kiedy go złapaliśmy, znaleźliśmy zwłoki piętnastu chłopców pogrzebanych pod podłogą jego domu i kolejnych trzech ukrytych w zamrażarce. — Wyraz twarzy nieznajomego nabrał nieprzyjemnego charakteru, a jego spojrzenie było wycelowane prosto w oczy nauczyciela. — Lepiej o tym pamiętaj, kiedy następnym razem zbierze ci się na gówniane żarty.

Rozległ się melodyjny dzwonek i drzwi zaczęły się zamykać.

— Jak ci na imię? Złożę zażalenie do twoich przełożonych!

Stuk. Winda ruszyła z głuchym warkotem, unosząc ze sobą tego straszego człowieka i jego okropne opowieści.

* * *

Siedząc wygodnie w przeszklonej kabinie, okropny człowiek w granatowym garniturze uniósł dłoń i aktywował umieszczony na szyi mikrofon.

— Dowództwo, tu Hunter, powiedzcie mi, że windy dla personelu zaczną za chwilę znowu działać, *proszę!*

W umieszczonym wewnątrz ucha odbiorniku zaterkotał głos:

— *Przepraszam, ale obsługa wciąż nad tym pracuje. Nie chcę nam powiedzieć, kiedy się z tym uporają.*

— A to niespodzianka. — Na zewnątrz kabiny Glasgow smażyło się w upale, czekając na spodziewane opady. Spóźniały się tego roku, a nieznośnie gorące lato ciągnęło się bez końca i wszyscy mieli go już serdecznie dość. Zdawało się, że wszystko, co żywe, ledwo zipie. Dotyczyło to również

mężczyzny.

Przyjrzał się własnemu odbiciu rysującemu się na tafli szkła, a widok ten nie napawał go zadowoleniem. Ciemnosine wory pod oczami; dumny, krzywy nos zdobiący twarz, której przydałoby się przynajmniej osiem godzin snu i staranniejsze golenie. W którymś momencie życia dopadło go zapisane w genach przeznaczenie, przez co szopa niesfornych, brązowych włosów zaczęła się przerzedzać, a czoło zdawało się z każdym rokiem sięgać coraz wyżej. Trzeba będzie załatwić sobie przeszczep. Kilka lat można jeszcze poczekać, ale należy zająć się tym odpowiednio prędko.

Oderwał wzrok od szyby, omiatając spojrzeniem zacieniony dziedziniec ośrodka. Tu i ówdzie kępy przywiedłych roślin wyczekiwały na piekące, poranne słońce. Ku głównemu wejściu prowadzono właśnie kolejną grupkę dzieci w wieku szkolnym, by wtłoczyć im do głów, jak ważne jest przestrzeganie prawa i porządku. I żeby mogły pooglądać piękne obrazy. Albo tylko po to, by mogły ponabijać się z ubezwłasnowłownionych.

Cholerni nauczyciele.

Winda z cichym piknięciem zatrzymała się na trzynastym piętrze i William Hunter wyszedł na korytarz. Ktoś tu już na niego czekał.

— Szefie. — Szeregowa Dickson przywitała go energicznym salutem. Zamiast zwykłego dla niej szarego dresu miała na sobie czarny, chromowany uniform, zza pleców zaś wystawał jej ogromny miotacz, niedbale przerzucony przez ramię. Wyrzutnia niemal dorównywała jej rozmiarami, potężne przewody detonacyjne wystawały ponad głowę dziewczyny, a metalowe elektrody dyndały w okolicy kostek.

— Porucznik Brand kazała panu przekazać, że drużyna jest już zebrana i gotowa do działania. — Stała na baczność, a Will nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

— Jesteś pewna, że tak właśnie powiedziała?

— Tak jest.

— Użyła dokładnie tych słów?

Szeregowa Dickson unikała jego wzroku.

— Yyy... mniej więcej, proszę pana.

— Wiesz, że mogę to sprawdzić.

Westchnęła.

— Porucznik powiedziała: „Powiedz mu, żeby wziął dupę w troki i stawił się tu ze sprzętem, zanim dam mu takiego kopa, że doleci pod sam Edynburg”. Twarz szeregowej Dickson oblał lekki rumieniec.

— Hmm, w takim razie lepiej nie zwlekać.

Podwójne drzwi na końcu korytarza otwarły się z sykiem, odsłaniając przejście do bazy wypadowej. Will podążył za Dickson, wychodząc na dach, na otwartą przestrzeń. Nagły kontrast między komfortowym, klimatyzowanym pomieszczeniem a rozgrzanym powietrzem na zewnątrz był wprost powalający, sprawiał, że każdy oddech wymagał wysiłku. Mijając wyloty szybów wentylacyjnych, podeszli do oczekującej Ważki.

Śmigłowiec spoczywał na czterech wspornikach hydraulicznych jak jakiś olbrzymi, asymetryczny łosoś z pocerniałej stali. Wszystkie komory uzbrojenia pozostawały zamknięte; tam, dokąd lecieli, ciężka artyleria była zupełnie zbędna.

Kiedy Will i Dickson minęli barierkę odgradzającą ich od maszyny, rozległ się warkot uruchamianych silników, a betonowa nawierzchnia miejsca startowego zafalowała światłocieniem pod wpływem podmuchu powietrza.

Wgramolili się do środka po tylnej rampie, chowając się we względnie chłodnym, przyciemnionym wnętrzu helikoptera. W słuchawce Willa rozległ się znajomy głos:

— *Jak miło, że pan do nas dołączył, panie Hunter...*

— Dzień dobry, pani porucznik. — Will ruszył w głąb kabiny, pozdrawiając mijanych żołnierzy skinieniem głowy i rozglądając się za jakimś wolnym miejscem. Okazało się, że zostawili dla niego miejsce na samym końcu pomieszczenia, tuż obok przejścia prowadzącego do kokpitu, dokładnie naprzeciwko dwumetrowego pojemnika, którego nikt nie chciał mieć przed oczami.

Hunter usiadł i zapiął pasy.

Warkot silnika momentalnie się zmienił, przeskakując o kilka oktaw i przeradzając się w świrdujący skowyt. Hunter poczuł, jak grunt pod jego stopami unosi się, a on wraz z nim, jakby poderwany stalową falą. Ważka oderwała się z impetem od ziemi i odleciała, błyskawicznie zwiększając prędkość.

Lot przebiegał w ciszy — bez żadnego przekomarzania, którego odgłosy wypełniały zazwyczaj kabiny bojowych śmigłowców. Wszyscy stali spokojnie w swoich przegrodach, rozmyślając o tym, dokąd zmierzają i jak niewiele brakło, by spotkał ich los szeregowego Worralla.

Will próbował stłumić poczucie winy za to, co się zdarzyło. Dlaczego miały się czuć winny? To nie on nawalił; Worrall nie zachował należytej ostrożności. Worrall zlekceważył procedury. Worrall *musiał* zgrywać bohatera.

Bezmyślny sukinsyn...

Ale wszystko to nie zmieniało faktu, że Will i tak poczuwał się do odpowiedzialności.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

— Chcesz wygłosić przemowę czy wolisz, żebym ja to zrobiła? — Głos porucznik Emily Brand brzmiał dużo mniej buńczucznie niż wtedy, gdy Hunter gramolił się na pokład. Ciężar ciała opierała na poręczy otaczającej jego przegrodę, balansując płynnie podczas manewrów młócającej wirnikami powietrze Ważki.

Emily była stworzona do tego zajęcia: była szczupła i muskularna, swoje kasztanowe włosy przyszytyła tak krótko, że wyglądało to niemal tak, jakby goliła głowę. Podobnie jak wszyscy jej podkomendni miała na sobie uniform: czarny, skrojony na miarę, z czterema chromowanymi belkami na ramieniu, wskazującymi jej stopień. Zapowiadało się, że pożegnają szeregowego Worralla z pełną pompą.

Will zerknął na metalowy pojemnik.

— Nie musisz się o to martwić. Ja zajmę się gadaniem, jeśli nie... — chciał powiedzieć „nie czujesz się na siłach”, ale wiedział, że Emily odbierze to jako wyzwanie. — Ja to zrobię. Bóg mi świadkiem, zajmowałem się tym już naprawdę wiele razy, znam te przemówienia na pamięć.

— Tak. — Odwróciła głowę. — Tak pewnie będzie najlepiej.

Ważka wykonała przechył, a porucznik Brand wróciła na stanowisko dowodzenia umiejscowione obok pilota, rzucając przedtem niemal niesłyszalne „dziękuję”.

Odproadziwszy ją wzrokiem, Hunter wyciągnął rękę, by włączyć umieszczony powyżej przegrody monitor. Ekran trzeszczał i szumił, naelektryzowany pod wpływem pracującego silnika, ale mimo tych zakłóceń rozpościerający się w dole widok z przedniej komory karabinowej był wciąż rozpoznawalny: Glasgow.

Rzeka Clyde skrzyła się niczym ogrodzenie z drutu kolczastego, meandrując powoli ku morzu, wciśnięta pomiędzy potężne wały, które dzieliły miasto na dwie części i otaczały je szczelnie ze wszystkich stron. Tylko dzięki nim Ocean Atlantycki i Morze Północne nie zdołały jeszcze pochłonąć całego tego obszaru. W tej części miasta, która znajdowała się na południowym brzegu rzeki, zaszły duże zmiany; nie było już ani śladu po wspaniałych „rewiwalistycznych przedsięwzięciach architektonicznych” i modnych dzielnicach o elewacjach z piaskowca. Wszystko było tu z betonu, styropianu i industrialnego plastiku, tworzyło szarą panoramę stłoczonych blokowisk spieczonych lejącym się z nieba żarem.

Will obserwował, jak promienie słońca liznęły okna gigantycznego bloku, zapalając w nich blask, który oświetlał ten przygnębiający, kanciasty krajobraz niczym ostrzegawcza latarnia. Który dawał do zrozumienia: „Trzymaj się z dala”. Hunter poczuł, jak po kręgosłupie przebiega mu zimny dreszcz. Nie trzeba mu było powtarzać.

— *Mamy w zasięgu miejsce do posadzenia śmigłowca, lądujemy za trzy sekundy.*

Poczuł szarpnięcie uprząży, kiedy silniki Ważki zawyły po odwróceniu ciągu, wskutek czego maszyna zatrzęsała się i zawisła nieruchomo w powietrzu. Nieważne, jakie mieli zadanie, ci ludzie i tak zawsze pilotowali te śmigłowce tak, jakby ruszali na pole bitwy.

Z słuchawki dobiegło Willa słowo „dupek”, po czym sygnał uległ przerwaniu.

W kokpicie porucznik Emily Brand spierała się z kimś przez komunikator — Hunter nie potrafił wychwycić poszczególnych słów, ale ton rozmowy był jasny. Wyglądało na to, że kobieta jest na przegranej pozycji.

W końcu głośniki zatrzeszczały i rozległ się jej głos:

— *Sorry, ludzie, zmiana planów. Gliny potrzebują wsparcia i zespołu z Centrum Przeciwdziałania Zagrożeniom. To znaczy nas. Żadna inna jednostka nie jest w stanie się zaangażować. Wiem, że to gówniany układ, ale takie są rozkazy. Włączać silnik. Pogrzeb szeregowego Worralla będzie musiał poczekać.*

Śmigłowiec poderwał się w powietrze, ponownie rozległ się ryk silnika. Will patrzył, jak ładna część miasta znika z ekranu monitora, zamiast niej mógł za to teraz oglądać betonową dżunglę. Zmierzali prosto w stronę pełnego wysokich budynków blokowiska.

— O nie...

— *Słuchajcie, ludzie, wkraczamy w trudny rejon, są tam już gliny, więc niech nikogo nie swędzą łapy, żeby sobie postrzelać, i żadnego kozaczenia! Wolalabym, żeby nie przybyły nam tu na pokładzie żadne kolejne zwłoki.*

Prawie wszyscy zerknęli ukradkowo na pojemnik przymocowany naprzeciwko przegrody Willa.

— *Nasz cel to męski kibel, w hallu przy głównym wejściu w Sherman House.*

O nie. Nie, nie, nie, nie, nie... Dłonie Huntera zacisnęły się mocniej na poręczy, nagle stały się chłodne i wilgotne. W kabinie zrobiło się głośno od przekleństw rzuconych przez żołnierzy utyskujących po usłyszeniu informacji o planowanym celu. Ale to nie był koniec złych wiadomości.

— *Wicedyrektor sekcji Hunter dowodzi grupą operacyjną. Każdy, kto nie zastosuje się dokładnie do jego poleceń, kto nie zabierze się do ich wykonywania od razu po usłyszeniu rozkazu, z miejsca odczuje, że to jego najgorszy dzień. Zrozumiano?*

Will ledwo dosłyszał chóralne, pozbawione entuzjazmu „tak jest”. Ze wszystkich sił starał się nie zwymiotować.

— *Nie dosłyszałam!*

Stalowe ściany zadrżały od ogłuszającego ryku.

— Tak jest, pani porucznik!

— *Tak lepiej. Szacunkowy czas pozostały do przybycia na miejsce działania to dwie i pół minuty. Radzę wam sprawdzić, czy broń jest gotowa do użycia i czy macie pełne magazynki. U wszystkich chcę widzieć panczerze! Jak kogoś zobaczę bez pancierza, to osobiście go odstrzelę.*

Do uszu Huntera zewsząd dolatywały odgłosy sprawdzanych wyrzutni i karabinów, pogrążone w półmroku wnętrze kabiny wypełniła teraz intensywna zielona poświata laserowych celowników.

Will włączył swój mikrofon i zapytał, starając się ze wszystkich sił, by jego głos brzmiał spokojnie, co, do diabła, strzeliło do głowy porucznik Brand, że postawiła go na czele grupy wsparcia. Że wysłała go w sam środek akcji.

— *Dobrze ci to robi.*

Will zamknął oczy i zazgrzytał zębami. To samo słyszał już od różnych, bardzo dobrze opłacanych typów z drogimi, skórzanymi kanapami i dyplomami z psychologii. Jeśli nie stawisz czoła swojemu lękowi, nigdy się od niego nie uwolnisz. Im zresztą też nie uwierzył.

— *Za minutę jesteśmy na miejscu, ludzie. Wszystko ma pójść płynnie i czysto. Wpadamy i wypadamy. Nie robimy przedstawienia. Żadnych problemów.*

Było już za późno, żeby się wycofać, i Hunter zdawał sobie z tego sprawę. Popsułyby reputację porucznik Brand w oczach jej podwładnych, nie mówiąc już o *swojej* reputacji.

Kurwa. Kurwa jego mać...

Dzięki, Emily. Wielkie dzięki.

Wyciągnął swój paralizator z umieszczonej pod ramieniem kabury i sprawdził, czy akumulator jest w dalszym ciągu w pełni naładowany. Mały owalny dysk mieścił się w dłoni, a wskazówka umieszczonego na wierzchu pokrętła była ustawiona na typowe „ciężkie porażenie”.

To, że miał się ponownie znaleźć w Sherman House, nie oznaczało wcale, że historia musi się powtórzyć. Poza tym *teraz* miał ze sobą wsparcie w postaci uzbrojonej po zęby brygady szturmowej. Nie było się czym przejmować. Nikt przy zdrowych zmysłach nie odważy się zaatakować sześciu zawodników wybranych spośród najlepszych żołnierzy Organizacji. Byłoby to samobójstwo. Szaleństwo.

Przekreślił się niespokojnie w uprząży; lokatorzy Sherman House raczej nie słynęli ze zdrowej psychiki.

Srał to pies. Will zgarnął ze stojaka-ładowarki jeden z blasterów. Aktywując kciukiem wskaźnik mocy, poczuł pod palcami chłód plastikowej obudowy

karabinu. Rozbłysły kontrolki parametrów, wskazując, że bateria jest w stu procentach naładowana, a broń jest gotowa, by roznieść na strzępy wszystko, w co zostanie wycelowana. Dzięki niej miałyby przynajmniej okazję, by zabrać ze sobą kilku z tych sukinsynów na tamten świat.

— *Popatrzcie, ludzie, mamy obraz.*

Plac Potworności wypełniał cały niewielki, zawieszony naprzeciw Willa ekran. Cztery ogromne bloki, w każdym jednym po sześćdziesiąt tysięcy stłoczonych lokatorów. A to nie koniec złych wieści — po tej stronie rzeki rozciągało się jeszcze jedenaście identycznych placów; połowa z nich została odbudowana po zamieszkach.

Niech Bóg ma Glasgow w swojej opiece, jeśli mieszkańcy tej dzielnicy wkroczą na wojenną ścieżkę.

Znowu.

Obraz na ekranie rozmazał się w trzasku zakłóceń, gdy Ważka rozpoczęła decydujące podejście, opadając jak kula wystrzelona z armaty.

Porucznik Brand ruszyła w stronę komory zrzutowej, szykując się do lądowania, podczas gdy śmigłowiec zaczął wykonywać skręty i obroty — po to, by nie stać się łatwym celem. Kobieta przeszła przez całe pomieszczenie, sprawdzając, czy wszyscy członkowie grupy pozakładali pancerze, a potem zarzuciła ich komendami.

— Nairn, Dickson, Wright, jesteście na szpicy. Floyd, trzymasz tylną straż. Beaton, ty i Stein zajmiecie się monitorowaniem sytuacji na komputerach. Reszta tworzy defensywny krąg wokół Ważki. — Na moment zapadła cisza, w której ludzie z eskorty Willa powypinali się z uprząży. — Skoncentrujcie się, ludzie, to już nie są ćwiczenia.

Silniki przeszły gwałtownie na wsteczny ciąg. Stało się: Sherman House, dotarli na miejsce.

O Boże...

Tylna rampa opadła, jeszcze zanim podwozie dotknęło asfaltu, a do wnętrza maszyny wdarły się ostre promienie porannego słońca.

Emily skinęła głową: gra rozpoczęta.

— Ruchy, ludzie!

Czterech komandosów utworzyło błyskawicznie ochronną barierę wokół helikoptera, ciągnąc za sobą zwoje drutu, wyglądali jak zakute w zbroje pająki. Zaczęli skanować zatłoczony plac, rozglądając się za potencjalnymi celami dla swojej ciężkiej artylerii, a słońce odbijało się w ich pancerzach. Mieszkańcy bloków zamarli w bezruchu, jak figury woskowe, gapiące się w milczeniu. Nieprzyjazne.

Straż przednia zbiegła po rampie w stronę najbliższego monolitu, a tłum

rozstępował się przez żołnierzami jak morze nikomu niepotrzebnej hołoty.

Widząc trzech szturmowców Organizacji znikających we wnętrzu Sherman House, Will wzmocnił uchwyt trzymanego w rękach blastera. Portal wejściowy był kiedyś spektakularny i potężny: ściana chromu i szkła akrylowego wielkości boiska do piłki nożnej, cyzelowane marmurowe cokoły oraz najmodniejsze rzeźby, jakie można kupić za państwowe pieniądze. Ale szkło już dawno straciło swój blask.

Nie było już śladu po roztańczonych figurkach z brązu, po zwierzętach z nakrapianej stali ani nawet po granitowym kaszalocie oryginalnych rozmiarów. Wszystko przepadło podczas rozruchów — rozbite w drobny mak przez ataki z powietrza i ostrzał z wyrzutni. Zostały jedynie ich poczerńiałe kontury.

Kiedy w słuchawce zatrzeszczał komunikat, że droga wolna, Will zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

To był *bardzo* zły pomysł.

— No dalej — powiedział, zniżając głos tak bardzo, by nikt inny nie mógł go usłyszeć. — To dla twojego własnego dobra. — Wykonał pierwszy krok na rampę, po czym stanął. W uszach słyszał dudniące tętno, oddychał bardzo płytko, czuł skurcze brzucha i suchość w ustach, a jego ręce ściskające wyrzutnię dygotały.

Beaton i Stein stali tuż za nim, szamocząc się z nieporęcznym urządzeniem do skanowania — pojemnikiem wyglądającym zatrważająco podobnie do trumny szeregowego Worralla. Oczekiwali, że Hunter przejmie inicjatywę.

W przymocowanym wewnątrz ucha odbiorniku rozległ się głos porucznik Emily Brand.

— *Czekasz na specjalne zaproszenie?*

Will przekroczył próg, wychodząc prosto pod ostre promienie słońca. Czuję się, jakby wchodził do pieca z brzuchem nafaszerowanym dwutonowym balastem. Sherman House...

Na jego czoło wystąpiły krople potu.

Z placu spoglądały na opancerzonych szturmowców gniewne, milczące twarze. Większość miejscowych miała na sobie kolorowe ciuchy będące mieszanką wielu stylów, które były na topie przed dwoma laty, ale trafiali się i tacy, którzy nosili obcisłe, formalne stroje, modne jeszcze rok wcześniej. Po tej stronie rzeki podchodziło się do mody z dystansem.

Na wyższych piętrach zebrało się więcej złowrogo spoglądających tubylców. Obserwowali. Czekali, aż znowu nastanie ciemność i ponownie popłynie krew.

Will wzmocnił uchwyt na blasterze i pomaszerował po wyblakłym od słońca

asfalcie, ze wzrokiem utkwionym sztywno na wprost. Budynek potężniał z każdym kolejnym krokiem, aż zajął mu całe pole widzenia.

Zebrany tłum wciąż tylko stał, a ich wielobarwne fatałaszkę łopotwały pod wpływem podmuchów wywołanych przez silniki Ważki.

Już tylko pięć kroków. Cztery. Trzy. Dwa... Will popchnął porysowane, ufajdane drzwi i wszedł do słabo oświetlonego atrium.

Ogromna, wykonana ze szkła przednia ściana niemal całkiem straciła przezroczystość. Była teraz kłębowiskiem popękanych szyb i ponurych plastikowych płyt. Emaliowane panele porastała zielonkawa pleśń, pogrążając całe to olbrzymie pomieszczenie w półmroku.

Powinno być tu chłodniej, ponieważ do środka nie docierał żar słońca, ale wcale tak nie było.

Wszędzie dookoła stały setki milczących ludzi, którzy robili dokładnie to samo, co tłum na zewnątrz. Gapili się.

Beaton i Stein z impetem wpadli przez znajdujące się za plecami Huntera drzwi, ciągnąc za sobą swój sprzęt do badania miejsca zbrodni. Tyły zabezpieczał im szeregowy Floyd. Will aktywował mikrofon na szyi.

— Jesteśmy w środku.

— *Rozumiem. Personel bariery ochronnej, przygotujcie się odlotu za pięć, cztery, trzy...* — Z zewnątrz dobiegł przytłumiony ryk silników, kiedy Ważka oderwała się od asfaltu i rozpędziwszy się, zajęła pozycję w bezpiecznej odległości.

Byli zdani na siebie.

Will skinął głową w stronę otaczającej go szóstki uzbrojonych po zęby mężczyzn i kobiet.

— Jedziemy.

Sierżant Nairn poprowadził grupę do wnętrza budynku, kierując się w stronę ubicacji. Tłum gapiów podążał krok w krok za szturmowcami. Jednak żaden z miejscowych nie podchodził na bliżej niż na dwa metry, jak gdyby taka odległość stawiała ich poza zasięgiem miotaczy i blasterów.

Kiedy dotarli do schodów prowadzących na półpiętro, Will poczuł, jak po plecach spływa mu pot. Nie był pewien, czy powodem był upał, czy powrót do Sherman House, ale wrażenie było okropne. Miał rację, że nie chciał tu przychodzić.

U szczytu schodów główny hall rozbiegał się na obydwie strony, tworząc krąg wokół wewnętrznego dziedzińca budynku. Miejsce to miało być w założeniu zieloną oazą w środku miejskiej dżungli. Jednak można było dostrzec, że wyglądało bardziej jak wysypisko śmieci.

Okazało się, że ubikacje znajdują się obok szybów windy.

— Sierżancie Nairn — Will wskazał na porysowane, niebieskie drzwi — macie razem z Floydem i Wrightem obstawiać wejście. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi bez mojej zgody.

— Zrozumiałem. — Nairn i jego szturmowcy zajęli pozycje z bronią wycelowaną w zgromadzony tłum. Najbliżej stojący mieszkańcy poprzesuwali się niezgrabnie, ale szeroka na dwa metry strefa buforowa nie uległa zmianie.

— Dickson, idziesz ze mną. — Will popchnął drzwi i wszedł do środka, mrugając pod wpływem szczypiącego w oczy odoru amoniaku. Do diabła, ależ tu śmierdzi: zjełczałe szczyny doprawione kałem i potem. Hunter stanął jak wryty i sapnął. Boże, można było nawet *poczuć smak* w ustach...

Usłyszał za sobą przekleństwo rzucone przez Dickson.

Trzy osobne kabiny ubikacyjne, męska, damska i dla osób niepełnosprawnych, zajmowały każda jedną ze ścian. Beaton i Stein wtaszczyli sprzęt badawczy do korytarza.

— Jezu, Dickson, śmierdzi tu gorzej niż u ciebie na chacie.

— Spieprzaj, Stein. — Szeregowa zmieniła chwyt potężnego miotacza, w cuchnącym powietrzu rozległ się terkot rotorów, a elektrody zadygotały.

Drzwi do męskiej kabiny były lekko uchylone. Zatykając dłonią nos i usta, Will otworzył je na całą szerokość.

— Kurwa, co jest? — Potężna kobieta w charakterystycznym uniformie z mosiężnymi guzikami, noszonym przez dzielnicowych, wyszarpnęła połowy paralizator przypięty do biodra. Will ledwo zdążył się uchylić, kiedy zygzak błękitnego wyładowania przeskoczył nad jego głową, trafiając prosto w szeregową Dickson.

Rozległ się zduszony pisk i całe ciało żołnierki przebiegł paroksyzm skurczu, wyrzucając ją w powietrze. Kiedy huknęła o przeciwległą ścianę, wygarnęła ze swojego miotacza, rozwalając część betonowej podłogi tak, że została z niej tylko gęsta chmura chrzęszczącego pyłu.

Wejściowe drzwi walnęły o ścianę i do środka wpadł sierżant Nairn, a laserowy celownik jego miotacza zaznaczył wyraźną, zieloną smugę w obłoku betonowych drobinek.

— NA ZIEMIĘ, W TEJ CHWILI!

— NIE STRZELAĆ! — Will poderwał się, a potem zamarł, kręcąc rękoma wiatraka, z jedną stopą zawieszoną tuż nad krawędzią wielgachnej dziury, której wylot znajdował się w jakimś pomieszczeniu gospodarczym piętro niżej. — Cholera... — Zatoczył się w tył. — Jesteśmy po tej samej stronie!

Kobieta trzymająca gigantyczny paralizator pozostała na swoim miejscu,

celując lufą broni prosto w jego twarz.

— Udowodnij.

— OK. Wezmę... — Odkasznął, wyrzucając z płuc kłęb betonowego pyłu. — Sięgnę teraz do kieszeni i wyciągnę legitymację. Nikt nie ma nic przeciw?

Kobieta nie zaprotestowała, więc Will wyjął niewielki plastikowy prostokąt z portfela i wyciągnął go w jej kierunku. Hologram widniejący na przedniej stronie wyglądał, jakby ktoś spłoszył szympansa, ale wydawało się, że odniósł pożądany skutek.

— No, no, proszę, proszę; sam wicedyrektor sekcji, jak Boga kocham. Czego szuka tu Organizacja? — zapytała. — Myślicie, że jesteśmy biednymi, nierozgarniętymi glinami i że jak nie będziecie nas trzymać za rączkę, to coś schrzanimy?

— Sami prosiliście o specjalistyczne wsparcie, OK? Uch... — Skrzywił się i wypluł kurz. — A tak na marginesie, to moim zdaniem cholernie głupio, że obciążliście wam budżet, *ponownie*. Niby jak macie teraz...

— Proszę zachować tę gadkę dla kogoś, kogo to obejdzie, panie wicedyrektorze sekcji, bo ja już mam jak na ten miesiąc potąd takich protekcyjnych pierdół. — Zrobiła krok w bok i wskazała kciukiem za siebie. — W środku.

Will ugryzł się w język; użeranie się z nią do niczego nie prowadziło.

Za jego plecami leżąca na podłodze szeregowka Dickson dochodziła właśnie z jękiem do siebie. Upewnił się, że wie, jaki to dzień, i że poznaje, ile palców jej pokazał, po czym wprowadził grupę specjalną do męskiej ubikacji.

Było to brudne pomieszczenie, w którym metaliczna woń świeżej krwi mieszała się z porażającym smrodem uryny. Kafelki, niegdyś białe, były teraz upaprane plamami ciemnowiśniowego koloru. Powietrze roiło się od pękających much zataczających leniwie obszerne kręgi. Para młodszych gliniarzy stała w kącie, starając się pozostać jak najbardziej na uboczu. Jeden z nich miał pobladłą, zszarzałą twarz i dygotał. Kiedy Beaton i Stein rozpoczęli montaż sprzętu do skanowania, Will zrozumiał, jaka była tego przyczyna. Zapach był ohydny, ale widok był jeszcze gorszy.

— Czy ciało było w takim stanie, kiedy je znaleźliście?

— Nie, było nienaruszone. Poszatkowaliśmy je, żeby się trochę rozerwać — powiedział głos za jego plecami.

Więc to tak? Pieprzyć to, skoro gliny chcą walki, to ją dostaną.

— Dobra — powiedział, odwracając się powoli. — Mam już dosyć twojego dosrywania. Jesteśmy tu, bo musimy, a *nie* dlatego, że chcemy. Ty... — zawiesił głos.

Spodziewał się kolejnego typu w niebieskim mundurze, chowającego w

sercu gigantyczną *urazę*, ale zamiast tego jego oczom ukazał się najbardziej wściekle zielony strój, jaki było mu dane kiedykolwiek zobaczyć. Miała go na sobie kobieta o wzroście trochę powyżej średniej i o skórze koloru kawy z mlekiem. Włosy miała związane na szczycie głowy w asymetryczny kok — zgodnie z najnowszą modą. Na jej twarzy malował się wyraz niemal równie nieprzyjemny, co jej wdzianko.

— Ach, rozumiem. — Skrzyżowała ramiona na piersi. — Cóż za niesprawiedliwość, że ściągnęli pana aż tutaj i kazali się użerać z plebsem. Tak myślicie w Organizacji? Życie szaraczków się nie liczy? Jesteśmy dla pana tylko motłochem ze slumsów? — Jakimś sposobem skurczyła wszystkie mięśnie twarzy w wilczym grymasie.

Will wyburczał odpowiedź, ani razu nie podnosząc głosu:

— Nie chcemy tu być, ponieważ wczoraj rozerwało na strzępy jednego z naszych. Nie chcemy tu być, ponieważ właśnie w tej chwili mieliśmy wyprawiać mu pogrzeb, a ja miałem opowiadać jego żonie i córce, jakim był wspaniałym człowiekiem. — Podeszedł bliżej, patrząc pani Zielone Wdzianko prosto w oczy. — Nie chcemy tu być, bo to nie jest zadanie dla Organizacji. Ale jakiś skretyniały liczykrupa postanowił obciąć wasz budżet i zwalić całą dodatkową robotę na nas, no to przylecieliśmy. A ja nie mam czasu ani ochoty, żeby się z tobą na ten temat wyklócać. Muszę stawić się na pogrzebie.

Kobieta przyglądała mu się uważnie przez kilka chwil, przechyliwszy głowę. Z jej twarzy ustąpił w końcu wyraz niezadowolenia.

— Rozumiem. — Wycelowała palec w kabinę ubikacji utyłanej we krwi jak jakaś rzeźnia. — Ofiara to biały mężczyzna. Około 170 cm wzrostu i 80 kg wagi.

Will otworzył drzwi kabiny na oścież. Zmasakrowany zezwłok leżał odchylony do tyłu na muszli klozetowej, na kompletnie zakrwawionej podłodze wały się porozrzucane tu i ówdzie lepkie strzępy mięsa i wnętrzności, na ścianach zaś, od podłogi do samego sufitu, ciągnęły się czarno-szkarłatne smugi. Jedynie z najwyższym trudem dawało się rozpoznać, gdzie znajdowała się głowa. — Łał...

— Klatkę piersiową rozpruto nożem o długości przynajmniej dwudziestu centymetrów, prawdopodobnie o ząbkowanym ostrzu. Brak jakichkolwiek śladów tego narzędzia na miejscu zbrodni. Organy wewnętrzne zostały wydarte i posiekane. Obydwa uda pokrywa gęsta sieć głębokich nacięć.

Will przykucnął przed poszarpanymi zwłokami, wpatrując się w rozprutą klatkę piersiową.

— Coś jeszcze?

— Zęby i kości szczęki zostały pogruhotane jakimś tępym narzędziem. Coś

zostało wepchnięte w głąb jamy ustnej, zdaje się, że to genitalia, ale nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością, dopóki twoi ludzie nie skończą skanowania. Nie mam pojęcia, gdzie się podziały oczy.

W niskim, cuchnącym pomieszczeniu zamigotało nagle ostre światło, kiedy Steinowi i Beaton udało się wreszcie zmontować sprzęt do skanowania. Za chwilę miało się tu zrobić naprawę głośno.

Hunter podniósł się z powrotem do pionu.

— Zgodzisz się pewnie — odezwała się pani Zielone Wdzianko, przechodząc ostrożnie między porozciągany na klejących się kafelkach kablami — że wygląda to na chaotyczny atak w amoku. Pod wpływem furii. Zabójca to moim zdaniem biały mężczyzna, między dwudziestym czwartym a trzydziestym drugim rokiem życia. Niechluj. Mieszka samotnie albo ze swoją matką. Matka nie ma pojęcia o jego działalności. — Nie musiała dodawać, że sprawca jest bezrobotny, po tej stronie rzeki można to było uznać za pewnik.

Will uśmiechnął się — kobieta przedstawiła klasyczny profil seryjnego zabójcy, prosto z podręcznika kryminologii.

— Wiem, że to nie moje śledztwo, ale czy jesteś *pewna*, że zabójca działał chaotycznie?

— Jasne, że tak. Atak był tak zdezorganizowany, że wyklucza inne opcje.

Hunter wskazał na zwłoki.

— Spójrz na dłonie.

Zmarszczyła brwi.

— Co masz na myśli?

— Opuszki palców zostały zgniecione na miazgę, więc nie możemy zdjąć odcisków. Szczeka została zdemolowana, więc nie możemy przeprowadzić identyfikacji na podstawie uzębienia. Oczy zniknęły, więc nie możemy zeskanować siatkówek. Tożsamość ofiary zdołamy poznać tylko, jeśli była notowana i mamy w archiwum jej DNA. Jeżeli nie, istnieje spore ryzyko, że nigdy nie zdołamy się dowiedzieć, kto to był.

Kobieta przez chwilę bezgłośnie poruszała ustami.

— Czyli zabójca musi być wystarczająco zorganizowany, by zatrzeć po sobie ślady.

— Co najmniej na tyle.

Aparat skanujący zaterkotał z cicha i piknął, a potem zapadła cisza. Stein rzucił pod jego adresem zwięzłą litanie przekleństw i wymierzył mu soczystego kopniaka. Maszyna ponownie wystartowała, warcząc i brzęcząc niczym oddział geriatryczny dotknięty epidemią kataru, do którego ktoś wpuścił stado os.

— Dobra, ludzie — Beaton nacisnęła przełącznik znajdujący się z boku obudowy. — Czas opuścić to pomieszczenie, jeśli nie chcecie zostać unieśmiertelnieni poprzez słynne skanowanie inwazyjne.

Wszyscy podreptali pospiesznie na korytarz, omijając wybity w podłodze otwór, by na zewnątrz poczekać na efekty pracy skanera. Niski, flegmatyczny warkot przeszedł teraz w ogłuszający wizg — zamknięte drzwi nieco tłumili hałas, ale tylko nieznacznie.

Chmura betonowego pyłu opadła, pokrywając wszystko i wszystkich cienką warstwą szarego kurzu o konsystencji piasku. Szeregową Dickson trzymała się na uboczu, tuląc do siebie swój miotacz i najwyraźniej chowając w sercu solidną urazę; spoglądała spode łba na policjantkę, która zafundowała jej terapię elektrowstrząsową.

Pani Zielone Wdzianko pochyliła się ku Willowi i powiedziała coś, czego nie udało mu się dosłyszeć.

— Co?

— DLACZEGO NIE ZADZWONIŁEŚ? Aby jej głos mógł przedrzeć się ponad wycie skanera, musiała mu krzyczeć prosto do ucha.

— CO? KIEDY MIAŁEM ZADZWONIC?

— KIEDY WPADLIŚCIE DO UBIKACJI. DLACZEGO NIE ZADZWONIŁEŚ, BY NAS POWIADOMIC, ŻE SIĘ ZJAWICIE? GDYBYŚ ZADZWONIŁ, TWOJA LASKA NIE WYŁAPAŁABY STRZAŁU Z PARALIZATORA.

Will zaklął pod nosem.

— No... — Nie przychodziła mu do głowy żadna dobra wymówka, więc umilkł, czekając w ciszy, jak cała reszta.

Podłoga pod ich stopami zadygotała rozwibrowana infradźwiękami, a Hunter przymknął oczy i oparł się o ścianę. Dzięki temu nie musiał spoglądać na dużą dziurę ziejącą w podłodze ani na rozgniewaną twarz Dickson. Dobrze, że gliniarzom nie wolno było stosować nic groźniejszego od paralizatorów, bo Willowi doszłaby jeszcze jedna mowa pogrzebowa. I w tym przypadku byłoby tak całkowicie z jego winy. Co za głupota...

Dudniące skanery zaburczały wreszcie, po czym piknięciem obwieściły koniec operacji.

— Dobra, mamy to. — Stein wetknął palec do ucha i powiercił nim kilka razy. — Daj nam dwie minuty na spakowanie sprzętu, i możemy spadać do domu.

Wpakowali się z powrotem do obryzganej krwią ubikacji, starając się, jak tylko mogli, nie pętać się pod nogami Beaton i Steinowi, którzy pośród przekleństw upychali sprzęt do futerału, by potem wywalić go na korytarz, pod opiekę szeregową Dickson. Beaton wyciągnęła worek na zwłoki i,

kucnąwszy, zaczęła zbierać z klejących się kafelków strzępy czerwonego i purpurowego mięsa.

Po usunięciu sprzętu do skanowania Will mógł wreszcie przyjrzeć się całemu temu brudnemu pomieszczeniu. Pokruszone umywalki. Ściany pokryte graffiti. Popękane lustro. Na podłodze walało się mnóstwo martwych much; małe błyszczące owady okazały się zbyt słabe, by przetrwać skanowanie. Wszystko pokrywała krew. Hunter nie zazdrościł biednemu sukinsynowi, który będzie musiał tu wszystko wyczyścić, kiedy ich ekipa się stąd zmyje...

Zmarszczył brwi. W kącie stały porzucone przybory do sprzątanina: mop, wiaderko na kółkach, szczotki do szorowania, duży pojemnik z przemysłowym środkiem dezynfekującym.

— Co stało się z ubezwłasnowłownionym?

Brwi ubranej na zielono policjantki uniosły się do góry.

— Z ubezwłasnowłownionym?

Will wskazał na mop i wiaderko.

— Znasz w tej części miasta jakichś innych chętnych do szorowania kibli?

— Cholera. — Zacisnęła mocno wargi. — Każę komuś, żeby się tym zajął.

Już dwa razy przyłapał ją na przeoczeniu. Trzeba będzie z tym uważać, żeby nie ożywić dawnej wrogości.

— No jasne — powiedziała, podczas gdy Will przeprowadzał ostatni obchód miejsca zbrodni. — Ubezwłasnowłownieni ciągle się tutaj gubią. Jesteśmy niemal pewni, że to sprawa lokalnych gangów. Łapią ich, torturują przez parę dni, a potem zabijają. Nigdy nie udało nam się na to zdobyć jakiegoś dowodu, ale wiemy, że to robią. — Zaniósł się krótkim śmiechem. — Możesz wierzyć lub nie, ale krążą pogłoski, że oni ich zjadają. Coś w rodzaju rytualnej orgii kanibalistycznej. Dasz wiarę?

Coś zimnego spęzło Willowi po kręgosłupie. Brakowało jeszcze tylko, by w ciemności zadudniły sklecone z byle czego bębny. Korytarze. Śmierć. Krew. Uczucie, jakby jego serce wbijało mu w pierś zardzewiałe gwoździe.

Przetarł dłonią wilgotne czoło i odwrócił się, by sprawdzić, czy Beaton i Sanders zdążyli się już uporać ze swoją robotą, żeby wszyscy mogli wreszcie stąd spadać... gdy wtem coś go zatrzymało.

Jego ludzie właśnie wpychali tułów ofiary do worka na zwłoki. Uniform Beaton okrywała cieniutka warstewka pyłu, a na chromowanych guzikach czerwieniły się krwawe plamy. Will wyciągnął rękę i powstrzymał ją przed zapięciem pokrowca.

W jego pamięci odżyło jakieś wspomnienie, coś mrocznego i znajomego.

— Coś nie tak?

Coś, z czym miał już wcześniej do czynienia.

— Co? A, nie... nic.

Cofnął się i pozwolił Beaton zamknąć worek. Rozległ się zgrzyt ostatniego zatrzasku i zmasakrowana twarz ofiary zniknęła w czeluściach pokrowca.

Coś tu *było*. Coś na wpół mu znanego, czego nie potrafił jednak uchwycić.

Coś, co zabijało już w przeszłości.

3

Muchy odleciały w poszukiwaniu czegoś martwego, czym mogłyby się posilić, pozwalając jej wyciszyć wypełniające czaszkę brzęczenie, które osłabło, przechodząc w tępy ucisk. Wszystko boli: kolory, dźwięki, zapachy. Wszystko ostre i naelektryzowane. Jakby ktoś przepuścił prąd przez jej mózg...

Nie myśli o tym. Wypiera tę świadomość i idzie dalej.

Iskry i odór przypalonego mięsa.

NIE MYŚLI O TYM.

Zatrzymuje się, opierając jedną dłoń o gorącą, ceglana ścianę, wyczuwając pod palcami jej chropowatą fakturę. Rozgrzało ją słońce i bicie jej mrocznego serca.

Tak to się kończy, kiedy nie zażyje swoich leków. Wszystko... się psuje.

W rynsztoku leży ptak, brzuchem do góry, w jego boku widnieje poszarpana dziura, a skrzydła roją się od roztoczy. Otwarty dziób. Modli się do prażącego słońca w języku martwych.

To wspaniałe.

Chce się jej śpiewać. Jak ten martwy ptak. Ale nie potrafi, wszystko przez te iskry i palone mięso.

Przez niego.

Miota się na stole operacyjnym, próbując rozerwać wiążące ją pasy. Zupełnie niczego tym nie zmieni, ale to nie miejsce na racjonalne myślenie. Skazała już na ubezwłasnowłowanie wystarczająco wielu, by to rozumieć. Te ostre, urywane, przerażone myśli są ostatnimi, jakie kiedykolwiek zagoszczą w jej umyśle.

Chirurg próbuje jej coś powiedzieć, ale jej krzyk zagłusza jego słowa. Wszystko, co wykrzykuje, jest automatyczne, wszystkie przewiska, przekleństwa i groźby. Potem zaczyna się błaganie: desperackie próby wytargowania łaski i obietnice poprawy. Ta niewielka część jej mózgu, która wciąż zachowała zdolność logicznego myślenia, obserwuje to wszystko z neutralnym zainteresowaniem, jak specjalista od ludzkiego zachowania klasyfikujący poszczególne stany świadomości potępionego umysłu. Kobieta moczy się.

Sanitariusz wbija jej w ramię igłę strzykawki i naciska tłoczek — ciało kobiety przeszywa kłujące mrowienie, a w jej krwioobiegu rozpuszcza się

środek uspokajający.

Otwiera usta do ostatniego krzyku, ale nad niczym już nie panuje. Wszystko skończone. Jej ciało wiotczeje na zimnym, metalowym stole.

Mężczyzna ponownie zaczyna mówić, opisując całą procedurę zgromadzonej na galerii widowni. Kobieta zamyka oczy i robi coś, czego nie praktykowała od wczesnego dzieciństwa. Modli się. Ale nie o zbawienie ani o pokój na świecie. Modli się, żeby chirurg spartaczył sprawę i zabił ją podczas zabiegu. Żeby nie musiała spędzić reszty życia jak wszyscy inni niewolnicy po lobotomii. Żeby nie musiała...

I wtedy rozlega się ten świdrujący odgłos.

Chirurg wyciąga ultradźwiękowe ostrze z futerału. Przejeżdża nim kilkakrotnie po testowym bloczku — jedynie parę próbnych nacięć — przyzwyczajając swoje długie, wąskie palce do niezwykle czułego spustu urządzenia, a odgłos maszyny przechodzi wtedy w przenikliwy wizg.

— Zaczniemy — mówi — od rozszczepienia żuchwy.

Obleczone w rękawiczki dłonie odciągają dolną wargę kobiety i ponownie rozlega się wycie ultradźwiękowego lancetu. W ustach kobiety rozpryskuje się krew i okruchy kości. To ostatni smak, jaki kiedykolwiek poczuje.

Próbuje szarpnąć głową, ale jest w stanie poruszać wyłącznie oczami, omiata wzrokiem salę operacyjną i galerię dla widowni, szukając czegoś, *czegokolwiek*, co mogłoby to powstrzymać. To nie miało się tak skończyć. Była przecież ostrożna. Tak bardzo ostrożna.

Rozlega się chrobot. Cała głowa kobiety przesuwana się na bok, kiedy chirurg wyciąga połowę jej żuchwy ze stawu.

I wtedy jej wzrok odnajduje *jego*.

Siedzi w pierwszym rzędzie z twarzą przybliżoną do szyby. Jego granatowy garnitur, standardowo przydzielany pracownikom Organizacji, jest niemal niewidoczny w przyćmionym świetle galerii. Przyszedł, by popatrzeć na jej cierpienie. Po poszarpanej bliźnie, jaką mu zafundowała, została już tylko bladopurpurowa linia, wijąca się po jego twarzy jak smuga zaschniętej krwi. Wkrótce nie zostanie po niej żaden ślad, zniknie pokonana magią nowoczesnej medycyny. Ale blizna, którą zostawiła na jego duszy, pozostanie w niej na zawsze.

* * *

Will stał pod agregatem chłodniczym, rozkoszując się owiewającą mu kark bryzą. Na zewnątrz słońce stało w zenicie, wypełniając powietrze żarem i wprawiając je w drganie. Ale tutaj było chłodno i przyjemnie.

W kostnicy zawsze jest chłodno.

— Masz już coś, George?

Mężczyzna w zielonym kombinezonie podniósł wzrok i pokręcił głową. Na bloku sekcyjnym leżała przed nim ludzka łamigłówa; w momencie, gdy Will zerknął w jego kierunku, patolog odrzucał właśnie coś przyprawiającego o mdłości, by potem wytrzeć ręce, przejeżdżając nimi po klatce piersiowej.

George podszedł do małej umywalki i opłukał swoje rękawice.

— Jak było na pogrzebie Worralla?

— Opóźniony o półtorej godziny. Rodzina nie była szczególnie zachwycona.

— Niektórym nie dogodzisz... — George pociągnął nosem, po czym wyciągnął chusteczkę i wysmarkał się w nią, emitując przy tym straszne, burczące odgłosy. — Maszyna wciąż grzebie w naszej bazie danych, ale skoro i tak musimy czekać na identyfikację, to może chciałbyś zobaczyć, co wyciągnąłem z twojego martwego przyjaciela?

— Nie, raczej sobie daruję.

Pulchną twarz George'a rozjaśnił uśmiech, tak szeroki, jak to tylko było fizycznie możliwe.

— Myślałem, że się nie brzydzisz.

— Za dwadzieścia minut idę na lunch. Stołówka naprawdę robi, co może, żeby odebrać ludziom apetyt na ich żarcie, nie potrzebuję do tego twojej pomocy.

— Ha, zabawne, że wspominasz o lunchu... — Patolog poderwał ze stojącej za nim ławki leżący na niej przezroczysty, foliowy worek. — Tadaaam! Treść żołądka!

— Wspaniale. — Will zerknął krótko na chlupoczącą wewnątrz breję i zdecydował, że jednak nie zamówi dziś ratatuja.

— Wiedziałem, że ci się spodoba. — George siąknął przeciągle i bulgocząco.

— A wiesz, co udało mi się w niej znaleźć?

— Zaskocz mnie.

— Z przyjemnością: ludzkie mięso.

Twarz Willa stężała. W jego głowie ponownie rozdudniły się bębny; długie, mroczne korytarze lepiące się od krwi; okaleczone twarze...

— Powiedz mi, że to jego własne mięso, *proszę*.

George pokręcił głową.

— Nie. Kogoś innego. Skonsumowane przynajmniej na osiem godzin przed tym, jak odwalił kitę. — Patolog wyszczerzył się, ewidentnie uradowany, że udało mu się schrzanić komuś dzień. Był z niego kawał popaprańca. — A teraz możesz już pójść na lunch. Smacznego. Dam ci znać, jeśli maszyna coś znajdzie.

* * *

Nowe biuro Willa było o wiele większe od starego, ale podobnie jak w poprzednim, tak i w tym rzucał się w oczy brak osobistych akcentów. Żadnych obrazów, żadnych bibelotów, żadnych hologramów ani nawet oprawionych w ramki plakietek. Gdyby nie fakt, że na drzwiach można było przeczytać „WICEDYREKTOR SEKCJI WILLIAM HUNTER”, nie byłoby najmniejszego znaku, że ktoś w ogóle zajmuje to biuro.

Hunter sięgnął po kubek stojący na nijakiej, szarej tacy i pociągnął solidny łyk. Ale nie zdołał go przełknąć. Wypluł wszystko z powrotem do kubka. Kiedyś była to herbata, teraz był to zimny, beżowy płyn, na którego powierzchni ściał się kozuch ze sztucznego mleka.

Wyniósł odrażający napój na korytarz i podlał nim najbliższą stojącą roślinę doniczkową.

— Panie Hunter?

Will zamarł. O cholera.

Odwrócił się, stając oko w oko z kobietą, która na ostatniej zabawie gwiazdkowej została zgodnie uznana za „mistrzynię we wzbudzaniu żądy mordy”. W samych skarpetkach mierzyłaby niepozorne metr sześćdziesiąt, ale w swoich szpilkach sięgała prawie metra siedemdziesięciu, co sprawiało niemiłe wrażenie. Włosy miała ostrzyżone do bólu konkretnie „na pazia”, a rysy jej twarzy można było przy pewnej dozie wielkoduszności określić jako „z gruba ciosane”.

— Ach, pani kierownik Smith-Hamilton. Miło panią widzieć.

Szefowa zmarszczyła starannie przycięte brwi.

— Co wy tu właściwie robicie, Hunter?

— Ja... no więc... wydawało mi się, że rośliny wyglądają na spragnione. To pewnie przez tę pogodę. Pomyślałem, że dam im się napić.

— No proszę, to mi się podoba! Człowiek, który traktuje swoje środowisko pracy jako coś więcej niż tylko zbiór ścian i okien. Bardzo dobrze. — Położyła mu rękę na ramieniu. — Badania pokazują, że rośliny mają pozytywny wpływ na morale. A wszystko, co podnosi morale, podnosi też produktywność. — Dyrektorka Smith-Hamilton ścisnęła mu bark. — Ale przecież *wam* nie muszę tego mówić!

— Taak, no cóż, jeśli pani wybaczy, muszę...

— No ale przecież nie po to tu przyszłam, Williamie. — Pochyliła się ku niemu, obrzucając przy tym cały korytarz czujnym spojrzeniem i zniżając głos do głośnego szeptu. — Miałam spotkanie w Ministerstwie Obrony i Sprawiedliwości: obcinają budżet policji, *ponownie*. Jak ci biedacy mają utrzymać porządek i praworządność przy pomocy tego, co im pozostawiono,

to przerasta moją wyobraźnię. Zatem w ramach działań ograniczających potencjalnie szkodliwe konsekwencje tego posunięcia postanowiłam wystąpić z pewną inicjatywą! — Jej twarz promieniała.

Boże, tylko nie kolejna inicjatywa; wciąż jeszcze nie udało im się posprzątać skutków poprzedniej.

— Naprawdę? — Hunter starał się ze wszystkich sił, by jego głos brzmiał optymistycznie.

— Ostatnie, czego nam trzeba, to sytuacja, w której zwykli szeregowi policjanci nienawidzą Organizacji, dlatego że dostajemy więcej funduszy od nich. Potrzebujemy ich współpracy, kiedy ruszamy w teren. Szczególnie że będziemy teraz musieli ze sobą o wiele bliżej współdziałać. Dlatego też moja inicjatywa polega na tym — powiedziała — by zaangażować policję w nasze operacje. Ściągniemy tu kilku funkcjonariuszy średniego szczebla, by mogli pracować wspólnie z nami przy naszych śledztwach. Dzięki temu będą mieli pełną wiedzę o naszych działaniach, okażemy im, jak bardzo cenimy ich wkład, i zachęcimy ich do współpracy.

Will był zaskoczony: zwykle postrzegał dyrektor Smith-Hamilton jako piąte koło u wozu, ale od czasu do czasu zdarzało się jej pokazać, że nie została kierowniczką Organizacji za to, że ma sieczkę w głowie.

— Wiedziałam, że ci się to spodoba! — Ponownie palnęła go w ramię. — Poprosiłam już dowództwo, by przydzieliło każdego z tych policjantów do któregoś z naszych biur. Rozumiesz, żeby dzielił je z doświadczonym agentem, żeby otrząsał się z tajnikami naszej pracy i takie tam. — Zerknęła ukradkiem na numer wyświetlony na skórze swojego nadgarstka i cmoknęła.

— Oj, muszę lecieć. Pierwszy Minister mnie oczekuje, a sam wiesz, jaka z niego primadonna... — Obdarowała Willa jeszcze jednym uśmiechem i odmaszerowała korytarzem.

Hunter wytrząsnął ze swojego kubka ostatnie krople. Mogło pójść dużo gorzej. Grunt, że nie...

— Aha, Will. — Dyrektor Smith-Hamilton wychyliła głowę zza narożnika. — Póki pamiętam: przełożyłam zebranie wicedyrektorów sekcji z czwartej na trzecią. Ustaliłam, że przedstawiś swoją ocenę tej sprawy o wpuł do trzeciej, a poza tym wydaje mi się, że pierwsza łączniczka z policji już tu jest: inteligentna, młoda kobieta, na pewno daleko zajdzie. Więc gdybyś mógł do niej zajrzeć i zrobić jej szybkie wprowadzenie, byłoby super.

A potem zniknęła.

Hunter zmienił zdanie o sto osiemdziesiąt stopni — jednak *miała* w głowie samą sieczkę.

Wrócił do swojego biura, aktywując przekaźnik na szyi.

— Dowództwo, ta nowa, policyjna łączniczka dyrektorki, gdzie ją daliście? —

Im prędzej uwinie się z tym wprowadzeniem, tym szybciej będzie mógł zająć się prawdziwą pracą.

Po krótkiej pauzie rozległa się odpowiedź:

— *Jest w pokoju agenta specjalnego Alexandra, proszę pana. Czy mam ją przelączyć?*

— Nie, dzięki. — Rozłączył się i zjechał windą na czwarte piętro.

W malutkim pokoiku agenta Alexandra upchano dwa szare biurka, każde zwrócone w stronę przeciwległej ściany. Na jednym z nich kłębił się stos zdezelowanych spinaczy, z tacek na dokumenty wylewały się akta niezamkniętych śledztw i prowadzonych aktualnie spraw. Ścianę nad biurkiem zakrywały staroświeckie, dwuwymiarowe zdjęcia; na wielu z nich widniał Will wraz z właścicielem tego pokoju. Byli tam uwiecznieni podczas odwiedzin w restauracjach, na imprezach urodzinowych, w pubach i na różnych uroczystościach, gdzie pozowali fotografom jak dwa wypchane pingwiny, szczerząc się jak idioci. Zdjęcia pochodziły z czasów, kiedy obydwoj mieli jeszcze o wiele bujniejsze czupryny.

Nagła wiązanka przekleństw sprawiła, że Will skierował wzrok ku parze jaskrawozielonych spodni wystających spod drugiego biurka, podczas gdy stojący na nim komputer w tym właśnie momencie z szumem przeszedł w stan aktywności, by po chwili wydać z siebie dwukrotne piknięcie i ponownie się wyłączyć. Tym razem pełne frustracji, niecenzuralne okrzyki wskazywały, że zaraz dojdzie tu do aktów przemocy. Will był tak zbity z tropu, że prawie bał się zadać pytanie.

— Czy mogę jakoś pomóc?

Pani Zielone Wdzianko, policjantka z kibla w Sherman House, wychyliła głowę i wskazała na kłębowisko kabli.

— Podaj mi ten czerwony... Nie, nie ten. Tamten z wielkim prostokątem na końcu.

Uśmiechnęła się przelotnie, ale mina prędko jej zrzędła, kiedy zobaczyła, że nie będzie chyba w stanie wepchnąć prostokąta tam, gdzie trzeba.

Will milczał, nie przeszkadzając jej w energicznych próbach przepchnięcia wielkiej, prostokątnej wtyczki przez mały, okrągły otwór w plastikowym przepierzeniu. Rozległ się odgłos uderzenia. A po nim okrzyk:

— Nosz kurwa mać! — Kobieta wypełzła spod biurka, trzymając przy ustach obolałe knykcie.

— Chcesz przyłożyć trochę lodu?

— Tylko jeżeli do lodu dołączysz jeszcze dżin. — Usiadła na podłodze i spoglądała z gniewnym grymasem na wykwitające na skórze drobne kropelki krwi.

Will przykucnął i zajrzał pod biurko, przyglądając się tej nieszczęsnej, prostokątnej wtyczce. Dziura, w której miała się zmieścić, była od niej ponad dwukrotnie mniejsza.

— Co jest po drugiej stronie ściany?

— Nie mam pojęcia. Chcesz, żebym zajrzała?

Hunter pokiwał głową i kobieta pomaszerowała do sąsiedniego pokoju.

— Widzisz coś?

Jej głos odbił się echem na korytarzu.

— Tylko jakąś bezużyteczną roślinę doniczkową. Puszka instalacyjna jest gdzieś niżej.

— Dobrze. Przesuń roślinę. — Brian zawsze trzymał w biurku zapasowy pistolet plazmowy. Will poświęcił piętnaście sekund na obejście zabezpieczenia, a potem zaczął przetrząsać wypełnione różnymi śmieciami szuflady. Brian był całkiem dobrym agentem, ale miał paskudny nawyk zmieniania każdego swojego stanowiska pracy w chlew.

Udało mu się w końcu znaleźć pistolet, wyglądający jak wibrator ze stali nierdzewnej, pod stertą zużytych plastikowych przedmiotów. Przy odrobinie farta powinien mieć jeszcze w akumulatorze odrobinę energii. Przekręcił obydwie połówki cylindrycznej obudowy, aż rozległo się kliknięcie i z urządzenia wysunęły się elektrody.

— Odejdź od ściany. — Wycelował broń w kierunku tego niewydarzonego, okrągłego otworu i pociągnął za spust. Pistolet warknął i jednocześnie fragment ściany o wielkości pięści zmienił się w chmurę pyłu. W drugim pomieszczeniu rozległ się pisk.

Przez dziurę zobaczył głowę policjantki, gapiącej się na niego z wyrazem oszołomienia na twarzy.

— Nie uważasz, że to lekka przesada?

— Uznajmy to za przejaw niestandardowego myślenia. — Chwycił prostokątną wtyczkę i przerzucił ją do drugiego pokoju.

Kobieta złapała łącze, zanim upadło na dywan, i wybuchnęła śmiechem.

— Masz nie po kolei w głowie, prawda?

— Słuchaj, źle zaczęliśmy dzisiaj rano. Może spróbujemy jeszcze raz? — Wsunął rękę przez dziurę, wyciągając ją w kierunku policjantki. — William Hunter.

— Jo Cameron, sierżant z wydziału dochodzeniowego. — Miała mocny, ale serdeczny uścisk dłoni. Dobrze było trafić na pracującą w tym fachu kobietę, która nie miała potrzeby udowadniania czegokolwiek przez łamanie człowiekowi wszystkich kości ręki. — A więc to z tobą mam dzielić ten

pokój?

— Niezupełnie. — Wyprostował się, czekając, aż policjantka wróci do jego ciasnego pomieszczenia.

— Ach... rozumiem. — Wskazała na przymocowaną do drzwi tabliczkę „AGENT SPECJALNY BRIAN ALEXANDER”. — To nie twoje biuro, ale ściany są wytapetowane twoimi zdjęciami. O co chodzi, jesteście kochankami czy co?

— Nie, jestem jego szefem. Wicedyrektorem sekcji.

— Och... — Uniosła brwi.

— Brian i ja razem robiliśmy karierę w Organizacji. — Nie była to do końca prawda; *on* rzeczywiście *zrobił* karierę, Brian utknął na stanowisku agenta specjalnego.

— Nic was dwóch nie łączy?

— Myślę, że mąż Briana mógłby mieć coś przeciwko. — Will oparł się o zagracone biurko. — Dlaczego to na ciebie zwalili tę fuchę łączniczki?

— Czternaście dni temu wywiesili plakaty informacyjne. Pomyślałam, że to dobry pomysł. Zgłosiłam się.

— Wiesz o tym od *dwóch tygodni*?

— Tak. Czemu pytasz?

Will przymknął oczy, a przez jego umysł przemknęła krótka fantazja, w której była dyrektor Smith-Hamilton, dwumetrowy rożen, ognisko i sos do grilla.

— Bez powodu. — Zmusił się do uśmiechu. — To co? Bierzemy się do wprowadzenia, sierżant Cameron?

— Jeśli jest pan wicedyrektorem, to musi się pan zwracać do mnie Jo.

— Pan? — Nie tego się spodziewał po porannym starciu.

— To, że jestem policjantką, nie oznacza, że nie mogę stosować się do hierarchii służbowej. A poza tym — wzruszyła ramionami — być może któregoś dnia sama zechcę dołączyć do Organizacji.

* * *

Obeszli cały budynek, od samej góry aż po parter. Odwiedzili zlokalizowane na dachu lądowiska dla śmigłowców; przespacerowali się po korytarzach na siódmym piętrze, gdzie znajdowały się pokoje szefostwa; zajrzeli do innych wicedyrektorów sekcji na szóstym piętrze; przewinęli się przez piąte, czwarte i trzecie piętro, gdzie rezydowali agenci specjali; rzucili okiem na biura kadry niższego szczebla i stażystów umiejscowione na drugim i pierwszym piętrze; nie pominęli też położonej na parterze dyspozytorni;

pogapili się na słynne obrazy wystawione w hallu, odbyli przechadzkę po departamencie prawnym, sali odpraw i strefach operacyjnych na poziomie minus jeden; zignorowali kantinę i strefę rekonstrukcyjną VR^[1]; koniec końców zawędrowali na najniższy poziom budynku. Do kostnicy.

Willowi dość szybko spodobała się rola przewodnika. Sierżant Cameron była sympatyczna i pojętna, nie miała też oporów przed przyłączeniem się do niego, kiedy nabijał się z turystów szwendających się po parterze.

— Niczego sobie gmach — stwierdziła. — Bije na głowę tę rozklekotaną, wiktoriańską ruinę, w której pracuję.

— Centralny posterunek?

— Taak. Za jakie grzechy... To i sporadyczne wypadki na plac Potworności, żeby skontrolować tamtejsze termity.

— Termity? — Zatrzymał się z ręką na klamce drzwi do kostnicy. — To przecież nie robactwo, tylko ludzie.

Uniosła podbródek.

— Nigdy nie brał pan udziału w strzelaninie na tym zadupiu, OK? Więc niech mnie pan nie poucza.

— Zamieszki wirtualne. Sherman House. Byliśmy tam trzy dni po ukończeniu Akademii.

— Och... — zaczerwieniła się.

— Odmawianie im człowieczeństwa nic nie pomoże, Jo. Możesz mi wierzyć.

— Popchnął oszklone drzwi o podwójnej, barwionej szybie, otwierając drogę do recepcji prosektorium. Wkroczyli na lśniącą, marmurową podłogę, a ładny blondyn w obcisłym, niewiele skrywającym wdzianku z błyszczącej, sztucznej skóry podniósł głowę znad terminala i uśmiechnął się w ich kierunku.

— Wicedyrektor Hunter! — Recepcjonista zerwał się zza biurka, otwierając ramiona, jakby w oczekiwaniu na uścisk. — Jakże *miło* ponownie pana widzieć.

— Dzień dobry, Duncan. — Will obrócił się, by przedstawić sierżant Cameron, ale zamarł, kiedy zobaczył wyraz jej twarzy: drżące policzki i błyszczące oczy. Nieznacznie pociągała nosem. — Czy George jest u siebie?

Błyszczący młody człowiek skinął głową.

— Wychodził wcześniej, ale już wrócił. Czy mam go zawołać? Poprosić, żeby przyszedł się z panem spotkać?

— Nie trzeba, damy sobie radę. — Nie było mowy, by Will został tu z sierżant Cameron dłużej, niż to było absolutnie konieczne. Szczególnie biorąc pod uwagę, że policjantka z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

— Jezu, *widział* pan, co on na siebie włożył? — zapytała, kiedy już zasunęły się za nimi drzwi do kostnicy. — Nie widziałam takich świecących ciuchów od czasu, kiedy robiłam w obyczajówce!

Biorąc pod uwagę jadownicie zielone dziadostwo, które na sobie miała, była ostatnią osobą uprawnioną do krytyki.

Will poprowadził ją długim, antyseptycznym korytarzem ku drzwiom z napisem „PRZECHOWYWANIE i BADANIA”. Ktoś przykleił pod spodem obrazek, na którym widnieli garbus i szalony naukowiec na plaży, grający mózgiem w siatkówkę. Przy siatce siedział Frankenstein, a czubek jego głowy otwierał się jak kosz na śmieci z pokrywą uchylaną przez naciśnięcie dźwigni stopą. Na dole był napis: „IGOR MA WOLNE”. A w razie gdyby aluzja okazała się dla kogoś zbyt subtelna, słowo „IGOR” zostało przekreślone i zastąpione słowem „GEORGE”. Autorowi obrazka zaskakująco dobrze udało się uchwyścić podobieństwo.

Patolog siedział na jednym z bloków sekcyjnych, popijając z kubka coś wypełniającego to zimne, okrągłe pomieszczenie słodkim, cytrynowo-miętowym zapachem. Na stojącym obok wózku z nierdzewnej stali leżał jego lunch, w momencie kiedy ruszyli w jego kierunku, George wpakował właśnie do ust plaster dietetycznego mięsa i zaczął wydawać z siebie odgłosy intensywnego przeżuwania.

— Miał być łabędź teriyaki — powiedział, a jego głos odbił się echem od metalowych ścian pomieszczenia — ale smakuje raczej jak stare skarpety. — Wciągnął kolejny plaster. — Kogo tu ze sobą prowadzisz?

— George, to sierżant Jo Cameron z wydziału dochodzeniowego. Przez jakiś czas będzie z nami pracować, pomoże nam połączyć siły z policją i skoordynować współpracę Organizacji i komendy miejskiej przy śledztwach.

— Istne zielone zjawisko... — Pucółowata twarz patologa rozciągnęła się w uśmiechu, przez co jego policzki nadęły się jak balony, a oczy skurczyły w maleńkie, pomarszczone szparki. Wyglądał jak kurdupłowaty Budda na wakacjach. Wyciągnął rękę i ujął podawaną przez Jo do uścisku dłoń, przekręcając ją w ostatnim momencie, by złożyć na niej cmoknięcie. — Co taka cudowna osoba robi tutaj z panem Marudą? — Wyszczrzył zęby, najwyraźniej nie mając zamiaru puścić jej ręki.

Po twarzy sierżant Cameron przemknął wyraz niezdecydowania i Willowi zaświtała paskudna myśl, że policjantka zaraz przyłoży George'owi tak solidnie, że wypadną mu wszystkie zęby. Ale nic takiego się nie wydarzyło. Zamiast tego dygnęła elegancko i zatrzepotała rzęsami.

— No wiesz... — obdarzyła patologa swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem. — Czy w innym przypadku miałabym okazję poznać tak przystojnego mężczyznę jak ty?

George zachichotał i oblał się rumieńcem.

— Skończyliście już? — Will podszedł do terminala i wyświetlił plik dotyczący zmasakrowanych zwłok przywiezionych tego poranka z Sherman House. Światła przygasły i włączył się stary projektor hologramów: w powietrzu z trzaskiem zamajaczyły trójwymiarowe zdjęcia szczątków ofiary, podczas gdy długie, mechaniczne ramię taśmociągu obsługującego prosektorium sięgnęło po odpowiedni pojemnik z ciałem, wyjmując go z jednej z wnęk wypełniających ściany.

Jeden ze bloków sekcyjnych oderwał się ze szczękiem z podłogi, a ramię maszyny złożyło na nim metalową tubę, po czym cofnęło się z powrotem ku sufitowi, podczas gdy George, przyczłapawszy na miejsce, rozpiął poszczególne zaczepy. Rozległ się słaby odgłos dekompresji i pojemnik otworzył się na oścież, ukazując kolekcję bladożółtych szczątków, starannie ometkowanych i skategoryzowanych.

George zapomniał położyć ciemieniową część czaszki tam, gdzie się powinna znajdować, przez co paskudnie się prezentujące wnętrze głowy ofiary było całkiem odsłonięte.

— Ups. — Patolog wstawił owłosione denko z powrotem na miejsce i przymocował je za pomocą strzykawki z dermoklejem. — Panie i panowie, przedstawiam wam pana Allana Browna.

— Już go zidentyfikowałeś? — Will był pod wrażeniem. — Jak ci się to, do diabła, udało?

— Ach. — George chwycił się za nos, jego twarz zmarszczyła się w nagłym skurczu i rozległo się wybuchowe kichnięcie. Następnie wysmarkał się w swoją upapraną chusteczkę. — Pan Brown brał udział w programie PsychTech. A oni zachowują wszystkie dane: uzębienie, siatkówka, DNA... mają wszystko, czego zapragniesz.

PsychTech. Jezu, już samo to słowo sprawiało, że Will poczuł dławienie w gardle. Przełknął ślinę, ze zdziwieniem stwierdzając, że nagle zrobiło się mu gorąco.

Mały patolog zamachał ręką w stronę hologramu. Nic się nie wydarzyło, powtórzył to więc jeszcze dwukrotnie, zaklął, po czym przyskoczył do konsoli, wymierzył jej kopniaka i wcisnął kilka klawiszy. Tuż obok bloku sekcyjnego zamajaczyła postać nagiego dziecka, pojawiająca się i niknąca wśród trzasków zakłóceń. Niewielki, błękitny napis, unoszący się obok głowy dziecka, głosił: „ALLAN BROWN, LAT 5”. Obraz zatrzepotał, dziecko coraz bardziej rosło, kontur hologramu poszerzał się wraz z każdym kolejnym skanem. Ostatni slajd pokazywał Browna w wieku osiemnastu lat, na sześć lat przed tym, jak ktoś udekorował śmierdzący kibel jego wnętrznościami. Przeciętny, młody człowiek, którego czekały tylko ból i śmierć.

George wyciągnął z pojemnika przezroczysty, plastikowy worek. W środku

znajdowała się duża, żelatynowo-szara, rozpoznawalna na pierwszy rzut oka gruda materii, zanurzona w żółtym płynie.

— Nie spodoba wam się, co wyciągnąłem z jego mózgu.

Will zmusił się do uśmiechu.

— Na pewno nic gorszego niż z jego żołądka.

— Zdziwisz się. — Ponownie pomachał dłonią w stronę wyświetlacza, tym razem z należytym skutkiem: w powietrzu pojawił się duży schemat mózgu ofiary, w jaskrawozielonym kolorze. W słabym świetle kostnicy jarzyły się w nim żółte i czerwone pasma. — Widzicie?

Will zmarszczył brwi, próbując zrozumieć, na jakiej zasadzie poszczególne kolory odwzorowują neurochemiczne procesy. W całej swojej karierze nauczył się rozpoznawać dwa wzorce: jeden z nich stanowił znak rozpoznawczy seryjnych morderców; drugi był znacznie bardziej niebezpieczny. W tej chwili spoglądał na kombinację obydwu tych wzorców.

— Masz rację. Nie podoba mi się to.

— To nie wszystko. — George wyciągnął z kieszeni tablet i błyskawicznie wstukał w niego długi ciąg numerów. Obok Allana Browna zamajaczyła kolejna postać. Ten człowiek wyglądał jednak jak układanka, w której połowa kawałków gdzieś się zapodziała. — Pan Kevin McEwan przyjechał do nas przedwczoraj. Po całym jego mieszkaniu walały się kawałki jego rodziny. Żony i dwójki dzieci.

Rozbłysnął drugi hologram mózgu, przekształcając się powoli w przekrój poprzeczny. Brakowało w nim dużych fragmentów — zniknęła większość tylnej strony, gdzie powinien znajdować się pień mózgu — a brzegi narządu były poszarpane i postrzępione.

— W tym przypadku mamy do czynienia z innym poziomem aktywności płatów przedczołowych, ale reszta jest identyczna.

Sierżant Cameron gapiała się na zawieszony w powietrzu mózgi.

— Nie kapuję... Na co właściwie patrzymy?

Will wskazał na mózg po prawej.

— To koleś, którego zeskrobywaliśmy dziś rano z podłogi w Sherman House. Widzisz te żółte pręgi? To z powodu braku serotoniny i glukozy. W efekcie następuje zanik aktywności płatów przedczołowych. Kiedy do tego dojdzie, to mamy człowieka, któremu niezwykle trudno kontrolować własne najbardziej prymitywne popędy. Z reguły nawet nie próbuje. To klasyczna oznaka zdezorganizowanego seryjnego mordercy.

Pokiwała głową.

— Czyli może tu chodzić o zemstę w przypadku naszej ofiary...

— To pokazuje coś jeszcze.

— Co?

Patolog ponownie sięgnął po chusteczkę.

— Pamiętasz VR?

— Chyba żartujesz!

George wydmuchał nos i westchnął. — Niestety nie. Te skany mózgu są niemal identyczne. Zacząłem się rozglądać za powiązaniem, jak tylko udało mi się zidentyfikować tego sztywnego, którego mi tu podrzuciliście. Obydwaj są z Sherman House. Mieszkali dwoje drzwi od siebie.

O kurwa... To *niedobrze*. To bardzo niedobrze.

Will wpatrywał się przez chwilę w sufit. Wziął głęboki oddech. Zaklął.

— Będziemy musieli tam wrócić, co?

Sierżant Cameron naskoczyła na niego:

— Jacy „my”? To *moje* śledztwo. Wy byliście tam tylko jako grupa wsparcia technicznego. Tyle pan pieprzył o współpracy, a kradnie mi sprawę przy pierwszej nadarzającej się okazji!

— Nie mam wyboru, OK? Will przetarł dłonią oczy. — Jeśli to naprawdę atak syndromu VR, to sprawa leży w gestii Organizacji. Kurwa... — Kopnął najbliższy stojący sprzęt. Nie poczuł się od tego ani odrobinę lepiej. Czuł, jakby w żołądku rozpełzło mu się stado węży. — Zbierajcie się, sierżant Cameron, jedziemy na wycieczkę.

[1] Ang. *virtual reality* — rzeczywistość wirtualna — *przyp. tłum.*

4

Leniwe, złociste chmury, przesuwały się powoli na zachód wysoko ponad ulicami. W nieruchomym powietrzu wisiały dwie Szorowaczki: potężne góry zardzewiałego metalu, czerpiące wodę ze swoich agregatów filtracyjnych wielkości basenu olimpijskiego i spryskujące położone poniżej budynki mgiełką wilgoci, która parowała od razu po zetknięciu z gorącym betonem. Przyczepione do ich burt billboardy reklamowe telepały się na wszystkie strony, wyświetlanym na nich obrazom brakowało synchronizacji; były niedopasowane i rozmazane. Po co ktoś miałby je naprawiać? Nikt już nie spoglądał do góry.

Gdyby ktoś jednak to uczynił, zauważyłby Ważkę Organizacji wymijającą zgrabnie te rozregulowane wyświetlacze i pędzącą w stronę południowej części miasta. Pół mili dalej zniżyła lot do poziomu ulicy i przechyliła się na prawo, dając nura między potężne gmachy blokowiska.

A tam, wprost naprzeciw, czekał plac Potworności.

Will obserwował, jak miejsce rośnie na jego monitorze. Spokój. Zachować spokój. Wdech nosem, wydech ustami, wdech nosem, wydech ustami. Nie ma się czym przejmować. Wszystko będzie dobrze. Przecież rano poszło im bardzo dobrze, prawda? Wdech nosem, wydech ustami.

Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

W sąsiedniej przegrodzie sierżant Jo Cameron wisiała w swojej uprząży, majstrując przy wypożyczonym ze zbrojowni miotaczu. Gwizdała sobie jakąś wesołą i optymistyczną melodię, którą Will był niemal w stanie rozpoznać mimo ryku silników. Nie wyglądała na zmartwioną powrotem do Sherman House, ale przecież nie było jej tu jedenaście lat wcześniej. Była na to zbyt młoda. Miała szczęście.

Will odłączył swój blaster od stojaka-ładowarki i po raz chyba dwudziesty sprawdził akumulator: wciąż był maksymalnie naładowany.

Wdech nosem, wydech ustami.

— *Dobra, słuchajcie, wycieczkowicze. — Ton głosu porucznik Brand był rzeczowy i opryskliwy. — Miejscowi mieli tu już w tym tygodniu dwie wizyty z Organizacji, istnieje ryzyko, że zaczną ich nosić. Także zbierzcie się do kupy! Nie chcę, żeby zrobił się z tego kolejny odcinek programu o rodzajach ran postrzałowych. Jasne?*

Szturmowiec w przegrodzie naprzeciwko przeżegnał się, wykrzykując jednocześnie razem z kolegami:

— Tak jest, pani porucznik!

— *To dobrze. Szacowany czas przylotu: czterdzieści pięć sekund. Zapnijcie pasy, ludzie. Szykuje się szybkie lądowanie.*

W tym momencie Ważka poderwała się gwałtownie, stając prawie do pionu, by wspiąć się wzdłuż boku Sherman House. Jo pisnęła i roześmiała się; Will zamknął oczy i starał się nie zwymiotować. Gdy śmigłowiec przysiadł wreszcie na dachu budynku, Hunter puścił kurczowo ściskane podpórki i rozpiął swoją uprząż, obserwując nagły rozgardiasz w sąsiednich przegrodach.

— *Pierwsza drużyna. JAZDA!*

Tylna rampa otwarła się na oścież, ukazując ich oczom zapuszczoną powierzchnię dachu. Tuż po oddaniu tych blokowisk do użytku cały ten obszar pokrywały bujne, tętniące życiem ogrody, otaczające centralny dziedziniec. Wiły się tutaj dróżki, idealne do romantycznych spacerów, przygotowano tereny do piknikowania, a na sportowców czekały obiekty treningowe. Teraz rozciągała się tutaj dzika dżungla, w której co jakiś czas czerniały kręgi po pozostawionych bez opieki ogniskach. W każdym rogu zalegały zwały śmieci przypominające brudny, zbrylony śnieg, a gdzieś tam dało się dostrzec zdezelowane ruiny budynków komunalnych wyzierające zza splątanych rododendronów i wyschniętego, brunatnego bluszczu. Ich ściany kruszyły się i nosiły ślady wandalizmu.

Pierwsza drużyna wyskoczyła prosto w te zarośla, szukając wejścia na niższe piętra.

Skulony w bezpiecznej przegrodzie Will spoglądał na inne bloki, zajmujące pozostałe trzy rogi placu Potworności. W tych ogromnych, szkaradnych budynkach upchano dwieście czterdzieści tysięcy ludzi. Bez pracy, bez nadziei, bez przyszłości.

Nic dziwnego, że wszystkim odbiło.

Z wysokości sześćdziesięciu pięter ponad spieczonymi ulicami Glasgow bloki te wydawały się rozległym betonowym nowotworem. Rozciągały się w każdym kierunku, dalej niż można było sięgnąć wzrokiem, szare i brudnobrunatne, parujące potem w wieczornym żarze. Nie ma to jak w domu.

W uchu Willa odezwał się głos, na którego dźwięk aż się poderwał:

— *Wejście zabezpieczone.*

Z wnętrza Ważki wypadła druga drużyna, zajmując pozycje. Za nimi wygramolili się Beaton i Stein, ciągnąc za sobą przez zarośla masywny sprzęt do skanowania. Poobijany i powgniatany pojemnik toczył się za nimi na małych kółkach, które szybko pooblepiała żółta trawa. Oboje przeklinali, na czym świat stoi. Co dziwne, zasób przekleństw, jakim dysponowali, nawet

w połowie nie dorównywał rozległością ani wyobraźnią repertuarowi sierżant Jo Cameron.

Will po raz ostatni sprawdził akumulator blastera, a potem wyszedł prosto w popołudniowy upał. Wdech nosem, wydech ustami... Wszystko pachniało kurzem i suchą ziemią.

Przesunął wzrokiem po lądowisku, dostrzegając w końcu sierżant Cameron, kręcącą się przy krawędzi budynku. Zarzuciła swój miotacz nonszalancko na ramię — jak jakąś długą, śmiertelnie groźną torebkę — podczas gdy ręce trzymała w kieszeniach, a na jej twarzy malował się uśmiech.

Will potrząsnął głową i dołączył do grupy zwiadowczej.

Udało im się znaleźć jedno z niewielkich wejść do szybów windy; mały pleksiglasowy bunkier przycupnięty na dachu budynku. Przezroczyste szyby był kompletnie porysowane i pomazane wyblakłym graffiti, w narożnikach szkło akrylowe było wzdęte i poczerniałe po tym, jak ktoś próbował to miejsce spalić. Ruchome schody dawno zniknęły, odsłaniając zjeżdżający w dół tunel, który niknął w czeluściach gmachu.

Will zajrzał w głąb dziury.

— Czy to nasza jedyna opcja, sierżancie?

Nairn skinął głową.

— Tak jest. Jeśli chcemy ominąć główne wejścia, to albo pójdziemy tędy, albo zjeżdżamy na linach po fasadzie.

Hunter powstrzymał drżenie ciała — nie było mowy, żeby kiedykolwiek ponownie zeskoczył z krawędzi Sherman House podczepiony do liny.

Nairn wydał rozkazy szeregowej Dickson i szeregowemu Wrightowi, którzy zbiegli po rampie, pogrążając się w ciemności. Sierżant odliczył do dziesięciu, po czym zamachał do grupy wsparcia technicznego.

— Beaton, Stein, idziecie następni. Tylko tym razem bez żadnego hałasu! Nie chcę, żeby każdy tutejszy, gównu warty szajbus z marginesu wykorzystywał potem wasz cholerny sprzęt skanujący jako urządzenie samonamierzające.

— Jak to „nasz sprzęt skanujący”? Stein palnął w poobijany pojemnik. — To, że wcisnęliśmy nam to gówno cztery razy z rzędu, nie znaczy, że wiążemy z nim swoją karierę!

— Zamknij gębę! Będziecie tachać to dziadostwo po całym mieście i to z uśmiechem. Albo własnoręcznie powpycham wam łby do tyłków! — Szeregowy Stein nie zrewanżował się żadną ripostą, tylko podniósł swój koniec pojemnika ze skanerem i wpakował się do tunelu. Nairn pokiwał głową. — Tak lepiej. Rhodes, Floyd, zabezpieczacie tyły.

Will ruszył ostrożnie przed siebie, schodząc po śliskiej rampie. Dwa metry

poniżej wejścia droga skręcała o sto osiemdziesiąt stopni, owijając się wokół jednego z filarów. Pokonując ten zakręt, Will poczuł ucisk w żołądku. Kible z niższego poziomu były wystarczająco stresujące. Ale to... To było... Jezu.

Numer z kontrolowaniem oddechu przestał pomagać.

Idiota. Przecież to tylko budynek. Nie ma się czym przejmować.

Więc dlaczego nogi odmawiały mu posłuszeństwa?

Wnętrze Sherman House nie zmieniło się zbyt wiele przez ostatnie jedenaście lat: obskurne korytarze wciśnięte między ciche, zdezelowane mieszkania. Wszystkie potworności zamknięte i trzymane w tajemnicy. Przynajmniej tym razem dywany nie będą lepkie od krwi.

Wzdłuż przejścia ciągnął się szereg brudnych, plastikowych sfer, jarzących się bladą, mdłą poświatą, która nie tyle oświetlała teren, ile wyolbrzymiała cienie. W mroku kryło się więcej graffiti, szpecącego beżowe ściany jak tani tatuaż. Ludzie próbujący zostawić po sobie jakiś ślad w świecie, który już o nich zapomniał.

Will zadrżał, czując, jak ktoś stuka go w ramię.

— Bez urazy, proszę pana — powiedział sierżant Nairn — ale może byśmy ruszyli dalej? Nie miałbym nic przeciwko, żeby zmyć się stąd, zanim miejscowi dostaną małego rozumu.

— Dobra. Przepraszam... — Will odchrząknął. — Słuszna uwaga.

Zmusił się do dalszego marszu, podążając zepsutym szybem windy w ślad za sierżantem Cameronem, zagłębiając się do wnętrza budynku.

— Wie pan co — powiedziała, kiedy mijali pięćdziesiąte pierwsze piętro — wydaje się pan trochę spięty.

— Serio? — Will skrzywił się w ciemności. Śmierdziało tu pleśnią, stęchlizną i czymś chorobliwie słodkim, przywodzącym na myśl kwiaty, choć zapach ten nie był w stanie zagłuszyć unoszącej się w tle kwaśnej woni wilgotnego dywanu.

— Tak, od kiedy George pokazał panu te skany mózgów, wygląda pan, jakby trzymał granat między pódupkami. Byłam w Sherman House dziesiątki razy i nie jest tu już tak źle, jak się panu wydaje. Naprawdę.

Will pokonał następny zakręt, który zaprowadził go w kolejny, identyczny korytarz.

— Skupmy się może na naszej robocie, co?

— Jeśli nie chce pan o tym rozmawiać, proszę po prostu powiedzieć.

— Nie chcę o tym rozmawiać.

Wzruszyła ramionami.

— Jak pan woli.

Droga na czterdzieste siódme piętro zdawała się trwać całą wieczność.

Od chwili, kiedy wylądowali na dachu, Will nie zobaczył ani żywego ducha. W Sherman House mieszkało niemal sześćdziesiąt tysięcy ludzi, a nie zdołali dostrzec żadnego śladu ich obecności. Jakby to miejsce nie było wystarczająco upiorne.

Sierżant Cameron zeszła z windowej rampy, rozejrzała się po zapuszczonym korytarzu i podsumowała całą tę ludzką nędzę i niedolę w trzech słowach:

— Czujecie kocie szczyzny?

Stein i Beaton ciągnęli swój skaner po wytartym dywanie, wśród przekleństw zmierzając w stronę ostatniego znanego adresu śp. Allana Browna. Will potrafił dostrzec, że w mroku za nimi jarzą się blade kontrolki blastera; to musiał być szeregowy Wright, tylna straż grupy. Na drugim końcu korytarza majaczyła się złowroga sylwetka szeregowej Dickson, idącej ze swoim miotaczem na czele ekipy. Gdyby ktokolwiek zechciał sprawiać im problemy, skończyłyby z poważnymi ubytkami w anatomii.

Z zewnątrz mieszkanie 47-126 nie wyróżniało się zupełnie niczym; po prostu kolejne, odrapane, brunatne drzwi, takie same jak wszystkie pozostałe w tym długim korytarzu. Nairn rozstawił Floyda i Rhodesa po przeciwnych stronach przejścia, z bronią wycelowaną w drzwi mieszkania na wysokości klatki piersiowej. Sierżant sięgnął do ust, wyjął kawałek gumy do żucia i utoczył z niej klejącą kulkę, którą wepchnął następnie we wziernik. Przywarł do ściany tuż obok framugi, skinął głową do swoich ludzi, a potem wyciągnął rękę i zapukał...

Brak odpowiedzi.

Nairn dał sygnał Rhodesowi.

Szturmowiec wcisnął guzik na podłużnym panelu przymocowanym do lufy miotacza i zerknął w celownik. Podniósł głowę i zmarszczył brwi. Huknął w panel dwukrotnie otwartą dłonią. Potem ponownie spojrzął w celownik, poruszając bronią do przodu i do tyłu.

— Brak oznak ruchu.

Nairn odwrócił się w stronę Willa.

— Mamy użyć siły?

Hunter miał właśnie potwierdzić, kiedy sierżant Cameron podeszła do drzwi i przykucnęła przed klawiaturą domofonu wbudowaną w ścianę obok framugi. Podważyła pokrywę urządzenia scyzorykiem, wyciągnęła ze swojej asymetrycznej fryzury kawałek zagiętego drutu i wraziła go prosto między obwody. Zaczęła nim kręcić, a wyświetlacz aparatu rozbłysnął ostrzegawczo czerwonym światłem. Po dziesięciu sekundach rozległo się ciche buczenie, a

światło zmieniło kolor na zielony, równie intensywny, co jej strój.

— Sezamie, otwórz się. — Popchnęła drzwi, które otwały się na cichych, plastikowych zawiasach, odsłaniając mały, ciemny przedpokój.

Will wlepił w nią wzrok.

— Nie wierzę, że to zrobiłaś. Spinką?

— No cóż. — Wstała i wpięła swój improwizowany wytrych z powrotem na jego miejsce nad lewym uchem. — Podziwiającie cuda techniki.

— Nie do wiary... — Hunter wkroczył do maleńkiego przedpokoju i otworzył drzwi położonego naprzeciw wejścia pomieszczenia, by stanąć oko w oko z koszmarem.

Dookoła rozszedł się gorący zaduch, niosąc ze sobą odór gnijących odpadków. Jakby ktoś zostawił na słońcu worek na śmieci. Okna były zakryte szerokimi pasami czarnej folii. Pomiędzy pozostawione szpary wciskało się światło, malując ciasną przestrzeń w jasne, pionowe pręgi. Jedną ze ścian zajmował kolaż z drobnych świstków papieru gęsto zagryzmołonych ręcznym pismem, wszystkie były zlepione w jedną całość, by utworzyć sylwetkę anioła naturalnych rozmiarów. Tyle że ten anioł nie trzymał w ręku harfy, tylko miecz. Wielki, czerwony miecz, ociekający krwią. Ale to było nic w porównaniu z tym, co znajdowało się na środku pokoju.

Papierowy anioł pilnował stosu ściętych głów. A konkretnie ściętych głów ubezwłasnowłownionych.

— O Boże. — Jo Cameron wytrzeszczyła oczy na makabryczną stertę. — A więc to *tutaj* wszyscy trafili! — Było tam przynajmniej piętnaście głów, zapewne więczej, starannie ułożonych w piramidę.

Will wygrzebał z kieszeni czytnik i wcisnął go jej do ręki.

— Szczytaj ich kody kreskowe.

Zagryzając wargi, wyciągnęła aparat przed siebie i przejechała nim nad najbliższą leżącą głową. Czytnik zapikał z dezaprobatą. Sierżant Cameron spojrzała na wyświetlacz i skrzywiła się.

— Brak odczytu. To pewnie przez zmarszczki: wszystkie głowy wyglądają na prawie zmumifikowane... — Jo założyła szybko parę cienkich, niebieskich, plastikowych rękawiczek i spróbowała wygładzić skórę na czole. Następnie ponownie przejechała czytnikiem. Piknięcie.

— No, dalej, gnojku...

Will zostawił szczytywanie kodów w jej rękach, a sam zabrał się za przeszukiwanie pozostałej części zapuszczonego lokalu. Z każdego kąta wylewała się rzeka odpadków, zakrywających całą podłogę. Kuchnię porastała zielona, włochata pleśń. Hunter otworzył drzwi lodówki, stłumił odruch wymiotny, po czym zatrzasnął je, wciąż czując niedający się pomylić

z niczym innym ohydnie kwaśny smród gnijącego mięsa. Wstrzymując oddech, spróbował ponownie, zatykając nos dłonią. W środku oprócz wzdętego kartonu z mlekiem i czarnych, przesiąkniętych gnijącą mazią warzyw znajdowały się grubo krojone kawałki bladego mięsa, pokrytego tłustą skórą. Mięso miało paskudny, szarozielonkawy kolor z plamkami czarnej pleśni.

Światło w lodówce nie działało. Prawdopodobnie nie było zasilania, co tłumaczyło zapach.

Will zamknął drzwiczki i szybko wyniósł się do sypialni, by tam ponownie zaczerpnąć powietrza.

Sypialnia była ciasnym, ciemnym pokoikiem, zagraconym śmieciami. Ścianę nad łóżkiem zajmował kolejny, wysoki na dwa metry kolaż w kształcie anioła, ledwie dający się dostrzec w mroku. Pan Brown spisał się znacznie lepiej przy zaklejeniu taśmą maleńkiego okna tego pomieszczenia. Will podkręcił laserowy celownik swojego blastera na maksimum, pogrążając całą sypialnię w niesamowitej zielonej poświacie. Niknęły w niej wszystkie kolory, przez co cały pokój wyglądał jak czarno-biała scenografia z na wpół widocznymi stertami odpadków.

Hunter zrobił krok naprzód i poczuł, jak coś zachręściło pod jego stopą. Zamarł. Żeby tylko nie było tam tego, o czym pomyślał... Ostrożnie opuścił lufę blastera, oświetlając walające mu się u stóp odpadki.

Szmaragdowy blask zamigotał na tuzinie zgniecionych, plastikowych tubek. Były to tylko puste pojemniki po zupkach HotNoodle. Ich biodegradowalne tworzywo zaśmiecało całą podłogę jak zwierzęce kości o zabawnych kształtach.

Przeszedł po tym dywanie z odpadków, by przyjrzeć się aniołowi i jego zakrwawionemu mieczowi.

Na każdym z tworzących kolaż świstków papieru widniał ten sam, naniesiony ręcznym pismem cytat:

A inny anioł, trzeci, przyszedł w ślad za nimi, mówiąc donośnym głosem: «Jeśli kto wielbi Bestię, i obraz jej, i bierze sobie jej znamię na czoło lub rękę, ten również będzie pić wino zapalczywości Boga przygotowane, nierozcieńczone, w kielichu Jego gniewu; i będzie katowany ogniem i siarką wobec świętych aniołów i wobec Baranka.

A dym ich katuszy na wieki wieków się wznosi i nie mają spoczynku we dnie i w nocy czciciele Bestii i jej obrazu, i ten, kto bierze znamię jej imienia»^[2].

To wiele wyjaśniało.

Tymczasem sierżant Cameron wciąż mordowała się wśród przekleństw ze stosem odciętych głów, wyzywając się na czytniku.

— No, dalej, ty...

— Wiem, dlaczego to zrobił — rzucił w jej kierunku Will, kiedy tłukła urządzeniem o podłogę. — Nie, to nie to. Nie wiem, *dlaczego* to zrobił, ale wiem, dlaczego jego własnym *zdaniem* to zrobił.

Policjantka cisnęła czytnik między głowy, usiadła na środku podłogi, po czym spojrzała na niego ze skwaszoną i pełną wyrzutu miną.

— Dlaczego nic tu, kurwa, nie działa?

— To te anioły: w sypialni jest drugi. Zrobił je z kawałeczków Apokalipsy św. Jana. Rozdział czternasty.

Jo zmarszczyła brwi, a potem zaczęła recytować, prawie popadając w melodeklamację:

— Jeśli kto wielbi Bestię, i obraz jej...

— I ten, kto bierze znamię jej imienia. — Will wskazał na piętrzący się na dywanie stos. — Chodzi o tatuaż.

Przyciemnił światło celownika do bardziej sensownego poziomu.

— Powiedz grupie technicznej, żeby zaczęli skanować to miejsce. Kiedy skończą, niech pozbierają i oznakują wszystko, co przypomina ludzkie szczątki. Zaczynjcie od lodówki. Tylko każ im się streszczać. Im prędzej się stąd zmyjemy, tym lepiej.

— OK. — Wstała i schyliła się, by podnieść odrzucony czytnik. — A pan co zamierza robić?

— Koleś od drugich zwłok, które pokazywał nam George, mieszka dwa lokale dalej. Pójdę się rozejrzeć. — Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi. — Aha, i sprawdź, czy w tym śmietniku nie wała się gdzieś symulator wirtualnej rzeczywistości. Jeśli nasz łowca ubezwłasnowłowionych naprawdę cierpiał na syndrom VR, to na pewno się tu jakiś znajdzie.

* * *

Krótką chwilą majsterkowania przy zamku i drzwi mieszkania 47-122 otwary się na oścież. Sposób ten nie był może tak szybki jak metoda „na spinkę” stosowana przez sierżant Cameron, ale nie pozostawiał żadnych fizycznych śladów manipulacji. Maleńki przedpokój był równie nijaki, jak w sąsiednim mieszkaniu, ale pozostałe pomieszczenia prezentowały się zupełnie inaczej. Mieszkanie Allana Browna było barłogiem. To natomiast był dom. Aż do momentu, kiedy pan Kevin McEwen wrócił do niego i strzelił swojej żonie, Barbarze, w twarz. Później wszedł do drugiego pokoju i zrobił to samo z dwójką swoich dzieci, na koniec obracając broń przeciw sobie.

Ekipa porządkowa przysłana z ratusza odarła lokal ze wszystkiego, zostawiając jedynie instalacje i armaturę, przez co miejsce wydawało się teraz ogołocone i martwe. Will stał pośrodku pustego salonu, próbując sobie

wyobrazić, jak mogło to pomieszczenie wyglądać, zanim Kevin McEwen wybił wszystkich członków swojej rodziny.

Jak wszystkie inne mieszkania z blokowisk, również to było zaskakująco małe, mimo że usunięto z niego meble: przedpokój połączony z wydzieloną przez przepierzenie kuchnią, główna sypialnia, toaleta-łazienka i mały boks do spania. Pomieszczenia zdobiła antyczna tapeta z brudnym, żółto-zielonym wzorkiem, wyblakłym od upływu czasu. Na ścianach zaznaczały się ślady po wiszących na nich niegdyś obrazach, czworokątne tapety miały w tych miejscach żywe, pełne kolory. Słabo zarysowana, ciemna linia sygnalizowała jej górną krawędź. Mieszkanie musiało być dla McEwenów przedmiotem dumy, cały lokal był poza tym utrzymany w skrupulatnej czystości.

Z korytarza dobiegł słaby hałas. Grupa wsparcia technicznego zaczęła skanowanie.

Will kręcił się pomiędzy ciasnymi pokojami, zdumiony, że ktoś mógł mieszkać w czymś tak małym, nie mówiąc już o wychowywaniu dwójki dzieci. Każdy lokal przy placu Potworności był taki sam: dowód pomysłowości i braku ludzkich odruchów w departamencie planowania.

Nazywano to Skondensowanym Siedliskiem Miejskim. Upchaj w niewielkiej przestrzeni tyle osób, ile tylko się da, a potem usiądź wygodnie, głowiąc się, dlaczego mieszkańcy zaczęli się zabijać. Siebie samych i siebie nawzajem.

Zerknął na zegarek, po raz ostatni rzucił okiem na to tycie mieszkanko, a potem wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Gdy szedł korytarzem, podłoga zaczęła dygotać. Kiedy dotarł do mieszkania Allana Browna, hałas był już nie do zniesienia. Musiał krzyczeć, by jego głos mógł przebić się przez panujący w kuchni rejwach.

— ILE JESZCZE?

Stein wydał policzki.

— ZROBILIŚMY JUŻ PRZEDPOKÓJ I SYPIALNIĘ, ALE SAM PAN WIE, JAK TO JEST, CZASAMI MASZYNA WSPÓŁPRACUJE, A INNYM RAZEM TRZEBA JĄ DO TEGO ZMUSZAĆ KOPAMI. — Wskazał butem na pogiętą obudowę skanera. — I ZAWSZE PADA NA NAS! GDYBY JESZCZE RAZ TRAFIAŁO NA TEGO, A RAZ NA KOGO INNEGO, ALE NA LITOŚĆ BOSKĄ, CIĄGLE, KURWA, MY?

Na szczęście wycie skanera oznaczało, że Will był w stanie dosłyszeć jedynie urywki tej tyrady. Pokiwał ze współczuciem głową, a kiedy do ogólnego hałasu dołączyły infradźwięki, zrobił zatroskaną minę i dał drapakę do głównej sypialni.

Było tu troszkę ciszej, ale tylko niewiele, mimo zamkniętych drzwi. Sierżant Cameron i sierżant Nairn przeszukiwali górę odpadków. Na środku zagraconego łóżka leżał przezroczysty worek na dowody, na razie raczej

pustawy.

— MACIE COŚ?

Sierżant Cameron zerknęła na niego z ukosa. Potem przyłożyła dłoń do ucha.

— CO?

— CZY COŚ ZNALEŻLIŚCIE?

— TROCHE. A PAN?

— STRATA CZASU. CHATA McEWENÓW JEST CAŁKIEM WYCZYSZCZONA, TYLKO CZEKA, ŻEBY SIĘ DO NIEJ WPROWADZIŁ NASTĘPNY BIEDNY ZASRANIEC. NIC TAM NIE ZOSTAŁO.

— SORRY, ALE NIC NIE SŁYSZĘ PRZEZ TE CHOLERNE... — Skanery ucichły i sierżant Cameron urwała na chwilę, po czym westchnęła. — Boże, tak lepiej... Co pan mówił?

Ale Will zmierzał już z powrotem do kuchni: skanery wciąż miały jeszcze jeden cykl do wyrobienia. A skoro w tym momencie były cicho, to znaczy, że nie pracowały. Wpadając do pomieszczenia, zobaczył Steina i Beaton na kolanach, majstrujących przy sprzęcie.

— Co jest?

Beaton szarpnęła jedną z dźwigni.

— Zesrało się. To jest.

Will ponownie zerknął na zegarek. Byli tu już prawie piętnaście minut. Trzeba doliczyć następne sześć albo siedem na powrót na dach. Dwadzieścia dwie minuty. Nawet tyle może okazać się ryzykowne. Pracujący na pełnych obrotach skaner zakłócał działalność wszelkich sprzętów elektronicznych w promieniu dwustu metrów; dotyczyło to również publicznych kanałów wirtualnej rzeczywistości. Pozbawieni jedyne go środka umożliwiającego im oderwanie się realiów swojej egzystencji mieszkańcy zaczną szukać czegoś innego, co mogłoby wypełnić tę lukę. Religia stanowiła być może opium dla mas, ale VR była dla nich jak kokaina.

A żaden narkoman nie lubi być na głodzie.

— Ile zajmie wam naprawa?

— Nie wiem. — Beaton spojrzała na kolegę, który tylko wzruszył ramionami.

— Pięć, może dziesięć minut?

To oznaczało wydłużenie pobytu tutaj do pół godziny. Will pokręcił głową, istniała różnica między akceptowalnym ryzykiem, a bezmyślną głupotą.

— Macie dwie.

— Nie ma szans. Musimy przekalibrować całą macierz, albo znowu wszystko

nawali.

— W takim razie pakujcie się. Spadamy.

Stein potrząsnął głową i uśmiechnął się, jak gdyby przyszło mu rozmawiać z małym dzieckiem. — Nie rozumie pan...

— Jeśli nie będziecie gotowi do powrotu, zanim policzę do dziesięciu, to was zostawimy. A wy możecie zaryzykować spotkanie z tubylcami.

— Ale my...

— Raz, dwa, trzy...

— Ale — Stein wskazał na pogiętą obudowę maszyny — infradźwięki...

— Pięć, sześć...

— Musimy to przekalibrować albo...

— Osiem, dziewięć...

— Ale... — twarz Steina zaczynała przybierać czerwony odcień.

— Dziesięć. Czas minął. — Will odwrócił się i zawołał w stronę sypialni — Sierżancie Nairn, zbierajcie drużynę. Wycofujemy się.

— Tak jest! — Nairn wyłonił się z sypialni z workiem na dowody zarzuconym na ramię. Sierżant Cameron, podążająca za Nairnem w stronę przedpokoju, niosła drugi. Z piętnastoma odciętymi głowami upchanymi w przezroczystym worku wyglądała jak jakiś makabryczny Święty Mikołaj.

— Znaleźliście symulator VR?

— Nairn go ma — powiedziała, podczas gdy wspomniany Nairn wymaszerował na korytarz. — Koleś zmienił go w śliczny ołtarzyk, ozdobiony kośćmi palców i gumizelkami.

Will przymknął oczy. Krew i bębny w mroku. Absolutnie *najwyższy* czas, żeby spadać.

— To ruszaj. — Wyprowadził ją na korytarz.

Z mieszkania dobiegły stłumione odgłosy szybkiej wymiany zdań; to Beaton i Stein kłócili się, czy rzeczywiście grozi im, że zostaną pozostawieni. Potem dał się słyszeć zgrzyt ładowanego sprzętu i zawodowe przekleństwa. Ekipa techniczna wypadła z mieszkania, wciskając po drodze swój poobijany sprzęt do pojemnika.

— OK, OK! Idziemy.

Will sięgnął ręką i uruchomił nadajnik na szyi.

— Porucznik Brand, tu Hunter, szykujcie się do startu.

— *Zrozumiałam, Hunter. Nie możemy się doczekać.*

— No widzi pan — powiedziała sierżant Cameron, podnosząc swój worek dowodowy — nie ma się czego bać. Mówiłam, że to miejsce nie jest nawet w połowie tak straszne, jak pan myślał.

I właśnie wtedy rozpętała się strzelanina.

[2] Ap 14, 9-11, cytat za *Biblią Tysiąclecia* — przyp. tłum.

5

Zaczął się od głuchego trzasku, podobnego do dźwięku, jaki wydaje kostka lodu wrzucona do ciepłej wody. Potem był drugi. I kolejny. Następnie odgłosy zmieniły się, nabrały głębi i zaczęły rozbrzmiewać coraz bliżej. Dźwięk wystrzałów dobiegał z piętra nad nimi, a w słuchawce Willa zatrzeszczał głos Rhodesa:

— *...powtarzam, jesteście atakowani!*

Nie! To niesprawiedliwe! Przecież był ostrożny. Przecież już mieli wracać!

Sierżant Nairn podkręcił regulator mocy w swoim blasterze i zawołał:

— Dickson, Wright, zapieprzajcie tutaj, migiem!

Wszyscy pobiegli do zepsutego szybu windy. Nairn skoczył na rampę, szukając blasterem potencjalnych celów.

— Odezwij się, Rhodes! Co się tam do cholery dzieje?

— *...piętnastu, może więcej. Z bronią automatyczną. Chyba widzę karabin szturmowy.* — Powietrze rozdarł ostry warkot blastera. — *Rozkazy?*

Nairn spojrzał na Willa, czekając.

— My... Nooo...

— Nie chciałbym pana popędzać, ale najwyższa pora na cholerną decyzję.

— Ale my... — Głęboki oddech. Wdech nosem, wydech ustami.

— Dobra. — Nairn znowu złapał za nadajnik. — Rhodes, masz upoważnienie, by odpowiedzieć ogniem. Wszyscy mają zostać zneutralizowani i...

— Nie! — Will złapał sierżanta za ramię. — W tym tygodniu mieliśmy na tym piętrze dwa przypadki syndromu VR, a są pewnie jeszcze setki innych, o których nie wiemy. Musimy ograniczyć interakcje z nimi do minimum albo to miejsce wybuchnie.

— Jezu... — Nairn przełknął ślinę, z wysiłkiem. — Rhodes, odwołuję ostatni rozkaz, tylko działania nieśmiercionośne.

— *Sierżancie? Czy panu odpierd...*

— Zamknijcie się i róbcie, co mówię. Ludzie, potrzebujemy stąd odlecieć i to jak najszybciej! — Ruszył w górę rampy, a szeregowi Dickson i Wright popędzili za nim, zostawiając Willa, sierżant Cameron i grupę rozpoznania technicznego daleko w tyle.

Z niższych pięter zaczęły dolatywać gniewne odgłosy. Mimo że skanery były

już wyłączone i spakowane, to restart lokalnej sieci VR całego budynku miał jeszcze trochę potrwać. Sherman House cierpiało na głód narkotyczny VR. A jeśli mieszkańcy byli pozbawiani generowanej komputerowo śmierci i zniszczenia, to zawsze mogli poszukać prawdziwych wrażeń.

— Ehm... — Beaton przestępowała z nogi na nogę. — Nie żebym się wygłupiała, proszę pana, ale czy nie powinniśmy się stąd wynosić?

Stein bawił się zawieszonym na biodrze paralizatorem. Członkowie grupy wsparcia technicznego nosili jedynie krótką broń, jakakolwiek artyleria o większych gabarytach uniemożliwiałaby im manewrowanie sprzętem do skanowania. Szturmowiec włączał i wyłączał zasilanie, nigdy nie pozwalając jednak, by aparat osiągnął stan pełnej gotowości bojowej. Jednocześnie wodził oczyma po korytarzu. Oblizywał górną wargę. Odgłos wystrzałów przybierał na sile. — Wszystko będzie OK, tak? Żadnych problemów...

Will popchnął ich w stronę rampy.

— Pójdę na przodzie. Sierżant Cameron, pilnujcie tyłów.

Policjantka kiwnęła głową, na jej czole perliły się delikatnie krople potu. Kiedy wykonała zwrot do tyłu, ustawiając się twarzą w stronę dolnej części rampy, worek z odciętymi głowami zawirował, wytrącając ją z równowagi. Nie było możliwości, by była w stanie zapewnić im osłonę, tachając jednocześnie worek pełen głów, i Will nie omieszkał jej tego powiedzieć.

— Nie możemy ich, ot tak, zostawić, to dowód!

— OK, jasne... daj je tutaj. Ja wezmę...

Z górnego piętra dobiegł ich łagodny gwizd i cały korytarz zalało nagle migoczące, pomarańczowe światło. Potem w dół rampy spłynął jęzor płomieni.

— PADNIJ!

Will skoczył, odbijając się od ściany i skręcając cały korpus, by wylądować za windą, która zasłoniła go przed kulą ognia. Stein nie miał tyle szczęścia. Łuna wybuchu ogarnęła go, kiedy wciąż szamotał się ze sprzętem. Beaton skuliła się po drugiej stronie skanera, dzięki czemu fala eksplozji minęła ją bokiem, nie czyniąc jej żadnej krzywdy, podczas gdy jej towarzysz stanął w płomieniach.

Stein zatoczył się, spadając z rampy, i zaczął krzyczeć, a jego włosy i ubranie zajęły się ogniem.

Will zdarł z siebie kurtkę i skoczył z nią na szturmowca, tłumiąc płomienie. Szarpane konwulsjami ciało Steina stopniowo znieruchomiało.

W powietrzu unosił się gryzący zapach dymu, a tryskacze przeciwpożarowe wreszcie wkroczyły do akcji, zalewając cały korytarz letnią, stęchłą wodą.

— Cholera! — Will przewrócił Steina na plecy i zaczął szukać pulsu. Twarz

szturmowca była napuchnięta, jej skóra miała szkarłatny kolor, upstrzony gdziegdzie poczerniałymi plamkami, a na policzkach i na czole widniały rozcięcia; smużki dymu parowały ku górze, rozpluwając się w bezużytecznej mgiełce kropelek wody. Opuszki palców Huntera wyczuły słabe tętno, ale żołnierz nie oddychał.

— Nie żyje?

Will odwrócił się w stronę sierżant Cameron, próbującej pozbierać się z podłogi. Tylne części jej jaskrawo-zielonego wdzianka była spalona, przy każdym ruchu osypywały się z niej pokruszone płatki sadzy. Jej staranna fryzura, z asymetrycznym kokiem, była zrujnowana; jej włosy, od karku w górę były postrzępione i przypalone, prześwitywała przez nie wściekle zaczerwieniona skóra. Drżała.

Coraz to nowe strzały. Tym razem jeszcze bliżej.

Wróć do Sherman House, Will. Dobrze ci to zrobi, Will. Sruty-pierduty, Will.

Przywołał sierżant Cameron gestem ręki.

— Zabierz go do mieszkania.

Stała nad nim, spoglądając w dół na przypieczone ciało Steina, z poszarzałą twarzą poznaczoną smugami sadzy.

— Przecież on nie żyje.

— Na pewno umrze, jeśli nie przestaniesz się opierdalać! — W korytarzu pociemniało, kiedy płonące na wyższym piętrze płomienie przygasały, zduszone przez sztuczną mżawkę. — Ruchy!

Sierżant Cameron zacisnęła zęby, chwyciła mocno za przypalony kombinezon Steina i zaczęła ciągnąć go w kierunku mieszkania 47-126, ani na chwilę nie przestając przeklinać. Will wspiał się po windowej rampie, pomagając Beaton wytaszczyć techniczny ekwipunek na przemoczony dywan. Zaczęli ciągnąć ciężki metalowy pojemnik po korytarzu, podążając za policjantką w stronę mieszkania Allana Browna.

Hunter zatrzasnął za sobą drzwi lokalu i sięgnął do kołnierzonego nadajnika.

— Sierżant Nairn? Co się tam dzieje?

Przekaz w słuchawce był pełen trzasków, w głosie starszego mężczyzny czuć było troskę, dało się słyszeć, że z trudem łapie oddech:

— *Szyb windy jest zawalony. Jakiś hamulec puścił i obalił rampę.* — Will słyszał odgłosy strzałów, brzmiące jak drobne zakłócenia elektrostatyczne między poszczególnymi słowami. Porażający ryk miotacza szeregowej Dickson zagłuszył kolejne słowa, ale kiedy hałas przycichł, Nairn mówił właśnie — *...wstrząs mózgu, a Floyd dostał w ramię. Odpowiadamy ogniem zaporowym i próbujemy trzymać sukinsynów na odległość. Przebijecie się do*

schodów?

Hunter obserwował, jak szeregowca Beaton siada okrakiem na Steinie, zdiera z jego klatki piersiowej pokrywę pancerza i zaczyna uciskać mostek.

— Nie waż mi się umierać, Dick. Słyszysz mnie? — Masowała jego serce w stałym rytmie. — Nie waż się...

Sierżant Cameron przycisnęła usta do ust Steina, wtlaczając do jego płuc haust powietrza. Nie było mowy, by zdołali donieść go na sam dach budynku, utrzymując go jednocześnie przy życiu.

— Nie. Musimy znaleźć jakieś inne wyjście.

— *Nie damy rady po was zejść. To by oznaczało mnóstwo trupów.*

A wtedy przemoc rozlałaby się coraz dalej i dalej, aż cały budynek stanąłby w ogniu. Will zaklął.

Sierżant Cameron krzyczała z drugiego końca pomieszczenia:

— Tracimy go!

— *Co mamy zrobić?*

Z korytarza dochodził coraz głośniejszy huk wystrzałów. Zbliżali się tubylcy.

Plan. Potrzebny był plan.

Will rozejrzał się po pokoju. Miał tu dwoje szturmowców Organizacji, w tym jednego na krawędzi zgonu, policjantkę z rozstrojem nerwowym oraz sprzęt do skanowania. I ani jednego z dowodów, dla których dopiero co ryzykowali życie.

— Gdzie worek z ubezwłasnowładowionymi?

— *Panie wicedyrektorze? Co mamy robić?*

— Zamknij się i daj mi pomyśleć!

Wystawił głowę na korytarz. Worek z dowodami leżał pod ścianą tuż obok windowej rampy. Zanim dotarło do niego, co tak właściwie robi, był już w połowie drogi i było za późno, by zawrócić.

Will pędził, rozpryskując wodę, między ściennymi lampami ociekającymi zatechłą wodą i emitującymi roztańczone fale słabego światła. Ogień zdążył wygasnąć, więc z tryskaczy kapały już tylko pojedyncze krople. Całkiem prawdopodobne, że woda wyrządziła budynkowi więcej szkód niż płomienie.

Wyhamował z poślizgiem obok windy, chwycił porzucony worek z dowodami i zarzucił go sobie na ramię — zataczając się pod jego ciężarem. Zerknął w górę rampy. W połowie drogi między piętarami urywała się ona gwałtownie, a z popękanego betonu wystawał brudnopomarańczowy pręt zbrojenia. Sierżant Nairn miał rację — nikt nie dałby rady przeskoczyć przez tę lukę. Nie bez liny...

— Kurwa. — To było jak kopnięcie w krocze, ale nie było innego wyjścia.

Drżącymi palcami sięgnął do nadajnika na szyi, starając się panować nad głosem:

— Porucznik Brand, musicie startować.

— *Zapomnij o tym. Nie zostawimy was tutaj!*

— Choć raz, do cholery, zrób, co ci się mówi. — Pod stopami Huntera leżało coś kanciastego i na wpół stopionego: paralizator Steina, ten, którym się ciągle bawił. Jego plastikowa obudowa była odkształcona i popękana. Kiedy Will schylił się, by go podnieść, w całym budynku zapadła nagle złowieszcza cisza.

Niedobrze. Zdecydowanie niedobrze.

Hunter pobiegł z powrotem do mieszkania, rozchlapując wodę z kałuż i ciągnąc ze sobą ciężki wór pełen odciętych głów.

— Niech śmigłowiec zawiśnie naprzeciwko lokalu 126 na czterdziestym siódmym piętrze. Zrzućcie pięć lin i sieć na ładunek. Robimy twardą ewakuację.

— *Z wnętrza budynku? Oszalałeś?*

— Jeśli masz jakiś lepszy pomysł, to słucham, bo ja już się ze wszystkich wypstrykałem.

W słuchawce zapadła cisza. A potem rozległo się:

— *Nairn, ładuj ludzi do śmigłowca. Start za czterdzieści pięć sekund.* — Sygnał rozmył się w szumie zaburzeń elektrostatycznych, kiedy silniki Ważki zaczęły pracować pełną parą. — *Mam nadzieję, że wiesz, co robisz, Will.*

Brnąc przez ponury, zalany korytarz, Hunter również żywił taką nadzieję.

Był już prawie przy drzwiach mieszkania, kiedy za jego plecami rozległ się głośny trzask. U jego stóp wystrzelił pióropusz wody. Kolejny strzał i worek na jego plecach podskoczył, popychając go do przodu. Will z trudem utrzymał się na nogach, podczas gdy następne kule wbijały się w otaczające go ściany, rozpryskując fragmenty farby i plastiku.

Wpakował się do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Mamy towarzystwo! — Zrzucił worek z głowami na podłogę pośrodku pokoju. — Przygotujcie Steina do przenosin. Beaton, podepnij jego uprząż do twojej. Nie chcę, żeby rozwalił sobie czaszkę o parapet. Cameron... — wskazał na szerokie pasy czarnej folii zasłaniające widok na zewnątrz — pozbądź się tego gówna.

Policjantka chwyciła przesłone w rogu i pociągnęła. Pokój zalało światło.

Will obrócił w rękach spalony paralizator Steina. Kontrolki baterii wciąż

wesoło migają: przy odrobinie szczęścia nie powinien obawiać się spięcia i porażenia prądem.

— Gdzie jest, do cholery, ta przeklęta Ważka?

Jakby na zawołanie, blask słońca ponownie przygasł. Okna lokalu zadygotały w swoich framugach, kiedy śmigłowiec porucznik Brand okręcił się w powietrzu, pochylając dziób, by odsłonić dwuskrzydłowe drzwi do przegrody umiejscowionej na spodniej stronie maszyny.

Pojedynczy pocisk zadudnił o drzwi mieszkania, wyrrywając w nich dziurę i wpadając do malutkiego przedpokoju. A potem następny. I kolejny.

— Blżej się nie da!

Will wyciągnął blaster, kciukiem pociągając za spust. Karabin szarpnął się w jego rękach z hukiem, który w ciasnej przestrzeni przedpokoju był wręcz ogłuszający, i oto drzwi lokalu rozpadły się na kawałki. Jeszcze chwilę temu były na swoim miejscu, by w jednym momencie zmienić się w deszcz skwierczących odłamków plastiku opadających z szelestem na postrzępiony dywan. Hunter przewiesił blaster przez ramię i aktywował paralizator Steina. Kontrolki mocy zamigotały, a potem zgasły.

— Kurwa. — Walnął bronią o ścianę. Potrząsnął nią. Spróbował ponownie.

W otwór ziejący w miejscu, gdzie znajdowały się kiedyś drzwi, wskoczyła jakaś obdarta, rudowłosa postać.

Była raczej grubokoścista niż spasiona i miała na sobie takie same, kolorowe, eklektyczne ciuchy, jak te, które widzieli dziś rano. Jej bladą skórę znaczyły zawijasy świadczących o plemiennej przynależności blizn, sięgające kącików lodowato zielonych oczu. Była uzbrojona w stary karabin F24, prawdziwy antyk, który właśnie teraz podniosła do góry, a jej usta wykrzywiły się w uśmiechu. Miała spiłowane w szpic zęby.

Will strzelił w jej kierunku.

Zygzak wyładowania z paralizatora Steina uderzył ją w klatkę piersiową, wyrzucając z powrotem na zalany wodą korytarz. Will postąpił o krok do przodu, wymierzył broń w przemoczony dywan i nacisnął spust, przytrzymując go przez chwilę.

Błękitna błyskawica przeorała cały korytarz, który wypełnił się chóralnym wrzaskiem i piskami. Potem dał się słyszeć odgłos padających ciał. A potem cisza. Will wolał nie ryzykować i nie wychylił głowy, by sprawdzić skutki wystrzału: ktoś mógł tam mieć przecież na sobie buty z izolacją.

Sierżant Cameron silnym pchnięciem otworzyła okno salonu. Chmura odłamków pofrunęła do góry, tańcząc i kręcąc się w gorącym podmuchu silników Ważki jak wściekłe papierowe mewy.

Sierżant Nairn opuścił się z wnętrza śmigłowca, rozwijając za sobą zwój lin.

Chwycił obu rękoma otwarte okno, a sierżant Cameron pochyliła się ku niemu i wciągnęła go do środka. Jeszcze zanim jego stopy dotknęły dywanu, kadłub helikoptera zadźwięczał pod ostrzałem. Ważka Organizacji stanowiła duży i zachęcający cel.

Z górnego piętra dobiegł jakiś grzmot i cały śmigłowiec zakołysał się.

— *Dalej, ludzie, ruchy! Nie możemy tu siedzieć przez całe popołudnie!*

Will pomógł Nairnowi przypiąć Steina i Beaton do linek, podczas gdy sierżant Cameron oplątywała inne linki wokół uchwytów pojemnika ze skanerem, wieńcząc to dzieło ogromnym, topornym węzłem. Worek z głowami trafił do sieci ładunkowej.

Zostali jeszcze tylko Will i policjantka.

Kiedy gramolili się w swoje uprząże, przez drzwi wtoczył się do mieszkania cylindryczny pojemnik i wylądował na parszywym dywanie — małe, czerwone lampki rozbłyskiwały i gasły, jedna za drugą dookoła obu końców obiektu.

— O kurwa... — Will złapał za nadajnik na szyi i zapiął uprząż. — Twarda ewakuacja, teraz!

Ważka odskoczyła od budynku, porywając ich z okiennego parapetu. Pojemnik ze skanerem zahaczył przy tym o ramę, rozpryskując na wszystkie strony odłamki szkła i pogiętego aluminium. Ktoś krzyczał, ale dźwięk ucichł, kiedy śmigłowiec wykonał ostry zwrot, momentalnie przyspieszając.

Eksplozja rozerwała mieszkanie Allana Browna na strzępy.

* * *

Słońce wisi pośrodku brudnoniebieskiego nieba jak inkrustowane klejnotami palenisko. Jego krawędzie są rozmazane, skryte w bladym poblasku chemicznej mgiełki, gęstniejącej tym bardziej, im dłużej się na nią patrzy. Wiatr musiał się zmienić, przywiewając przemysłowe perfumy od pieców fabryk.

Wałęsa się po ulicach już od wielu godzin, błędząc w swojej osobistej mgle. Majaczą się przed nią twarze, a potem znowu nikną. Koledzy, pacjenci, ofiary...

Coś rozbłyskuje nad jej głową, więc odwraca się, by obserwować, jak to coś rozcina z warkotem powietrze. Pod obiektem dyndają drobne postaci, powoli wciągane do jego wnętrza. Ten kształt coś jej przypomina, przywołuje jakieś wspomnienia. Jak zły, tylko częściowo zapamiętany sen. Ale w tej chwili wszystko jest właśnie takie.

Przecież nawet nie wie, kim jest.

Z jej żołądka dobiega burczenie i kobieta wzdraga się zaskoczona tym dźwiękiem. Sześć lat minęło od momentu, kiedy ostatni raz czuła coś tak

pierwotnego, jak głód. Jest tego pewna, ponieważ na reklamie rozbłyskującej na jednej z wielkich wiszących w powietrzu szorowaczek widnieje dzisiejsza data.

Sześć lat.

Sześć lat, od kiedy w ogóle była w stanie coś odczuwać.

Głód. Miłość. Gniew. Przyjemność. Zemsta. Pożądanie. Ból. Siedem doskonałych słów, dużo gorętszych niż jakaś kula płonącego gazu dziewięćdziesiąt trzy miliony mil stąd. Piękne słowa, lśniące jak ostrze noża.

Błąka się dalej, ignorując wszystko prócz narastającej pustki w brzuchu, niezdolna, by temu zaradzić. Nie może się pożywić, zadbano o to na operacyjnym stole.

Sześć lat karmienia dożylnego. Nic przez usta.

Wszystko zabrali...

Ale odzyska to. O tak. *Wszystko* odzyska.

* * *

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech. — Szeregową Dickson siedziała okrakiem na poparzonym ciele Steina w mrocznej komorze zrzutowej, wykonując masaż serca. Za każdym razem, gdy mówiła „oddech”, szeregowy Rhodes zaciskał palce na nosie Steina i wdmuchiwał powietrze do jego ust. Potem czekali, aż płuca się opróżnią, i powtarzali całą procedurę.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

Sierżant Nairn tkwił po pachy w module resuscytacyjnym zawieszonym na ścianie komory. Z aparatu wypełzały przewody wijące się na podłodze, podczas gdy łagodne iskrzenie w głębi układów scalonych uzupełniało woń powietrza, przesyconego już ostrym odorem spalonych włosów i ciała, zapachem rozgrzanego plastiku.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

Beaton siedziała w swoim boksie na metalowej kratce, z głową odchylną do tyłu, z pobladłą twarzą, trzymając kurczowo swój lewy nadgarstek w miejscu, gdzie podczas odlotu zahaczyła nim o parapet. Od chwili, kiedy ułożyli Steina w centralnym przejściu, jak rybę przygotowaną do filetowania, ani na chwilę nie spuściła z niego oka.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

Will pomaszzerował chwiejnym krokiem z powrotem do miejsca, gdzie leżał szeregowy Floyd, oparty o przegrodę. W komorze zrzutowej było gorąco jak w piekarniku, ale żołnierz dygotał, a jego czoło błyszczało od potu. Na przodzie jego kombinezonu mieniła się krew, ale jego serce przynajmniej

wciąż biło.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

Hunter przyklęknął przed szeregowcem i odwinął na bok lepką tkaninę otaczającą ranę. Kiedy sierżant Nairn powiedział, że jeden ze szturmowców został postrzelony, Will spodziewał się jakiegoś uszkodzenia mięśni, a nie ziejącej dziury. Wyglądało to tak, jakby ktoś przyspawał kilkanaście gwoździ do obucha młota kowalskiego, by następnie okładać nim bez opamiętania ramię Floyda.

— Co cię, do diabła, walnęło? Ciężarówka?

Szturmowiec z sykiem wciągnął przez zaciśnięte zęby parę oddechów, a potem spróbował się uśmiechnąć.

— Myślę, że to była stara... stara P-75.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

Will pogrzebał w małej apteczce przymocowanej na ścianie boksu i wyjął z niej kilka małych plastikowych ampułek środka znieczulającego. Szybko wstrzyknął trzy z nich w kark rannego, po czym odczekał, aż zaczną działać, by zerwać wieczko z puszkii dermoaerolu.

— Co... co ze Steinem?

— Coś jest nie tak z zestawem awaryjnym. Nie ma maski tlenowej ani EKG, ani defibrylatora. Nic nie ma. — Potrząsnął puszką, a potem wtrysnął gęstą, różową mgiełkę do wnętrza rany.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, *oddychaj*, do cholery!

Aerol zapienił się w miejscu, gdzie wszedł w kontakt z odsłoniętymi tkankami, zamykając przerwane arterie i wypełniając luki między postrzępionymi mięśniami. Nie wyglądało to zbyt pięknie, ale miało przynajmniej utrzymać ramię Floyda w jednym kawałku do czasu, kiedy uda im się dotrzeć do szpitala Glasgow Royal Infirmary.

Szturmowiec zamrugął.

— Uch... — Na jego twarzy pojawił się szeroki, rozleniwiony uśmiech. Trzy ampułki środka przeciwbólowego to była zapewne przesada, ale Will miał to w nosie — i wyglądało na to, że szeregowy Floyd uważa podobnie.

— Dasz sobie radę?

Floyd odpowiedział tylko błogą miną, więc Hunter uznał, że można go zostawić, i ruszył z powrotem do komory zrzutowej.

— Jeden, tysiąc dwa, tysiąc trzy, tysiąc, oddech.

— Jaki jest szacunkowy czas osiągnięcia celu? Sierżant Cameron stała, trzymając się krawędzi swojego boksii i spoglądając na blade ciało Steina.

Rozdygotana.

— Dwie, może trzy minuty.

Pokiwała głową. Odchrząknęła.

— Jak się trzymasz?

— Czy on... — Zdjęła jedną rękę z poręczy i przejechała nią po usmarowanym sadzą policzku. — Nie kapuję. Wszystko szło OK i nagle oni pojawili się... wszędzie dookoła. Nawet nic nie *zrobiliśmy*. Oni po prostu... — Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

Will ścisnął ją za ramię.

— Dobrze się spisałaś.

Unikała jego wzroku.

— Czy właśnie tak wygląda życie w Organizacji? Wszyscy chcą cię zabić?

— Słuchaj, może pomożesz Nairnowi przy tym zestawie awaryjnym? Poradziłaś sobie z tamtym zamkiem w ciągu dziesięciu sekund, może i tu uda ci się coś wymyślić.

Sierżant Cameron skinęła głową. Wytarła dłonią oczy. Wzięła głęboki oddech. I pomaszerowała w stronę splątanej masy przewodów, odsuwając sierżanta Nairna na bok.

Minutę później cały sprzęt już działał.

Dwie minuty później szeregowy Stein już nie żył.

* * *

Godziny zlewają się w jeden ciąg, przemykają, unosząc ją ze sobą. Zachód słońca barwi horyzont intensywną czerwienią. Niebo krwawi właśnie dla niej. Jedna po drugiej włączają się latarnie uliczne, jak meksykańska fala neonowych światełek budzących się, w miarę jak dzień powoli dobiega końca, a ich światło sprawia, że to zbrukane miasto zaczyna emanować niezdrowo żółtym blaskiem.

Jaskrawo pomalowany frachtowiec zatrzymuje się obok niej z piskiem hamulców. Kobieta nie zwraca na niego uwagi, po prostu posuwa się dalej po spieczonym chodniku. I wtedy rozlegają się głosy:

— Jeeezu, popatrz, co się z tym porobiło! A ta krew?

— Jakiś kutas musiał to pociąć. Nieważne, po prostu wrzuć to na tył razem z resztą.

Chropowate ręce łapią ją za ramiona, ale jest zbyt zmęczona, żeby stawiać opór. Otwierają tylne drzwi i pakują ją do pustej wnęki. Potem obmacują jej ciało.

— Nie widzę żadnych ran — mówi mężczyzna wyglądający jak rozdęty

wieprz. Ma pulchną, opuchniętą twarz z rzadkim wiechciem włosów porastającym najwyższy z jego licznych podbródków. — Myślisz, że powinniśmy podrzucić to prosto do szpitala?

— Walić to. Mam zgarnąć jeszcze tylko szóstkę i spadam na chatę. Niech się tym martwią w zajezdni.

Człowiek-wieprz marszczy brwi.

— Cholernie tu dużo krwi, Harry. A co, jeśli ktoś to dźgnął? Co, jeśli umrze?

— Jak umrze, to umrze. To tylko ubezwłasnowłowiona łajza! Kogo to obchodzi?

Człowiek-wieprz milczy przez chwilę, po czym pociąga nosem.

— Ta, pewnie masz rację. — Opuszcza unieruchamiający zacisk, gramoli się z powrotem na zewnątrz i zatrzaskuje drzwi. Potem macha do nich przez szybę, dowcipkując ze swoim szkaradnym znajomym po drodze do kabiny pojazdu.

Rozlega się warkot silnika i kobieta chwieje się w zacisku, mrugając. Oszołomiona. Głodna. Ostra i potrzaskana. Pszczoły i potłuczone szkło.

Musi zażyć leki. Albo komuś — stanie się — krzywda.

Kolejny wstrząs i jeden z ubezwłasnowłowionych potyka się. Otaczają ją ze wszystkich stron: wynaturzone twarze nieskażone myślą ani uczuciem. Wszędzie unosi się kwaśny zapach ich potu. Muchy i martwe ptaki. Ten w sąsiedniej przegrodzie gapi się przed siebie, nad lewym okiem nosi świeżo wytatuowany, wyraźny kod kreskowy. Nowy zesłaniec do świata żywych trupów.

Kobieta sięga do góry i dotyka własnego czoła, próbując wyczuć tatuaż, wie, że jest wypisany na jej własnej skórze. Kolory wyblakły, a krawędzie rozmazały się przez wszystkie te lata.

Tatuaż to klucz do wszystkiego, czym jest i czym była. Zawiera także jej imię.

Frachtowóz toczy się od jednego przystanku do drugiego i za każdym razem otwierają się tylne drzwi, a człowiek-wieprz wpycha do wewnątrz kolejnego ubezwłasnowłowionego. Zdaje się obojętny na fakt, że jego ładunki były kiedyś ludźmi. Że były pełnowymiarowymi osobami z własnymi uczuciami i marzeniami. Ponieważ to nie ma już znaczenia. Ich mózgi zostały usmażone. Są jedynie bryłami ledwie przytomnego mięsa, wykorzystywanymi jako niewolnicy. Są chodzącymi, okaleczonymi, wystrojonymi w pomarańczowe kombinezony znakami ostrzegawczymi, że przestępczość nie popłaca.

Albo raczej, że nie warto dać się *złapać*.

Pochwycona przez mężczyznę w granatowym garniturze z poszarpaną blizną na twarzy. Blizna jest już po tylu latach całkiem niewidoczna, ale twarz

pozostała taka sama. Trochę starsza. Może jego włosy są bardziej przyprószone siwizną... Czy jego wrzaski wciąż brzmiałyby tak samo?

Frachtowóz zatrzymuje się przed dużym, pozbawionym indywidualności, betonowym budynkiem, a potem powoli cofa się w stronę otwartej komory załadunkowej. Trąbiąc klaksonem.

Kobieta zna to miejsce. Oglądała je każdego ranka i każdej nocy przez ostatnie sześć lat. Szyld na ścianie, utrzymany w wesołej, pomarańczowo-błękitnej tonacji, głosi: ZAKŁAD USŁUG, JEDNOSTKA 47 WSCHÓD. UBEZWLASNOGLOWIENI, ŁADUNEK I ROZŁADUNEK.

Wymyją ją, nakarmią i dadzą miejsce, by mogła odpocząć aż do rana. Jest w domu.

Na zemstę będzie jeszcze mnóstwo czasu.

6

Bębny dudnią w mroku jak tętno w żyłach jakiejś ogromnej i głodnej bestii. Skradając się kompletnie ciemnym korytarzem, sierżant William Hunter zaciska zęby i nie zatrzymuje się.

Dywan szeleści pod jego stopami, cały lepki od krwi. Nie widzi tego, ale czuje to: rozgrzana miedź i polerowane żelazo. Każde piętro wygląda tak samo, spowite mrokiem i przesiąknięte krwią. To jak koszmar, z którego nie może się obudzić.

Zza pleców dobiega go krzyk Crampa, więc zatrzymuje się na chwilę, cicho klnąc i zaciskając zęby. Szeregowy Alexander waży chyba z tonę, a Will taszczy go już wystarczająco długo, by mieć dość każdego jednego grama. Odpina uprząż szturmowca i przekłada niemal bezwładne ciało na drugie ramię.

— Niech to szlag... — mamrocze ledwie słyszalnym szeptem. — Musiałeś się tak *cholernie spaść*?

Ale szeregowy Alexander to niejedyny ciężar, z którym się zмага: to cały budynek, który go przygniata i wciska w przesiąknięty krwią dywan. Sprawia, że każdy krok to walka. A jeśli dodać do tego jeszcze pusty blaster, którego bateria padła jak reszta załogi Ważki, to Will ma już zapewnione tyle rozrywki, ile jest w stanie wytrzymać.

Mocuje własną uprząż razem z uprzężą niesionego szturmowca, a potem odpycha się od muru i ponownie zaczyna brnąć przez mrok, z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, drugą dotykając powierzchni ściany.

Palcami wyczuwa wypukłości kolejnych drzwi, każde kryją swoje własne potworności. Zamordowana rodzina. Świątynia VR ku czci nowego, cyfrowego Boga tego budynku. Poszarpane zwłoki, okaleczone i na wpół zjedzone...

Minęło półtorej dnia od chwili, kiedy Ważka rozbiła się o ten cyrk, uderzając o trzydzieste dziewiąte piętro, i wszyscy ludzie, jakich udało mu się do tej pory zobaczyć, byli bardzo, bardzo martwi...

Hunter przystaje. Coś się zmieniło, ale ogarnięcie, w czym rzecz, zajmuje mu prawie całą minutę: bębny umilkły. Cholerstwo nękało ich nieustannie przez całe półtorej doby, przysparzając mu cierpienia, a teraz ucichły.

Dzięki Bogu.

Opada ciężko na podłogę pod najbliższą ścianą i przymyka oczy, rozkoszując się spokojem. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby się przespać. Otworzyć

kopniakiem drzwi do jednego z mieszkań, wywalić zwłoki na korytarz i zabarykadować się w środku. Wzdycha. Nic z tego. Jeśli szeregowy Alexander nie trafi szybko do lekarza, umrze.

Powoli wstaje i zmusza nogi do dalszego ruchu, taszcząc w mroku tłuste cielsko szturmowca.

Korytarz zdaje się nie mieć końca, ciągnie się hen w głąb ciemności. Coraz dalej, dalej i dalej.

Drzwi, ściana, drzwi, ściana, drzwi, ściana, drzwi, ściana, drzwi, ściana...

Wtem czuje na twarzy powiew ciepłego, cuchnącego powietrza.

Zamiera w bezruchu. Potem wyciąga dłoń. Wyczuwa małą metalową listwę, a za nią pustkę. Szyb windy? Po windzie nie ma ani śladu, rozciąga się tam jedynie kolumna stęchłego powietrza, doprawionego wonią smaru i maszynierii.

— Cześć, *ślicznotko* — Will czuje, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu.

Klatki schodowe są zbyt niebezpieczne — zawalone stosami mebli podpalonych migoczącymi pochodniami — ale szyb to zupełnie co innego. Sprawdza, czy grubas Alexander jest solidnie przymocowany na swoim miejscu, a potem zaczyna powoli przesuwać się do przodu, aż czuje, że podłoga nagle się skończyła.

Trzymając się jedną ręką drzwi windy, drugą zanurza w pustkę, starając się wymacać na szorstkich, betonowych ścianach szyb drabinkę awaryjną, która powinna się tam znajdować.

Zejsć na parter, przebić się przez drzwi wejściowe i wiać na wolność, ile sił w nogach. Proste. Nie ma sprawy. Zostawić za sobą tą ciemną, przerażającą norę i wrócić do prawdziwego świata, gdzie ludzie nie okaleczają się nożami kuchennymi.

Dźwięk bębnowy wybucha ze wszystkich stron, Will wzdraga się, traci równowagę, łapie się ściany, próbuje nie krzyżeć... Niezgrabnie cofa się w korytarz, jego serce wali szybciej niż te ogłuszające bębny. Zatrzymuje się tam, przez chwilę dygocze, po czym ociera dłonią oczy. Marszczy brwi. Mruga.

Dostrzega światło majaczące blado na końcu przejścia.

Światło robi się coraz jaśniejsze.

O Jezu...

Idą tu.

* * *

Will siedział wyprostowany jak struna na swoim łóżku pośród wilgotnej pościeli, jego serce biło jak oszalałe, a po klatce piersiowej sływały mu

strużki potu. Wziął kilka urywanych oddechów i zaklął.

Minęło prawie cztery i pół roku, odkąd śnił ten koszmar po raz ostatni.

— Światło. — Sterownik zapikał i całe mieszkanie zalała oślepiająca jasność.
— Auuu... Przygaś, przygaś! — Blask z wolna osłabł, przynajmniej na tyle, by nie wypalić mu tęczówek.

Will opadł na łóżko i spojrzał ponuro ku sufitowi. *Nie* był to dobry początek dnia.

Kiedy w końcu wziął prysznic, ubrał się i złapał autobus do pracy, było już wpół do ósmej, a wspomnienie snu uległo zatarciu.

W siedzibie Organizacji panowała spokojna atmosfera poprzedzająca początek dziennej zmiany. Służby dostarczały swój codzienny ładunek ubezwłasnowłowionych, pędząc ich skrzypiącymi korytarzami. Każdy z nich wysłuchiwał poleceń wyrażonych w krótkich, łatwych do zrozumienia słowach i otrzymywał wiaderko na kółkach pełne środków czyszczących, po czym pozostawiano ich, by mogli zabrać się do pracy.

Zamiatać. Ścierać. Pucować. Sprzątać. Odkurzać.

Jeden z większych skazańców schylił się, by wyjąć z wiaderka ścierkę i szczotkę, a potem polazł pucować drzwi windy. To, co zostało z jego chirurgicznie zredukowanych rysów twarzy, pokrywały spiralne tatuaże, pośrodku czoła zaś różowił się płat świeżo przeszczepionej skóry, w centrum którego umieszczono kod kreskowy. Wyglądało to dość nedorzecznie, ale o to właśnie chodziło. Will stał przez chwilę, czekając aż ubezwłasnowłowiony skończy, po czym uznał, że jednak woli skorzystać ze schodów.

Jazda windą jakoś mu się dziś nie uśmiechała.

* * *

Półtorej godziny później terminal na biurku zapikał, by zwrócić jego uwagę. Nowe połączenie. Will wykrzywił twarz w kierunku małej kamerki zainstalowanej na urządzeniu. Cholerstwo oparło się wszelkim próbom sabotażu. Próbował nawet zalepiać obiektyw taśmą klejącą, lecz skazaniec przeznaczony do sprzątanía biur usuwał ją za każdym razem, gdy zaglądał tu, by opróżnić kosze na śmieci.

Wicedyrektor wcisnął guzik „odbierz” i warknął do słuchawki.

— Hunter.

— *To bardzo dobrze.* — Ekran wypełniła znajoma, pulchna twarz, jedno z jej oczu wyglądało mętnoszarawo, a w jego wnętrzu iskrzyły drobne rozbłyski. Obraz był nieco zniekształcony, rozciągnięty przez szerokokątny obiektyw zainstalowany na czubku palcofonu dzwoniącego. — *A tak w ogóle, to ładny fryz. Cyrk zajechał do miasta?*

Will przejechał dłonią po swoich niesfornych lokach, nie mogąc

powstrzymać się od uśmiechu.

— Dzień dobry, Brian. Śniłeś mi się zeszłej nocy.

— *Ach, doprawdy? Nie mów Jamesowi, jest strasznie zazdrosny.*

— Nie pochlebiaj sobie. — Rozsiadł się na krześle. — Jak żyjesz?

— *Kiepsko. Ta wiedźma z piekła rodem ciągle daje nam sprawy, z którymi nie dałby sobie rady nawet cholerny Sherlock Holmes.*

— To dlatego, że jesteś jej żołnierzykiem do zadań specjalnych.

— *Taa, a moje pierdnięcia pachną tęczą.* — Twarz dzwoniącego wykrzywił szpetny grymas. — *Za każdym razem, gdy widzę się z tą starą megierą, dostaję następną sprawę nie do rozwiązania.* — Potrząsnął głową. — *Mści się za to, co się zdarzyło na imprezie gwiazdkowej. Opowiadałem ci już...*

Will słuchał przez chwilę tej tyrady, co jakiś czas kiwając głową, by sprawić wrażenie, że jest nią zainteresowany. Brian mylił się co do dyrektora Smith-Hamilton, która, i owszem, była na niego cięta, ale jej uraza sięgała znacznie głębiej w przeszłość niż do ostatnich świąt.

— Jak mogę ci pomóc, Brian?

— *A, tak...Chodzi o twoją nową dziewczynę, sierżant Cameron.* — Rozległ się piszczący dźwięk i tło za głową Briana zawirowało, zapewne obrócił się w swoim fotelu, stabilizując się ostatecznie na kolażu ze starych, dwuwymiarowych zdjęć, podczas gdy dzwoniący zniżył głos do szeptu. — *Cały dzisiejszy ranek nosi ją po biurze, a wygląda jak kocie gówna. Coś ty jej wczoraj, do cholery, zrobił?*

— George zidentyfikował ślady syndromu VR w dwóch zwłokach z Sherman House. Tubylców poniosło, kiedy wróciliśmy tam, by przeszukać mieszkanie ofiary.

Brian zamrugał.

— *Jak to „wróciliśmy”? Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wróciłeś razem z nią!*

— Jeśli to atak syndromu VR, to sprawa nie leży w gestii policji. Przecież wiesz.

— *Sherman House...* — Twarz Briana zadrżała. — *Słodki Jezu. Nawet moim zdaniem to wyczyn, a przecież przez cały czas byłem lekko stuknięty. Ostatnim razem, kiedy odstrzeliłem tam kilku miejscowych, mało się nie zlałem w gacie...* — Zamilkł na chwilę. — *Na pewno nic ci nie jest?*

— Straciłem Steina.

— *O Jezu.* — Westchnienie. — *Przykro mi. Dwoje w ciągu jednego tygodnia...*

Will zmienił temat.

— Do rzeczy: sierżant Cameron?

Okrągła, różowa twarz Briana zaczęła nagle zajmować coraz szerszą część ekranu, aż Hunter miał przed sobą ogromne, powiększone oko.

— *Ona nie wie, że ci to mówię, i pewnie zrobiłaby awanturę, gdyby się o tym dowiedziała, ale nie radzi sobie z tym tak dobrze, jak usiłuje udawać.*

Will pokiwał głową. Widział wyraz jej twarzy, kiedy technicy z prosektorium zabierali ciało Steina. Życie w policji nie było łatwe, ale to nic w porównaniu z tym, czemu codziennie musiała stawiać czoła Organizacja.

— *Może przekonasz ją, żeby wzięła na trochę wolne?*

— No nie wiem, Brian, ledwie wczoraj zaczęła. Jeśli odeślę ją do domu, to będzie wyglądało, jakbym uważał, że się nie nadaje.

— *Co jest ważniejsze? To, czy wyjdiesz na zasańca, czy to, żeby sobie jakoś poradziła?*

— Słuszna uwaga.

— *Wiedziałem, że zrozumiesz.* — Obraz w kamerze ukazał się pod nieco szerszym kątem, prezentując wyszczerzone w uśmiechu zębiska. — *A, a skoro już rozmawiamy, James chciałby wiedzieć, czy dasz się dziś wieczorem zaprosić na kolację?*

— Nie wiem, czy dam radę.

— *Bzdury. U mnie o wpół do ósmej. Ale tym razem przynies butelkę czegoś, co da się wypić, skąpa łajzo.* — Z pokoju za plecami rozmówcy wicedyrektora dobiegł stłumiony dźwięk i obraz ponownie zawirował, aż w końcu oczom Willa ukazała się sierżant Cameron. Niosła dwa parujące kubki. Brian wyciągnął rękę i wziął jeden z nich. — *Super, dzięki.*

— *Przyniosłam też herbatniki...*

Herbatniki? Najpierw George, teraz Brian. Może dziewczyna miała słabość do małych, grubych dziwaków?

Will pokręcił głową.

— Dam ci znać, jak to się rozwinie. — Przerwał połączenie i wrócił do papierów.

Raporty o przestępczości powinny stanowić interesującą lekturę. Wykroczenia w obszarze wysokich technologii, morderstwa, oszustwa, szpiegostwo, zniknięcia, porwania, wrogie działania. Ale agenci z podległego mu zespołu jakimś cudem zawsze potrafili sformułować je w taki sposób, że czytało się je jak instrukcję obsługi magnetofonu. Przebrnął przez tyle sprawozdań, ile zdołał bez popadania w myśli samobójcze.

Ostatnimi dwoma calami herbaty z kubka podlał najbliższą, zabiedzoną roślinę doniczkową i ruszył na czwarte piętro.

W małym pomieszczeniu nie było ani śladu po Brianie, ale sierżant Cameron siedziała za swoim biurkiem, z niezadowoloną miną wpatrując się w coś na ekranie monitora. Jej uczesanie było jeszcze modniejsze niż wcześniej. Ciasno związany kok umiejscowiony pod dziwnym kątem, by zasłonić nowy, łyśy placek. Jej kark był z tyłu pokryty warstwą świeżego dermoaerozolu, którego połyskliwie różowa powierzchnia nie pasowała do jej karmelowej skóry. Ale tym, co *naprawdę* przyciągało uwagę, był jej dzisiejszy strój. Na obrazie uchwyconym przez palcofon Briana nie wyglądał szczególnie fatalnie, ale oglądany na żywo był... trudny do zignorowania. Jaskrawy błękit poprzecinany wąskimi, świetlistopomarańczowymi prążkami, z pomarańczowymi guzikami i klapami.

Will gapił się na nią.

— Co byś dostała, gdybyś wygrała zakład?

— Co? — Obróciła się w fotelu. Miała podpuchnięte oczy, a w kącikach jej ust rysowały się zmarszczki odcisnięte na napiętej skórze, poza tym wyglądała jednak całkiem dobrze jak na osobę przebraną za butelkę pepsi, do której wlano fantę.

— Przechodziłem i postanowiłem zobaczyć, jak ci leci.

Na jej twarzy pojawił się sztuczny uśmiech. Jej oczy wcale się nie uśmiechały.

— Wszystko w porządku, panie wicedyrektorze.

— Jak twój kark?

— Strasznie swędzi... ale poza tym... — Wzruszyła ramionami, jedną ręką sięgając w stronę sztucznie różowej plamy. — Lekarz dał mi jakieś środki przeciwbólowe.

Will zamknął drzwi, a potem przysiadł na brzegu uświnionego biurka Briana.

— Wiesz — powiedział, starannie dobierając słowa — kiedy wkraczamy do jakiejś niebezpiecznej strefy, to kładziemy na szali własne życie, więc czasem stres... po prostu może wyrządzić więcej szkód, niżby się wydawało. Jeśli nie zadbasz, by mieć dla siebie trochę *czasu*, może narastać, aż w końcu naprawdę cię dopadnie. A kiedy dojdzie do tego podczas akcji w terenie, to masz duże szanse na powrót w plastikowym worku.

Niepewny uśmiech sierżant Cameron zniknął z jej twarzy.

— Z całym szacunkiem, panie wicedyrektorze, ale nie podobają mi się pańskie słowa. To, że jestem policjantką i *kobietą*, nie oznacza, że się posypię przy pierwszej okazji, kiedy wpadnę w jakieś gówno!

— Nie to miałem na myśli.

— Naprawdę? — Kąciki jej ust opadły ku dołowi. — No to co pan *miał* na

myśli?

— Przechodziłem to samo, OK? Przewinałem się już przez wszystkie możliwe poradnie i terapie. I widziałem takich, którzy woleli udawać macho, więc odmawiali pomocy. Wygłaszałem przemówienia na ich pogrzebach. — Westchnął. — Słuchaj, Jo. Chciałbym tylko mieć pewność, że nie postanowiłaś cierpieć w milczeniu, bo sądzisz, że inaczej Organizacja uzna cię za słabą. Ściągnąłem sobie dziś rano twoje akta: masz zadatki na świetną agentkę, jeśli dostaniesz taką propozycję. I jeśli nie dasz się wcześniej zabić.

Kobieta zarumieniła się. Ponownie pomasowała kark. Wbiła wzrok w dywan.

— Dzięki...

Will wskazał kiwnięciem głowy na schludną stertę wydruków piętrzącą się na jej biurku.

— Jaką robotę ci zlecili?

— Agent specjalny Alexander poprosił mnie, żebym mu pomogła przy rozwiązywaniu kilku spraw. Włamanie do Teretcor Engineering, kilkanaście przypadków nieautoryzowanego dostępu do danych w PowerCore.

Hunter zrobił niewinną minę i nie odezwał się.

— A poza tym — wskazała na hologram przyklejony do tablicy zawieszony nad biurkiem, który przedstawiał parę w starszym wieku siedzącą na kwiecistej kanapie i uśmiechającą się bez powodu, ich oczy połyskiwały jak szklane paciorki — stale wraca sprawa tej dwójki bardzo bogatych i całkowicie nieżywych emerytów. Z ich kont zniknęła masa pieniędzy. Wygląda na to, że zostali wypchani... To dziwaczne.

— Tak, wyglądają na typowych klientów Briana. — Will zerknął na zegarek: wpół do dziesiątej. — Masz tu coś pilnego?

— Nic, co nie mogłoby poczekać.

— W takim razie chodź ze mną. Jeśli mamy szczęście, to George zrobił już coś z tymi odciętymi głowami. A jeśli naprawdę nam się pofarci, zdążymy się stamtąd zmyć, zanim wygrzebie swoje zdjęcia z wakacji.

* * *

— Sierżant Cameron! Jak miło panią znowu widzieć! — Pulchny patolog cisnął na blok sekcyjny coś purpurowego i śliskiego, a potem wytarł ręce o przód swojego zielonego fartucha. — Czym mogę ci służyć dzisiejszego pięknego poranka?

Sierżant Cameron uśmiechnęła się do niego.

— Proszę cię, jeśli mamy być przyjaciółmi, musisz mi mówić „Jo”.

— Jo... — George westchnął. — Ślicznie. — Przez chwilę stał tak z rozkliwionym wyrazem twarzy. Potem mrugnął i zmarszczył brwi, jak

gdyby dopiero teraz zauważył również Willa. — Ty tu pewnie po tych ubezwłasnowolonych?

— Gdzie oni są?

Patolog pociągnął nosem.

— Widzisz, co ja muszę znieść, Jo? Żadnego „cześć”, żadnych uprzejmości, no po prostu niczego. Facet w ogóle nie wie, co to dobre maniery. — Wygrzebał z kieszeni chusteczkę i wysmarkał się w nią donośnie. — Ale znoszę to, bo jestem dżentelmenem.

Wyrzucił zakrwawione rękawiczki do pojemnika na odpady i podszedł do dużego wózka na kółkach okrytego całunem.

— Tadaaam! — George zerwał płótno, odsłaniając trzy rzędy odciętych głów. Okrywająca je skóra wciąż była pomarszczona, tak że w połączeniu ze swoimi krótko ostrzyżonymi włosami przypominały zapleśniałe, suszone śliwki, ale ich czoła były wygładzone i błyszczące. Kody kreskowe były idealnie widoczne.

Jo przykucnęła, oglądając częściowo zmumifikowane rysy twarzy ofiar, i pogładziła jedną z głów.

— Wow, jak ci się to udało?

— Ach... — Patolog puścił do niej oko. — To łatwo odgadnąć!

Will pochylił się i pociągnął nosem.

— Krem do rąk?

— Krem do rąk? — George zadarł nos. — Nie bądź śmieszny. Po co miałbym smarować ucięte głowy kremem do rąk? Krem do rąk... pfff. — Odchrząknął.

— To krem do twarzy. Smaruję ich nim od wczoraj.

— George, jesteś mistrzem. — Hunter sięgnął po leżący na blacie kuchennym czytnik. Uchwyt był ufajdany czymś czerwonym i galaretowatym, ale zauważył to dopiero, kiedy zdążył już upaprać sobie tym całe ręce. — No na litość boską...

Patolog wzruszył ramionami.

— To dżem truskawkowy. Upadła mi kanapka.

Will podał klejący się aparat sierżant „mów mi »Jo«” Cameron i poszedł umyć ręce. Zanim wrócił, policjantka badała już ostatnią z głów. Urządzenie wydało pokrępowanie pozytywne piknięcie.

Kobieta skinęła w kierunku Huntera.

— Mam numery identyfikacyjne każdego z nich.

— Dobra — powiedział, wycierając dłonie o tył kombinezonu laboratoryjnego George’a — teraz potrzebujemy ich nazwisk. Skontaktuj się ze służbami.

Powiedz im, żeby dopasowali numery do ludzi.

— Hej! — Mały patolog odrzucił połę swojego fartucha. — Naprawdę nie ma za co!

— George, wiesz, że żywię jedynie najwyższy szacunek dla twojego fenomenalnego profesjonalizmu.

— Bzdury. Jo, było mi bardzo miło móc znowu cię tutaj gościć. Wpadaj, kiedy zechcesz. — Patolog pochylił się i ucałował jej usmarowaną dżemem i kremem do twarzy dłoń, a potem odwrócił się do Willa. — A ty możesz stąd spieprzać i nigdy nie wracać.

7

Służby kontrolowały swoje działania oraz większość miasta z imponującej wieży wykonanej z betonu, różowego marmuru i zielonego szkła. Szpecąca kurzajka z lekka pokryta pleśnią.

Winda zapikała i jej drzwi rozsunęły się na boki. Dwudzieste siódme piętro: Wydział Zwalczania Przystępności — Południe. Will i Jo wysiedli z kabiny, wkraczając na luksusowy, beżowy dywan. Za nimi podążał ze skrzypieniem średniej wielkości kontener, toczący się na roztrzęsionych gąsienicach; wszyscy kierowali się w stronę długiego, niskiego biurka recepcji. Siedziało przy nim sześciu pracowników personelu. Wszyscy rozmawiali w tej chwili przez swoje palcofony, a cichy szum tych konwersacji był ledwo słyszalny dzięki funkcji tłumienia dźwięku. Kiedy wreszcie kobieta o mysich blond włosach raczyła w końcu spojrzeć w ich stronę, Will wyciągnął swoją kartę identyfikacyjną i uśmiechnął się.

— Will Hunter z Organizacji. Chciałbym pomówić z kimś z sekcji nagrań.

— Przykro mi, proszę pana, ale te linie są teraz zajęte. — Gdy zdejmowała swój palcofon, jej lewe oko przyblakło, zmieniając barwę z lśniącym zielonym na różową z wzorkiem w kształcie pajęczyny, a jej tęcza błyszczała żywą, żółtą barwą.

— Dzwoniłem wcześniej, chodzi o sprawę odciętych głów, które trzeba zidentyfikować. Mam listę numerów identyfikacyjnych, więc gdyby mogła pani...

— Przykro mi, proszę pana, nie możemy podawać żadnych szczegółów bez uprzedniej formalnej identyfikacji. Wszystkie szczątki muszą być wcześniej zarejestrowane.

Will popchnął kontener stopą.

— Dlatego też przywieźliśmy je ze sobą.

— Chwileczkę. — Recepcjonistka ponownie wsunęła na wskazujący palec niebieską, plastikową tuleję, a potem wycelowała go w swoją twarz. Jej oko ponownie poszarzało, a w jego głębi zamigotały rozbłyski. — Steve? Tu Marjory, słuchaj, jest tu jeden człowiek z Organizacji, który chce numery identyfikacyjne dla jakichś ubezwłasnowłownionych... Tak... Tak, już mu to mówiłam, twierdzi, że ma ich ze sobą... — Obróciła palec, wymierzając go w Huntera. — ...Tak, ja też tak uważałam... — Ponownie skierowała palec na siebie. — OK, dzięki Steve.

Wysunęła terminal i kazała Willowi podpisać kilkanaście różnych formularzy w trzech kopiach, a potem wezwała wytatuowanego młodzieńca, który

zabrał ze sobą kontener z głowami. Kiedy zniknął za drzwiami oznaczonymi napisem „Nieuprawnionym wstęp wzbroniony”, kobieta wskazała na niewielką strefę dla oczekujących, umiejscowioną przy sięgającym od podłogi do sufitu oknie.

— Proszę usiąść, ktoś się państwem za chwilę zajmie. — Po czym jej oko znowu poszarzało i recepcjonistka oddaliła się.

Will usadowił się na krześle, które okazało się dużo mniej wygodne, niż na to wyglądało. Jo przysiadła u jego boku. Mieli stąd doskonały widok na główny węzeł transportowy Glasgow — wahadłowce, frachtowozy, Behemoty — wszystkie transportery przemykały wte i wewte w nieustannym ruchu. Małe, jednoosobowe śmigacze śmigały w powietrzu po skomplikowanych trajektoriach, wirując i zakręcając jak stada szpaków w pobliżu ogromnego Behemota, który odczepiwszy cumy, z trudem wzbijał się do lotu w upalnym powietrzu poranka.

Dwie minuty później był już tylko odległym kształtem na tle brudnożółtego nieba.

Sierżant Cameron przeciągnęła się na swoim krześle.

— Ile będziemy musieli pana zdaniem czekać?

— Wiem tyle, co i ty.

Jo obróciła się w stronę recepcji i zrobiła rozniewaną minę.

— Wszystko, co mają do roboty, to zeskanować te kody do komputera. To takie trudne? — Zaczęła się wiercić. — Czemu po prostu nie podetknie pan tej zapyziałej krowie pod nos swojej legitymacji i nie wykorzysta swojej pozycji? Przecież jest pan cholernym wicedyrektorem sekcji!

— Nic by to nie dało. Służby kierują się własnym prawem. W ich przekonaniu to oni rządzą miastem. Wszyscy pozostali to tylko dekoracje.

— Hmm. — Jo skrzyżowała ramiona na piersi i zapadła w swoje krzesło. — A ja myślałam, że tylko nam, policjantom, nikt nie okazuje szacunku. Do dupy z takim współdziałaniem. Powiem panu tyle: gdyby to ode mnie zależało, wszystkie te dupki dostałyby po pysku za utrudnianie śledztwa. Banda skąpych, sztywniackich kretynów.

— Halo, proszę państwa — zapyziała krowa, ulubienica sierżant Cameron, machała ręką w ich kierunku. — Mogą państwo teraz pomówić z kimś z archiwum. — Wskazała na krótki korytarz położony obok pionu wind. — Boks numer trzy.

W ciasnej budce mieściły się dwa siedzenia i wąska półka przyśrubowana pod wielkim ekranem zawieszonym na ścianie. Will i Jo wgramolili się do środka i zamknęli drzwi. Trzydzieści sekund później ekran zamigotał, a potem pojawił się na nim człowiek z archiwum, którego im obiecano. Miał potężną głowę, rozwichrzoną fryzurę z przeszczepionych włosów oraz

modny tatuaż pikselowy układający się w abstrakcyjne wzorki, gdy mężczyzna przemawiał.

— *Czy to coś dłuższego? Bo za pięć minut mam telekonferencję.*

Will starał się, by jego głos nie zdradzał odczuwanej złości.

— Właśnie zarejestrowałem siedemnaście odciętych głów skazańców do identyfikacji. Potrzebuję ich nazwisk, przydziałów i odpowiadających im dat.

— *Kim pan jest?*

— William Hunter. Wicedyrektor sekcji William Hunter.

— *Fajnie panu.* — Ich rozmówca spoglądał przez moment w dół ekranu, a w głośnikach rozległ się dźwięk klikającej klawiatury. — *Chwileczkę.* — Ekran zgasł.

Jo rzuciła pod nosem wiązanekę, od której zarumieniłby się nawet markiz de Sade.

Trzy minuty później mężczyzna wrócił.

— *Czy chodzi o tych ubezwłasnowolwionych, o których, ee...* — Przerwa. Zmarszczenie brwi. — *O których dopytywała dziś rano sierżant Campbell?*

— Sierżant Cameron. Tak, o tych.

Mężczyzna na ekranie westchnął.

— *Jak już wyjaśniliśmy sierżant Campbell, nie możemy podawać tego rodzaju informacji przez telefon.*

Will zazgrzytał zębami.

— To nie my rozmawiamy przez telefon, tylko pan.

— *Czy przekazali państwo te głowy do reprezentanta działu zasobów?*

— Powiedziałem to panu już na początku, pamięta pan?

— *Dopóki nie zostaną przekazane przedstawicielowi działu zasobów, nie możemy ujawniać żadnych szczegółów.*

— Już je przekazaliśmy!

— *Rozumiem. I otrzymali państwo zawiadomienie o identyfikacji?*

— Nie, dlatego właśnie tutaj siedzimy. Chcę, żeby to *pan* powiedział *mi*, kim byli ci ubezwłasnowolwieni!

— *Przykro mi, ale nie mogę udzielać tego rodzaju informacji przez telefon.*

Jo nie była już dłużej w stanie nad sobą panować.

— Słuchaj no, ty pokraczny zasrańcu, albo wyciągniesz palec i ... — Jej tyradę przerwało piknięcie dobiegające z głośników.

— *Przykro mi, czas minął.* — Po tych słowach ekran ponownie zgasł.

— Co jest, do kurwy nędzy? — Policjantka walnęła dłonią o powierzchnię monitora, aż cała konstrukcja się zatrzęsła. — SIEDZIMY TU JUŻ CAŁE PÓŁ GODZINY! — Jo odwróciła się do Willa. — Co to za gówno?

— Pilnuj drzwi. — Hunter wyciągnął małą, płaską paczuszkę, którą trzymał w ukrytej kieszeni kurtki swojego uniformu. W środku znajdowało się pełno druczianych narzędzi, tubka kleju do metalu i zmaltretowany sprzęt do hakowania. Will wetknął jedną z cienkich metalowych blaszek w szparę między panelem kontrolnym monitora, a ścianą, po czym przekręcił. Pokrywa panelu odskoczyła, ukazując mały stelaż z czipami i kłębowisko przewodów.

— Jest pan pewny, że to dobry pomysł?

Hunter wyciągnął z tej gmatwaniny dwa druciki i przyczepił do każdego z nich złączkę przepustową.

— Większość systemów bezpieczeństwa zaprojektowano z myślą o tym, by uniemożliwić ich zhakowanie ludziom z zewnątrz. Więc jeśli chcesz się do nich włamać, spróbuj od wewnątrz...

Przy wtórce trzasków klawiatury aparatu do hakowania Will wkładał się do lokalnej sieci służb.

— Tym sposobem dużo łatwiej przełamiesz sceptycyzm programu ochronnego.

Dwie minuty i trzydzieści siedem sekund później dało się słyszeć pikanie hakerskiego ustrojstwa. Will wyszczerzył zęby.

— Weszliśmy. Kto pierwszy?

Jo zerknęła do notatek.

— S, R, myślnik, O, myślnik, dziewięć, sześć, dwa, myślnik, dziewięć, pięć, osiem.

Will wystukał kod na klawiaturze. Główny ekran pomieszczenia zapełnił się danymi osobowymi.

— Thomas Simpson, trzydzieści siedem lat. Osiem lat temu skazany za seryjne gwałty, zaginął cztery lata temu. Pracował wtedy w Brewster Towers. Następny?

— M, H, myślnik, D, myślnik, pięć, trzy, dwa, siedem, myślnik, osiem, osiem, siedem.

— Czekaj... Alison Campbell, czterdzieści pięć lat, wielokrotny zabójca. Ubezważnoglówiony trzy lata temu. Zaginął w Sherman House.

Szybko zdołali zrozumieć metodę działania Allana Browna. Mężczyzna lubił polować w pobliżu domu, wybierając na ofiary jedynie tych ubezważnoglówionych, których posyłano do sprzątnięcia czterech bloków

tworzących plac Potworności. Stosował stałą dietę złożoną z morderców i gwałcicieli. W jego kolekcji ściętych głów znajdował się nawet jeden seryjny morderca, kanibal Iain Foreshaw, mający na sumieniu siedem studentek pielęgniarstwa i dwie prostytutki. Był to adekwatnie ironiczny koniec żywota tego drapieźnika — został powalony i pożarty przez innego przedstawiciela swojego gatunku.

Na swój pokręcony sposób Allan Brown postawił się na samym szczycie łańcucha pokarmowego.

Teraz musieli już tylko odkryć, kto zabił jego.

* * *

Mop rozbryzguje brudną wodę z jednego końca ubikacji na drugi; do przodu i do tyłu, do przodu i do tyłu. Tłuste wstęgi brudu kreślą wzorki na usmarowanych kafelkach. Zapach już jej właściwie nie przeszkadza. Przeszkadzał jej, kiedy podrzucono ją tu dzisiaj rano i wypakowano, dając do ręki wiadro i mopa, mówiąc do niej jak do jakiejś tresowanej małpy:

— Wejź tam. Posprzątaj. Wróć, jak cię zawołamy. Rozumiesz? Pytałem, czy rozumiesz?

Protekcjonalny sukinsyn.

Przez chwilę myśli, żeby złapać mopa, złamać go na pół i ostrym końcem porozrywać twarz mężczyzny na krwawe, poszarpane strzępy. Wydłubać mu ze łba oczy...

Zawsze lubiła oczy. Wyglądają tak pięknie, gdy leżą na jej dłoni.

Zduszenie tego pragnienia wymaga dużej kontroli. Nie zażyła leków i ma coraz większe trudności z utrzymaniem go głęboko w ukryciu, gdzie może ono płonąć dzikim i jasnym płomieniem. Ale jakoś jej się to udaje. Kiwa głową i drepcze do wnętrza bloku jak inni potulni ubezwłasnowolowieni. Ale w jej duszy buzują pszczoły i potłuczone szkło.

Poranek upływa w odorze ludzkich odchodów i środka dezynfekującego, wspomnienia przychodzą i nikną jak odległy pokaz sztucznych ogni. Iskry są zbyt daleko, by ich należycie posmakować. Ślad tego aromatu zatarł się już w jej ustach.

Okolo południa w przedniej kieszeni jej kombinezonu rozlega się brzęczenie, więc wstaje, wlepiając w nią spojrzenie. Bzzzzzzzzzzzz. Pracowite pszczołki. Brzęczące pod potłuczonym szkłem w jej piersiach.

Głodna.

Rzuca mopa i wychodzi na zewnątrz, w słoneczny żar, w ślad za innymi skazańcami. Są tu wieprz i jego przyjaciel ze swoim jasnożółtym frachtowozem. Podłączają jej do ramienia rurkę i wtłaczają do krwioobiegu zestaw substancji odżywczych, lecz to nie łagodzi dławiącego bólu.

Potem szkaradni ludzie ponownie znikają, zostawiając ją ze szczotką i mopem.

Po południu jej myśli stają się bardziej przejrzyste. Nie ulatują już z jej głowy, więc może się na nich skupić i podążać ich tropem. *Planować.*

Największy problem to jedzenie. Jeśli zniknie, człowiek-wieprz nie będzie jej już dokarmiał.

Przestaje szorować podłogę, spoglądając krzywo na własne odbicie majaczące się w kałuży brudnej wody. Przypomina sobie pastelowo zielone ściany, skrzypiące podłogi, mężczyźni i kobiety w długich, białych fartuchach. Gdzie każdy pokój pachniał jak środek dodawany do wiader. Zapach bezpieczeństwa.

Uśmiechnęłaby się w tym momencie, gdyby tylko miała potrzebną do tego część twarzy.

* * *

— OK — powiedział Will, przepychając się przez zatłoczony hol w siedzibie Organizacji. — Co zamierzasz teraz zrobić?

— Powiesić tego zasrańca z centrali służb za jaja. — Tuż przed nimi stanęła grupka dzieci w szkolnych mundurkach, więc musieli przepychać się między tłumem emerytów, którzy przyjechali tu, by obejrzeć obraz Cézanne'a.

— Chodziło mi o śledztwo.

Jo przymrużyła oczy.

— Wiele morderstw w tej części miasta nie kończy się znalezieniem sprawcy. Tysiące potencjalnych świadków, ale nikt ci się nigdy nie przyzna, że coś widział. Na podstawie stanu zwłok uważam, że ktokolwiek to uczynił, nie był to jego pierwszy raz. Ani ostatni.

— To raczej pewne.

— Wrzuciłam dziś rano do systemu wszystkie dane z miejsca przestępstwa, a że metoda działania cholernie się w tym przypadku wyróżnia, to na pewno znajdziemy coś podobnego. — Uśmiechnęła się, a jej oczy błyszczały. — Fajnie mieć dla odmiany realne możliwości prowadzenia takiej sprawy, zamiast tylko przekazywać ją chłopakom z Organizacji... Bez urazy.

— Nie ma sprawy.

Wślizgnęli się do jednej z wind dla personelu, wciskając guzik na czwarte piętro.

— Wie pan — powiedziała Jo, gdy zamknięte drzwi odcięły ich już od hałaśliwego holu — zastanawiałam się... Ludzie mają o panu wyrobioną opinię — Oooch... — Zachwiała się, jej twarz wykrzywił grymas, a spod warg ukazały się zęby.

Will chwycił ją, nie pozwalając jej się przewrócić.

— Do diabła!

— Jesteś cała?

— Nie... — Wciąż była w jego ramionach, z zamkniętymi oczami, głęboko oddychając. Wdech, wydech.

Hunter spojrzał w dół na czubek jej głowy.

— Co to było, do cholery?

— Szykuje się następny nieboszczyk. Ktoś zaginął.

Ni stąd, ni zowąd Will poczuł się niezręcznie, być może sprawiła to zamknięta przestrzeń windy, a może bliskość biustu Jo, wspartego o jego pierś, unoszącego się i opadającego w rytmie oddechów. Niezależnie od przyczyny miał wrażenie, że robi mu się coraz goręcej, i czuł się coraz bardziej skrępowany.

Policjantka otwarła oczy i spojrzała na niego.

— Dzięki. Mają zalecenie, by wysłać nam ostrzeżenie przez komłacze, zanim zrobią transmisję. Żebyśmy zdążyli się przygotować.

Will wypuścił ją z ramion. Zrobił krok do tyłu. Odchrząknął. Włożył ręce do kieszeni, maskując swoje zakłopotanie.

— Nie ma sprawy.

— Jezu. — Jo wzdrygnęła się. — Nic nie ubarwia dnia tak skutecznie jak transponder robiący ci nagle alarm w środku czaszki. — Potarła dłonią placek nowej skóry na potylicy. — Dlaczego nie mogą po prostu wysłać tego cholernego sygnału do sukinsyna, którego akurat poszukują, naprawdę nie wiem.

— Zawsze jest tak źle?

— Po prostu mnie zaskoczyli, to dlatego. Centrala transmituje komunikat „zgłoś się, numer sześć: czas się zameldować” do wszystkich policjantów w mieście, a czip w naszych głowach robi taki rejwach, jakby to była impreza sylwestrowa. Nieważne, czy jesteś numerem sześć, czy nie. System miał być selektywny, miał aktywować tylko czip w głowie tego, kto aktualnie zaginął, ale firma IT spieprzyła instalację, a my mamy za mały budżet, żeby to naprawić. — Umilkła i spojrzała na niego, marszcząc brwi. — Wy ich nie macie?

— Nie, względy bezpieczeństwa. To by zbyt ułatwiało zdemaskowanie tajnych agentów. Organizacji nie obchodzi, czy uda się odnaleźć nasze zwłoki.

— Szczęściarze.

Winda zatrzymała się na czwartym piętrze z cichym, metalicznym piknięciem. Drzwi rozsunęły się na boki i na twarzy Willa pojawił się zawodowy uśmiech, ale jego dłonie pozostały w kieszeniach.

— No cóż... Muszę wracać do grzebania w tych fascynujących papierach. Daj mi znać, jak ci idzie rozwiązywanie tej sprawy, OK?

— Tak jest. — Policjantka zaszalutowała, obróciła się na pięcie i odmaszerowała.

Drzwi windy zamknęły się z wolna, a Will przymknął oczy i westchnął.

— Niech to szlag. — Robił się na to zdecydowanie za stary.

* * *

Wokół stołu siedzi sześć osób: dwóch mężczyzn, trzy kobiety i mała dziewczynka, wszyscy ubrani w najlepsze odświętne stroje. To dziwne, bo to żadne święto, tylko zwyczajny wtorek.

Ich stroje są schludne i czyste, koszule wyprasowane, krawaty dokładnie zawiązane, buty wypastowane, na głowach mają imprezowe kapelusze z papieru. Wszyscy się uśmiechają. Jedna, wielka, szczęśliwa rodzina. Bez żadnych kłótni. Bez wybuchów złości.

Nikt się nie rusza. Nikt się nie odzywa.

Ta cisza jest piękna.

Pełna miłości.

Z położonego obok pokoju dobiega odgłos lejącej się wody, na który nakładają się co jakiś czas dźwięki reklam VR: dropsy owocowe, rodzinna pizza Poppa Steve'a, syntetyczne mięso; pyszny, klonowany rarytas. Śpiew nie jest głośny: po prostu ktoś bawi się, pogwizdując delikatnie do taktu muzyki rozdzielającej poszczególne słowa. Gwizdże przy pracy.

W sypialni obok jest plama, dokładnie cztery litry rozlanej krwi 0 Rh minus. Kolejna plama widnieje na dywanie w przedpokoju, tuż obok szafki. Reszta krwi spływa właśnie powoli przez otwór odpływowy, pokryta pianą różowej, mydlanej piany.

Ostatnia osoba, nie mniej ważna od pozostałych, to solenizantka. Leży skulona przed terminalem VR z rękoma i nogami skrępowanymi za plecami, w jej potylicy tkwi przewód przymocowany do jej grzesznej główki. Przestała się miotać już pół godziny temu; teraz tylko leży, dygocząc i pochlipując, podczas gdy na jej siatkówkach wyświetla się solidna, wygenerowana przez komputer iluzja.

Osiemnaście lat.

Plugawa, brudna, nieczysta... cudowna...

Nie ma tyle szczęścia, co ci, którzy siedzą za stołem.

Bo jej umieranie potrwa jeszcze długi, długi czas.

8

Na zewnątrz, na dachu, upał był wprost obezwładniający. Po przejściu trzech kroków od windy na czole Willa zaperliły się krople potu. Na zachodzie zaczynały się zbierać chmury, zanosilo się na deszcz. Najwyższy, kurwa, czas. Po męczącym, ciągnącym się bez końca lecie byłoby miło przyjść tutaj i po prostu postać na ulewie. By deszcz obmył go ze wszystkiego. Ale teraz było tu jak na patelni.

Szedł szybko dachową ścieżką, zmierzając w stronę lądowiska numer dwanaście, gdzie czekała na niego porucznik Emily Brand i cudownie zimny browar.

Kobieta stała oparta o drzwi hangaru. Szary uniform zastąpiła zwyczajnym, betonowoszarym dressem, z bluzą zawiązaną rękawami wokół talii, prezentując światu jaskrawoczerwony pas żołnierski, umięśnione ramiona i szerokie bary. Widział już, jak samodzielnie wyciągała głowicę z komory uzbrojenia w Ważce, obracając ciężką raketą powietrze-ziemia, jakby była zrobiona z bibuły.

Była uosobieniem fantazji każdego szturmowca: tuż po trzydziestce, metr sześćdziesiąt osiem wzrostu, wysportowana, z silnym podbródkiem, piegami i zadartym nosem... Jej załoga uwielbiała podpuszczać nowych, podbechtując ich do hardego zachowania, mając pełną świadomość, że Emily będzie skłonna tolerować tylko pewien poziom impertynencji, po przekroczeniu którego skopie im tyłki na miazgę.

Ostatni taki delikwent skończył ze złamaną ręką, trzema wybitymi zębami i wstrząsem mózgu.

Emily może i dbała o swój wygląd, ale *nie* należało z nią zadzierać.

Will wkroczył do zacienionej przez hangar strefy. Nie było tu wcale o wiele chłodniej, ale dzięki temu, że zszedł ze słońca, nie czuł się już jak kawałek bekonu.

— Jest wpół do piątej. Gdzie obiecany browar?

Kobieta wskazała kciukiem do tyłu za swoje ramię, w stronę Ważki, którą wczoraj poleciali do Sherman House.

— Weź sobie.

Will otworzył luk w kadłubie maszyny oznaczony napisem „UWAGA: SYSTEM CHŁODZENIA SILNIKA”. Sześciopak brązowych, plastikowych puszek zawieszony między zwojami układu chłodzenia a palnikiem w domowej roboty hamaku. Znalezienie tej *optymalnej* pozycji zajęło Emily

około dwóch miesięcy. Umieść piwo za blisko zwojów, a otrzymasz kostki lodu; za blisko palnika, a komora silnika wypełni się kipiącą pianą i stopionym plastikiem.

Wyplątał z siatki dwie puszkę, rzucając jedną pani porucznik.

Emily złapała ją i przyłożyła chłodny pojemnik do czoła. Westchnęła. Przejechała nim po swoich krótko ostrzyżonych włosach i po nasadzie karku.

— Nie pamiętam, żeby lato ciągnęło się kiedyś aż tak długo...

— Zdrówko. — Will otworzył swoją puszkę i pociągnął solidny łyk zimnego, ciemnego piwa. — To już końcówka: zbliża się monsun. Mówią, że będzie tu w czwartek, najpóźniej w piątek. — Klapnął na kontener z pociskami. Poluzował krawat. — Boże... tak lepiej.

— Sam jesteś sobie winny, po co cały czas nosisz ten niedorzeczny garnitur.

— To kwestia stopnia. Trzeba „dawać przykład”.

— A przy okazji pocisz się jak świnia; do dupy z takim układem. — Oparła się o pogięty korpus Ważki i przez chwilę przyglądała się Hunterowi. — Wiesz — powiedziała w końcu — wyglądasz jak gówno.

— To dobrze. Mam wprawę.

— Możesz już przestać się w tym wprawiać, uwierz mi. Osiągnąłeś mistrzostwo w dziedzinie „wyglądania jak gówno”. Jeśli kiedykolwiek zrobią z tego dyscyplinę olimpijską, będziesz mógł reprezentować Szkocję. Masz zadatki na złoty medal.

Will pociągnął kolejny łyk i uśmiechnął się.

— Dzięki za wotum zaufania.

— Nie ma za co. — Emily skrzyżowała ramiona na piersi i wlepiła wzrok w otarty czubek swojego szarego buta. — Jak sobie radzi nowa dziewczyna?

— Jo? — Hunter stłumił piwne beknięcie. — Chyba OK. Mam wrażenie, że ta robota łączniczki jest dla niej trochę... *trudniejsza*, niż się spodziewała.

— Taa, wszyscy myślą, że to tylko splendor, bohaterstwo i medale... — Emily uciekła wzrokiem na bok. — Chcesz zobaczyć, dlaczego zestaw awaryjny wczoraj nawalił?

Pomaszerowała na drugi koniec maszyny. Will dźwignął się do pionu i ruszył za nią.

— Cholera. — W kadłubie pojazdu ziała postrzępiona dziura wielkości mniej więcej małego dziecka, ulokowana tuż obok prawego wlotu powietrza. W środku widniały porozrywane i osmalone rury, przewody i kable.

— Karoseria trochę zwolniła pocisk, ale i tak miał wystarczającą energię, by usmażyć obwody sterowników. Kompletnie rozpierdoliło cały układ, to cud,

że twoja nowa dała radę go uruchomić. — Głos Emily przycichł. — Dwie minuty wcześniej i może zdołalibyśmy ocalić Steina...

Will wpatrywał się w wyrwę.

— Co to było?

— Najprawdopodobniej jedna ze starych P-75. Pewnie ta sama, która wyrwała Floydowi kawałek ramienia. Do diabła, to musi być prawdziwy antyk.

Pomaszerowali z powrotem w stronę wejścia do hangaru, trzymając się tuż poza zasięgiem słońca.

— Zabawne, jak to się kręci, nie? — Emily włożyła parę okularów przeciwsłonecznych. — Ludzie z drużyny przed nami weszli tam i wyszli bez grama trudności. — Uśmiechnęła się. — A przecież przez całe dwa dni musieli czyścić komorę zrzutową z krwi.

— Nie musisz mi mówić. Pamiętam, jak kiedyś... — Urwał, gdy dotarło do niego, co właśnie powiedziała. — Chwileczkę, dlaczego musieli szorować komorę zrzutową?

— Mówiłam ci: była cała we krwi. Skrzepy pozatykały kratki na podłodze, a jeśli się ich szybko nie pozbędziesz, cała maszyna zaczyna śmierdzieć jak stęchła, gnijąca kaszanka...

— Nie o to pytałem. Dlaczego była spryskana krwią?

Emily wzruszyła ramionami.

— Przynieśli ją na butach z miejsca zbrodni. Porucznik Slater mówił, że mieszkanie wyglądało jak jakaś rzeźnia. Żonę i dzieciaki tego kolesia musieli zbierać gąbką.

— Ale... — Zmarszczył brwi. — Morderstwo Kevina McEwena? Mieszkanie 47-122? Dwoje drzwi od lokalu, w którym byliśmy wczoraj?

Pokiwała głową i pociągnęła kolejny łyk piwa.

— Zabił żonę i dzieci, a potem strzelił samobójca.

— Ale ja widziałem to miejsce. Było czyste.

— No i? Pewnie służby posłały tam ekipę porządkową. Pozdzierali wszystko oprócz plastikowych płyt i pomalowali. Wielkie mi halo.

Żołądkiem Willa szarpnął skurcz.

— Który agent prowadził to śledztwo?

— Chyba Brian. Co cię tak...

Ale Will włączył już nadajnik na szyi.

— Centrala, tu Hunter, gdzie znajduje się agent Brian Alexander?

— *Momencik, panie wicedyrektorze...* — Nastąpiła krótka pauza, po której nadeszła odpowiedź. — *Kieruje ekipą techniczną w Martian Pavilion razem z sierżant Cameron. Jego telefon nie odpowiada — pewnie uruchomili skanery. Mam mu coś przekazać?*

— Powiedzcie mu, że chcę go widzieć w dziale rekonstrukcji, jak tylko wróci.
— Will przerwał połączenie i cisnął w połowie niedopitą puszkę do najbliższego kosza. — Muszę lecieć. Dzięki za piwo.

— Nie ma za co...

* * *

Krew. Wszędzie. Na podłodze, na ścianach, rozbryzgana na suficie. Will szarpał się z tasiemką mocującą zakurzonych gogli VR wygrzebanych dla niego w jakimś sklepie przez jednego z techników. Dodatkową przeszkodą były staroświeckie rękawiczki, ich przewody wciąż zaplątywały się w paski przyczepu...

Mieszkanie 47-122 wyglądało zupełnie inaczej, niż je zapamiętał. Nagranie zawierało luki: rozmazane plamy sygnalizujące brak danych, spowodowane przez zakłócenia, ale prawie cała jego pozostała część była skąpana w czerwieni. Obok niego stał awatar: muskularny, wygenerowany komputerowo mężczyzna z długimi włosami, sięgającymi mu do połowy pleców; co stanowiło przykład myślenia życzeniowego albo ciężki przypadek autoiluzji. Nad głową postaci unosił się ciemnoniebieski prostokąt z napisem „AGENT ALEXANDER”.

Will ruszył do przodu i dotknął pokrytej szkarłatnymi plamami ściany, a rękawiczka zapewniła mu feedback w postaci lekkiego mrowienia, kiedy przesuwiał palcami po idealnie pikselowej ścianie.

— Jesteś *pewien*, że to właściwy lokal?

Awatar, który zupełnie nie przypominał Briana, pokiwał głową.

— Uwierz mi, takich rzeczy się nie zapomina. Fragmenty ciała porzrucane po całym pomieszczeniu, wszędzie krew. Tak, to właśnie to.

Dywan pod ich komputerowo wygenerowanymi stopami był niemal czarny od krwi, na zmechaconym materiale wciąż rysowały się odciski butów pozostawione przez ekipę techniczną. Tuż obok, przy drzwiach, leżało pod ścianą coś, co było kiedyś ojcem dwójki dzieci.

— A gdzie reszta tego typu?

Awatar Briana wskazał w dół.

— Stoisz na niej.

Właśnie w tym momencie do Willa dotarło, czym jest gruda wielkości pięści walająca się koło jego lewej stopy.

— Pięknie...

Dolna część ciała Kevina McEwena była rozbryzgnięta w środkowej części pokoju, a resztkę jego torsu udawała próg. Pani McEwen została rozsmarowana po maleńkiej kuchni, a dwójka dzieci po drugiej sypialni. Will przechodził od pomieszczenia do pomieszczenia, tak jak to robił wczoraj, kiedy odwiedził prawdziwe mieszkanie.

Jakim cudem może tu chodzić o to samo miejsce? W lokalu, który odwiedził, nie było jednej plamki. Ten był zaś wzięty prosto z taniego horroru.

Narzędzie zbrodni leżało obok sofy, w zrekonstruowanej scenie widać było rozbłyśki kontrolerek zasilania. Will przyjrzał mu się pobieżnie, a potem ruszył dalej, szukając sprzętu do VR. Leżał na podłodze, jego obudowa była pogięta i popękana, jak gdyby ktoś walił nim wielokrotnie o ścianę, dopóki całość nie zmieniła się w wielką, elektroniczną grzechotkę. Hunter schylił się i podniósł wirtualną replikę z dywanu, a przez jego rękawice przeszło mrowienie, mające niezbyt przekonująco symulować ciężar i fakturę przedmiotu. Jedne z gogli były zgięte w idealną ósemkę, ich obiektywy potłuczone, a kable powyrywane z gniazdek, z których wystawały teraz jedynie kępkę wielobarwnego, drucianego spaghetti.

Wciąż nie było wiadomo, co wywołało syndrom VR, ale jego symptomy były wystarczająco znane. W mózgu Kevina McEwena zaszły jakieś fatalne, neurochemiczne zmiany. Pewnego dnia jego jedyny sposób na oderwanie się od własnej, gównianej egzystencji — publiczne kanały wirtualnej rzeczywistości — zaczął szwankować. Być może w panelu VR przepalił się jakiś przewód, a może jedno z dzieci spróbowało wepchnąć smażonego tosta w szczelinę napędu. Nieważne. Skutek był taki sam. Kevin McEwen wypadł z mieszkania, sprawił sobie stary blaster MZ-90 i pozabijał wszystkich członków rodziny.

Will ponownie rozejrzał się po pokoju. Plamy krwi. Strzępy mięsa. Ogromne, ziejące pustką dziury w rogach pokoju, w miejscach, gdzie ściany schodziły się z sufitem, poszarpane i obojętne.

— To cholernie okropne nagranie.

— Czego się spodziewałeś? Każda ekipa techniczna traktuje swój sprzęt jak worek bokserski. Nic dziwnego, że nawala.

Will przymknął oczy i przywołał wspomnienie miejsca, które odwiedził: ciasna, skrupulatnie wysprzątana klitka, bez nawet jednej plamki na dywanie.

— Wczoraj wyglądało to zupełnie inaczej.

— Naprawdę przydałby się nam nowy sprzęt dla techników. Może mógłbyś to obgadać z tą karlicą z piekła rodem? Żeby kupiła coś, co będzie naprawdę działało?

— W tym miejscu nie było jednej plamki.

— Cóż, a tak wyglądało w niedzielę, kiedy zbieraliśmy nieboszczyków: świeżo udekorowane „wnętrznosciową czerwienią”. James mało nie zemdłał, kiedy zobaczył, w jakim stanie są moje ciuchy. — Awatar Briana wzruszył ramionami. — Może służby wszystko pozmiały? No wiesz, szybka renowacja, żeby lokal był gotów na przyjęcie kolejnych biednych sukinsynów.

— Jeśli tak było, to wykorzystali tę samą tapetę. Na ścianie widać było odciski w miejscach, gdzie kiedyś wisiały obrazy.

— Neee, spójrz tylko. Nie ma mowy, żeby ktokolwiek dał radę usunąć to gówno ze ścian. Te plamy są tu już na amen. Musiałeś być w innym mieszkaniu.

Will zdjął gogle i miejsce zbrodni zniknęło, a zastąpił je bladobeżowy pokój.

— Tylko pod warunkiem, że na czterdziestym siódmym piętrze są dwa mieszkania numer 122.

Brian siedział w kącie, jego oczy mieniły się mlecznoszarą barwą.

— Nawet jeśli to było to samo miejsce — chociaż wcale nie mówię, że było...

— Podniósł rękę i wyszarpnął wtyczkę z portu zainstalowanego w podstawie czaszki. — Ale jeśli było, to po co ktoś miałby się wysilać i starać, by wyglądało jak lokal zamieszkały od długich lat?

— Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

* * *

Wystrój biura dyrektor Smith-Hamilton miał pewnie prezentować „stonowany, kierowniczy szyk”, ale według Willa wyglądało ono jak knajpa stylizowana na Marsa. Ściany były wyłożone polerowanym brązem, ręcznie wytwarzane nity pokrywała delikatna patyna. Na dywanie utrzymanym w tonacji głębokiej ochry stały zmodyfikowane genetycznie rośliny doniczkowe, których sztucznie zaprojektowane liście tworzyły oazę zieleni i czerwieni pośród tej lśniącej pustyni. Dyrektorka siedziała na fotelu o wspaniałej, skórzanej tapicerce, za biurkiem z piaskowca, wystarczająco ogromnym, by mogło się na nim zdrzemnąć sześć osób, i bawiła się wysokim na sześćdziesiąt centymetrów hologramem Marsa.

— Przykro mi, Williamie, ale to nie wchodzi w rachubę — powiedziała, przekręcając planetę na bok. — Zrobiliśmy już i tak za dużo nalotów na Sherman House. Zobacz, do czego doszło wczoraj!

Hunter powiercił się na krześle i po raz trzeci spróbował wyjaśnić sytuację.

— Ale...

— Odczekaj parę tygodni, aż się uspokoi. Niech miejscowi wrócą do swojego codziennego trybu życia. Wtedy możemy pomyśleć o małej wyprawie, takiej,

podczas której obejdzie się bez strzelaniny.

— W Sherman House na sto procent coś się kroi. Mamy dwa potwierdzone przypadki syndromu VR oraz znikające miejsce zbrodni. W mieszkaniu numer 47-122 była *jatka*, kiedy ekipa agenta Alexandra zabierała pierwszą porcję zwłok, ale trzy dni później...

— Było czyste. Wiem, mówiłeś. — Przez chwilę pocierała grzbiet nosa. — Słuchaj, Williamie, pokój będzie na swoim miejscu niezależnie od tego, czy wrócisz do Sherman House dzisiaj, czy w przyszłym tygodniu. Nie ma sensu ryzykować życiem dla marnych kilku dni.

— Ale...

— Rozumiem twoją potrzebę roszyfrowania tej zagadki i podziwiam twoją determinację, ale nie zmienię decyzji. — Odepchnęła hologram i wstała, spoglądając na niego ze zmarszczoną miną. — Dopóki sytuacja w Sherman House nie ulegnie stabilizacji, nie będzie kolejnych nalotów z Organizacji. Zrozumiano?

Will westchnął.

— Tak jest.

— To dobrze. — Niezadowolona mina ustąpiła miejsca promiennemu uśmiechowi. — Cieszę się, że przeprowadziliśmy tę rozmowę, Williamie. Tak rzadko zdarza się nam omawiać bieżące śledztwa. Powiedz mi... — Wykaraskała się zza biurka, chwyciła go za ramię i odprowadziła do drzwi. — Jak idzie sierżant Cameron?

— Sierżant Cameron radzi sobie OK.

— Świetnie. No to nie będę ci zabierała więcej czasu. — Po czym zamknęła drzwi.

Will policzył do dziesięciu i dopiero wtedy wybuchnął przekleństwami.

* * *

— Cholerni zasrańcy! — Człowiek-wieprz patrzy spode łba w niebo, jakby to sam Bóg obsrał mu tył kombinezonu. Rozbryzgnięta, śmierdząca plama utrzymana w szaro-białej tonacji.

Jego partner szczyrzy zęby.

— Nie wiem, czego jęczysz. Na tobie wygląda OK.

— Pierdolone ptaki... — Świński Ryj wpycha kolejnego skazańca do następnej przegrody w naczepie frachtowozu. Ubezwłasnogłowiony potyka się i pada na brudną, metalową podłogę jak wór ziemniaków.

— Wstawaj, ty pieprzony przygłupie! — Świński Ryj kopie leżącą postać. Samym czubkiem buta. Wyładowuje swój gniew na kims, kto nawet nie jest w stanie krzyknąć z bólu. Tylko dlatego, że mewa zrobiła to, co mewy

zawsze robią...

I właśnie wtedy kobieta postanawia go zabić.

Pieprzyć leki. Podoba jej się brzęczenie pszczoł i trzask tłuczonego szkła.

Po cichu wychodzi ze swojej ciasnej przegrody i klepie go po ramieniu.

Człowiek-wieprz odwraca się, jego spasiona twarz jest napuchnięta i nabiegła krwią. Oczy błyszczą w niej jak piękne, czarne opale.

— Czego, kurwa? Co? WRACAJ DO SWOJEJ PIERDOLONEJ PRZEGRODY! — Bierze zamach pięścią. Jest wielka, chropowata i ohydna. Tak jak on.

Jej pierwsze uderzenie dosięga go między nogami: silny cios kolaniem, który miażdży mu lewe jądro. Zgina się wół, próbując złapać oddech, a z jego rozdziawionych ust skapuje wstęga śliny. Kobieta chwytą go za potylicę i *mocno* popycha głowę, waląc jego twarzą o metalowy róg pustej przegrody. Męczyzna charczy, ze szczątków jego nosa bryzga strumień czerwieni, jak z otwartej butelki szampana. Na powierzchni metalu pozostają małe klejnociki zdartej skóry. Trzy zęby walają się na podłodze.

Pięknie.

Kobieta wkręca mu palce we włosy i ponownie tłucze jego głowę o narożnik. I jeszcze raz. I znowu.

Całe jego ciało wiotczeje, ale to jej nie powstrzymuje. Łup, łup, łup — aż rysy twarzy człowieka-wieprza zmieniają się w krwawą miazgę. Nic nie zostaje.

Ktoś mówi:

— O Jezu, Boże... — i kobieta spogląda do góry.

To partner Świńskiego Ryja, szkaradny łysol kierujący frachtowozem. Stoi przy tylnym włączniku pojazdu, to rozdziawiając, to zamykając swoją głupią, moką gębę.

— Ale... Jak... Steve? — Potem robi coś bardzo, bardzo głupiego: wchodzi do przyczepy.

Kobieta puszcza włosy człowieka-wieprza i jego ciało wali się na podłogę z mokrym chlupotem. Ciemnowiśniowa kałuża rozplywa się po odrapanej żółtej nawierzchni.

Szkaradny typ zamiera, widząc, jak krew jego przyjaciela obmywa mu buty.

— O Boże... — Jego twarz blednie, wytrzeszcza oczy jak zaskoczona rybka w akwarium, zakrywając usta dłonią. Potem zatacza się raz i drugi, po czym cały się obrzyguje.

Kobieta czeka, aż skończy wymiotować, a potem rozwała mu głowę.

Nic szczególnego. Nic osobistego. Po prostu zwyczajna, mechaniczna

śmierć.

Jego ciało wciąż podryguje, kiedy kobieta wybiera jedną ubezwłasnowłowioną, mniej więcej tego samego wzrostu i budowy ciała co ona, i wyciąga ją z grupy zebranej w ładowni frachtowozu. Rozebranie jej to łatwizna — choć pomarańczowo-czarny kombinezon cuchnie zwietrzałym potem — po czym wkłada na nią swoje własne ubranie, uważając, by zbytnio nie pokrwawić swojego nowego stroju.

Patrzy jej w oczy, starając się dostrzec jakieś oznaki życia. Jakąś iskierkę, która zdradziłaby, że gdzieś tam w środku wciąż jest człowiek... Ale widzi tylko znajome, obojętne spojrzenie kogoś, kto odszedł i nigdy nie wróci. Więc okazuje litość.

Klepie ubezwłasnowłowioną po policzku, po czym rozwała lewą stronę jej twarzy ciężkim, metalowym kluczem. Zmieniając kod kreskowy w potłuczoną masę poszarpanych tkanek i pokruszonych kości.

A potem zabiera się za pozostałe przegrody, odwiedzając swoich współskazańców. Litościwie dobija ich wszystkich, jednego za drugim. Nawet nie mrugają.

Piętnaście minut później frachtowóz rozbija ścianę wiaduktu Connelly Memorial. Wali się na odległą o 16 metrów, rozpościerając się niżej drogę szybkiego ruchu, zabijając wszystkich pasażerów autobusu, który przejeżdżał właśnie przez ten odcinek jezdni. Piękna, ognista kula z bursztynu i złota. Zapach skwierczącej skóry i wytapianego łoju. Pszczoły i potłuczone szkło.

Gdy pierwsze jednostki porządkowe docierają na miejsce, po kobiecie dawno nie ma już śladu.

9

Wtorkowy wieczór był parny i nieprzyjemny — zapowiadane deszcze były zwodniczo blisko, ale na razie Glasgow dusiło się w spiekocie. Siedząc samotnie w swoim biurze na szóstym piętrze i wyglądając przez okno na rozedrgane w upalnym powietrzu ulice, Will pograżył się w rozmyślaniach. Wszyscy inni pracownicy z jego zmiany całe godziny temu zmyli się do domów, ale on został, wciąż obsesyjnie roztrząsając wszystko, co zdarzyło się w mieszkaniu 47-122 w Sherman House.

Zdażył już z tuzin razy sprawdzić zapisy skanera. Przejrzał nagrania z sierżantem Slaterem. Dwukrotnie. Z całą pewnością chodziło o to samo miejsce. Kevin McEwen wrócił do domu w niedzielę wieczorem i rozwalił swoją żonę i dzieci na małe kawałeczki. Skąpał mieszkanie we krwi.

Więc jakim cudem dwa dni później wyglądało, jak gdyby do niczego tu nie doszło? Służby całe miesiące nie zaglądały na czterdzieste siódme piętro Sherman House — to też sprawdził.

Lecz *ktoś* zaglądał...

Na tle gęstniejących chmur błysnęło światło — w jednej z potężnych szorowaczek odbiły się promienie słońca. Tony zardzewiałej maszynarii wiszącej nad ulicami i domami, połyskujące jak wielgachny, brudny balon.

Will opuścił rolety.

Dyrektor Smith-Hamilton miała rację: nie mogli posłać tam następnej drużyny. Tubylcy byli narwani, nawet gdy nie mieli powodów do niezadowolenia, ale trzy wizyty w ciągu trzech dni sprawiły, że tylko czekali, by eksplodować. A Hunter *naprawdę* nie miał ochoty zostać człowiekiem, który podpali lont.

Ale chciał wiedzieć.

Wrócił więc do strefy rekonstrukcyjnej i ponownie zabrał się do przegłądania nagrań. Musiało tu być coś, co wcześniej przeoczył.

* * *

Pierwszy wieczór jest trudny: kuli się we wnękach bram, robiąc wszystko, co w jej mocy, by nie rzucać się w oczy. Unika dropsiarzy i miglanców. Fakt, że to dzieci, wcale nie czyni ich mniej niebezpiecznymi — są non stop nabuzowani i naładowani bojowymi prochami. Polują w stadach, poszukując świeżego mięsa.

Znajduje bezpieczne miejsce, gdzie może przeczekać, w pobliżu wejścia serwisowego, za parą osadzonych na kółkach przemysłowych koszy na

śmieci, z których ulatnia się ciemny, mięsisty smród. Napis „UWAGA — ZAGROŻENIE BIOLOGICZNE” jest całkiem odrapany i złuszczony. Na razie pszczoły umilkły, ich skrzydełka wciąż lepią się od krwi Świńskiego Ryja i jego kumpla. Są tłuste i zadowolone. Kobieta zapada w drzemkę, starając się nie zwracać uwagi na głód i pragnienie...

Kiedy w pobliżu pojawia się jaskrawożółty frachtowóz administracji miejskiej, błękit nieba zdążył już ustąpić miejsca ciemnopomarańczowej barwie, a latarnie sodowe zalewają wszystko swoim chorym światłem.

Lampy alarmowe frachtowozu błyskają, kiedy podjeżdża tyłem do głównego wejścia, następnie z kabiny wysiada jakiś człowiek i obchodzi cały pojazd, by dotrzeć do tylnych drzwiczek. Przez chwilę mocuje się z nimi, po czym wyprowadza swoich pasażerów na obskurne podwórko i ustawia ich w szereg, gotowych do pracy. Ubezwłasnogłowieni z poprzedniej zmiany wychodzą drzwiami szpitala, a mężczyzna ładuje ich do pustych przegród. Potem odjeżdża.

Kobieta wychodzi zza pojemnika na śmieci i dołącza do szeregu. Nie spogląda na szyld z napisem „SZPITAL GLASGOW ROYAL INFIRMARY” — to byłoby podejrzane. Ubezwłasnogłowieni nie przejawiają żadnego zainteresowania tym, co ich otacza.

Jest trochę brudniejsza od pozostałych, a jej kombinezon cuchnie, ale znudzony nadzorca w biało-zielonym stroju zdaje się tego nie zauważać. Kieruje ich po prostu wszystkich do wewnątrz przez bramę serwisową i zaczyna rozdzielać zadania na ten wieczór.

Minęło sześć lat, od kiedy była tu po raz ostatni. To właśnie tutaj przepołowiono jej twarz, usunięto piersi, zaszyto otwory ciała i usmażono mózg, ale wcześniej bywała w tym miejscu niemal każdego dnia. To stąd wie, że będzie tu bezpieczna.

Pracowała tu i polowała. Zna ten budynek, wie, gdzie dostać to, czego potrzebuje.

Substancje odżywcze podawane dożylnie pacjentom w śpiączce mają prawie identyczny skład jak te, którymi karmi się ubezwłasnogłowionych. Nie zapewnią jej tyle samo energii, ale zawsze może wspomóc się suplementami. Musi jedynie dostać się do centralnego magazynu.

Kiedy nadzorca odwraca się do niej tyłem, kobieta ulatnia się, zabierając mopa i wiaderko na kółkach, by służyły jako kamuflaż. I tak nikt nie dostrzega ubezwłasnogłowionych: są niewidzialni.

Przesuwa się w stronę wnętrza budynku, popychając przed sobą wiaderko.

Prawie nic się tu nie zmieniło. Ściany wciąż są pomalowane w dwa odcienie instytucjonalnej zieleni, wszystko dalej śmierdzi zwietrzałym potem, gnijącym kalafiolem i tanimi detergentami. Te małe korytarze ciągną się

całymi milami, wijąc się we wszystkich kierunkach. Pralnia, wywóz śmieci, recykling protein, spalarnia...

W pogruchotanej pamięci kobiety pojawia się twarz: Gordon Waugh. Długie włosy, wysokie czoło, piercing. Krzyczał i błagał, kiedy go biła, kwilił, gdy wraziła mu nóż w brzuch, skwierczał i trzaskał, kiedy wrzuciła go do pieca...

Dziwne. Potrafi przywołać wszystkie te obrazy, ostro, wyraźnie i doskonale, lecz nie potrafi sobie przypomnieć nawet swojego własnego imienia.

Zatrzymuje się przed drzwiami z napisem „MAGAZYN ZAUTOMATYZOWANY: NIEUPRAWNIONYM WSTĘP WZBRONIONY”. Zamek elektroniczny wygląda na nowy. Wyciąga rękę i delikatnie muska przyciski opuszkami palców, czując, jak odskakują pod jej dotykiem jak sztywne, szare sutki. Wyświetlacz mówi „WPROWADŹ HASŁO”.

Hasło.

Kobieta nieruchomieje na moment. Słucha.

Dwa głosy mówiące z silnym akcentem z Fife kłócą się gdzieś obok w podziemnych korytarzach. System wentylacyjny huczy. Instalacja wodno-kanalizacyjna bulgocze i zgrzyta. Poza tym jest sama.

Może powinna pójść kogoś poszukać? Kogoś samotnego. „Namówić” tę osobę, by podała jej hasło. Naciąć ostrożnie jej skórę i zdzierać ją, jak...

Zamyka oczy i wzdraga się. Pszczoły wracają, głośne i natarczywe. Głodne.

W magazynie są leki, które pomogą jej nad nimi zapanować. Rozjaśnią jej w głowie.

Ale najpierw musi dostać to hasło.

Z drugiej strony korytarza dobiega ją jakiś dźwięk: głosy z Fife są coraz bliżej. Wyprostowuje się gwałtownie, szukając jakiejś kryjówki. I wtedy przypomina sobie, czym jest: nikt nie widzi ubezwłasnowłownionych. Kiedy dwóch mężczyzn wyjdzie z za zakrętu, musi jedynie złapać za mopa i szorować nim po podłodze.

— Nie, *wcale nie*.

— Właśnie, że *tak!*

— To *niemożliwe*. Jama otrzewnej jest po prostu za *mała* na całego melona!

— *Wcale nie!* — Przechodzą tuż obok niej.

Kiedy ich śpiewne głosy giną w oddali, kobieta puszcza mopa na podłogę i ponownie kuca przed elektronicznym zamkiem.

Ze zmarszczonymi brwiami wpatruje się w klawiaturę. Jej palce drgają.

Wracają do niej na wpół zapamiętane kształty — nie numery ani litery, tylko wzorce ruchowe. Pamięć zapisana w mięśniach i kościach. Zamykając oczy,

kładzie palce na klawiszach i pozwala, by same znalazły właściwą kombinację.

Rozlega się ciche piknięcie i kobieta otwiera oczy. Komunikat na wyświetlaczu zmienił się z „WPROWADŹ HASŁO” na „HASŁO PRZYJĘTE”. Nie usunięto jej starego kodu dostępu. Fuszerka.

Wchodzi do środka, zamykając za sobą drzwi.

Pomieszczenie rozpościera się pod budynkiem, jak ogromny las pólek i stojaków ciągnących się hen w dal. Automatyczne chwytaki poruszają się między alejkami, transportując i donosząc wszystko, co konieczne, by zapewnić funkcjonowanie jednego z największych szpitali na świecie. Metalowe ramiona wykładają swój ładunek na liczne stoliki na kółkach, porozstawiane po całej gigantycznej sali; to balet stali i środków farmakologicznych, tańczony w rytm cichych kliknięć i szumów maszynerii. To piękne.

Nie potrzeba tutaj udziału człowieka: maszyny uzupełniają zapasy na półkach za pośrednictwem dostaw z podziemnej stacji dronów, maszyny kontrolują stan zaopatrzenia, maszyny transportują leki na górę, do poszczególnych oddziałów, na sale operacyjne, do kostnicy i do kantyny.

Piękny, mechaniczny świat, w którym ona jest jedyną żywą istotą.

Odnalezienie toreb z odżywką dla pacjentów w śpiączce zajmuje jej prawie godzinę. Leżą w dalekim kącie, wciśnięte między całe akry papieru toaletowego a stojaki z dermoklejem. Rozdziera jedno z pudeł, wyciąga z niego spłaszczony pojemnik w kształcie meduzy i zrywa banderolę, obserwując, jak worek wypełnia się wszystkimi elementami, których ona potrzebuje, by przeżyć. Minutę lub dwie potrwa, zanim mieszanka osiadzie i się wyklaruje. W tym czasie kobieta wygrzebuje rurkę do wkłucia dożylnego, by przyczepić ją do wenflonu w swoim ramieniu.

W miarę jak płyn uwalnia się do jej krwioobiegu, tępy ból w tyle czaszki zaczyna ustępować, ścisk w gardle słabnie, a burczenie brzucha cichnie — mimo że w rzeczywistości nic nie zjadła. Zamyka oczy i na moment odpływa. Szczęśliwa.

Chwytając kolejną paczkę ze stosu, wspina się na ścianę z rolek papieru toaletowego i mości sobie małe legowisko pod wiatrakiem wentylacyjnym. Otoczona przez ochronny mur supermiękkich chusteczek higienicznych podłącza sobie drugie opakowanie i układa się do snu. Po raz pierwszy od sześciu lat jest jej wygodnie. Czuje się bezpiecznie.

Ma jeszcze przed sobą wiele do zrobienia, ale na razie wystarczy jej odpoczynek.

10

— A więc to tu się chowasz.

Will zerknął spod swoich gogli do VR. Porucznik Brand, ubrana w następny cementowoszary dres, w stylu miejskiego kamuflażu, opierała się o ścianę strefy rekonstrukcyjnej. Tyle że tym razem nie było jej widać biustonosza.

— Nie chowam się.

— Akurat. Siedzisz tu przez cały ranek, ucharakteryzowany na jakąś kreaturę z kronik filmowych. Gogle i rękawice? Cholerny z ciebie zacofaniec. Czemu nie zainstalujesz sobie portu, jak normalni ludzie?

Will pokazał jej środkowy palec.

Emily wzruszyła ramionami, westchnęła i wskazała na terminal pomieszczenia. Tkwił w nim masywny dysk dowodowy ze skanami z mieszkania 47-122, terkoczący i chroboczący w miarę jak komputer przetwarzał zawarte na nim dane na trójwymiarowe obrazy.

— To twoja komnata tajemnic?

— Może rzucisz okiem i powiesz mi, co myślisz?

Kobieta rozwinęła zainstalowany na ścianie przewód, chuchnęła na malutkie, złote złącze, wypolerowała je rękawem, sprawdziła jego czystość, następnie wyszukała opuszkami palców port zaimplantowany poniżej potylicy i zastygła na chwilę w bezruchu tuż przed podłączeniem się do komputera.

— Skoczysz potem na lunch?

Will pokiwał głową.

— Zgoda.

* * *

Słowny był z niego człowiek. Trzydzieści minut później siedzieli w kantine, wcinając zapiekankę ziemniaczaną. Przejrzeli razem głębokie odczyty skanów, a także przeanalizowali zapisy wąskopasmowe i infradźwiękowe; przeprowadzili nawet symulacje, by móc ustalić porządek zdarzeń. Wszystko to i tak nie zdołało wyjaśnić, dlaczego wygląd mieszkania 47-122 zmienił się tak bardzo w ciągu kilku dni.

— No więc — Will wyłowił kawałek klonowanej jagnięciny z góry zapychających ziemniaków i cebuli piętrzących się na jego talerzu — co sądzisz?

— Musimy tam wrócić. Jeśli to miejsce zostało przerobione, tak jak mówisz...

— *Zostało.*

— To dzieje się coś odjechanego.

Spojrzał na nią.

— Odjechanego?

— Nie moja wina, że jesteś skamieliną z dawnych czasów.

— No tak... — Zapakował do ust kolejny kęs. — Sherman House jest poza naszym zasięgiem. Królowna Śnieżka zakazała wszelkich nalotów na przynajmniej dwa tygodnie. Jeśli wrócimy tam z inną drużyną, wywołamy rozruchy.

— Więc nie weźmiemy drużyny. — Emily rozejrzała się pospiesznie po zatłoczonej stołówce, a potem zniżyła głos do szeptu. — Powiedziała *żadnych nalotów z Organizacji*. Ani słowem nie zakazała, żebyśmy ty i ja odwiedzili chorego znajomego, który akurat przypadkiem tam mieszka.

— Chorego znajomego?

— Zaufaj mi, jeśli nas nie złapią, to nie będziemy musieli się wdawać w żadne szczegóły. Możemy podjechać pojazdem komunikacji miejskiej z Pawilonu. — Pomachała w jego kierunku nożem, mówiąc z pełnymi ustami.

— Lepiej się przebierz, w tym małym garniaku będziesz tam pasował jak wół do karety. Jedziemy dziś wieczorem, co powiesz na wpół do piątej?

— Właśnie załatwiłaś sobie randkę.

Emily uniosła brwi, ale nic nie odpowiedziała.

Na stół padł nagle jakiś cień i Will obrócił się, by ujrzeć sierżant Cameron w kanarkowo żółtym wdzianku, a krok za nią gramolił się Brian.

— Ach, tu jesteście — powiedziała, w jej oczach błyszczały refleksy padającego z góry światła. — Nie zgadniecie, co mamy. Udało nam się zidentyfikować ubezwłasnowłoniętego, który zniknął z ubikacji w Sherman House!

— Wydusiłaś coś ze służb? — Will był pod wrażeniem. Całkiem zapomniał o porzuconym mopie i wiaderku na kółkach. — Kto to był?

— A poza tym — jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech — ustaliliśmy metodę działania wykorzystaną podczas morderstwa naszej ofiary. Nie uwierzy pan...

— Ciiiiii! — przerwał jej Brian. Opadł na krzesło obok Willa. Zaginiony skazaniec miał numer S, H, myślnik, O, ukośnik, D, myślnik, jeden, zero, dwa, osiem, sześć. Trup z kibla został zabity w taki sam sposób, jak jej pozostałe dwadzieścia siedem ofiar...

— O Boże... — Widelec wysunął się z ręki Huntera, ślizgając się po blacie i rozsiewając drobne kropelki marynowanego soku z buraczków. Jak rozprysnięta krew. — Ona wciąż jest gdzieś na wolności...

Brian pokręcił głową.

— Nigdzie jej nie ma, Will. Nie żyje. Frachtowóz, który wiozł ją z powrotem do przechowalni, spadł wczoraj wieczorem z wiaduktu Connelly Memorial. Z wysokości piętnastu metrów walnął w tył jakiegoś autobusu. Nikt nie przeżył. — Zamilkł na chwilę. — To, co z niej zostało, leży na bloku sekcyjnym w miejskiej kostnicy, jeśli chcesz się z nią zobaczyć.

Porucznik Brand pochyliła się nad blatem stołu i ujęła Huntera za rękę.

— Wszystko w porządku?

Sierżant Cameron postawiła tablet na stole, zdjęcia z ubikacji Sherman House zaczęły rozbłyskiwać i znikać jak jakiś makabryczny pokaz slajdów.

— To klasyczny przykład morderstwa wzorowanego na innym. Sprawca dowiaduje się, kim ona jest, a potem śledzi ją przez kilka tygodni, dopracowując swoją fantazję i czekając na odpowiednią okazję. Prawdopodobnie kazał jej oglądać, jak masakrował Allana Browna.

— Zdawała się nie przejmować faktem, że nikt inny nie widział w tym powodu do świętowania. — W tej chwili trwa sprawdzanie przeszłości załogi tego frachtowozu. Założę się, że któryś z jej członków miał w przeszłości zaburzenia psychiczne. No wiesz, załatwił sobie tę robotę, żeby móc pracować z mordercami i gwałtocielami, czekając na okazję, by stać się kimś takim samym jak oni.

Will poderwał się na nogi. Pomieszczenie zaczynało pulsować. Gorąco. Ciężko oddychać. Poczucie lepkości w ustach i smak mięsa. Żółć.

— Muszę wyjść na powietrze...

* * *

— Lepiej ci? — Porucznik Brand oparła się o barierkę.

Will wyprostował się, wytarł dłonią wargi i wzruszył ramionami. W ustach czuł gorzki smak wymiocin.

— Nie bardzo.

Lądowiska były puste, na dachu siedziby Organizacji nie było nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak zwraca połowę porcji zapiekanki prosto na chodnik. Brian został w środku, wynajdując jakieś zajęcie dla sierżant Cameron, by nie wchodziła nikomu w drogę.

Na dachu panowała duchota, popołudniowe powietrze ciążyło mu, jakby ktoś przejechał po nim żelazkiem. Unosząca się nad miastem warstwa chmur gęstniała, ciemniejąc i nabierając złowrogiego charakteru. Groziła

tym, czego wszyscy tak rozpaczliwie pragnęli: końcem straszliwego upału.

Will wczepił się w barierkę i patrzył w dal, nie mając pewności, czy znowu nie zbierze mu się na wymioty.

Poczuł łagodny dotyk na swoich ramionach.

— Chcesz o tym pogadać?

— Nie. — Westchnął. Powiódł spojrzeniem po spieczonym mieście. — Minęły już lata, odkąd myślałem o niej po raz ostatni... Z wyjątkiem rocznic, urodzin, Bożego Narodzenia, no wiesz, tego typu okazji. — Potarł palcem cienki pasek bladej skóry znajdującej się w miejscu, gdzie kiedyś nosił obrączkę. Odchrząknął. — Kiedy Brian powiedział, że metoda działania się zgadza... Wiem, że od sześciu lat czyściła kible i zamiatała ulice, ale była ubezwłasnowłowiona. Rozumiesz, o co mi chodzi? Tak naprawdę to już umarła. A tu nagle proszę, bang! Powrót do punktu wyjścia.

Przez chwilę stali w milczeniu, opierając się o barierkę, ignorując rozciągający się w dole widok.

Wreszcie Will wyprostował się.

— Chcę ją zobaczyć.

— Dobry pomysł — tutaj i tak śmierdzi rzygami. — Emily wzięła go pod rękę i skierowała się w stronę wind. — Co powiesz na to, żebyśmy się dziś wcześniej urwali? Nawalimy się w jednej z tych zajebistych knajp dla burżujów. Wystraszymy kilku bogatych próżniaków naszymi nieokrzesanymi żartami ludu pracującego.

— Myślałem, że idziemy odwiedzić twojego chorego znajomego.

— Nie da rady. — Emily wcisnęła guzik na poziom stacji transportu miejskiego. — Musisz to z siebie wyrzucić. Dopóki tego nie zrobisz, będziesz niebezpieczny. Dziś wieczorem idziemy się urznąć. Odwiedziny zaczekają do jutra.

* * *

Główny patolog szpitala Glasgow Royal Infirmary ponownie sprawdził ich legitymacje, mimo że strażę zdążyły zrobić to już trzykrotnie, zanim dostali się przed jego oblicze. Wysoki, chudy, z haczykowatym nosem i grzywą siwiejących, rudych włosów, wyglądał jak postać wyjęta prosto z baśni braci Grimm.

Szpitalne prosektorium było ogromne, z czterech stron otaczały je ściany wypełnione wnękami na zamrożone zwłoki. W środku lśniło kilkanaście stołów do sekcji, wyspa z nierdzewnej stali w morzu spękanych, szarych kafelków. Na większości z nich leżały ciała, uważnie krojone przez techników od sekcji zwłok.

Kiedy główny patolog uznał wreszcie, że Will, Brian i Emily rzeczywiście są

tymi, za których się podają, oddał im legitymacje, skinął głową, po czym wpisał numer sprawy do terminala, wystukując go swoimi długimi, delikatnymi palcami.

Taśmociąg wyszukał w otaczającej ich gigantycznej kolekcji pojemników z ciałami ten właściwy, kładąc metalowy sarkofag na pustym stole.

Patolog zmarszczył nos.

— A teraz lepiej wstrzymajcie oddech. — Szarpnął zaczepy, odsłaniając coś, co wyglądało jak rozgotowana półtusza wieprzowa poprzetykana kawałkami stopionego plastiku. Odkaslnąwszy lekko, patolog podniósł metalowy wskaźnik i zaczął swój monolog.

— Czaszka wykazuje ciężkie uszkodzenia strukturalne, podobnie jak obydwie ramiona i górna część tułowia. — Wykorzystując wskaźnik, przekręcił przełącznik służący do obracania ciała. — Jak widać, większa część naskórka uległa zwęgleniu w ekstremalnie wysokiej temperaturze. Spowodowało ją bez wątpienia pęknięcie zbiornika paliwowego autobusu wywołane siłą uderzenia. Pierwotna przyczyna śmierci to uderzenie tępym narzędziem zadane w czaszkę. Zgon nastąpił prawdopodobnie od razu po zadaniu ciosu. Do pozostałych uszkodzeń doszło niemal z pewnością post mortem.

Will spojrział na grillowane ludzkie szczątki i powstrzymał drżenie ciała. Stan zwłok uniemożliwiał rozpoznanie denatki.

— Jest pan pewien, że to ona?

Patolog wskazał na zwęgloną głowę.

— Jak państwo widzicie, kod kreskowy na czole stał się nieczytelny na skutek siły uderzenia i uszkodzeń wywołanych przez ogień, ale... — Wyciągnął spod stołu czytnik i przejechał nim nad stopionymi resztkami kombinezonu. Urządzenie zapikało, kiedy przesunął je nad tym, co zostało z kieszeni na piersi. — Czip identyfikacyjny jest wciąż sprawny. Zawiera ten sam numer co kod na czole.

Przekręcił czytnik, pokazując Hunterowi jego wyświetlacz.

— PRÓBKA 4: ID: SH-O/D-10286.

Will poczuł suchość w ustach.

— DNA?

Patolog uniósł brwi.

— W autobusie rozbitym przez frachtowóz było sześćdziesięciu dwóch pasażerów, panie Hunter. — Jego koścista ręka zakreśliła łuk, wskazując na ogromną liczbę zamrożonych pojemników z ciałami. — A to tylko dodatek do wszystkich pozostałych zgonów, którymi musimy się codziennie zajmować. Rozumie pan, że nie da się uniknąć pewnych opóźnień.

Brian zrobił krok naprzód.

— Racja, a pan rozumie, że wdepnie pan w gówno, jeśli te konkretne zwłoki nie trafią na szczyt pańskiej listy priorytetów.

Patolog zamrugał.

— Tak... No cóż, skontaktuję się z działem ewidencyjnym, jak tylko będę miał okazję, i...

— Przepraszam, czy ja się, kurwa, niejasno wyrażam?

Nastąpiła chwila ciszy, po czym chudy mężczyzna wydobyl z kieszeni niewielką, niebieską tuleję i wsunął ją na palec wskazujący, który skierował na własną twarz.

— Ewidencja. — Jego lewe oko zmętniało. — Tak, mniej więcej półtorej godziny temu posłałem wam próbkę DNA, numer referencyjny: S, H, myślnik, O, ukośnik, D, myślnik, jeden, zero, dwa, osiem, sześć... Tak, wiem, ale chciałbym, żebyście to przyspieszyli. Wiem, że macie masę zaległych spraw.

Przejrzystym okiem spojrzął przelotnie na rozgniewaną twarz Briana, a potem szybko spuścił wzrok, sycząc:

— Nie obchodzi mnie to, po prostu *zróbcie*, co trzeba... Tak, poczekam.

Dwie wypełnione niezręczną ciszą minuty później patolog wsunął swój palcofon z powrotem do kieszeni.

— Mamy zgodność. Profil genetyczny nieboszczki jest identyczny z DNA przechowywanym w dokumentacji medycznej skazanej. Oczywiście nie dysponujemy imieniem, ale kiedy służby pozbierają szczątki do formalnej identyfikacji, będę mógł...

— Nie trzeba — powiedział Will — wiem, kto to jest.

Po tylu latach wreszcie zginęła. Może płonąć w piekle, gdzie jej miejsce.

— Dalej. — Emily położyła mu rękę na ramieniu. — Chodźmy się schlać.

* * *

Osiemnaście pięter pod ich stopami jakaś postać wierci się przez sen. Jej sen jest cudowny i ciepły, utkany z koszmarów innych osób. Z ostatnich, przerażających chwil ich życia. Niespieszny, intymny, krwawy walc, powoli przeistaczający się w coś o wiele bardziej zmysłowego. Bardziej wyjątkowego.

W tym śnie kobieta wygląda dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy ją złapano: rozwiane, złote włosy opadające w jedwabistych puklach aż za ramiona; miękkie, karmazynowe wargi; długa, szczupła szyja; i kryształowo czyste, dziecięco błękitne oczy. Ma trzydzieści sześć lat, ale wygląda na góra dwadzieścia siedem. Doskonały drapieżnik.

Powietrze jest ciężkie od brzęczenia pracowitych pszczołek, a kobieta pluska się nago w świeżej, ciepłej krwi. Wannę otaczają ze wszystkich stron blade ciała, zwieszające nadgarstki nad powierzchnią kąpieli, składające jej w ofierze ostatnie krople swojej krwi. Kobieta odrzuca głowę do tyłu, a z jej ust wyrывa się jęk czystej ekstazy, której źródłem jest ta lepka, ciepła rozkosz.

Wtem przez pokój przebiega cień: mężczyzna w granatowym garniturze.

Kobieta wzdraga się. On tu jest. Przyszedł, by ukraść jej twarz! Miota się przez sen aż do przebudzenia, rozrzucając na boki rolki papieru toaletowego. On tu jest! On...

Wodzi rozgorączkowanym spojrzeniem na wszystkie strony. W pomieszczeniu jest cicho, spokojnie i bezpiecznie. Nad jej głową wiruje wentylator, chwytniki ślizgają się po przewodnicach, magazyn nuci swoją zwykłą melodię. Wszystko jest w normie. Nie ma go tu.

Kobieta zapada się z powrotem w swoje legowisko i czeka, aż jej serce przestanie tłuc jak oszalałe. *Nigdy* wcześniej nie czuła takiego strachu. Nielogicznego. Irracjonalnego. Przeróżającego...

Przygląda się temu uczuciu, rozbierając je w myślach na drobne części, analizując swoją reakcję i jej przyczynę.

Mężczyzna w granatowym garniturze.

Może zrobić tylko jedno: musi stawić czoła swoim lękom albo już zawsze będzie zdana na ich łaskę. To samo mówiła setkom swoich pacjentów.

Schodzi ze swojego legowiska na podłogę pomieszczenia.

Mężczyzna prześladowający ją we snach nie jest Bogiem ani potworem. Jest tylko człowiekiem. Ale by móc stawić czoła swojemu strachowi, kobieta musi nadać mu jakieś imię. A kiedy już dowie się, kim on jest, zdoła odnaleźć ukojenie.

Najchętniej przy pomocy bardzo ostrego noża.

11

Will i Emily opuścili ruchome schody, wkraczając do zatłoczonego atrium Sherman House. Był czwartkowy poranek, w ogromnym pomieszczeniu było głośno, parno i tłoczno od ludzi o pośępnym twarzach, a wszystko to było skąpane w brudnozielonkawym świetle przefiltrowanym przez pokryte pleśnią szyby z pleksi. Kilku ubezwłasnowłoniwionych szurało froterkami po podłodze atrium, rozmazując błoto. Jakiś człowiek przeszedł obok, kiwając głową, z jego ust dolatywały dźwięki muzyki odtwarzanej przez tani, podskórny odtwarzacz. Gorzka woń parzonej kawy, zakurzony zapach pleśni, słodki aromat narkotyków w aerozolu.

Will wytarł ręce do sucha o swoje spodnie.

Nie ma się czym martwić. Da radę. Głęboki wdech. Na pewno da radę. Nie ma się czym martwić.

Dlaczego było tu tak cholernie gorąco?

Pociągnął za kołnierz swoich eklektycznych ciuchów — uratowanych z jakiegoś obscurnego second-handu na Nesbit Road — stanowiących zlepek gryzących się kolorów i wzorków, z długimi połami, które łopotały, gdy się poruszała. Emily nosiła swoje wdzianko jak miejscowi, ale on wyglądał jak stateczny ojciec rodziny ubrany w ekstrawagancką sukienkę. Od lat nie zdarzyło mu się już działać incognito, i to rzucało się w oczy.

— Wyluzuj — powiedziała porucznik, przyglądając się tłumowi. — Wszyscy będą podejrzewać, że ktoś wepchnął ci w tyłek zdechłego kota.

— Czuję się jak cholerny idiota.

— I tak też wyglądasz. — Emily zmarszczyła brwi. — Równie dobrze mógłbyś nieść w rękach dwumetrowy transparent z napisem „jestem tajnym agentem, proszę mnie zastrzelić!”. *Wyluzuj*, na miłość boską.

Will zgarbił się, opuszczając ręce prawie do kolan i oboje przemieścili się ostrożnie na drugi koniec zatłoczonego atrium.

— Lepiej. Chociaż wciąż do dupy. — Otworzyła dwie puszkę piwa, które kupili w małym automacie z napojami alkoholowymi ustawionym w Pawilonie Marsjańskim, i wręczyła mu jedną z nich. — Spróbuj wyglądać bardziej banalnie. Gdyby ktoś cię zagadał, bełkocz coś bez sensu. Powiem im, że jesteś na dropsach.

— Wielkie dzięki. — Pociągnął łyk piwa, krzywiąc się, gdy gazowany napój zostawił w ustach palący posmak. Za ostro popił ostatniego wieczoru, świętując po różnych pubach pamięć tej suki nieświętej pamięci razem z

Emily i Brianem, kończąc imprezę w małej, pretensjonalnej knajpie na Sauchiehall Street. Gdzie drinki były równie niedorzecznie przesadzone, co muzyka.

— OK — powiedział, tłumiąc kwaśne beknięcia — jak chcesz to rozegrać?

— Jesteś moim przygłupowatym, bezużytecznym chłopakiem. Ja jestem silną, niezależną kobietą, a ty łazisz za mną wszędzie, jak jakiś śmierdzący wilczur.

— Hau.

— Dobry pies. — Ruszyła w stronę wind, a Will powlókł się za nią, wciąż starając się wejść w odgrywaną rolę. Zgarbił się, mieląc pod nosem różne sprośności.

W pobliżu wind zgromadziła się kilkunastoosobowa grupa młodzieży, ubranej w obcisłe, formalne ciuchy, bardzo modne jakieś trzy lata wcześniej. Niektórzy chichotali, ślaniając się na nogach, inni opierali się o ścianę, z ustami rozciągniętymi w szerokim, mokrym uśmiechu i oczami o barwie asfaltu. Ci stojący z brzegu wyglądali na nabuzowanych energią, jakby nie mogli się doczekać na swoją kolej na odlot w kosmos, tyle że brakowało im pieniędzy na bilet.

Emily pochyliła się i szepnęła do Willa:

— Myślisz, że są na dopsach?

— To raczej H albo Mysz. Okradną każdego, kto wygląda tak, jakby jeszcze nie połknął swojej dziennej porcji.

Wziął ją pod rękę i ruszył lekko chwiejnym krokiem, mrugając powoli i starając się wyglądać, jakby dopiero co połknął całotygodniowy przydział rozdzielanego przez rząd narkotyku.

— Wolisz pójść schodami?

Emily potrząsnęła głową.

— Jesteśmy za blisko. Jeśli teraz zawrócimy i pójdziemy inną drogą, będzie to wyglądało, jakbyśmy mieli coś wartego zdobycia.

— A oni spróbują to zdobyć.

— Nietrudno zgadnąć.

Dotarli do zewnętrznego kręgu grupy. Jeden z podjaranych dzieciaków zastąpił im drogę. Ostre rysy twarzy, krzywe zęby, monokl wytatuowany wokół prawego oka.

— Trzeba zapłacić podatek, jasne?

Emily zmierzyła go wzrokiem.

— Wypierdalaj mały pojebie.

Monokl uśmiechnął się. I właśnie wtedy do Willa dotarło, że zęby młodego człowieka nie były krzywe — były spiłowane w szpic. Żeby cię lepiej zjeść...

— „Wypierdalaj”, powiadasz? — Monokl odwrócił się do tyłu i wyciągnął rękę. — Słyszeliście, z czym ta dziwka do mnie wyjechała? Hę? — Kiedy ponownie zwrócił się w ich stronę, w ręce trzymał piętnastocentymetrowy nóż o ząbkowanym ostrzu. — Wiesz co? Jak na starą dupę jesteś całkiem niezła... — Przejechał ostrzem noża po kolorowych frędzlach na rękawie Emily. — Założę się, że lubisz ostre dymanko, co? Na pewno nie możesz się doczekać, aż ja i moi kumple zaciągniemy cię na tył i zerzniemy jak burą sukę. Prawda?

Will zrobił krok naprzód.

— Co ty sobie...

— Morda w kubeł, dziadku. — Nóż znalazł się teraz o cal od jego gardła. — Przecież nie zapomnimy i o tobie. Malcolm lubi ujeżdżać takich staruszków. Racja, Malcolm?

Tłusty gówniarz z dołeczkami w policzkach i z uśmiechem pełnym rekinich zębów pokiwał głową.

— Przecwele cię na wszystkie strony, człowieku.

— Taa, no to... — Monokl przeniósł spojrzenie na Emily. — Masz niewyparzoną gębę, na pewno mam coś, czym ci ją przeczyszczę — uuch...

Nóż zakołysał się, a potem upadł na utyłaną podłogę. Oczy dzieciaka wyszły z orbit, jego wargi skrzywiły się konwulsyjnie, a twarz nabiegła różową barwą. Emily trzymała rękę głęboko w jego kroczu, ściskając materiał, skórę i jądra w mocno zaciśniętej garści.

— Aaach, Jezuuu, kuurwaaaa...

Porucznik uśmiechnęła się.

— Zerzniesz mnie jak burą sukę? — Przekręciła uchwyt o kolejne dziewięćdziesiąt stopni, a nogi Monokla odmówiły mu posłuszeństwa. Emily zacisnęła drugą dłoń na jego gardle, nie pozwalając mu upaść. — Nie dla psa kiełbasa, słoneczko.

A potem zwolniła uchwyt.

Monokl runął na ziemię, zwijając się w kłębek i wydając z siebie cienki, płaczący pisk. Jak balon, z którego uleciało powietrze.

Emily zwróciła się w stronę pozostałych członków bandy.

— Ktoś jeszcze?

Wszyscy cofnęli się pod ścianę, zostawiając im wolną drogę do otwartej windy.

— Tak myślałam.

* * *

Wewnątrz pokrytej graffiti kabiny Emily wcisnęła guzik z napisem „47” i oparła się o porysowaną, metalową ścianę. Gdy drzwi zasuwwały się, młodzi stali na korytarzu i gapili się na Emily, a w ich oczach malowało się coś na kształt czci należnej bohaterom.

Winda stanęła na drugim piętrze, gdzie dosiadło się do nich kilka osób. Potem znowu ruszyła, a odgłos zgrzytającego metalu odmierzał czas pomiędzy poszczególnymi piętrami. Na siódmym piętrze doszły następne postaci w kolorowych łachach. Jakaś para wysiadła na dziewiątym.

Później z głośnika dobiegło piknięcie sygnalizujące trzynaste piętro i do zatłoczonej kabiny wepchnął się jakiś wielki babsztyl.

Kurwa. Kurwa, kurwa, kurwa!

Will złapał Emily i przyciągnął ją do siebie, łącząc się z nią w głębokim, namiętym pocałunku. Jej plecy naprężyły się pod jego dłońmi... a potem kobieta rozluźniła się, wplatając palce w jego włosy i wydając z siebie ciche, zadowolone pomruki.

Stojący po drugiej stronie windy babsztyl skrzywił się, obrzucając twarze pozostałych pasażerów spojrzeniem swoich zielonych oczu, ostrym jak brzytwa. Kobieta była raczej grubokoścista niż spasiona, miała rude włosy, plemienne blizny, a na sobie te same wielobarwne fatałaszki, które nosiła, kiedy Will wypalił jej w klatkę piersiową z paralizatora Steina.

Mijały kolejne piętra i za każdym razem, gdy winda przystawała na chwilę, do jej wnętrza wciskało się więcej osób, które dokładały wszelkich starań, by nie ocierać się o wielgachnego babsztyla. By nie narobić sobie problemów.

Dwadzieścia pięter później drzwi rozsunęły się i rudy babsztyl wytoczył się na korytarz. Will został teraz w kabinie sam na sam z Emily i kiedy winda ruszyła dalej, oderwał usta od jej warg.

— No, no, panie Hunter — powiedziała, uśmiechając się. — Ależ z pana narwaniec.

Will wyszczerzył zęby, puszczając ją z objąć.

— Myślałem, że już nigdy nie wysiądzie!

Wyraz twarzy porucznik Brand niemal się nie zmienił, ale zaczęła z odpowiedzią jedno uderzenie serca.

— Kto to był?

— Ona pierwsza z całego tego motłochu zjawiała się w mieszkaniu Allana Browna. Musiałem ją porazić. — Oparł się ciężko o poręcz i potarł twarz dłońmi. Serce wciąż mu waliło. — Przepraszam, że tak na ciebie skoczyłem.

Nic innego nie przyszło mi wtedy do głowy.

Nie przestając się uśmiechać, Emily wygładziła rąbek swojej tuniki.

— Nie przejmuj się. Ale następnym razem daj mi się przygotować. Może jakaś kolacja i wypad na tańce. Coś w tym stylu.

* * *

Kobieta stoi w magazynie, trzymając w dłoniach nowiuteńki czytnik, u jej stóp wala się podarte, wyrzucone opakowanie. Aparat szumi, gdy przesuwając nim po kodzie wytatuowanym nad lewym okiem. A potem pika. Zna jej tożsamość.

Wstrzymując oddech, kobieta opuszcza urządzenie i odczytuje wyświetlone na małym monitorze słowa: „EGZEMPLARZ 1. ID: SH-O/D-10286”.

Rozczarowanie.

Próbuje ponownie, ale jedyna odpowiedź, jaką zyskuje, to „EGZEMPLARZ 2. ID: SH-O/D-10286”.

Jaki z tego pożytek? Jak miałyby jej to pomóc?

Spodziewała się imienia, czegoś, co ożywiłoby jej pamięć. Czegoś, co powiedziałyby jej, kim jest.

„EGZEMPLARZ 3. ID: SH-O/D-10286”.

Czytnik eksploduje, gdy ciska nim o podłogę. Kobieta depcze plastikowe elementy, kopiąc je na wszystkie strony pomieszczenia. Przecież chciałaby tylko poznać swoje imię. Czy to naprawdę tak wiele?

CZY TO WIELE?

Zamyka oczy, biorąc kilka głębokich, szarpanych oddechów.

Uspokój się. Spokój. Oddychaj powoli.

Nie rezygnuj z kontroli.

Pszczółki i potłuczone szkło...

Wpatruje się w przestrzeń, delikatnie bębniąc palcami o odsłonięte zęby. Gdzieś w systemie muszą być jej dane. Ubezważnoglówiono ją w którejś z sal operacyjnych na górze, muszą tam mieć jej namiary. To, czego jej trzeba, to terminal dla lekarzy, który ma bezpośredni dostęp do zabezpieczonej bazy danych pacjentów szpitala.

Być może przy okazji uda się jej znaleźć kogoś, kto zaspokoi również inne jej potrzeby? Kogoś, z kim będzie można miło spędzić czas. Kogoś, kogo będzie można rozsmarować na podłodze jak dżem malinowy...

Byle tylko zachować ostrożność. Byle tylko kontrolować swoje postępowanie.

To właśnie na tym wyłożyła się ostatnim razem: przestała zażywać swoje leki, ponieważ myślała, że ich nie potrzebuje. Przestała zażywać leki, bo myślała, że zdoła kontrolować swoje zachowanie nawet bez nich. Myliła się. Potrzebujecie tych leków... ale nie może ich znaleźć — nie pamięta, co to za leki.

Ale kiedy odkryje, kim jest, wszystko będzie dobrze.

Będzie brała swoje leki.

Będzie dobra.

Będzie się zachowywała jak należy.

Obiecała to sobie.

Ostrożnie wsuwa mopa do ukradzionego wczoraj wiaderka i wyjeżdża z nim przez drzwi magazynu.

Na zimno. Ze spokojem. I pod kontrolą. Ciągnąc za sobą rój pszczoł.

* * *

Drzwi windy rozsunęły się na czterdziestym siódmym piętrze Sherman House. Gdy wędrowali osmalonym korytarzem, w powietrzu unosił się słaby, uporczywy odór przypalonego bekonu. Na ścianie, w miejscu, gdzie Stein oberwał z miotacza, widniało świeże graffiti, wymalowane jaskrawoczerwoną farbą: „JEDEN - ZERO!”.

Śmierzący lokal Allana Browna został zaplombowany płytami od czasu ich ostatniej wizyty w tym miejscu. Wejście było zaspawane potężnymi plastikowymi panelami. Dwoje drzwi dalej mieszkanie sto dwadzieścia dwa było bezpiecznie zamknięte. Will wstukał kod wejścia i skrzywił się, gdy w odpowiedzi rozległ się tylko brzdęk.

— Jakiś problem?

— Zmienił hasło... Mam nadzieję, że nie przydzielili tutaj nowych najemców.

Zapukali i zaczekali. Potem zapukali jeszcze raz.

Żadnej odpowiedzi.

Will podważył pokrywę zamka i trzydzieści sekund później stali pośrodku pustego mieszkania. Wyglądało dokładnie tak, jak je zapamiętał: wysprzątane, ale podniszczone.

Emily wpatrywała się w wyblakłą, żółto-zieloną tapetę.

— To nie jest to miejsce z nagrań. Nie ma takiej możliwości.

— A jednak. Sprawdziłem to raz, drugi, trzeci i czwarty. A potem zmusiłem Briana, żeby zrobił to samo. To właśnie tutaj Kevin McEwen zarżnął całą swoją rodzinę. — Will przechadzał się między pokojami, starając się odtworzyć swoją ścieżkę z ostatniej wizyty. Nigdzie nie dało się zobaczyć

żadnych śladów krwi.

— Jeśli lokal został wyczyszczony, to czemu wygląda na tak zapuszczony?

— Dokładnie. — Hunter przejechał dłonią po ścianie stojącej najbliżej od kuchni. — Spróbuj zeszkrobać tyle krwi ze ściany, a zedrzesz też przy okazji pół tapety. Zastanawiam się, czy... — Zrobił krok w tył. Zmarszczył brwi. To nie mogło być prawdą. To w żadnym razie nie mogło być prawdą.

— Co? Co znalazłeś?

Wskazał na rozpościerający się na ścianie cień — odbarwienie od kurzu zdradzało, gdzie przez długie lata wisiał jakiś obrazek. Brudny kontur czworokąta tworzyły maleńkie kropki turkusowego, fuksjowego, żółtego i czarnego koloru.

— Ten brud nie jest prawdziwy, ktoś go tu wdrukował... — Pobiegł na drugą stronę pomieszczenia. Na ścianie widniał tu narysowany dziecięcą ręką mały obrazek rodziny. Uśmiechnięte postaci składały się z takich samych fuksjowych i żółtych kropek. Wszędzie, gdzie spojrzał, znajdował coraz więcej oznak podrobionego brudu.

Emily dała znać, że również w kuchni roi się od takich samych fałszywych zacieków, ale Will tak naprawdę nie słuchał. Stał na środku pokoju, dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej leżał sprzęt do skanowania. Komputerowa rekonstrukcja była pełna dziur i luk w miejscach, gdzie brakowało danych. Stojąc pośrodku pomieszczenia, Hunter odniósł niepokojące wrażenie, że wie, jaka jest tego przyczyna. Plamy kryły górne rogi pokoju, gdzie umieszczano sprzęt inwigilacyjny, gdy chciano mieć na oku lokatorów danego mieszkania.

— Robi się coraz dziwniej — powiedziała Emily, wychodząc z kuchni — pod zlewem znajdują się mokre ślady, one także zostały nadrukowane. Wewnątrz szafki! Komu mogłoby tak odwalić, żeby... Co ty wyrabiasz?

— Podsadź mnie.

Emily zaparła się w kącie i poderwała go do góry, jakby ważył tyle, co piórko.

Will przyglądał się zagięciu między ścianami, a sufitem. Wyglądało całkiem normalnie, ale to chyba nic dziwnego. Sięgnął do kieszeni, wyciągnął podręczny miotacz Briana, przekręcił aparat do stanu aktywności, i ustawił intensywność wiązki na minimum. Ostrożnie usunął górne warstwy tapety i plastikowej płyty, zmieniając je w chmurę szarego pyłu kłębiącego się po pomieszczeniu, a urządzenie terkotało w jego dłoni, wywołując drętwienie palców.

Pod spodem było coś nowego...

Will wziął głęboki oddech i dmuchnął, rozpędzając mgiełkę kurzu. Za płytą znajdowało się małe, metalowe pudełko, do którego przyczepiono dwie

sondy soniczne i niewielki zagłuszcacz. Cała instalacja rozbłyskiwała światłem kontrolki; sondy warczały z cicha, nagrywając i jego, i wszystko inne w tym pomieszczeniu.

— Kurwa! — Will zeskoczył na ziemię. — Musimy stąd spadać. I to już! — Chwyił Emily i zaczął ją ciągnąć w stronę drzwi.

— Co cię, do diabła, opętało?

— Jak długo tu byliśmy? — Podciągnął swój obszarpany rękaw i zerknął na zegarek. — Pięć minut. Kurwa, kurwa, kurwa!

Will zatrzaskał za obojgiem drzwi mieszkania i popędził korytarzem, kierując się z powrotem w kierunku wind i cały czas mamrocząc.

— Szybciej, szybciej, szybciej...

— Gdzie teraz?

Wybiegli zza rogu dokładnie w chwili, kiedy winda piknięciem zasygnalizowała przystanek na tym piętrze. Kabina była wypełniona po brzegi, a na samym przodzie zgromadzonego wewnątrz tłumu stał wielgachny babsztyl z rudymi włosami i plemiennymi bliznami.

— Kurwa! — Will szarpnął Emily za rękaw, osadzając ją gwałtownie w miejscu. — Kiedy dam znać, biegnij, ile sił w nogach. — Dwa kroki do tyłu i winda zniknęła im z pola widzenia. — Chodu!

Prawie im się udało.

* * *

Nigdzie nie widać ni śladu mężczyzny, którego dyplomy wiszą na ścianach pokoju, ale na wszelki wypadek, gdyby miał się pojawić, kobieta przekręca zamek w drzwiach i dopiero wtedy uruchamia stojący na jego biurku terminal. To samo hasło, które otwarło jej drzwi do magazynu, umożliwia jej teraz obejście zabezpieczenia.

Otwiera bazę danych pacjentów szpitala i wbija numer kodu, który podał jej czytnik: SH-O/D_10286.

Maszyna terkocze przez kolejne trzy minuty, sprawdzając miliony osób zarejestrowanych w systemie. A potem wyświetla rezultat poszukiwań. „DOSTĘP ZASTRZEŻONY. JEŚLI CHCESZ POZNAĆ SZCZEGÓŁY, SKONTAKTUJ SIĘ ZE SŁUŻBAMI, Z WYDZIAŁEM DO SPRAW SKAZAŃCÓW”.

Kobietę dopada niemal przemożna chęć, by chwycić monitor i roztrzaskać go o ścianę. I wtedy dociera do niej, że właśnie tak ten system zaprojektowano. Ubezwłasnowolnieni nie są ludźmi. Nie wolno, by cokolwiek łączyło niewolników po lobotomii z popełnionymi przez nich zbrodniami. Nie wolno zostawić niczego, co mogłoby ich czynić obiektem czyjegoś szacunku bądź uwielbienia.

Siada w lekarskim fotelu ze sztucznej skóry i spogląda wilkiem na monitor.

Ale tu chodzi o jej imię.

O JEJ PIERDOLONE IMIĘ.

Jeśli *ktokolwiek* ma prawo je poznać, to właśnie ona.

Głębokie — uspokajające — oddechy.

Jej dane nie zostały usunięte z systemu, może istnieje jakiś inny sposób, by się dowiedzieć, kim jest...?

Otwiera program e-mailowy i wstukuje to samo hasło co wcześniej.

„WITAM, PANI DOKTOR FIONA WESTFIELD. NIE MASZ ŻADNYCH NOWYCH WIADOMOŚCI”.

Doktor Fiona Westfield.

Kobieta marszczy brwi. Spodziewała się, że w jednej chwili powrócą jej wszystkie wspomnienia, ale nic takiego się nie dzieje.

Wprowadza to imię i nazwisko do bazy danych pacjentów i tym razem ekran wypełnia się informacjami. Jest tutaj *wszystko*. Szczegóły jej ubezwłasnowolnienia: świadkowie, chirurg — samo odczytywanie jego imienia przyprawia ją o drzenie — dokumentacja dotycząca infekcji pęcherza, jakiej nabawiła się przez nieodpowiednio wysterylizowany cewnik.

Oraz zdjęcie: przedstawia ją samą na jakiejś konferencji, gdzie otrzymała nagrodę. Wyciąga rękę i głaszcze ekran. Długie blond włosy; mały, zadarty nosek; błyszczące, błękitne oczy. Jej twarz. Chce ją odzyskać tak bardzo, że to *aż boli*.

System szpitala rozkręca się jak pracowita pszczołka, automatycznie odnajdując linki do streszczenia jej biografii, odnośniki do jej procesu, protokoły z sekcji zwłok jej ofiar...

Piękne, przepiękne zdjęcia rozdartych brzuchów i poszarpanego ciała.

Obrazy budzą coś w jej głowie: wspomnienia i myśli z czasów, gdy była prawdziwą osobą. Zanim odrąbano jej żuchwę. Zanim zmieniono ją w potwora.

Ale kiedy tak czyta, uświadamia sobie, że to nieprawda.

Zawsze była potworem.

12

Jego głowa opada do tyłu, zamyka oczy, dygocze, ciężko oddycha. Pot spływa mu po nagim karku. Wraz z ostatnim pchnięciem wszystko rozbłyskuje jasnym, ostrym blaskiem... O Boże... Tak... A potem opada do przodu, dysząc i czując się wspaniale. Czuje się wyczerpany. Czuje się szczęśliwy.

Ze stojącego przed nim łóżka — dokładnie przywiązana wszystkimi tymi łańcuchami i pasami — patrzy na niego solenizantka. Wciąż nosi małą plakietkę z napisem „Mam 18 lat”, mimo że jej urodziny już właściwie minęły. Przestała łkać jakieś piętnaście minut temu, teraz już tylko dygocze, skamłając coś wciąż w kółko zza swojego knebla.

Mężczyzna nic nie mówi, ponieważ dziewczyna i tak by nie zrozumiała. Nikt tego *nie* rozumie.

Czasami chce mu się od tego płakać, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jest dzień świętowania. To dlatego pozwolił jej patrzeć.

Gramoli się z łóżka, po drodze klepiąc po głowie drugą z kobiet. Ta szczęściara już prawie odeszła — jedno oko ma spuchnięte i nabiegłe krwią, a z rozchylonych warg zwisa jej nitka śliny. Wtłoczył w nią tyle życia, ile zdołał, a wkrótce nadlecą anioły i zabiorą ją na swoje łono. Kolejna zbawiona dusza.

Mężczyzna uśmiecha się i puszcza oko do solenizantki milutko opatulonej na łóżku. Już niebawem przyjdzie kolej i na nią. Jego witalności wystarczy dla każdego.

* * *

Will jęknął. Przekręcił się, próbując znaleźć pozycję, która nie byłaby aż tak bolesna, ale ledwo był w stanie się poruszać. Przez jego ciało przebiegła fala skurczów, ustających co jakiś czas, by rąbnąć go po nerkach.

Otworzył z wysiłkiem jedno oko. Jasne światło. Ból. Miał wrażenie, jakby ktoś wpychał mu w oczodół rozpalony do czerwoności pogrzebacz.

— Kurwa... — To było jak najgorszy kac, jaki mu się kiedykolwiek przytrafił. Ponownie zamknął oko.

Ktoś uderzył go w twarz. Wystarczająco mocno, by Hunter poczuł w ustach smak krwi.

Will zakaszłał, zwymiotował, a z jego ust połała się krwawa plwocina, ściekając na przód ubrania.

Rozchwiany widok ustabilizował się powoli w obraz pomieszczenia. Bezpośrednio nad nim stała góra mięśni ubrana w czarno-szary dres. Taki z podwójnym paskiem na rękawach.

— Taa. — Osilek pocierał swoją prawą rękę, rozmawiając jednocześnie przez nadajnik na szyi. — Oboje są już przytomni. Dajcie mu lepiej znać.

— Widzę, że jednak nie umarłeś.

Will powoli odwrócił głowę, ostrożnie, centymetr za centymetrem, bo a nuż mogłaby odpaść. Emily siedziała obok niego przywiązana pasami na krześle do przesłuchań, wciąż miała na sobie swoje eklektyczne, postrzępione wdzianko. Na jej policzku widniał świeży siniak, miała też opuchnięte wargi i morderczy wyraz twarzy.

— Gdzie jesteśmy? — Pytanie zabrzmiało jak skrzek.

— Nie mam pojęcia. Kiedy się ocknęłam, już tu byliśmy. Byłam wtedy związana czymś mniej solidnym od tego... — szarpnęła się w pasach, bez żadnego efektu — ale te typy szybko się uczą.

Will zaklął. Skrzywił się. A potem rozejrzał się po pokoju, próbując wymyślić, co należałoby teraz zrobić.

Byli w słabo oświetlonym, okrągłym pomieszczeniu, które było całkiem puste, nie licząc Huntera, Emily, dwóch krzeseł do przesłuchań i wielkoluda. Ściana stanowiła jedno, nieprzerwane lustro, otaczające całą przestrzeń, tak że mogli w niej obejrzeć swoje zniekształcone odbicia. Po drugiej stronie szkła musiały się znajdować kamery i skanery, nagrywające wszyściuteńko, włącznie z ich tętnem i szerokością źrenic.

To stanowiło oficjalne potwierdzenie — mieli przesrane.

Ale przynajmniej jeszcze żyli.

Will splunął kolejną strugą krwi.

— Ile udało ci się przebiec?

— Około dziewięćdziesięciu metrów. — Skrzywiona mina Emily ustąpiła miejsca uśmiechowi. — Przynajmniej trzech z nich nie wróci dziś do domu na własnych nogach.

— Dwóch z nich — odezwał się wesoły głos, wskazujący na wyższe wykształcenie i przemawiający ze sztucznym, amerykańskim akcentem — być może w ogóle już nie będzie chodzić. W każdym razie będą wymagać bardzo poważnego leczenia chirurgicznego. — Nowo przybyły stał w wejściu, którego nie było w tym miejscu za ostatnim razem, gdy Will tam spoglądał. Mężczyzna miał za plecami jakieś źródło światła, przez co widzieli go jako ludzką sylwetkę zarysowaną na tle boleśnie jasnej poświaty. — Muszę przyznać, że *lubię* kobiety, które wiedzą, jak o sobie zadbać.

Oczy Emily zwęziły się w odpowiedzi.

— Wsadź sobie w dupę taką gadkę!

— Ach, brawo. — Sylwetka skrzyżowała ramiona i oparła się o framugę. — A skoro mamy już za sobą dowcipną wymianę uprzejmości, to chciałbym wiedzieć, kim jesteście i co właściwie porabiacie w Sherman House.

Cisza.

— OK... spróbujmy jeszcze raz. Wiemy, że tu nie mieszkanie. Więc kim jesteście? Pismakami? Ćpunami? Bandziorami? Nie mówcie mi tylko, że jesteście z *sektę wierzących, że ziemia jest płaska*. To byłoby zbyt duże rozczarowanie. Nie? Neochrześcijański dżihad?

Jeszcze dłuższa cisza.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wiecie, że nie muszę się w to bawić. Jeśli wolicie, możemy po prostu zapewnić wam chemiczny doping do współpracy. To wielka oszczędność czasu: ja dowiem się tego, co potrzebuję, a wy skończycie z umiarkowanymi albo ciężkimi uszkodzeniami mózgu. To nie ja będę miał problem, nie?

Will odchrząknął.

— Nie wiem, kim jesteś, ale mogę cię zapewnić, że nie jesteśmy ani dziennikarzami, ani świrami z jakiejś sekty, ani gangsterami, ani terrarystami.

— Miło mi to słyszeć. Twoja dziewczyna ma za wiele ikry na całe to pieprzenie o „zostawieniu kosmosu Marsjanom”. — Sylwetka przekrzywiła głowę. — *Kim w takim razie jesteście?*

Will odbił pytanie:

— Kim ty jesteś?

— Neee, sorry, to tak nie działa. Udzielicie mi odpowiedzi albo będziecie się odżywiać przez rurkę. Zatem *po raz ostatni* pytam: Kim jesteście?

Will zamknął oczy. Powiedzieć prawdę czy skłamać?

Biorąc pod uwagę charakter tego miejsca, ich porywacze mogli tu monitorować wszystko, włącznie z rozszerzeniem źrenic i temperaturą skóry. Gdyby spróbował skłamać, dowiedzieliby się o tym, zanim zdążyłby skończyć zdanie. A wtedy sięgnęliby po swoje serum prawdy. Umiarkowane bądź ciężkie uszkodzenia mózgu — nie wchodziło w grę, by zrobić Emily coś takiego.

Uniósł podbródek.

— William Hunter, wicedyrektor Organizacji w Aglomeracji Glasgow i Sekcji Centralnej. A to porucznik Emily Brand, głównodowodząca Eskadry Powietrzno-Desantowej. — Spróbował dodać swojemu chrypliwemu głosowi więcej stanowczości. — A ty kim tak konkretnie jesteś i czym się zajmujesz?

Ale mężczyzna stojący w przejściu nie podjął gry.

— Jeśli jesteś wicedyrektorem Organizacji, to co robisz, węsząc w okolicy placu Potworności bez zbrojnego wsparcia? Chociaż z drugiej strony, biorąc pod uwagę łomot, jaki twoja dziewczyna spuściła Davisowi, McLeanowi i Simpsonowi, może wcale go nie potrzebowałeś. — Urwał na chwilę. — Dlaczego Sherman House, panie wicedyrektorze?

Jak się powiedziało „A”, trzeba powiedzieć „B”:

— W zeszłym tygodniu jedna z ekip technicznych została wezwana do mieszkania numer 122 na 47. piętrze. Wykonane przez nią skany z miejsca zbrodni pokazują to miejsce skąpane we krwi, ale kiedy wróciłem tam w poniedziałek, było dokładnie wyczyszczone. Żadnych plam krwi, tylko stare, podniszczone mieszkanie z wyblakłą tapetą.

— Przyjechałeś tu, bo ktoś pozmywał?

— W przypadku dwójki zwłok zabranych w tym tygodniu z Sherman House zdiagnozowano syndrom VR. Musimy wiedzieć, czy nie szykuje się nowa epidemia. — Nie była to cała prawda, ale nie było to też kłamstwo. Maszyny nie powinny powziąć podejrzeń.

— Rozumiem. — Postać cofnęła się, a wejście zbladło, zostawiając po sobie jedynie lustrzaną ścianę. W pomieszczeniu zadźwięczał ten fałszywy, amerykański akcent — *Nie ruszajcie się stąd, dobrze?*

I wtedy Emily syknęła na Willa:

— Dlaczego mu, do diabła, powiedziałeś, kim jesteśmy?

— *Chcesz, żeby ci usmażyli mózg chemikaliami?*

— Nie masz pojęcia, kto to może być! Terrarysta, neochrześcijański dżihadysta albo nawet jakiś separatysta z Gaelickiego Narodu, do kurwy nędzy. Nie wiedzieli, kim jesteśmy, a ty właśnie wręczyłeś im wicedyrektora Organizacji na zakładnika!

Will wskazał podbródkiem na górę mięśni w ciemnoszarym dresie.

— Popatrz na niego. To nie fanatyk, to żołnierz. Całe to miejsce śmierdzi tajnymi służbami.

Spojrzała na niego.

— Wcale nie poprawiło mi to samopoczucia.

* * *

Dziesięć minut później przyciemnione pomieszczenie rozbłysło jasnym światłem, rzucającym refleksy na lustrzanej ścianie. Gdzieś za ich plecami otworzyły się drzwi i ten sam amerykański głos powiedział:

— Angus, proszę, odwiąż naszych gości.

— Tak jest. — Wielkolud zaczął od więzów Huntera.

W polu widzenia zamajaczyła jakaś postać trzymająca ręce w kieszeniach swojego eleganckiego, butelkowitzkiego garnituru. Niewiele przed trzydziestką. Włosy mężczyzny były mysiobrazowe i faliste, a oczy pospolicie niebieskie. Miał twarz z rodzaju tych, których nie sposób sobie przypomnieć podczas przesłuchania na policji. Chodził z wyraźnym stukotem ciemnobrązowych butów na obcasie, które dodawały mu dodatkowe trzy i pół centymetra wzrostu, chociaż nawet z nimi mierzył ledwie metr siedemdziesiąt.

— Przepraszam za zamieszanie, panie Hunter, ale musimy naprawdę uważać, kto się tutaj szweda. Ktoś coś rozpęta i „bum”, będziemy mieli rozruchy na całego. — Wyciągnął rękę. — Ken Peitai, kierownik Działu Inżynierii Społecznej w Ministerstwie Zmiany.

Wymienili uścisk dłoni, po czym Peitai wręczył mu swoją wizytówkę.

Will wskazał na sierżanta, który rozwiązywał mu nogi.

— Od kiedy to Ministerstwo Zmiany potrzebuje wojskowego wsparcia?

— Od czasu Sherman House. — Mężczyzna w butelkowitzkim garniturze uśmiechnął się, a jego oczy rozbłysły. — Wojskowi zapobiegają zaognieniu sytuacji: neutralizują problemy, zanim wszystko wymknie się spod kontroli, a potem sprzątają ślady swoich akcji i dbają, żeby nie doszło do wybuchu, jak w trakcie epidemii VR. Nic byśmy nie działali bez ich asysty.

Peitai pomógł Willowi podnieść się do pionu.

— To dlatego mieszkanie, które pan odwiedził, nie wyglądało tak, jak na nagraniach ekipy technicznej. Kiedy skończyliście badanie miejsca zbrodni, my je wymazaliśmy, wyszorowaliśmy ten lokal od podłogi do sufitu.

Hunter skrzywił się i zakołysał. Czuł, jakby jego ciało przenikały tysiące igieł.

— Na tapecie widniały nadrukowane plamy.

— Tak. — Peitai spoglądał na wielkoluda starającego się odwiązać wrogo usposobioną porucznik Brand bez podchodzenia zbyt blisko. — Nasi specjaliści od psychologii uważają, że gdybyśmy zostawili mieszkanie bez jednej plamki i pachnącej farby, następnymi lokatorzy zorientowaliby się, że przed ich przenosinami w to miejsce doszło tam do czegoś okropnego. Ich wyobraźnia podpowiadałaby im coraz dziwniejsze scenariusze, stałoby się to ich obsesją, i zanim byśmy się obejrzel, biegaliby po korytarzach, wyładowując swoją frustrację poprzez kopanie ludzi po głowach. Dlatego nadrukujemy odrobinę brudu. Mieszkanie wygląda wtedy na używane. Jak dotąd ta metoda się sprawdza.

Will pokiwał głową — brzmiało to sensownie. A to oznaczało, że całe to jego węszenie było głupią i niebezpieczną stratą czasu. Wciąganie w to Emily,

ryzykowanie życiem...

Idiota.

Odchrząknął.

— Wygląda to na dobry plan.

— Wiesz — powiedział Ken — w tym miejscu zdarza się tak wiele przypadków spontanicznej przemocy, iż jesteśmy niemal pewni, że powodem pierwszych zamieszek VR nie było jednak wyłączenie kanałów VR. To była tylko iskra. A kiedy stłoczysz tak wiele osób jedna nad drugą, jak to ma miejsce w takich blokowiskach jak to, będziesz miał do czynienia z wieloma innymi czynnikami wyzwalającymi agresję. — Mężczyzna zaczął wyliczać fakty i liczby, gestykulując żywiołowo dla podkreślenia poszczególnych twierdzeń.

Wielkolud w zielonym dresie skończył odwiązywanie Emily i cofnął się na bezpieczną odległość, obserwując, jak kobieta rozciąga mięśnie nóg i zaciska pięści. Była teraz ich „gościem”, a nie więźniem, przewyższała go stopniem, ale Will miał wrażenie, że olbrzym po prostu nie ma ochoty stać się piątą ofiarą, którą porucznik Brand uszkodziła tego dnia.

Ken stał przy drzwiach lustrzanego pomieszczenia, trzymając je otwarte.

— Macie ochotę pozwiedzać? — Wskazał kciukiem na znajdujący się na zewnątrz korytarz. — Nie mieszkamy tu zbyt wielu gości — wiecie, trzeba dbać o dyskrecję — ale z przyjemnością was oprowadzę.

Will skinął głową. Wciąż czuł się jak głupek.

— Dzięki.

* * *

Miejsce stanowiło labirynt ze ścianami pomalowanymi na optymistyczny, żółty kolor i ozdobionymi abstrakcyjnymi dziełami sztuki. Po podłodze wiły się wielobarwne linie, rozgałęziające się co jakiś czas, gdy dochodzili do skrzyżowania.

— Szacujemy, że mniej więcej połowa mieszkańców placu Potworności jest w jakimś stopniu dotknięta syndromem VR — powiedział Ken, gdy przechodzili przez podwójne drzwi prowadzące do dyspozytorni. Jedną ze ścian zajmowała szachownica monitorów, rozciągająca się od podłogi do sufitu, każdy z ekranów pokazywał maleńkie mieszkanie, takie jak to, w którym Kevin McEwen zamordował swoją rodzinę.

— Mamy monitory w mniej więcej co trzecim lokalu. Zakładamy też podsłuchy w pozostałych, ale to trochę potrwa, nie? — Umieścił dłonie na panelu kontrolnym i na ekranach zamigotał kalejdoskop poszczególnych mieszkań. Większość tubylców miała na sobie gogle VR i gestykulowała rękami odzianymi w rękawice, robiąc coś, co tylko oni sami mogli zobaczyć.

Nikogo nie było tu stać na śródczaszkowy implant.

— To właściwie jedyna rzecz, jaką mniej więcej trzydzieści procent z nich się zajmuje każdego dnia, przez cały dzień. Musieliśmy zmusić Comlab, żeby wplekli do swoich programów przerwy na jedzenie i na wypadki do ubikacji, bo inaczej ci biedni zasrańcy popadliby w niedożywienie i nabawiliby się infekcji pęcherza. Pozostałe siedemdziesiąt procent spędza na łączu od czterech do dwunastu godzin dziennie. Po co żyć w prawdziwym świecie, skoro zamiast tego można się zanurzyć we wszechogarniającej fantazji? — Ken westchnął. — To nie VR jest uzależniające, tylko ucieczka od prawdziwego życia, którą zapewnia.

Will spoglądał na monitory, obserwując filmowane mieszkania i ich lokatorów.

— Co stało się z McEwenami?

Ich gospodarz zmienił wyraz twarzy i nakreślił w powietrzu cyfrę osiem — wszystkie ekrany zaczęły nagle pokazywać to samo: mieszkanie 47-122. Ken zaczął przewijać nagranie i po całym lokalu rozbiegły się małe postaci poruszające się do tyłu.

Will dostrzegł siebie i Emily ubranych w te poszarpane ciuchy... potem mieszkanie opustoszało... potem ponownie ujrzał siebie, gestykulującego na wszystkie strony tuż przed śmiercią Steina... znowu pustka... na ekranie zamigotała ekipa porządkowa, zdzierająca ze ścian tapetę i malująca je krwią. Potem Brian Alexander i jego ekipa z Organizacji porzrzucali kawałki zwłok tam, gdzie je znaleźli. W końcu na monitorze ożyły ofiary, poskładane w jedną całość w błysku blastera trzymanego przez Kevina McEwena.

Ken przełączył urządzenie na „play”.

Kevin uniósł karabin, po czym rozwalił swoją żonę i dzieci na drobne kawałki.

Ken zastopował nagranie.

— Kiedy ekipa interwencyjna dotarła na miejsce, było już za późno. Wciąż próbujemy ustalić, jak udało mu się zdobyć MZ-90. Jezu, to diadostwo to w końcu antyk.

Ponownie pomachał ręką nad panelem sterowniczym i ekrany powróciły do transmisji z poszczególnych lokali, podczas gdy Ken wyprowadził Willa i Emily z powrotem na korytarz.

— W pierwszej kolejności chcemy zrozumieć, co tak naprawdę wywołało epidemię syndromu VR — powiedział, prowadząc ich wzdłuż zielonej linii wytyczonej na podłodze. — Minęło jedenaście lat, a my wciąż nie potrafimy wskazać dokładnej przyczyny. To jasne, że głównym czynnikiem jest skondensowane siedlisko miejskie, ale gdyby udało się nam odkryć, co tak

naprawdę powoduje zmianę procesów chemicznych zachodzących w ich mózgach, przez którą tracą rozum i robią różne straszne rzeczy... Moglibyśmy im naprawdę pomóc.

Zza drzwi oznakowanych napisem „TYLKO DLA UPRAWNIONEGO PERSONELU!” wyłoniła się para techników, którzy pozdrowili Kena skinieniem głowy, odchodząc w głąb korytarza wraz z toczonym przez siebie wózkiem.

Will odprowadził ich spojrzeniem.

— Odnieśliście jakieś sukcesy?

Ich gospodarz odpowiedział krzywym uśmiechem.

— Mniejsze, niżbym chciał. Ale w końcu dopniemy swego. — Przepchnął się przez drzwi, którymi wyszli technicy, wprowadzając Willa i Emily do średniej wielkości laboratorium wyposażonego w drogo wyglądającą aparaturę. Ściany miały tu ten sam wesoły, żółty kolor, co na korytarzu, lecz zamiast obrazów wisiały tu diagramy komórek i wyświetlacze elektroniczne.

Kilku poważnie wyglądających mężczyzn i kobiet w jasnoniebieskich fartuchach laboratoryjnych pochylało się nad mikroskopami, skanerami, sekwenserami genów i próbkami.

Ken wskazał na kobietę pracującą nad wielkim, wygenerowanym komputerowo hologramem ludzkiego mózgu, w którym wyraźnie odcinały się znajome, czerwone i żółte pasma, umiejscowione w rejonie płatów czołowych.

— Pracujemy też nad metodami odwracania zmian wywołujących syndrom VR. Zakładam, że gdyby udało nam się wyprodukować antidotum dające się rozpylać w powietrzu i połączylibyśmy je z silnym środkiem uspokajającym, moglibyśmy po prostu spryskać nim zainfekowany budynek poprzez wykorzystanie systemu wentylacyjnego. Dałoby się ich za jednym zamachem wyłączyć i wyleczyć, zanim byliby w stanie zrobić krzywdę sobie albo innym osobom.

Poklepał jednego z naukowców po ramieniu.

— To trudne zadanie, ale jeśli ktoś zdoła się z nim uporać, to będą to właśnie ci ludzie.

Mężczyzna w białym fartuchu laboratoryjnym wyszczerzył zęby.

Will poczekał, aż znaleźli się z powrotem na korytarzu.

— Dlaczego nie poinformowaliście nas, że prowadzicie tu testy?

— Och. — Ken wzruszył ramionami. — O to będziesz już musiał zapytać mojego szefa. A moim zdaniem? Sądzę, że im mniej osób będzie wiedziało, że połowa mieszkańców Glasgow wciąż cierpi na syndrom VR, tym lepiej. Jeśli to wycieknie, wybuchnie panika, wykupywanie towarów w sklepach,

masowa histeria, zamieszki...

Hunter musiał przyznać, że miało to sens.

Ruszyli wzdłuż niebieskiej linii nakreślonej na podłodze. Ken nie przestawał głądzić o upodmiotowieniu psychologicznym i o tym, że osobom wtłoczonym do blokowisk Glasgow wciąż można było zapewnić lepszą jakość życia.

Ale Will nie zwracał na niego uwagi. Jego myśli krążyły uparcie wokół długiego prysznic, żarcia na wynos, butelki wina i ubrania na zmianę. Jego wesołowato kolorowe fatałaszki zaczynały już cuchnąć. Jak na jeden dzień miał już zdecydowanie dosyć poczucia, że wygląda jak idiota, i wrażenia, że nim jest.

Dotarli do drzwi z matowego szkła oznaczonych napisem „STACJA KOMUNIKACYJNA”.

Ken wprowadził ich na niepozorną platformę, po której obu stronach rozciągał się betonowy tunel, niknący w mrocznej dali.

— No cóż, przyjdzie nam się tu rozstać. Muszę się jeszcze dziś zająć przesiedleniem kilkudziesięciu rodzin. Rano doszło w atrium do jakiejś bójki. Zaczyna się od zwykłych przepychanek — ktoś zgniata jakiemuś dzieciakowi jaja — i zanim się obejrzysz, bum; sześć osób nie żyje, dwadzieścia poważnie rannych. Gdyby nie to, że z miejsca posłaliśmy tam ekipę, Bóg jeden wie, ilu jeszcze osobom stałaby się krzywda.

Wezwał prywatny pojazd, a potem wyciągnął rękę w stronę Willa.

— Miło mi było pana poznać, panie Hunter. Przykro mi, że musieliśmy potraktować pana prądem. — Uścisnęli sobie dłonie. — Proszę mnie uprzedzić, kiedy zechce pan znowu do nas wpaść. Zjemy wspólnie lunch i przedstawię pana naszym ludziom.

— Bardzo chętnie.

Emily nie wyraziła ochoty, by uścisnąć jego dłoń, ale Ken zdawał się nie przejmować, pomachał im po prostu i pozostawił oboje na opustoszałej platformie.

Porucznik Brand spojrzała wilkiem na zamykające się drzwi.

— Kupujesz tę ściemę?

— Słyszałem już większe głupoty. A gdyby *udało* im się znaleźć lek na VR, potrafisz sobie to wyobrazić?

— Ten mały gnojek coś kombinuje.

Will wzruszył ramionami.

— Każdy coś kombinuje.

Z korytarza znajdującego się za ich plecami dobiegły ich jakieś stłumione

głosy: męski i kobiecy. Rozmawiający wymieniali się plotkami, omawiali prowadzone przez siebie sprawy, opowiadali sobie sprośne kawały. Hunter nie był w stanie ich dostrzec z powodu matowych szyb, widział tylko dwie plamy utkane ze światła i mroku rozprawiające, jak minął im dzień.

Will odwrócił się tyłem do drzwi.

— Opowiadałem ci już kawał o dwóch zakonnicach w ogrodzie hydroponicznym... — Reszta jego wypowiedzi utonęła w narastającym huku i podmuchu powietrza wzbudzonym przez nadjeżdżający pojazd.

Emily cofnęła się znad krawędzi platformy.

— A WIĘC TO DLATEGO KANAPKI Z OGÓRKIEM ZAWSZE TAK DZIWNIE SMAKUJĄ?

— ZNAŁAŚ TO JUŻ?

W tunelu pojaśniało, pojazd stopniowo zwalniał, pozostawiwszy za sobą ciemność i wjeżdżając w strefę oświetloną zainstalowanymi na wspornikach reflektorami. Był zielony i połyskliwy, jak jakiś egzotyczny chrabąszcz. Zatrzymał się dokładnie obok nich.

— To ja ci go opowiedziałam.

Drzwi pojazdu otwarły się i odsunęły do tyłu na swoich prowadnicach, odsłaniając czyste, dobrze wyposażone wnętrze. Zupełnie odmienne od obskurnych wnętrz wehikułów używanych przez Organizację. Wdrapali się do środka. Automatyczna nawigacja była już zaprogramowana na „CENTRALĘ ORGANIZACJI”.

Drzwi zasunęły się z delikatnym sykiem i pojazd ruszył z miejsca, oddalając się od stacji.

Will rozsiadł się w luksusowym fotelu, spoglądając po raz ostatni na wejście do podziemnego królestwa Kena Peitai. To niezwykle, ile rzeczy może umknąć naszej...

Zamarł.

Przez drzwi z matowego szkła przeszła właśnie osoba, którą rozpoznał. Jej rozczochrane, rude włosy były teraz związane w schludny koński ogon, zanosila się śmiechem, a jej zielone oczy błyszczały w świetle reflektorów. Plemienne blizny zniknęły, tylko nieznaczna opuchlizna na skórze znaczyła miejsca, skąd je odklejono. Baba z Sherman House — ta, do której wygarnął z paralizatora.

Nie zdążył się przyjrzeć jej towarzyszowi, mignęła mu tylko sylwetka wysokiego mężczyzny w długim, czarnym płaszczu, z rzemykami powiewającymi w strumieniu podmuchu wywołanego przez odjeżdżający pojazd.

Wehikuł przyspieszył do rejsowej prędkości, pozostawiając platformę daleko

w tyle.

Do diabła.

Jeżeli ten projekcik inżynierii społecznej Kena Peitai był aż tak cholernie altruistyczny, to w jakim celu jego agenci biegali po blokowisku, podjudzając jego mieszkańców? Po śmierci Steina rudowłose babsko wcale nie próbowało uspokoić sytuacji, przeciwnie, stało na czele motłochu, z giwerą w dłoni i z szaleństwem w oczach. Na litość boską, przecież próbowała wykończyć jego ekipę!

Poza tym była jeszcze cała reszta — ci, którzy ganiłi jego i Emily po korytarzach... Jakim cudem Kenowi Peitai uchodziło na sucho tworzenie prywatnych sił zbrojnych w budynku pełnym przypadków syndromu VR? To było jak wrzucenie petardy do gniazda os.

Emily miała rację, nie ufając temu małemu palantowi.

Will skrzywił się, obserwując przemykające na poboczu światła.

Ucieczka z patelni.

13

Deszcz zaczął padać wieczorem, zgodnie z prognozami. Rozbłysk. Pojedynczy grzmot. Pierwsza kropla uderzająca o rozgrzany beton, by niemal natychmiast wyparować. Potem kolejna. I następna. Coraz szybciej, coraz gęściej i coraz ciężej, aż strugi wody rozchłapywały się na chodniku.

Gromadzący się stopniowo na ulicach ludzie stali z twarzami zwróconymi w stronę nieba. Śpiewali i tańczyli, świętując koniec męczącego upału, podając sobie z rąk do rąk plastikowe butelki z whisky i piwem. Spontaniczny karnawał nieustępujący sylwestrowi.

A potem zaczęło się robić coraz chłodniej — z początku powoli, jedynie o kilka stopni na godzinę — aż w końcu wszyscy byli przemoczeni i zziębnięci. Więc puciekali z ulic, zostawiając je deszczowi.

Lato dobiegło końca. Nadeszła pora monsunowa.

* * *

— To *nie* wyjaśnia, dlaczego zlekceważyłeś moje bezpośrednie polecenie, by trzymać się z dala od Sherman House!

Wehikuł komunikacyjny już prawie dwie godziny temu wysadził Willa i Emily pod samą centralą Organizacji, wciąż odpicowanych w postrzępionym stylu. Piętnaście minut potem nadeszło wezwanie do biura szefowej. Kazała im czekać bez końca w przedpokoju, zanim wpuściła do siebie Emily. Dyrektor Smith-Hamilton była zawodowcem i nie uznawała czegoś takiego, jak publiczny opierdol. Oznaczało to, że Will musiał siedzieć na zewnątrz, podczas gdy jego kierowniczką objeżdżała porucznik Brand z góry na dół. A później musiał znowu czekać, aż szefowa wykona kilka telefonów. Na koniec kazała mu poczekać jeszcze trochę, by nie miał złudzeń, że wdepnął w gównno.

Hunter stał na baczność, podczas gdy dyrektor Smith-Hamilton chodziła wte i wewte na tle panoramicznej ściany szkła, pocierając czoło.

— Ostatecznie zrozumiałabym, gdybyś był jednym z agentów niższego szczebla, ale jesteś przecież *wicedyrektorem sekcji*, Williamie! Muszę mieć pewność, że będziesz się stosował do hierarchii służbowej. Jeśli ty ją zlekceważysz, to od kogo miałabym tego wymagać?

Za jej plecami rozciągał się idealny widok na miasto. Szare niebo i kurtyna deszczu. Glasgow tonęło. Wiedział, jakie to uczucie.

— Mogę tylko powiedzieć...

— Jeszcze nie skończyłam. Kiedy postanowiłam cię awansować na

wicedyrektora sekcji, musiałam stawić czoła wielu opiniom wyrażającym sprzeciw wobec tego posunięcia. „Jest za młody”, mówili. „Brak mu dyscypliny”. Odpowiadałam, że się mylą, że mimo młodego wieku i *podejrzanych* kontaktów, masz głowę na karku. Że masz to, co niezbędne. — Zatrzymała się. — Myliłam się, Williamie? Czy powinnam ich była posłuchać i zostawić cię na kolejne pięć lat jako szeregowego pracownika?

— No cóż...

— Nie przerywaj. Nie dość, że wróciłeś do Sherman House wbrew moim jednoznacznym poleceniom, to naprawdę musiałeś ciągnąć ze sobą jeszcze porucznik Brand? Pragniesz zrujnować *jej* karierę tak samo jak swoją?

— Powiedziałem porucznik Brand, dokąd jedziemy, dopiero kiedy wsiedliśmy do pojazdu komunikacyjnego. Uparła się, by mi towarzyszyć dla zapewnienia mi bezpieczeństwa. Nie była w stanie skontaktować się z dowództwem, by poinformować je o moich zamiarach, ponieważ otaczali nas tubylcy, którzy mogliby ją podsłuchać, stawiając nas w sytuacji zagrożenia życia.

— Przeprowadziłam dziś po południu dwudziestominutową rozmowę z gubernatorem Clarkiem, który zażądał twojej głowy! — Dyrektor Smith-Hamilton oparła się o swoje ogromne biurko z piaskowca. — Masz wielkie szczęście, że ludzie zarządzający Sherman House postanowili nie wnosić formalnej skargi. Mniej więcej godzinę temu zadzwonił do mnie niejaki pan Peitai, by się za tobą wstawić. Masz u niego dług. Gdyby nie jego wsparcie, nie mógłbyś zachować swojego stanowiska. Zrozumiałeś?

— Tak, proszę pani.

— Oczywiście nie mogę pozwolić, by ten haniebny występki pozostał bez kary. Nakładam na ciebie grzywnę w wysokości całomiesięcznych poborów i obcinam ci wymiar urlopu o cztery dni.

— Dziękuję pani.

Westchnęła.

— Co mam z tobą począć, Williamie? Zawsze bardzo liczyłam na to, że pójdiesz w moje ślady. Sądziłam, że któregoś dnia — gdy zajmę już miejsce w ministerstwie — będę mogła zostawić Organizację w twoich rękach.

Dyrektor odwróciła twarz w stronę ulewy. Odchrząknęła. Pogmerała przy mankietach swojego żakietu.

— Dowiedziałam się, że znaleziono wczoraj ciało dr Westfield. To musiał być dla ciebie straszny szok. — Urwała na chwilę. — Może to dlatego zlekceważyłeś mój zakaz i pojechałeś do Sherman House?

Nie odpowiedział, ale kobieta pokiwała głową, a potem podeszła do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Z bliska pachniała lawendą i bergamotką.

— Sądzę, że powinieneś wziąć na resztę tygodnia urlop okolicznościowy. Jakoś sobie poradzimy, a ty będziesz mógł się pogodzić z...Z tym, z czym potrzebujesz się pogodzić. — Odprowadziła go do drzwi.

— Pamiętaj, Williamie, mamy tu zespół świetnie wyszkolonych terapeutów, którzy mogą pomóc ci się z tym uporać. Chciałabym, żebyś nie miał żadnych oporów przed skorzystaniem z ich wsparcia. Niech zapracują na swoją pensję.

Była to niemal identyczna przemowa jak ta, którą Hunter wygłosił wobec sierżant Cameron.

Will wymamrotał coś niezobowiązującego i podziękował dyrektor za poświęcony mu czas. Następnie odmaszerował korytarzem z wyprostowanymi plecami i podniesioną głową.

Gdy tylko usłyszał za sobą dźwięk zamykanych drzwi, zatrzymał się gwałtownie i zaklął. Sama niech sobie chodzi do tych świetnie wyszkolonych terapeutów — on sam przeszedł już tyle analiz, że wystarczy mu ich do końca życia. „Dziękuję, więcej nie trzeba”.

Wsiadł do windy i wcisnął guzik na najniższy poziom. Przez całą jazdę był pogrążony w myślach.

Po błyszczącym recepcjoniście George'a nie było ani śladu, więc Will udał się prosto do prosektorium.

Rysunek z „Frankensteinem na urlopie” zniknął, zastąpiony przez wielki znak na drzwiach kostnicy „DOM UCIECH GEORGE'A”. Główny patolog Organizacji był w środku, pogrążony po łokcie w czyichś zwłokach. Kiedy Will wmaszerował do środka w swoich jaskrawych fatalaszkach, mały grubasek podniósł wzrok, zamierając z rozdziawioną gębą, trzęsącymi się policzkami i szeroko rozwartymi oczami.

— Aleś się wystroił — zachichotał, przez co z nosa zwiesił mu się paskudny glut. — Złapałeś robotę w cyrku?

— Potrzebuję przysługi.

Patolog wyciągnął obskurną chusteczkę i smarknął.

— OK, wyświadczę ci przysługę — jeśli ty zrobisz dla mnie kilka zwierząt z balonów. — Zerwał jedną z rękawiczek, zacisnął jej otwór wlotowy i zaczął dmuchać, pompując ją w rozdęty zarys dłoni. — Spójrz, to stegozaur! — Czubki palców były wysmarowane krwią.

— Bardzo śmieszne. — Will wyrwał mu rękawiczkę i wrzucił ją do kosza. — Potrzebuję, żebyś zrobił mi kompletne skanowanie medyczne.

George przestał się śmiać.

— Ja? — Zmarszczył brwi. — Dlaczego nie pójdziesz z tym do zakładowego lekarza?

— Bo nie chcę, żeby zakładowy lekarz dowiedział się, że kiedy mam wolne, przebieram się za klauna. Sam wiesz, jaki z niego plotkarz. Zaraz zaczęliby mnie zapraszać na imprezy dla dzieci!

— Rozumiem. A skąd pomysł na medskan?

— Załatwili nas czymś w Sherman House, mnie i Emily. Możliwe, że był to paralizator, ale nie jestem pewien. Odpłynęliśmy na mniej więcej dwie godziny. Chcę się upewnić, że nie doszło do żadnego uszkodzenia nerwów.

— Hm... Tyle że cały mój sprzęt jest przeznaczony do pracy na zwłokach. Będzie ci naprawdę zimno. *I nieswojo.*

— Przeżyję.

— To coś nowego, żaden z moich klientów nie mógł tego dotąd o sobie powiedzieć. — Zrzucił z siebie zakrwawiony fartuch i naciągnął świeże rękawiczki. — Rozbieraj się, wskakuj na blok i zaczynamy. Obecnie tu panu Arthurowi wcale się nie spieszy do badania zawartości jego czaszki.

Will pozbył się ubrania, a potem ułożył się do nieznośnego, trwającego pół godziny badania przy użyciu zimnych sond i jasnych, niebieskich świateł.

* * *

Norman zagryzł wargę i stłumił śmiech. Kris była najlepszym darem, jaki kiedykolwiek otrzymał od losu. Zaledwie pięć minut temu robili tomografię jakiejś babci, a oto „zjeżdżali na sam dół”, jak to miała w zwyczaju nazywać. Zjeżdżali. Na sam dół!

Chciał się z nią ożenić. Co prawda jeszcze się nie oświadczył, ale dziewczyna na pewno wiedziała, że o tym myśli. Mogliby wyskoczyć do Dundee i hajtnąć się w którymś z tamtejszych, wielkich kasyn, gdzie ślubu udzieliłby im ktoś przebrany za Elvisa.

Winda wyhamowała i oboje wypadli na korytarz pomalowany na praktycznie zielony kolor.

Jak zwykle nikogo tu nie było, więc Kris wstuknęła w panel magazynu hasło, które wykradła od doktora Broomsa.

— No, dalej. — Wciągnęła go do środka. — Jestem strasznie chora. Będiesz mnie pewnie musiał w pełni, dogłębnie, dokładnie i bezpośrednio przebadać na wszystkie strony. — Każde słowo akcentowała krótkim, delikatnym ugryzieniem w koniuszek jego nosa.

Norman jęknął, czując, jak jego „specjalny termometr” staje na wysokości zadania. Kris skierowała się roztańczonym krokiem w jedną z alejek, machając mu, gdy zniknęła za stosem środków dezynfekujących.

— Proszę posłuchać, panno Barrons — powiedział, siłąc się na swój najbardziej władczy i autorytatywny ton. — Jako pani lekarz informuję panią, że to ważne, by robiła pani dokładnie to, co pani każę. Zrozumiano?

Zza rogu dobiegł go chichot, po którym rozległo się:

— Och tak, panie doktorze.

Norman wyprostował krawat i ruszył w stronę swojej pacjentki.

— W celu przeprowadzenia należytego badania, muszę panią prosić o rozebranie się do naga.

— Ach, doktorze! Czy to na *pewno* konieczne?

Uwielbiał tę kwestię:

— Proszę mi zaufać. Jestem lekarzem.

— No cóż, pan wie najlepiej... — Odgłos rozpinanych guzików sprawił, że krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Nad szczytem piramidy z butelek płynu odkażającego przeleciał biały fartuch laboratoryjny, za którym wnet podążyły niebieskie, szpitalne ciuszki. Potem nastąpiła chwila ciszy, równie rozkosznej, co przewidywalnej.

— Czy muszę zdjąć nawet biustonosz i majteczki?

Majteczki... Norman przełknął ślinę. Nieważne, ile razy słyszał to słowo z jej ust, zawsze go podniecało.

— Proszę się nie przejmować — powiedział, lekko dygocząc — to dla pani dobra.

Cudownie koronkowa sztuka bielizny dołączyła do stosu ubrań leżących obok środków odkażających, a wkrótce potem wylądowała obok niej i druga, bardzo skąpa.

— Wspaniale. A teraz proszę tu podejść, przystąpię do badania. — Norman ponownie wyprostował swój krawat. Nie wolno mu było się rozebrać. Jeszcze nie.

Zza skrzynek wychyliła się długa, gładka noga, prowokująco powoli. Dziewczyna weszła w alejkę naga jak w dniu narodzin. Długie, kasztanowe włosy spływały jej po ramionach, a ich koniuszki tańczyły tuż ponad sutkami jej cudownych, sterczących piersi. Miała na twarzy szeroki, zachęcający uśmiech, podkreślony ciemnoczerwoną szminką połyskującą w sztucznym oświetleniu.

— Och, doktorze... — Wydęła wargi. — Strasznie mi gorąco!

— W takim razie zaczniemy od zmierzenia temperatury.

Zbliżyła się do niego, lekko zagryzając dolną wargę, a potem opadła na kolana i zaczęła mu rozpinąć spodnie.

* * *

Siwowłosy mężczyzna siedzący za stołem uniósł swój wąski palec urodzonego chirurga i powiedział:

— Opowiedz mi o nim.

Ken Peitai zakręcił dłonią ponad panelem sterowania i tuż nad powierzchnią stołu ukazała się ludzka głowa dwukrotnie większa od naturalnych rozmiarów. Twarz sugerowała, że jej właściciel nie dosypia już od wielu tygodni — grube, sine wory pod przekrwionymi oczami, włosy sterczące na wszystkie strony, zakrwawiona warga.

— Wicedyrektor sekcji w Organizacji William Scott Hunter, wiek trzydzieści dwa lata. — Ken ponownie zakręcił dłonią i głowa zaczęła się powoli obracać. — Jest najmłodszym w historii człowiekiem na tym stanowisku. Cztery lata w Akademii, ukończył ją z dyplomem z zakresu nieuprawnionego dostępu do danych, zajmując trzecie miejsce na swoim roku. A tak à propos: koleś, który zajął pierwsze miejsce, odsiaduje w puszczy wyrok od trzydziestu lat do dożywocia za wysadzenie w powietrze laboratorium badania przestrzeni międzygwiazdowej w Dundee. To się nazywa mieć znajomości, co? Starszy mężczyzna sięgnął do górnej kieszeni, wyciągając próbkę wypełnioną do połowy gęstym, zielonym płynem. Szklany cylinder zatańczył w jego palcach jak promień światła.

— Proszę kontynuować.

Ken starał się nie spoglądać. Jego pracodawca nigdy nie gubił rytmu — gdyby to uczynił, w ciągu kilku minut obydwaj padliby trupem.

— Cztery miesiące przed wręczeniem dyplomu dostaje powołanie: zamieszki wirtualne. Korzysta ze stypendium, więc nie ma nic do gadania. Ma już za sobą awans na sierżanta, kiedy jego Ważka rozbija się o nasz stary, pocziwy Sherman House, na trzydziestym dziewiątym piętrze. Nasz William ratuje swojego kumpla, szeregowego Briana Alexandra, przed wpadnięciem w łapy kanibali i taszczy go w bezpieczne miejsce. — Ken uśmiechnął się. — Był plan, by zrobić na podstawie tej historii wysokobudżetowy film, ale nic z tego nie wyszło. Gdy zamieszki VR dobiegły końca, Organizacja postanawia nie rezygnować z jego usług. Od tamtej pory był ich złotym chłopakiem.

Ken umilkł na chwilę, pozwalając, by hologram głowy kręcił się w ciszy.

— Najsolidniejsze przewidywania zakładają, że w ciągu pięciu lat awansuje na dyrektora Organizacji, a w ciągu dziewięciu obejmie wyższe stanowisko w Ministerstwie Obrony i Sprawiedliwości.

Starszy mężczyzna pokiwał głową, trzymając próbkę jak batutę dyrygenta.

— I mimo to twierdzi, że przyszedł tu, bo ktoś *posprzątał* miejsce zbrodni?

Ken ponownie poglądził panel sterowania i na ściennych monitorach wyświetliły się różne statystyki — tętno, rozszerzenie źrenic, przewodnictwo skórne, obraz w kamerze termalnej.

— Wszystkie ekrany potwierdzają, że mówił prawdę. Sprawdziłem nagrania

z mieszkania 47-122. Przez cały czas gapił się na tapetę.

Starszy mężczyzna ponownie zaczął bawić się próbówką.

— A co z jego szefową?

— Pociągnąłem za kilka sznurków i zmotywowałem gubernatora Clarka, by wezwał ją dziś po południu na rozmowę i odczytał jej ustawę o zamieszkach. By dał jej do zrozumienia, że jeśli będzie nas wkurzać, to nigdy nie uda się jej dostać posady w ministerstwie. Po wysłuchaniu tej pogadanki dyrektorka po prostu stawiała na głowie, by zapewnić go o swojej woli współpracy. Powiedziała, że „porozmawia sobie” z panem Hunterem na osobności. Słuchałem tej rozmowy. Wdeptała go na kilka metrów w ziemię.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

— Dobrze. Szkoda by było, gdybyśmy się musieli pozbyć pana Huntera. — Opadł na fotel i wsunął próbówkę z powrotem do górnej kieszeni. — Miej go na oku, Ken. Zadbaj o to, by nie okazało się to konieczne.

* * *

Kobieta nie ma pojęcia, jak długo spała. Tu na dole, głęboko we wnętrzu szpitala, trudno odmierzać upływ czasu. Rytm, który przez ostatnie sześć lat stanowił tak istotną część jej życia, zniknął. Nie ma już porannych pobudek, karmienia, ładowania do frachtowozów, wyładowywania z frachtowozów ani zmywania, ani szorowania, ani zbierania śmieci... Nie tęskni za pracą, ale jej organizmowi brakuje tej rutyny.

Przetacza się w swoim legowisku, siada pod wiszącym nisko nad jej głową wiatrakiem wentylacyjnym i marszczy brwi. Magazyn powinien obywać się bez żadnego personelu, ale słyszy jakiś chichot. Gdzieś poniżej, w alejce, dwie osoby bawią się w doktora.

Kobieta wychyla się po cichu, zerkając zza ściany papieru toaletowego. A oto i oni: dziewczyna ze sterczącym biustem leżąca na wznak na pudle rękawiczek chirurgicznych i jej towarzysz, klęczący między jej nogami. Dziewczyna trzyma ręce za głową, wijąc się i jęcząc, podczas gdy mężczyzna jest zajęty lizaniem i mlaskaniem. I wtedy staje się. Dziewczyna otwiera oczy i uświadamia sobie, że jest obserwowana. Jest ładna. Nie piękna — jej twarz jest na to zbyt pociągła — ale zdecydowanie ładna. Szkoda, że będzie musiała umrzeć.

Przez twarz dziewczyny przemyka grymas. Czy powinna powiedzieć partnerowi, że ktoś na nich patrzy, czy też ponownie przymknąć oczy i cieszyć się chwilą?

Dokonuje złego wyboru.

— Norman?

Dr Westfield pozwoliłaby jej osiągnąć orgazm i dopiero później by ją zabiła.

W końcu nie jest potworem. Nie przez *cały* czas.

— Norman! — Kobieta uderza partnera po głowie i wskazuje w stronę legowiska z papieru toaletowego.

— Au, Jezu, Kris? Za co to było?

— U góry! — woła dziewczyna, ponownie gestykulując w tamtym kierunku.
— Ktoś nas obserwuje.

— Co? — Norman zrywa się na nogi i staje wyprostowany, jego wzwiedziony członek kołysze się na boki jak zawadiacka, różowa parówka. — Jezu! O Jezu! — Pospiesznie naciąga spodnie. — Wiedziałem, że nie powinniśmy byli tu przychodzić! Jezu, ale nam się oberwie!

Bawili się w doktora. Czas na zabawę w zabójcę i ofiarę.

Dr Westfield ześlizguje się ze swojego legowiska na podłogę magazynu, rozrzucając na wszystkie strony rolki papieru.

Naga kobieta przymruża oczy.

— Co tutaj robi ubezwłasnowłowniona?

— Dlaczego dałem ci się na to namówić?

— *Ja* cię do tego namówiłam?

— Wpiszą nam to na stałe do akt!

— Doprawdy? — Kris opiera jedną rękę na biodrze, palcem drugiej stukając go w klatkę piersiową. — Nie pamiętam, żebyś narzekał pięć minut temu, kiedy robiłam ci laskę!

— Nie mogę stracić tej pracy! — Mężczyzna naciąga na głowę koszulę i schyla się, by podnieść swój fartuch ze stosu rozrzuconych ubrań. Nie widzi ciosu, który kończy życie Kris, gdy się obraca, dziewczyna leży już na betonowej posadzce, z jej potylicy sączy się strumyczek o głębokiej, połyskliwie czerwonej barwie.

— Kris? — Norman robi krok naprzód. Zatrzymuje się. Przełyka ślinę. — O Jezu...

Spogląda wzwyż na dr Westfield, a potem na trzymany przez nią młotek.

Mężczyzna moczy się, a jego twarz wiotczeje.

Ubezwłasnowłowniona przechodzi spokojnie nad ciałem Kris i unosi młotek z nierdzewnej stali. Na jego obuchu połyskują kępki włosów, więc nieruchomieje na chwilę, by wciągnąć w nozdrza cudownie miedziany zapach świeżej krwi.

— O Jezu, nie... — W wielkich, błękitnych oczach mężczyzny rozbłyskują łzy.
— Proszę, nie zabijaj mnie! Błagam! — Odwraca się i zrywa do biegu, ale jego stopy go nie słuchają. Potyka się, padając na stos środków

dezynfekujących i zsuwając się na śliską od krwi podłogę.

— Nie, nie, Jezu, nie... — Norman czołga się na rękach i na kolanach, zmierzając w stronę drzwi. Kobieta podąża za nim, trzymając się w takiej odległości, by sądził, że ma jakieś szanse. Pozwala mu dotrzeć do samego panelu i dopiero wtedy wznosi młotek do ciosu.

— Trzy, sześć... trzy, sześć... — Mężczyzna łka. — Boże, co jest po sześć?

Nie pamięta hasła. Wie, że to jego jedyna szansa na wyrwanie się z objęć śmierci, ale nie pamięta hasła.

Przez ciało obserwującej jego szamotaninę skazanej przebiega ciepły dreszcz. Minęło sześć długich lat, odkąd ostatni raz czuła takie podniecenie.

Uderza go młotkiem w potylicę, zbyt słabo, żeby zabić, wystarczająco mocno, by go na chwilę ogłuszyć. Następnie zaciąga zwiotczałe ciało w głąb magazynu.

Człowiek z ubikacji się nie liczy — masakrując go, nie była jeszcze sobą. Zabójstwo załogi frachtowozu wynikało z względów praktycznych, a ubezwłasnowolnieni w ładowni i tak byli martwi, więc też się *nie liczą*. Kris musiała umrzeć, ponieważ dwie osoby to za wiele, by można je było kontrolować przy użyciu zwykłego młotka, więc i ona się nie liczy. Ale teraz będzie miała mnóstwo czasu, by nacieszyć się tym mężczyzną. Ten się liczy.

* * *

— Analiza tych danych zajmie maszynie trochę czasu. — George smarknął w swoją chusteczkę, wydając okropne dźwięki. — Może filiżankę kawy?

— Myślałem, że nigdy nie zaproponujesz. — Will siedział na krawędzi stołu do sekcji zwłok, dygocząc. Ależ tu było *zimno*. George był porządnie i szczelnie opatulony, ale Hunter był tak goły, jak umarlak leżący na sąsiednim bloku.

Zeskoczył na podłogę.

— Masz tu terminal, z którego mógłbym na chwilę skorzystać? Chciałbym sprawdzić maila.

George wskazał na główny panel, a potem wręczył mu filiżankę kawy i czystawo wyglądający fartuch. Nie było to nic szczególnego, ale nawet taki ubiór był lepszy od zakładania na siebie tych oczojebnych łachów, kompletnie upakowanych krwią z przodu.

Will wystukał coś szybko na klawiaturze, a potem skinął na niewysokiego patologa.

— Chyba siadło ci połączenie.

— Co? Jeszcze pięć minut temu działało...

Hunter zatkał mu usta dłonią i wskazał na ekran.

Chyba założyli mi pluskwę.

George przeczytał, zmarszczył górną wargę, a potem popatrzył na niego.

— Co?

Will zastukał w klawiaturę wolną ręką.

Prawdopodobnie nas teraz podsłuchują – chcę, żeby myśleli, że wyniki badania nie wykazały niczego podejrzanego. Rozumiesz?

George odsunął jego dłoń i pociągnął nosem.

— Chyba sobie żartujesz!

Will ponownie spróbował zasłonić mu usta, ale patolog dał nura pod jego ramię.

— Cholerne służby wewnętrzne. Pewnie znowu przecięli kabel. — Jego pulchne palce śmigają po klawiaturze.

Możliwe, że masz przejściową paranoję spowodowaną przez traumę neurologiczną, ale jeśli wolisz rozegrać to w ten sposób...

Will skinął głową. Zamierzał to rozegrać *dokładnie* w ten sposób.

Trzy filiżanki kawy później George wrócił z wynikami badań, przyciskając tabletki do piersi, jakby to była butelka gorącej wody.

— Jeśli nie liczyć kilku zerwanych więzadeł i nieznacznego odwodnienia, to nic ci nie będzie. — Wręczył mu tabletki, by Hunter mógł przeczytać komunikat na wyświetlaczu:

Miałeś rację. Dwa podskórne czipy samonaprowadzające i trzy implanty podsłuchowe. Co chcesz, żebym zrobił?

Cholerny Ken Peitai — ktoś powinien odstrzelić tego zasranego sukinsyna. Will starał się, by jego głos brzmiał beztrąsko.

— Odwodnienie? To mi wygląda na dobry pretekst, żeby skoczyć po pracy na browara. — Rozłożył małą klawiaturę.

Wykończ pluskwy, ale nie ruszaj czipów. Nie chcę, żeby nabrali podejrzeń.

George opróżnił nos w chusteczkę.

— Browar po pracy? — Odebrał Willowi tabletki. — Jest szansa, że tym razem to ty będziesz stawiał?

Pluskwy wyglądają na standardowe 397-mki. Poddaj je działaniu temperatury o dziesięć stopni wyższej od ciepłoty ludzkiego ciała, a padną. Powinien wystarczyć szybki zastrzyk i sauna. Gorzej z czipami, to nie byle jakie dziadostwo. Nie potrzebują żadnych instrukcji, by prowadzić transmisję. Nieustannie wysyłają komunikaty na temat twojej lokalizacji. Jeden znajduje się tuż pod tkanką podskórną, o tutaj. Patolog poklepał Willa po brzuchu. Drugi jest pod lewym ramieniem z boku klatki piersiowej. Jedynym sposobem na

pozbycie się ich jest zabieg chirurgiczny.

Kula w łeb to za mało — Ken Peitai zasługiwał na kastrację.

George wykasował pamięć podręczną swojego tabletu.

— Jeśli wciąż jesteś obolały, mogę ci strzelić szybką dawkę czegoś na rozluźnienie mięśni. Potem przydałaby ci się sauna i masaż.

— Dobry pomysł.

Po wszystkim Will zapłacił za pierwszą kolejkę.

* * *

Mop ślizga się po brudnej podłodze — tyle krwi w jednym, małym człowieku. Kobieta zanurza ścierkę w wiaderku, barwiąc wodę delikatnym odcieniem różu. Szuru-buru, szuru-buru. Z jakiegoś dziwnego powodu podoba jej się ta praca. Odpręża ją. Zmywanie, wyżymanie, zmywanie, wyżymanie. Opróżnij wiadro, napełnij wiadro, dodaj więcej detergentów, a potem wracaj do zmywania i wyżymania.

Ciemnoczerwone plamy stopniowo blakną, a potem znikają, pozostawiając błyszczący, mokry beton, pachnący olejkiem sosnowym.

Był dobry. Wspaniale miękki i uległy. I tak pięknie krzyczał. Dostała swoje pamiątki, zanurzone w plastikowym pojemniku z formaldehydem. Takie śliczne oczy...

Będzie się później musiała przejść do spalarni — pozbyć się Kris i tego, co zostało z Normana — ale najpierw odrywa wierzchołek ampułki i wstrzykuje sobie lekarstwo prosto w kark. Dobrze jest znowu nad sobą panować.

Teraz, gdy zaspokoila już swoje popędy, może się przygotować. Musi odwiedzić parę osób. Włamać się do paru laboratoriów. Wyhodować kilka kultur tkankowych.

Zemścić się.

14

Ciemność wypełnia szyb windy jak nowotwór, napierając na niego ze wszystkich stron, pulsując w rytm uderzeń bębnow. Nieustępliwa, nieprzenikniona, ogłuszająca. Will zahacza ramieniem o zardzewiałą drabinkę serwisową i opiera czoło o jeden z jej chłodnych szczebli.

Co za idiota mógł wymyślić, że to będzie dobry pomysł...

Próbuje się roześmiać, lecz z jego ust dobywa się tylko zduszony, bolesny dźwięk.

Zaciska zęby, zamyka oczy i tłucze czołem o drabinkę. Głupek. Łup. Pieprzony. Łup. Idiota.

Jak mógł im pozwolić dopaść szeregowego Alexandra?

Otwiera oczy — mimo że nic to nie zmienia, bo nic nie widać — i wpatruje się w mrok. Musi być już gdzieś w okolicy parteru, *na pewno*. Wystarczy, że na kolejnym piętrze wyważy drzwi windy, znajdzie najbliższe okno, zedrze z niego płyty, rozbije szybę, wyskoczy i pobiegnie, jakby go gonił sam diabeł.

Wolność.

Spieprzyć jak najdalej od tego piekielnego domu wariatów.

Ale nie robi żadnej z tych rzeczy. Zamiast tego bierze kilka głębokich oddechów i rusza dalej w dół drabinki. Szczebel za szczeblem, po omacku, coraz głębiej w mrok. W stronę bębnow.

Bez krępującego ruchy ciężaru, jakim był szeregowy Alexander, idzie mu się znacznie łatwiej. Jedynym przedmiotem, jaki teraz ze sobą taszczy, jest blaster z padniętym akumulatorem. Fakt, że przedstawia on w tej chwili taką wartość jak zaawansowany technicznie przycisk do papieru, ale sterroryzuje każdego, w kogo się go wyceluje. Może to wystarczy?

Sierżant Hunter — z szarżą drugiej kategorii — nie może tak po prostu uciec, choćby nie wiadomo jak tego pragnął. Nie bez szeregowego Alexandra. Zbyt wiele przeszedł, by miał go teraz zostawić.

Poza tym, a nuż kanibale zdążyli już trochę nadgryźć tego tłustego sukinsyna? Oznaczałoby to, że Will będzie miał przynajmniej lżejszy ciężar do taszczenia.

— Tak jest — mówi do siebie, a jego słowa giną w niekończącym się, pulsującym rytmie. — Spójrz na to z dobrej strony.

* * *

Wskazówki kuchennego zegara powoli doszły do wpół do dziesiątej. Will siedział przy małym stoliku, ściskając kubek kawy i zmagając się z podłym nastrojem. Bolała go plecy i głowa, a poza tym miał wrażenie, jakby ktoś sypnął mu w oczy okruciami tłuczonego szkła. Taki efekt dała mieszanka nocnych koszmarów i whisky.

Wzdrygnął się, po czym wrócił do gapienia się przez okno.

Zdażył już tego ranka dwa razy zadzwonić do biura, za każdym razem słysząc grzeczną, ale stanowczą odpowiedź, że został wysłany na urlop okolicznościowy, a dyrektor Smith-Hamilton zakazała zawracać mu głowę. Nawet gdyby o to błagał.

Zamiast tego obserwował więc deszcz zalewający nieubłaganie całe Glasgow. Nad miastem wisiała gęsta pokrywa szarych chmur, zakrywających słońce i pogrążających wszystko w ponurym półmroku.

Widok na Kelvingrove Park, który tak wiele kosztował jego i Janet, przedstawiał żalostną mieszankę szarości i zieleni rozpościerającą się czterdzieści siedem pięter niżej. Parkowe alejki jarzyły się blaskiem sodowych latarni, migocząc jak wstęgi słabego, żółtawego światła rozkołysanego podmuchami nawałnicy. Pozostałe wieżowce, które otaczały zadrzewiony skwer niczym szklano-betonowy płot z trzydziestopiętrowych sztachet, wyznaczały kres świata, wszystko poza nimi ginęło w ulewie.

Po niebie przemknął ścigacz, skręcając warkocze deszczu w wiry i spirale. A potem przepadł.

Will wstał od stolika i oparł czoło o szybę. Stojąc w tym miejscu, mógł z łatwością uwierzyć, że jest jedynym człowiekiem na całym świecie.

Słyszac nagły dzwonek, podskoczył, oblewając wystygłą kawą swoją koszulę i dywan.

— Niech to szlag... — Zamaszyście odstawił kubek na stolik i wcisnął guzik „odbierz”.

— Co jest?

— *Will, to ty?* — Twarz patologa Organizacji wypełniła cały ekran na ścianie kuchni, a potem przybrała gniewny grymas. Obraz zatrzęsł się, gdy mężczyzna walnął w swój monitor. — *Cholerne gównu nie działa.*

— Nic mu nie jest, George. — Hunter oparł się o kuchenny blat. — Moja kamera się zepsuła. — Była to prawda; spalił obwody wizualne lutownicą. — Ja widzę cię bez zakłóceń. Co mogę dla ciebie zrobić?

— *Pamiętasz tych umarlaków, u których zdiagnozowałem syndrom VR?*

Will skinął głową, zanim dotarło do niego, że grubasek go nie widzi.

— Co z nimi?

— *Myliłem się.* — Patolog przybliżył się do kamery, aż jego okrągła, różowa twarz wypełniła całą przestrzeń między blatem, a półką na przyprawę. — *To nie syndrom VR, to tylko wygląda, jakby nim było.*

— To nie syndrom...? Więc o co, do diabła, chodzi?

— *Nic miłego. Znalazłem ślady substancji chemicznych w obydwu mózgach. Początkowo myślałem, że jakiś syf zanieczyścił slajdy, ale to co innego.* — Wytrzeł nos chusteczką i siąknął. — *Cokolwiek to było, jestem całkiem pewny, że zmieniło funkcjonowanie ich mózgow tak, że wyglądało, jakby mieli VR.* — Umilkł na chwilę, a potem znowu zaczął walić w ekran. — *Will? Will, jesteś tam?*

— Myślę...

Stary, dobry Ken Peitai pilnował budynku pełnego ludzi z syndromem VR; dbał o ich bezpieczeństwo. Tyle że ci ludzie tak *naprawdę* nie mieli syndromu, prawda? Ktoś naszprycował ich chemikaliami, by wyglądali i zachowywali się, jakby go mieli. A głównym podejrzanym w oczach Willa był cholerny Ken Peitai.

A jeśli pan Peitai nie miał skrupułów przed zarażaniem mieszkańców Sherman House fałszywym syndromem VR oraz wszczepianiem pluskw i czipów samonaprowadzających pod skórę wicedyrektora Organizacji, to czy miałby jakiegokolwiek etyczne rozterki dotyczące podsłuchiwania telefonu tegoż wicedyrektora?

— Cholera. — Powinien był wcześniej o tym pomyśleć. — Brian, kisnę w tym mieszkaniu, może skoczylibyśmy za pół godziny na kawę albo coś w tym rodzaju?

Twarcz patologa stężała.

— *Jeżeli... ee... chyba tak. Gdzie?*

— Pamiętasz, gdzie robiliśmy imprezę urodzinową dla Emili w zeszłym roku?

— *A, ten...*

— Dokładnie. Do zobaczenia. — Will wcisnął guzik „przerwij połączenie”, nim George zdążył cokolwiek zdradzić.

Chwycił płaszcz i zjechał windą na parter. W normalnym przypadku zjechałby na poziom pod piwnicą, żeby wskoczyć do pojazdu komunikacyjnego, i właśnie dlatego tym razem tego nie uczynił: aby uniknąć przewidywalnego zachowania. Poza tym miał przecież pół godziny. Był to wystarczająco długi czas, by przeprawić się na drugą stronę Kelvingrove Park, przeciąć Sauchiehall Street i spotkać się z George'em.

Will podniósł kołnierz i ruszył prosto w ulewę. Nie uszedł nawet pięciu kroków, gdy był już całkiem przemoczony.

Być może to nie był jednak taki dobry pomysł...

Park prezentował się jeszcze bardziej ponuro niż z okna kuchni. Wydawało się, że włączono jedynie połowę sodowych latarni. Ich wysoko zawieszono klosze syczały i parowały smagane deszczem, jak małe, ginące słońca. Emitowały bladożółtą poświatę odbijającą się w mokrej nawierzchni ścieżki.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby się w taką pogodę namówić na przechadzkę po Kelvingrove Park. Ludzie przyczajali się w czterech ścianach, podłączeni do jakiejś komputerowo wygenerowanej chały, którą Comlab puszczał akurat w publicznych kanałach. Albo chowali się w pojazdach komunikacyjnych bądź w autobusach. Na pewno zaś *nie brnęli* przez deszcz, przemieszczając się od jednej plamy żółtawego światła do następnej.

Will parł przed siebie.

Ulewa pochłaniała dźwięki miasta. Ciszę przerywały jedynie wyświetlające się reklamy hologramowe — pseudocelebryci wciskający mu zbędne produkty, kiedy tylko wchodził w zasięg czujników. Jakiś obywatel, któremu leżało widać na sercu dobro ogółu, rozwalił wiele z tych emiterów, zostawiając błogie odcinki wolnej od reklam przestrzeni.

Obok przechodzącego Willa zamajaczyła w powietrzu półnaga kobieta, pytając, czy już nie najwyższa pora, by sprawić sobie nowe włosy.

— ...*lat młodziej? Ty...* — zzzzzzz, trzask — ...*w samą porę na tę wymarzoną randkę!*

Hologram towarzyszył mu do krawędzi zasięgu emitera, a potem posłał mu całusa i rozpułnął się w nicość.

Will podążał krętą ścieżką, omijając najprostszą trasę, zmierzając jedynie w ogólnym kierunku Sauchiehall Street. Miał mnóstwo czasu, a i tak nie mógł już gorzej przemoknąć. Usłyszał, jak pani Nowe Włosy jeszcze raz zaczyna swoją przemowę, gdy jakiś inny głupek włączający się po parku w taką pogodę zapędził się zbyt blisko czujnika.

Trzy dni przymusowego urlopu okolicznościowego. Co miał, zdaniem dyrektora Smith-Hamilton, zrobić z całym tym wolnym czasem? Zająć się szydełkowaniem? Wyciągnąć się na wyrze i pozwolić temu małemu, pieprzonemu sukinsynowi Kenowi...

Ze ścieżki za jego plecami doleciał go jakiś dźwięk — odgłos kroków, a potem charakterystyczne *kliknięcia* odbezpieczanej broni.

...Peitai.

Kurwa.

Wrobili go. KURWA. Jak mógł być taki głupi?

Myślał, że zachowuje się w nieprzewidywalny sposób, bo poszedł na przełaj

przez park, ale zamiast tego sam wystawił się na cel.

Will nie zatrzymywał się, udając, że niczego nie zauważył, a jednocześnie wyęztał słuch, próbując wyczuć, ile osób idzie jego tropem. Ale deszcz zbyt dobrze tłumiał wszelkie odgłosy.

Starając się zachowywać w jak najbardziej naturalny sposób, spojrzął na zegarek, wykorzystując ten ruch, by ukradkowo rzucić okiem na drogę, którą właśnie przemierzył.

Było ich dwoje. Mężczyzna miał na sobie długi, czarny płaszcz z postawionym kapturem, który ukrywał jego twarz, dziewczyna miała gruby, bordowy szal i nieprzemakalną kurtkę.

Musieli być też inni — rozstawieni w ciemności gdzieś na dalszej części trasy. Czekają, aż zapuści się wystarczająco głęboko w park, by mieć pewność, że nikt nie zauważy tego, co miało się wydarzyć. Namierzali sygnał wysyłany przez czipa, który wszczepili mu pod skórę.

Taa, majstersztyk nieprzewidywalności.

Czterech na jednego — jeśli miał szczęście — a wszystkie te sukinsyny były na pewno szkolone do tajnych operacji. Zawodowi mordercy.

Will zmusił się do zwolnienia tempa. Wciąż miał pistolet plazmowy Briana, zawsze to coś. Broń była w pełni naładowana, więc pierwszy, który czegoś spróbuje, pożegna się z twarzą...Wtedy będzie trzech na jednego i go zabiją.

Will zasymulował kaszel i włączył nadajnik na szyi.

— Dowództwo, tu Hunter — starał się nie podnosić głosu — potrzebuję, żebyście przysłali mi grupę wsparcia do Kelvingrove Park, *w tej chwili*.

— *Przykro mi, proszę pana, ale pani dyrektor prosiła nas, byśmy dołożyli wszelkich starań i trzymali pana dziś z dala od działalności Organizacji.*

— Nie obchodzi mnie, co powiedziała. Wyślij mi cholerną grupę wsparcia!

— *Nie mogę, proszę pana. Dostałam konkretny rozkaz, by nie przekazywać żadnych połączeń od pana albo do pana przez cały czas trwania pańskiego urlopu okolicznościowego.*

— Jesteś Lucy, prawda? — Umilkł na chwilę, przeszukując wzrokiem drzewa i krzaki oświetlane przez pobliską latarnię sodową. — Słuchaj, Lucy. Jeśli mi tu kogoś natychmiast nie przyślesz, to przeniosę się na wieczysty urlop. Ktoś właśnie przymierza się, żeby mnie odstrzelić.

— *O chole... Tak jest, proszę pana. Wszystkie działające Ważki są na akcjach... — Rozległ się odgłos pospiesznie naciskanych klawiszy. — Wygląda na to, że najbliższej pana znajduje się Delta trzydzieści sześć. Łączę pana.*

Will przyspieszył kroku, starając się trochę oddalić od śledzących go ludzi.

Lada chwila mogło się zacząć. Byli już w połowie drogi przez park. Z każdym krokiem zbliżali się do Kelvin Way, za którą zaczynała się już Sauchiehall Street. Wtedy nie byłoby już w stanie zaatakować — zbyt wielu potencjalnych świadków.

W uchu zatrzeszczał mu głos porucznik Brand, przemawiającej krótko i rzeczowo.

— *Co się dzieje?*

— Jestem w połowie drogi przez Kelvingrove Park, zmierzam na południowy zachód w stronę Kelvin Way. Dwóch typów siedzi mi na ogonie, kolejnych dwóch pewnie czai się gdzieś przede mną.

— *Chcą cię zastrzelić?*

— Mam nadzieję, że jednak spudłują. — W słuchawce rozległo się wycie turbin Ważki, po którym zadudniło działko pokładowe. — Gdzie jesteście?

— *Mamy tu wymianę ognia, na rogu Scotland i Carnoustie.*

— Cholera. — Nie było szans, by odlecieli z pola walki — nawet dla niego. Mógł liczyć tylko na siebie.

— *Dotrzemy do ciebie, jak tylko będziemy mogli. Zrobię...*

— Nie przejmuj się tym. Miło się z tobą pracowało, Emily.

— *Will, nie waż mi się...*

Hunter przerwał połączenie, zanim zdążyła dokończyć. Musiał się skoncentrować na tym, co działo się wokół niego *w tym momencie*.

Coś poruszyło się z przodu w krzakach i Will położył dłoń na trzymanym w kieszeni pistolecie plazmowym, szamocząc się z obudową, trudną do otwarcia jedną ręką. Przekręcił włącznik, by rozgrzać broń, i w jego rękawie wysunęły się elektrody.

Jakiś głos przedarł się do niego przez szum deszczu:

— Ej, dziadku. Jakies ostatnie życzenie?

To już.

Will nie odwrócił się. Zaczepka *brzmiała* amatorsko, ale wiedział, co by się stało, gdyby spuścił z oczu zacienione pobocza ścieżki. Nie byłoby w stanie dostrzec, jak druga para morderców podkrada się w jego kierunku. Sprytnie.

— Kogo nazywasz dziadkiem, łajzo? — Nastawił pistolet na pełną moc, maksymalny rozrzut. — Myślałem, że jesteście zawodowcami.

Mężczyzna roześmiał się.

— Doprawdy? W takim razie co powiesz na to? — Rozległ się metaliczny szczęk włącznika mocy. Coś wielkiego i nieporęcznego. Nowoczesna broń nie wydawała już z siebie takich dźwięków. Być może był to ten sam

antyczny karabin P-750, który wyrwał dziurę w ramieniu szeregowego Floyda. Nieważne, ile miał lat, wciąż był śmiertelnie groźny.

— No i co zamierzasz zrobić? — Will zatrzymał się, przenosząc ciężar ciała na środkową część stopy. — Zagadać mnie na śmierć?

— Zamierzam wypalić ci w tyłku wielgachną dziurę i zmyć się z twoimi kartami i hasłem do mieszkania. Potem zgarnę razem z kumplami wszystko, co tam masz. A jeśli zastaniemy twoją dziewczynę albo chłopaka, zerzniemy ich na wszystkie strony, a potem zapierdolimy szpikulcem do lodu.

Will zmarszczył brwi. Wiedział, że ma do czynienia z sukinsynami z „projektu” Sherman House, a oni wiedzieli, że on wie — inaczej by ich tu nie było. Więc po co całe to przedstawienie? Może to wszystko filmowali? Może znajdowali się w jednym z nielicznych rejonów parku, gdzie kamery CCTV wciąż działały? Nikt nie podejrzewałby żadnego spisku w sytuacji, gdyby wszystko było widać na nagraniu. Pechowo zakończona próba rabunku. Tak naprawdę to jego własna wina. Powinien był wiedzieć, że nie należy chodzić na skróty przez park. Tragiczne świadectwo kondycji współczesnego społeczeństwa. Skromny, państwowy pogrzeb. Żadnych dalszych pytań.

Kenowi Peitai upiecze się morderstwo.

Will obrócił się gwałtownie, unosząc pistolet. Ten w płaszczu stał tam, gdzie się go można było spodziewać, ale nie było ani śladu po jego przyjaciółce.

„Płaszcz” nie trzymał wcale P-750-tki, miał w rękach coś jeszcze starszego: giwerę długą jak męskie ramię, całą pokrytą plamami rdzy i oplecioną przewodami. Sprawiała wrażenie, jakby mogła raczej wybuchnąć prosto w twarz „Płaszcz”, niż zrobić Willowi jakąś krzywdę... To pewnie podstęp, trik dla odwrócenia uwagi.

Na poboczu rozbłysła nagle dwupokoleniowa rodzina, deszcz smagał holograficzne ciała rodziców i dzieci, gdy śpiewem i tańcem zaczęli zachwalać jakąś pizzerię. Ktoś musiał aktywować czujnik projektora reklam.

Ta w kurtce i z szalem pojawiła się jakby znikąd, wymachując grubym, metalowym prętem. Will nie miał czasu na unik — drąg huknął go prosto w czoło. Dzwonienie w uszach, jasne rozbłyski wewnątrz czaszki. Zachwiał się i upadł, uderzając twarzą o asfaltową ścieżkę.

Wstawaj. WSTAWAJ!

Do muzycznego spektaklu dołączył animowany dinozaur, obwieszczając wszem wobec, że w poniedziałkowe wieczory dzieci mogą liczyć na bezpłatny posiłek.

Will podźwignął się z wysiłkiem na kolana, wszystko wokół niego wirowało i dudniło. Dziewczyna z szalem doskoczyła i wymierzyła mu kopniaka w żebra, wystarczająco mocnego, by rozciągnąć go na przemoczonym trawniku, między błękitnymi triceratopsami, w samym środku reklamy —

wokół Huntera unosiły się grzyby, papryczki i kawałki klonowanego mięsa, rzucając jasne refleksy na jego skórę.

Will odkaslnął krwią. Coś w nim pękło. Każdy oddech bolał jak pchnięcie nożem.

To nie miało sensu. Dlaczego się z nim bawili? Nie wiedzieli, jakie to niebezpieczne? Nie rozumieli?

— Ha, spójrz na niego, został nadzieniem do pizzy! Co za pieprzony słodziak!

Jakim cudem mogli nie rozumieć? Will wzmocnił uchwyt na pistolecie. Nadszedł czas, by wszystko im wyjaśnić.

Dziewczyna w szalu odrzuciła drąg i wyciągnęła nóż. Było to wielkie, kuchenne ostrze, długie na sześć cali, szerokie na trzy, zwążające się ku końcowi. Nie takiego noża oczekiwał. Klinga połyskiwała, gdy właścicielka szala przeszła przez tańczące dzieci i chwyciła Willa za gardło.

— Czas na zabawę w „nie mam twarzy”!

Z bliska wyglądała jak czyjaś bratanica, była tak młoda, że pewnie wciąż jeszcze powinna uczęszczać do szkoły. Zamachnęła się, na ułamek sekundy zastygła z nożem w powietrzu, a potem cięła.

Pistolet zawarczał w dłoni Huntera.

Dziewczyna w szalu nie krzyknęła, tylko klapnęła na tyłek, wpatrując się w kikut lewego ramienia — urwanego tuż poniżej łokcia — tryskający jaskrawoczerwoną, tętniczą mgiełką prosto w odmęty deszczu.

Tuż obok przemknął szczęśliwy dinozaur.

— O kurwa! — Typ w płaszczu wycelował swoją staroświecką broń w głowę Willa i pociągnął za spust. Rozległ się trzask.

— No nie, *znovu!* — Palnął ręką w generator mocy, próbując wycisnąć z niego coś poza głuchym gwizdem. — Działaj, ty pierdolony obsrańcu! — Mężczyzna cofnął się, tłukąc blaster i rzucając przekleństwami, podczas gdy Will z trudem pozbierał się z trawnika. Bolały go żebra, a po twarzy spływała mu krew, zalepiając oczy. Przetarł je ręką. Zamrugał. Przeszedł chwiejnie przez jakiegoś holograficznego malca.

Z odsłoniętych przewodów giwery typu w płaszczu strzeliła iskra, wywołana przez styczność z deszczem, a głuchy gwizd przeszedł w charkoczący ryk.

Nagle broń zawarczała, wrywając dziurę w ziemi. Mężczyzna wydał okrzyk i cofnął się o kilka kroków. Potem wyszczerzył zęby i spojrzał na Willa szeroko otwartymi, nabiegłymi krwią oczami.

— Nie żyjesz, kurwa! Kapujesz? Już po tobie! — Poderwał lufę i blaster eksplodował jak sylwestrowe fajerwerki. Jeszcze przed chwilą był tam

człowiek, a moment później już tylko deszcz krwawych strzępów. Will zasłonił oczy i poczekał, aż co większe z nich poopadają na ziemię.

Dziewczyna w szalu dygotała, ściskając swoje lewe ramię, wlepiając wzrok w miejsce, w którym raptownie się ono kończyło.

Roztańczona i rozśpiewana scenka reklamująca pizzerię dobiegła końca i zniknęła — pogrążając okolicę w ciemności i ciszy.

— Masz dwie możliwości — odezwał się Will, wypluwając solidną porcję krwi. — Albo powiesz mi, kto was przysłał i jakie mieliście rozkazy, albo cię zabiję.

Dziewczyna podniosła wzrok, jej twarz pobladła, a wargi spurpurowiały.

— Ja... Ja... Moja ręka! Nie mam ręki!

Will oparł stopę na jej piersi i popchnął, obalając ją na wznak na ziemię.

— Spróbujmy jeszcze raz! — Teraz już krzyczał, a jego głos drżał od napływu adrenaliny. — Ty i twój przyjaciel pan mielonka zostaliście przysłani, by mnie zabić. Kto wam kazał? Kto was nasłał? To był Peitai, prawda?

— Moja ręka!

Hunter opadł na kolana, siadając na niej okrakiem i przyciskając pistolet do jej bladego policzka,

— Następna będzie głowa, rozumiesz? — Wymierzył jej siarczasty policzek.

— Zrozumiano? — Kolejny policzek. — DLA KOGO ON PRACOWAŁ?

— Chcieliśmy tylko skombinować trochę kasy! Kilka kart, trochę żetonów! Żeby trochę zabalować! Nic byśmy nie zrobili twojej dziewczynie! Zupełnie nic! — Chlipała. — Proszę... Cała ta gadka Malka miała cię tylko przestraszyć. Nic byśmy nie zrobili. Chcieliśmy tylko trochę kabony na prochy! Nie musiałeś rozwalać mi ręki!

— Rozwalę ci cały łeb, ty mazgajowata kupo...

Nad jego głową rozebrzmiał huk i z góry spłynął gwałtowny podmuch gorącego powietrza. Wszystkie kształty otaczającego ich parku uległy nagle oślepijącemu wyostrzeniu zalane światłem reflektorów do lądowania, podczas gdy silniki Ważki rozrzuciły strugi deszczu z siłą huraganu.

W słuchawce Willa rozległ się głos, przerywany wyładowaniami elektrostatycznymi.

— *Tu Echo Dwa Siedem, widzimy bezpieczne miejsce do lądowania.*

Nadleciała kawaleria.

Will spojrział w dół na dziewczynę w szalu. Jeszcze dwie minuty i wycisnąłby z niej prawdę, nawet gdyby musiał jej odstrzelić wszystkie cholerne członki. Teraz, gdy wokół byli świadkowie, na pewno do niczego się nie przyzna.

Nawet jeśli trafi w końcu do Puszki, Peitai znajdzie sposób, by ją wyciągnąć. Albo żeby uciszyć ją na dobre.

Przyłożył jej pistolet do skroni. Może mógłby oszczędzić im fatygi.

Obok ponownie rozbłysła znana reklama holograficzna: mama, tata i dwójka dzieciaków rozpoczęli swoje taneczno-wokalne przedstawienie.

— *Gdy twe dzieci głodne są, wrzuc z rodziną coś na ząb...*

Ktoś klepnął go w ramię.

— Już w porządku, proszę pana, teraz jest nasza.

Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że był to któryś z członków załogi Ważki. Nie spodobałoby im się, gdyby ot tak, odstrzelił tej dziewczynie głowę, ale też żaden nic by o tym nie doniósł. Zwarliby szeregi. Wykasowaliby nagrania ze śmigłowca i z kamer na swoich hełmach. Był jednym z nich, jeździł na akcje przez prawie trzy i pół roku, zanim zapracował na stopień agenta w Organizacji, i oni o tym wiedzieli. Ekipa chroniła swoich.

Nowy głos:

— Panie Hunter? Panie wicedyrektorze? — Kątem oka Will uchwycił rozbłysk neonoworóżowej nogawki spodni.

Kurwa.

— Wszystko w porządku?

Za późno.

Nie mógł wykończyć tej jednoręki bandytki w obecności sierżant Cameron. Nie zrozumiałaby. Wciąż wierzyła w zasady.

— Może ją pan już puścić.

Przymknął oczy i wyłączył pistolet.

— Pan krwawi... — Pomogła mu wstać, podtrzymując go, gdy z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. To na pewno złamane żebro. Zapewne dwa.

— Bywało lepiej. — Will dostrzegł, jak ktoś spryskuje kikut dziewczyny w szalu dermoaerosem. Wezmą ją na noc na obserwację do szpitala. Ken Peitai wymaże wszystkie zarzuty. Wyhodowanie nowej ręki zajmie jedynie tydzień. Kilka godzin zabiegu chirurgicznego i będzie gotowa do powrotu na ulicę.

Will powinien był ją zabić, skoro miał okazję.

— Widać, że miał pan tu całkiem niezłą rozróbę. — Jo wskazała na szczątki typa w płaszczu walające się po przemokniętym trawniku.

Obok ponownie zamajaczył rozśpiewany dinozaur.

— *Poniedziałki to rodzinne świętęęta, bo dzieci do dwunastego roku nie muszą płacić ani ceeeenta!* — Will skierował pistolet na projektor reklam i zmienił go w chmurę pyłu.

Jo spojrzała na niego.

— Czyżbyś nie przepadał za pizzą?

— Ten martwy miał starą S-980-tkę. Wyglądała, jakby wypadła z jakiejś rupieciarni w muzeum. Wybuchła mu w rękach.

— Ten w długim, czarnym płaszczu?

Will skinął głową.

— To był Malcolm Albany. On i Samantha handlowali ziołem, dopóki Nicholson i Richmond nie zaproponowali im, że przepuszczą ich głowy przez zgniatarkę.

— *Znasz tych ludzi?*

Westchnęła.

— Czy ich znam? Aresztowałam Samanthę McLean więcej razy, niż jestem w stanie zliczyć. Prostytucja, napaści, włamania... co tylko zechcesz. Odwiedzała Puskę odkąd skończyła sześć lat. Tym razem dała ciała... usiłowanie morderstwa. Pójdzie do ubezwłasnowłówienia, biedna kretynka.

Rabusie. Czyli jednak nie Peitai.

Will przetarł twarz dłonią. Natychmiast pokryła się lepką czerwienią. Prychnął. Uśmiechnął się. I wybuchnął śmiechem.

— Mocno pan oberwał? — Jo podeszła bliżej, zaglądając mu w oczy. — Ile palców pokazuję?

Ujął jej policzki w zakrwawione dłonie i pocałował ją prosto w usta.

— Przywróciłaś mi — powiedział — wiarę w ludzkość.

— Jaaa...yyyy... — Cofnęła się, jej brwi i usta poruszały się w jednym rytmie, a na szyi pojawił się rumieniec. — Nie rozumiem, proszę pana.

Will pokuśtykał do oczekującej Ważki.

— Czasami nie ma żadnego spisku. Czasem ludzie są po prostu prymitywnie źli.

— Ale czemu pan...

Zasnuła deszczem niebo eksplodowało, gdy druga Ważka zatoczyła koło nad ich głowami, wszystkie komory uzbrojenia maszyny były otwarte. Całą karoserię śmigłowca pokrywały głębokie, ciemne blizny, a za jednym z silników ciągnęła się smuga dymu.

— *Hunter, tu Brand, czy mnie słyszysz, odbiór?* — Emily. Nie miała pojęcia,

czy żyje, czy leży w jakimś worku na zwłoki.

— Już po strachu, pani porucznik. — Odwrócił się ku Jo, spoglądając radośnie na nią i na jej nedorzecznie pstrokaty strój. — Sierżant Cameron wszystko wyjaśniła. To byli tylko rabusie. Uwierzysz w to? Rabusie. — Ponownie wybuchnął śmiechem, który nie ucichł, dopóki ktoś nie wstrzyknął mu w kark ampułki środków przeciwbólowych.

* * *

Cały szpital tętni ruchem w oczekiwaniu na przerwę obiadową. Dzieje się mnóstwo rzeczy, ludzie starają się uwinąć do południa ze swoimi zadaniami. Brzzzzzzęczą po całym szpitalu jak pracowite pszczołki. Nikt nie zwraca na nikogo uwagi. To zawsze najlepszy moment, by załatwić swoje sprawy.

Kobieta rozgląda się uważnie, a potem wyciąga z magazynu stolik na kółkach i wyjeżdża nim na korytarz. Worki na ciała wzbudzałyby zbyt wiele podejrzeń — ubezwłasnowglowionym nie wolno transportować zwłok — ale zwykłe worki na odpady to zupełnie inna sprawa. Trzeba tylko pociąć kochanych zmarłych na mniejsze kawałki.

Kobieta zasuwa za sobą drzwi i rusza korytarzem w stronę spalarni. Minęło sześć lat, odkąd potrzebowała z niej skorzystać: Gordon Waughn. Zostawiła wtedy drzwi pieca otwarte, zmniejszając temperaturę, by jego zmaltretowane ciało nie uległo błyskawicznemu spopieleniu... uśmiechała się, gdy zwłoki syczały i trzaskały wśród płomieni. Tamtego wieczora wyszła do restauracji i zamówiła ogromną porcję pieczeni wieprzowej.

Ale teraz nie ma czasu na zabawę. Wrzuca więc po prostu osiem ciężkich worków na odpady do wnętrza pieca i ustawia maksymalną temperaturę. Wkrótce po ciałach nie ma ani śladu. Pa, pa, Kris, pa, pa, Norman.

Dr Westfield macha ręką, a potem odstawia stolik, zamiast niego chwytając mopa i wiaderko na kółkach, popychając je przed sobą jak bezdomna kobieta prowadząca wózek na zakupy wypełniony pustymi, plastikowymi butelkami. Skupia się tylko na mydlinach, jakby to była jedyna rzecz na świecie.

W windzie serwisowej jest tłoczno — tak jak się spodziewała. Czterech lekarzy, trzech stażystów i pielęgniarka. Odsuwają się jedynie na tyle, by ją wpuścić, nie zwracając na nią jednak żadnej uwagi. Mimo że dwoje z nich pracowało z nią kiedyś każdego dnia... Kiedy jeszcze była człowiekiem.

Dr Stephen Bexley — ten ze szpakowatą brodą, czytający wyniki pacjenta na swoim tablecie — nawet pojawił się na jej procesie. Łkał, kiedy przedstawiała sądowi listę nazwisk, opisując dokładnie, co zrobiła z ich właścicielami, zarówno przed, jak i *po* ich uśmierceniu. Wydawało się, że to pośmiertne działania wzbudzały największe wzburzenie Stephena. Niegdyś głosił się jej przyjacielem. Teraz nawet jej nie rozpoznał.

Biedny Stephen.

Jego twarz pozostała prawie niezmieniona: chropawa, zarośnięta, z haczykowatym nosem. Ma znacznie więcej włosów niż podczas procesu — klonplanty, wybawienie łysiejących. Czy zlecił zabieg jednemu ze swoich podwładnych, czy też wykonał go osobiście? Zawsze był perfekcjonistą. Zawsze miał ogromne ego.

Winda pokonuje kolejne piętra i poszczególne osoby stopniowo opuszczają kabinę, aż dr Westfield pozostaje w niej sama ze Stephenem. Nie zwracając na nią uwagi, wpycha jeden ze swoich delikatnych, smukłych palców do tego ogromnego, zakrzywionego nochała. Dłubie nim zawzięcie, a potem coś wyciąga i zaczyna się temu przyglądać.

Kobieta zamyka oczy, by nie patrzeć, jak zjada swoje znalezisko.

Winda hamuje gwałtownie i skazana czeka, aż lekarz wysiądzie pierwszy — jak przystało na potulną ubezwłasnowłowioną — a potem rusza za nim do zagraconej recepcji. Na ścianach roi się od inspirujących plakatów, obrazków szczęśliwych, uśmiechniętych dzieci, listów z podziękowaniami, karteczek z ogłoszeniami i dyplomów. Oddział klonplantologii szpitala Glasgow Royal zalicza się do najlepszych na świecie. A dr Stephen Bexley jest jego wielkim wezyrem.

Straże sprawdzają legitymację lekarza, przesuwając ją pod skanerem, jak gdyby miały do czynienia z potencjalnym terrorystą, a nie z szefem oddziału. Dopiero gdy czytnik oznajmia z piknięciem „TOŻSAMOŚĆ POTWIERDZONA”, strażnicy uśmiechają się i pytają o zdrowie żony i dzieci.

A więc ma rodzinę. Nowa czupryna, żona w ciąży i dzieci. Jakie to słodkie. To bardzo ułatwia sprawę.

Stephen zamienia ze strażnikami kilka uprzejmych słów, po czym przechodzi przez drzwi. Nikt nie próbuje sprawdzać tożsamości ubezwłasnowłowionej z mopem i wiaderkiem, która po prostu drepcze do wnętrza laboratorium klonplantologii.

Jest większe, niż zapamiętała. Całe wyposażenie stanowi dla niej niewiadomą, ale ona szybko się uczy. Wyciera podłogę, jeżdżąc mopem w górę i w dół między rzędami stanowisk, dokładnie i powoli, obserwując pracę techników. Pierwsza faza wydaje się prosta. Próbkę pobraną od pacjenta umieszcza się w sekwenserze w celu wyhodowania komórek macierzystych. Kolejny krok jest bardziej wymagający. Trzeba znaleźć sposób na pokierowanie wzrostem kultury tkankowej. W systemie znajdują się pewnie zapisy procedur koniecznych dla uzyskania zamierzonych przez nią rezultatów, ale potrzebuje czasu, by znaleźć odpowiednie komendy. Więc dalej mopuje, aż w końcu rozlega się dzwonek na przerwę obiadową i wszyscy ruszają do stołówki, by popробować serwowanych tam smażonych pyszności.

Wróćą za czterdzieści minut. Musi się spieszyć.

Uzyskanie próbki do sekwensera nie jest łatwe. Potrzebuje dobrych, zdrowych tkanek. W jej przypadku nie wchodzi w grę pobranie wymazu komórek z policzka albo z przelyku, więc świeżym ostrzem zdiera sobie z brzucha pasmo skóry szerokie na pięć milimetrów i długie na dziesięć. Nie jest to głęboka rana, ale piecze i krwawi bardziej, niż się spodziewała. Przyciska do niej garść sterylnej gazy, powstrzymując najgorszy krwotok. To mała ofiara za odzyskanie prawdziwej twarzy. Za to, by znowu stać się *sobą*.

Powinna była zabrać ze sobą puszkę dermoaerozolu z magazynu, ale nie spodziewała się, że uda jej się zajść tak daleko w tak krótkim czasie. No cóż, *carpe diem*.

Wolną ręką umieszcza czworokątną próbkę w tyglu — krążku ze skomplikowanych, plastikowych i elektronicznych elementów, który zamyka pojemnik z hodowaną kulturą. Szybko zamyka wieczko, wsuwa całość do sekwensera i uruchamia maszynę. Od tego momentu wszystko jest zautomatyzowane. Jej zadaniem jest tylko wyjaśnienie systemowi, jaki organ pragnie wyhodować z pobranych komórek.

To bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać.

Wciąż stara się zlokalizować odpowiednie komendy, kiedy ludzie zaczynają wracać z lunchu. Słyszy, jak rozmawiają w pomieszczeniu recepcji, jak powłóczą nogami, nie spiesząc się wcale z powrotem do pracy.

Odpowiednia sekwencja musi gdzieś tu być...

Jej lewa noga zaczyna dygotać.

Gdzie, do diabła, jest ta cholerna sekwencja?

Pszczółki i potłuczone szkło.

Drzwi otwierają się z kliknięciem i personel laboratorium zaczyna rozchodzić się po pomieszczeniu, kierując się w stronę swoich stanowisk.

Czas zrezygnować. Wróci później. Nie może ryzykować.

Wertuje listę komend tak szybko, jak tylko potrafi, przelatując od jednego pliku do drugiego.

Ktoś siada przy sąsiednim stanowisku, prowadząc rozmowę przez palcofon:

— Taak, nie no, browar brzmi świetnie...

Na ekranie rozbłyskuje jakaś sekwencja, wszyscyutkie podziały komórek opracowane w najmniejszych szczegółach. To recepta na dużo większą ilość tkanek, niż jej potrzebne, ale nie ma czasu na szukanie czegoś innego.

— Hej, co ten cholerny ubezwłasnowłowiec robi przy moim biurku? — Głos jest szorstki i dobiega z drugiego końca pokoju.

Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stanowisku spogląda na krzykacza, a potem przenosi wzrok na nią.

Ma dokładnie tyle czasu, ile potrzeba, by odkleić gazę od krwawiącego brzucha i zacząć udawać, że poleruje nią biurko.

— Sprząta — odpowiada mężczyzna. — A coś ty myślał, Rob, że przegląda twoje maile z pornosami?

Wybucha śmiech i Rob oblewa się rumieńcem.

— Zamknij się.

Dr Westfield wciska guzik, ładując komendę do pamięci tygla.

— Co tu tak wesoło? — Dr Stephen Bexley staje w przedniej części pomieszczenia, mierzwiąc palcami swoje nowe włosy.

— Rob myśli, że ubezwłasnowłowiec czyta jego świńskie maile. — Kolejna salwa śmiechu.

— Wcale nie!

— Dzieci, dzieci. — Stephen uśmiecha się do nich, jak zawsze odgrywając rolę ojca. — Bawcie się grzecznie.

Blat stanowiska pracy pokrywają krwawe smugi w miejscu, gdzie przejechała po nim gazą. Zanurza materiał w stojących u jej stóp wiaderku i wyciera powierzchnię do czysta, nim ktokolwiek się orientuje.

Tygiel spada na dół podajnika i wjeżdża do komory inkubacyjnej. Pierwszy podział komórek jest już w toku, mnożą się i rosną w przyspieszonym tempie.

Teraz musi już tylko czekać.

15

— Lepiej ci? — Agent specjalny Brian Alexander przysiadł na skraju szpitalnego łóżka zajmowanego przez Willa. Prywatną salkę można było uznać za wygodną, jeśli ktoś lubi maszyny wydające z siebie piski i bulgoczące w nieregularnych odstępach czasu. — A tak w ogóle to wyglądasz jak spleśniały kawałek gówna.

— Co tak późno? — Will wytaszczył nogi z wyra i wstał, a jego szpitalna koszula rozwiązała się jednocześnie na plecach. Czuł, jakby ktoś próbował rozciągnąć mu lewą połowę twarzy do rozmiarów namiotu, a każdy oddech kłuł w piersi jak pchnięcie nożem.

— Ostatni raz się dla ciebie wysilam. — Brian siąknął nosem. — Wiedzieliśmy, że zabrali ci wszystkie ciuchy jako dowód w sprawie, więc razem z Jo wybraliśmy się na *zakupy!*

Will spojrział na niego.

— O nie. Nie mów mi, że dałeś j... — Urwał w pół słowa — sierżant Cameron stała w drzwiach. Wciąż miała na sobie odblaskowo różowe wdzianko skrojone w biuście tak, jakby miała trzy piersi, to samo, które nosiła tego ranka w parku. Biorąc pod uwagę jej dobór strojów do pracy oraz podły uśmiezek na twarzy Briana, Will zaczął podejrzewać, że kupili mu coś, w czym będzie wyglądał jak kompletny kretyń. Zmusił się do uśmiechu. — To znaczy... Dzięki.

Liczyły się intencje. Poza tym, choćby kupili mu jakiś totalny wybryk mody, będzie musiał go założyć tylko na czas, jaki zajmie mu powrót do domu. Dwadzieścia minut, góra pół godziny.

Will sięgnął do tyłu i zapiął koszulę na plecach, chroniąc sierżant Cameron przed widokiem swoich nagich pośladków.

— Nie powinniście byli robić sobie kłopotu, naprawdę. — *Naprawdę* nie powinni byli tego robić. Mogli po prostu zajrzeć do jego mieszkania i przynieść mu coś na zmianę. Brian dobrze to rozumiał. Ale nie ubawiliby się przy tym tak dobrze, jak kupując mu coś ohydneho.

— Ależ nie. — Brian rozciągnął usta w jeszcze szerszym uśmiechu. — To była przyjemność! Prawda, Jo?

Sierżant Cameron wręczyła Willowi wypchaną torbę jaskrawożółtego koloru z jakimś modnym napisem na boku.

— Mam nadzieję, że będą pasować. — Czyżby się zarumieniła?

Hunter poczuł się nagle niezręcznie.

— Yyyy... dziękuję.

Brian nacieszył się jeszcze chwilę przedłużającym się milczeniem, po czym wziął policjantkę pod ramię i wyprowadził ją na korytarz, by zapewnić Willowi „odrobinę prywatności”. Trele-morele. Sukinsyn upajał się każdą minutą tego przedstawienia.

Hunter rzucił torbę na łóżko i rozpakował ją ostrożnie. Ale ubranie w środku nie raziło elektryczną zielenią ani żółto-niebieskimi prążkami, ani innym modnym, wywołującym oczopląs dziadostwem, królującym na Sauchiehall Street. Nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście, wysypał zawartość pakunku na szorstką pościel i zaczął się ubierać.

* * *

Na zewnątrz Jo przestępowała z nogi na nogę. Brian dał jej kuksańca.

— Chce ci się siku?

— Nie bądź niemądry. — Skrzywiła się i przestała się wiercić. A potem znowu zaczęła. — Myślisz, że mu się spodobała?

— Ach, rozumiem. — Oczy Briana błysnęły i zaczął nucić: — Jo i Will pośród gwiazd, tararara...

Mądrała.

Jo wymierzyła mu klapsa.

— Auu! Ostrożnie z tym, sierżant Cameron. Will chyba nie lubi ostrych dziewczyn.

Policjantka odwróciła się i oparła o ścianę.

— Opowiedz mi o nim.

— OK... — Brian uniósł dłonie, podwijając mankiety marynarki. Wokół jego lewego nadgarstka ciągnęła się poszarpana linia. Ręka wyglądała całkiem zwyczajnie, ale nie dłoń — była mniejsza od prawej, a jej skóra miała dziwny, różowy kolor, jakby pożyczył ją od kogoś niższego, kto raczej unikał przebywania na słońcu. Aż do tego momentu nie zauważyła, że coś jest z nią nie tak. Nici z popisywania się policyjnym darem obserwacji.

Położył obie dłonie obok siebie. To tylko uwydatniło różnicę.

— Jedenaście lat temu pracowaliśmy w jednym zespole szybkiego reagowania, starając się powstrzymać tych wszczynających zadymy kretynów przed pozabijaniem się nawzajem. Trzynastu pracowników służb zostało schwytych na Dexter Heights. Biedacy, poszli tam tylko po to, by pozbierać zwłoki. Więc posłano nas, by ich uwolnić. — Oparł się o ścianę obok policjantki. — I oto przyszło mi wisieć na linkach ze śmigłowca i ostrzeliwać bandę zasrańców walących do nas z wyrzutni i miotaczy. Nie było mowy o tym, byśmy zdołali ocalić zakładników. Miejscowi skurwiele

dysponowali zbyt potężną siłą ognia. Zapadła więc decyzja o odwrocie: twarda ewakuacja, ja i reszta chłopaków zawieszeni pod Wążką, która zerwała się do lotu. Tyle że nic z tego nie wyszło.

Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Coś wielkiego rąbnęło w śmigłowiec i walnęliśmy czołowo prosto w Sherman Heights. Bummm! — Plasnął swoją dłoń o dziwnych, jakby pożyczonych palcach w plastikową płytę.

Jo starała się zapanować nad wyrazem twarzy i nie skrzywić.

— Wszyscy zawieszeni na linkach roztrzaskali się o ścianę, a rozbiliśmy się trzydzieści dziewięć pięter nad ziemią. Tylko Will był w stanie jeszcze się ruszać. — Obaj piloci zginęli, podobnie jak reszta grupy, rozgniecieni o wielgachny, brudny budynek, jak jakieś pieprzone robactwo.

Na moment wydał wargi. Zmarszczył brwi.

— Nie jestem tak do końca pewien, co działo się dalej, bo byłem pogruchotany i nieprzytomny po podaniu znieczulaczy, ale Willowi udało się jakoś zaciągnąć mnie do komory zrzutowej. Potem taszczył mnie na ramionach przez jakieś dwa następne dni, schodząc na dół klatkami schodowymi i szybami wind; starając się unikać tubylców. Bohaterski wyczyn, bez dwóch zdań. — Brian zniżył głos do szeptu. — Mieli zrobić wielki film o tej akcji, ale ministerstwo obłożyło prawami autorskimi wszystko, co dotyczy rządowego personelu. Zachłanne sukinsyny. Ale co robić...

Brian wyprostował się i ponownie pokazał jej swoją dłoń.

— W którymś momencie całej tej akcji Will został napadnięty przez miejscowych, a kiedy był zajęty odpieraniem ataku, jakiś pieprzony zasraniec zaciągnął moje biedne, nieprzytomne cielsko w głąb budynku. Na jakieś pięć minut wróciła mi świadomość i widzę to jak przez gęstą mgłę: jestem na parkingu, na jednym z podziemnych poziomów, a jakiś skurwiel obgryza odciętą rękę... Trochę potrwało, zanim dotarło do mnie, że to moja ręka.

Wlepił wzrok w dziwną, różowawą dłoń.

— Więc zacząłem krzyczeć. Na parking wpadł Will i wybuchł chaos. Następne, co pamiętam, to że jesteśmy na zewnątrz, on biegnie, ile sił w nogach, a ja wiszę na jego ramieniu jak wór ziemniaków. Przed tą stłuczką nigdy nawet na mnie nie spojrział, mógł mnie zostawić na śmierć przy śmigłowcu albo w piwnicy, albo przy tysiącu innych okazji, ale tego nie zrobił. Wrócił po mnie, mimo że byłem dla niego kimś zupełnie obcym. Chcesz wiedzieć, jaki jest? Właśnie *taki*.

Jo ponownie spojrzała na jego dłoń.

— Ten klonplant niezbyt im wyszedł, co?

Brian wzruszył ramionami.

— Zrobili mi go jedenaście lat temu; przez ten czas nauczyli się robić to trochę lepiej. James namawia mnie, żebym wyhodował sobie nową dłoń, żeby zastąpić tę tutaj. Ale prędzej zdechnę, niż pozwolę komukolwiek, by znowu odciął mi rękę.

Jo musiała przyznać, że brzmiało to przekonująco.

* * *

Will przejrzał się w lustrze nad umywalką, w malutkiej kabynie prysznicowej we wnęce pomieszczenia. Brian miał rację — wyglądał okropnie. Lewą stronę twarzy miał opuchniętą i obolałą, pokrywały ją ciemnopurpurowe siniaki. Także na skroni — tuż nad łukiem brwiowym — widniała odbarwiona plama, znacząc miejsce, w którym dziewczyna w szalu chciała rozwalić mu czaszkę metalowym prętem. Zespół chirurgiczny wypełnił ranę dermoaerosem, ale minie trochę czasu, nim opatrunek dopasuje się kolorystycznie do jego karnacji.

Poza tym wyglądał... niemal stylowo. Czarne spodnie, szary T-shirt i jeszcze coś bez kołnierza utrzymane w kamiennobłękitnej tonacji. Bielizna nie była upstrzona małymi serduszkami ani króliczkami. Dali mu nawet marynarkę, która musiała kosztować małą fortunę.

Will wykuśtykał na korytarz z cichym „tadaaam”.

— Wciąż wyglądasz jak gówno — powiedział Brian, przechylając głowę — ale teraz przynajmniej wyglądasz jak elegancko ubrane gówno.

— To musiało sporo kosztować.

— I owszem, przypomnij sobie o tym, gdy będziesz rozliczał moje koszty pod koniec miesiąca.

Sierżant Cameron wciąż się nie odzywała. Może uraził ją, zachowując się jak niewdzięczny sukinsyn, gdy przyszła z ubraniami. Hunter odchrząknął.

— Dziękuję... wam obojgu. To naprawdę świetne ciuchy.

Uśmiechnęła się, z wyraźnym zadowoleniem.

— Są OK.

Brian wygładził mu kłapy marynarki, tak by nie odstawały.

— Chciałem sprawić ci coś trochę *żywszego*, ale nie chciała się na to zgodzić.

Jo wzruszyła ramionami.

— Po prostu sądziłam, że te będą do ciebie lepiej pasować.

Wbiła wzrok w podłogę, bawiąc się włosami, podczas gdy Will zastanawiał się, co by tu powiedzieć.

— No to... — Brian wyszczerzył zęby. — Idziemy czy nie?

Dotarli niemal do samej windy, gdy za ich plecami rozległ się piskliwy głos.

— A *pan* dokąd, panie Hunter?

— Do domu?

Niska kobieta o posiwiałych włosach i w okularach zastąpiła im drogę, uniemożliwiając wejście do windy. Dr Euphemia Morrison — jeśli pracowałeś dla Organizacji i brałeś udział w działaniach zbrojnych, prędzej czy później musiałeś trafić pod jej opiekę.

— Żartuje *pan*, prawda? Prawie *pan* zginął dziś rano, pamięta *pan*?

— Yyy... Mam pilną sprawę. Nic na to nie poradzę.

— Dopiero co przeszedł *pan* poważny zabieg chirurgiczny.

— To *naprawdę* pilna sprawa.

— Pomijając już wszystko inne, doznał *pan* wstrząsu mózgu, potrzebuje *pan* ciągłego nadzoru. — Dr Morrison wskazała palcem w stronę prywatnej salki.

— Niech *pan* ładuje tyłek z powrotem do łóżka.

Nikt się nie poruszył.

Lekarka wpiła wzrok w Willa, ale ten nawet nie drgnął.

— Jak *pan* chce... — powiedziała wreszcie. — Ale jeśli przekreśli się *pan* w środku nocy, proszę mi się tu nie pojawiać i nie jęczeć. — Zwróciła się w stronę Briana. — Niech *pan* ma na niego oko, na miłość boską. Jeśli będę musiała mu jeszcze raz sklejać zębra, nie zostanie w nich już ani grama kości.

Dr Morrison delikatnie szturchnęła Willa w brzuch.

— Twoje wnętrzności to jedna, wielka kolekcja blizn. Następnym razem wytnę cały ten chłam i zastąpię go czymś innym, czy ci się to podoba, czy nie. — Wręczyła Hunterowi opakowanie środków przeciwbólowych, plastikowych walców długości palca, połyskujących lekkim, fluorescencyjnym blaskiem w świetle ultrafioletowych jarzeniówek. — Nie więcej niż jedna ampułka na godzinę. I chcę cię tu widzieć na badaniach kontrolnych w sobotę o czwartej trzydzieści. Ponownie go szturchnęła. — Nie każ mi po siebie przychodzić. I staraj się przez jakiś czas unikać siedzenia na tyłku, rozruszaj te siniaki, bo cię wysztywni.

— Dobrze, mamu. — Cmoknął ją lekko w policzek.

— Bez takich mi tu, bezczelny smarkaczu. No dalej, wynocha. Muszę wracać do chorych.

Will załadował się z Jo i Brianem do windy i zaczęli w milczeniu zjeżdżać na dół, aż w końcu sierżant Cameron zapytała:

— Więc twoja mama jest lekarką?

— Co?

Drzwi rozsunęły się z piknięciem i wysiedli w zatłoczonym, szpitalnym holu.

— Ta lekarka. Nie wiedziałam, że jest twoją mamą.

— Bo nie jest. Doktor Morrison traktuje w ten sposób prawie każdego. Jest nawet bardziej podobna do starej kwoki niż Brian.

Brian nie zareagował na zaczepkę, tylko dalej przepychał się w stronę wejściowych drzwi.

Will kuśtykał w ślad za nim.

— Jaki mamy plan?

— Podrzucamy cię do domu, a potem ja i Jo musimy wbić się na jedną imprezę pełną umarłaków.

— To może zabiorę się razem z wami?

— Nie ma mowy. To kurdupłowate straszycło urwałoby mi jaja. Do poniedziałku jesteś na urlopie okolicznościowym.

— Przecież słyszałeś, co powiedziała pani doktor — mam wstrząs mózgu. Ktoś musi mnie mieć na oku, w razie gdyby coś...

— Bardzo sprytnie. Jedziesz do domu. — Automatyczne drzwi rozsunęły się ze świstem.

Na zewnątrz wciąż lało.

Ludzie uciekali przed tą nawałnicą do środka, mieli postawione kołnierze, plastikowe peleryny i wyglądali raczej marnie. Jedynymi, którzy nie starali się ukryć w jakimś suchym miejscu, byli ubezwłasnowłowieni — w dalszym ciągu realizowali swoje codzienne zadania, opróżniając kosze, polerując tablice, wycierając brudną wodę naniesioną z ulicy — jak gdyby dzisiejszy dzień w niczym nie odbiegał od innych.

Nie przeszkadzało im, że byli przemoczeni, bo tego nie czuli. Niektórzy mieli złapać grypę, inni zapalenie płuc, a byli i tacy, którzy mieli prawdopodobnie umrzeć, ale nikogo to nie obchodziło. Nawet ich samych.

Brian pospiesznie wybiegł na deszcz i rozchlapując kałuże, skierował się na parking, podczas gdy Jo i Will przycupnęli pod szpitalnym portykiem, skupiając się na obserwacji przechodniów.

Żadne z nich nie zauważyło ubezwłasnowłowionej drepczącej w ich stronę poprzez ścianę deszczu, popychającej przed sobą wiaderko na kółkach załadowane po brzegi workami pełnymi odpadków. Nie zauważyli jej, ale ona zauważyła ich.

* * *

Rozpoznaje go, mimo wszystkich siniaków i cywilnego stroju. Stracił trochę włosów i przytył kilka kilo, ale to wciąż on: Mężczyzna w Granatowym Garniturze. Człowiek, który jej to zrobił.

SKURWIEL, który to zrobił.

Już nie żyje. Wciąż jeszcze łązi, ale już nie żyje. Już teraz. Nie żyje.

W jej kieszeni jest skalpel — nie jest tak delikatny jak różdżka chirurgiczna, ale wypatroszy go z równą łatwością. Wypruje mu flaki na betonową podłogę. Krew tryśnie jak z fontanny. Krzyki. Błaganie o zakończenie męczarni, gdy wepchnie mu rękę do opróżnionej jamy brzusznej i sięgnie w stronę serca...

Wszystko zagłuszają pszczoły i potłuczone szkło.

Skazana robi krok naprzód, czując w dłoni chłód uchwytu skalpela.

A potem zatrzymuje się. Za szybko. Za szybko by z nim skończyła. Mężczyzna w Granatowym Garniturze zasługuje, by pocierpieć.

Zacniemy od rozszczepienia żuchwy.

Głęboko oddychać. Spokój. Głęboko, kurwa, oddychać.

Pod wejście szpitala podjeżdża poobijany bus — Mężczyzna w Granatowym Garniturze kuśtyka w jego stronę, otwiera tylne drzwi i pakuje się do środka, w ślad za nim zaś podąża kobieta w jaskraworóżowym wdzianku.

Odjeżdżają, rozbryzgując w powietrzu chmurę kropelek wody.

Ubezwłasnogłowiona stoi w miejscu, patrząc, jak samochód znika w masie innych aut jadących zalanymi ulicami.

Uspokojenie oddechu wymaga od niej dużego wysiłku. Powolutku brzęczenie w jej głowie przycicha i może znowu zacząć jasno myśleć. Koncentracja. Brak koncentracji prowadzi do pomyłek. Pomyłki prowadzą do tego, że cię łapią.

Przemierzenie miasta zajęło jej cztery godziny, by mogła schować swoją kartę przetargową w bezpiecznym miejscu. Bezpiecznym dla niej, lecz dużo mniej bezpiecznym dla jej starego znajomego, doktora Stephena Bexleya.

Ma dziesiątki lokali porzrzucanych po całym mieście, wszystkie schludne i czyste, bezpieczne i wysprzątane. Wszyscy ludzie, którzy je kiedyś zamieszkiwali, nie żyją. Od wielu lat. Nie wymieniła ich nazwisk w sądzie, zachowując je w tajemnicy.

Podczas procesu kanały NewsNetu upajały się liczbą jej ofiar, pogrążone w radosnym oburzeniu, gdy lista zmarłych coraz bardziej się wydłużała. Ale w jej oczach nie różniło się to od lektury listy zakupów. Nikt nie płacze, kiedy fabryki mięsa zbierają ogromne kadzie klonowanego surowca, prawda? Nie, wszyscy wcinają burgery z syntetycznymi kotletami i wiodą dalej swoje

szczęśliwe, martwe życie.

To nie jej wina, że ma bardziej wyrafinowany smak.

Przemierza korytarze pod budynkiem szpitala, pchając przez sobą swoje wiaderko na kółkach i przewożony w nim specjalny ładunek.

Wielka afera z powodu kilkuset martwych ciał. Niedorzeczność. Wyobraźcie sobie to oburzenie, gdyby odkryli, że prawdziwa liczba ofiar była jeszcze większa. Ale nie odkryli. A co najlepsze, nigdy nie wpadli na trop Zwiastuna. Gdyby go znaleźli, zajęliby się wszystkimi jej specjalnymi dziećmi, zanim miałyby szansę urosnąć i rozkwitnąć. A to byłaby *straszliwa* strata.

Po powrocie do magazynu znajduje pudło tabletek i spędza radosne piętnaście minut na programowaniu jednego z nich. Następnie, gdy wszystko jest już doskonale przygotowane, rusza złożyć wizytę.

Biuro doktora Stephena Bexleya znajduje się na dwudziestym dziewiątym piętrze, tuż pod salą inkubatorów, gdzie mnożą się i dzielą jej komórki. Musi zmobilizować całą swoją zdolność do samokontroli, by nie wybiec na korytarz, gdy drzwi windy wreszcie się otwierają.

Ludzie, których tu mija, w ogóle na nią nie spoglądają. Nie zwracają uwagi, że jej wiaderko nie jest wypełnione zwykłą, spienioną wodą, tylko przewozi worek na odpadki i nowiutki tablet. Nie zastanawia ich, po co ubezwłasnowłoniętej mop na tym piętrze, gdzie na wszystkich podłogach ścielą się dywany. Ponieważ w ogóle jej nie widzą.

Skazana wciska się do biura Stephena, ciągnąc za sobą wiaderko i mopa.

Jest sam. Dobrze.

Stephen podnosi wzrok, gdy słyszy stuk zamykanych drzwi. Przelotnie omiata ją spojrzeniem, a potem wraca do papierów porozkładanych na biurku. To tylko jakaś ubezwłasnowłonięta. Nie ma się czym przejmować.

Błąd.

* * *

— To jakiej wersji się trzymamy? — Will wygramolił się z ciepłego wnętrza busa, wychodząc na zimny deszcz.

— Trzymamy się wersji — powiedział Brian, zamykając pojazd — że cię tu nie ma. Ta stara, zimna rura już w tej chwili jest na mnie cięta. Jeśli dowie się, że pozwalam ci brać udział w moim śledztwie w czasie, kiedy powinieneś być na urlopie okolicznościowym, to wpadnę po uszy w gówno. Więc jeżeli ktoś by się pytał, to jesteś wytworem ich wyobraźni. Jasne?

Will krótko zasalutował. Czuł się o wiele lepiej niż wtedy, gdy opuszczał szpital, głównie dzięki środkowi przeciwbólowemu, który wstrzyknął sobie po drodze w kark. Świat po ampułkach *zawsze* wydawał się weselszy. A biorąc pod uwagę, że dziś rano niemal zabił z zimną krwią jedną złodziejkę,

pewnie byłoby lepiej, gdyby nie siedział w domu. By przestał obsesyjnie rozmyślać o cholernym Kenie Peitai i o tym, co się kroi w Sherman House. By spojrzeć na wszystko z dystansem.

Popatrzył na budynek, przed którym zaparkowali.

Montieth Row leżało w drogiej części miasta, mieszkania z widokiem na Glasgow Green kosztowały więcej, niż Will byłby w stanie zaoszczędzić przez całe życie. Stare domy z czerwonego piaskowca już dawno zniknęły, ustępując miejsca gotyckiej konstrukcji z granitowymi tarasami i szybami z posrebrzanego szkła. Przypony budynku przecinały chodnik, rozciągając się aż na ulicę i tworząc zatoczki parkingowe dość duże, by każda mogła pomieścić kilkanaście prywatnych ścigaczy.

— Kilgourowie mieszkali pod numerem czterdziestym siódmym — powiedziała sierżant Cameron, gdy wspinali się po schodach. — Sześć ofiar: dwóch mężczyzn, cztery kobiety. Ciec znalazł ich sześćdziesiąt siedem minut temu. Grupa rozpoznawcza ustaliła tożsamość zwłok i wezwała ekipę techniczną.

To wyjaśniało, skąd brały się dudniące wibracje wywołujące mrowienie w podeszwach stóp Huntera, gdy przechodzili przez podwójne drzwi.

— Ofiary: John Kilgour i jego żona Jocelyn. Agness Kilgour, jej partner Ian Preston oraz ich córka Trent; miała cztery latka. Wreszcie pani Helen Kilgour, matka Johna i Agness.

— Co się stało ze starszym panem Kilgourem?

Drzwi windy rozsunęły się, odsłaniając widok na luksusową kabinę z polituowanego drewna i ze skórzaną tapicerką. Brian wcisnął guzik na jedenaste piętro.

— Wypadek ścigacza jedenaście lat temu. Zmarł, zanim zdążyli go zoperować. Matka zasypała pozwami pogotowie i kierowcę drugiego pojazdu. Zgarnęła odszkodowanie i świetnie zainwestowała na giełdzie. To dzięki temu tu trafili. Nowobogaccy.

— Jacyś inni krewni?

— Tylko jeden. — Brian wyciągnął tablet i trochę przy nim pogrzebał. — Jillian Kilgour, córka Johna i Jocelyn. To miała być jej impreza urodzinowa z okazji osiemnastki. Wysłałem ekipę z zadaniem jej odnalezienia, ale... — Wzruszył ramionami.

Machnęli legitymacjami szturmowcowi, którego Will nie potrafił rozpoznać, przeszli pod taśmą otaczającą miejsce zbrodni i znaleźli się w ogromnym apartamencie. Z salonu dobiegały odgłosy pracujących pełną parą skanerów uniemożliwiające jakąkolwiek rozmowę, więc ruszyli rozejrzeć się po pozostałych pomieszczeniach, niczego nie dotykając.

Dom Kilgourów był jak pałac — jak należało się spodziewać w tej części

miasta. Ściany miały ciepły, kremowy kolor, gdzieś tam wisiały na nich wysmakowane, abstrakcyjne obrazy w minimalistycznych ramkach. Drogie meble z intensywnie czerwonego aksamitu i polerowanego drewna. Na dywanie widniały maleńkie, krwawe skrzepy, twarde i połyskujące na kremowym materiale.

Do holu wpadła gorąca smuga migotającego, zielonego światła i w tym samym momencie warkot infradźwięków urwał się gwałtownie. Następnie rozległy się przekleństwa, po których rozbrzmiało kilka dzwoniących stuknięć, jakie wydawał z siebie kopany metal. Przypominało to szeregową Beaton.

Salon był ogromny, podzielony na trzy odrębne strefy: przeznaczoną do posiłków, do relaksu i do rozrywki. Soniczne czytniki i mikrofony były rozstawione wokół dużego stołu, podobnie jak Kilgourowie. Wszyscy członkowie rodziny siedzieli wyprostowani, z pstrokatymi kapelusikami imprezowymi na głowach, ich twarze były rozciągnięte w wariackim uśmiechu. Dywan pod ich krzesłami był poplamiony i unosił się nad nim charakterystyczny zapach zleżającego moczu i kału. Will nie miał im tego za złe.

Honorowe miejsce na środku stołu zajmował pieczony udziec z syntetycznego mięsa — był to jeden z tych droższych, sklonowany wokół ceramicznej kości, a nie jakiś zwykły ochłap z kadzi hodowlanej — jego powierzchnia zdążyła się już zeschnąć i zaczynała pleśnieć. Na błękitnych talerzach zielenił się pomarszczony groszek i leżały sflaczałe, wyschnięte ziemniaki. Sos wyglądał jak przypalona pasta do butów.

Brian przygarbił się.

— Cóż za marnotrawstwo dobrego żarcia!

Szeregową Beaton podniosła wzrok znad jednego ze skanerów.

— Dzień dobry, Brian. Zastanawiałam się, kiedy ściągniesz tu swoje... — Zerwała się na baczność, ujrawszy Willa, i zasalutowała. — Nie wiedziałam, że pan tu jest, proszę pana! Czy nie powinien pan być...

— Wygląda na to, że jestem wytworem twojej wyobraźni. — Hunter rozejrzał się dookoła. Pokój był większy niż całe jego mieszkanie. — Dobrze się bawicie?

— Znowu wcisnęli mi te cholerne skanery. Porucznik powiedziała, że mam talent do kopania i przeklinania. Stwierdziła, że szkoda by było go marnować.

Beaton sprawiała wrażenie, jakby otrząsnęła się już po wydarzeniach z Sherman House. Dziwnie było pomyśleć, że szeregowy Stein zginął ledwie cztery dni temu. Dużo może się zdarzyć w ciągu czterech dni.

— Spójrzcie na to — odezwał się Brian, spoglądając na głowę starszej pani

Kilgour — spodoba wam się.

W tylnej części czaszki kobiety widniała wyrwa, krawędzie rany były łagodnie zaokrąglone, brak było jakichkolwiek śladów uderzenia. Imponujące.

Will wciągnął na dłonie rękawiczki i przesunął wokół otworu palcami.

— Widzicie, jak zamknięto wszystkie arterie? Ten typ umie robić prawdziwe czary swoim blasterem. — Podniósł ze stołu nóż do masła i włożył go do środka dziury. — Musiał robić to naprawdę powoli i delikatnie, na oparciu krzesła nie ma nawet śladu tkanki mózgowej. — Will przechylił nóż, aż jego koniec stuknął o sklepienie czaszki. — Cała głowa jest zupełnie pusta. Wszyscy goście są w takim stanie?

Brian zmarszczył nos.

— O ile się orientuję, to żadnemu z nich nie została ani jedna komórka mózgowa.

Beaton po raz ostatni kopnęła obudowę skanera, który rykiem obwieścił ponowną gotowość do pracy, wprawiając w drgania leżącą na stole kryształową zastawę.

— Alleluja! — Odwróciła się i wrzasnęła, starając się przekrzyczeć hałas. — Każdy, kto zostanie tu dłużej niż pięć sekund, na zawsze stanie się elementem miejsca zbrodni.

— Kurwa! — Brian chwycił Willa za ramię i wyciągnął go na korytarz. — Nikt nie może cię tu zobaczyć!

Szeregowa Beaton wcisnęła się za nimi do holu. Stojąc na środku ciemnobrązowej plamy krwi, wpakowała obydwie dłonie do kieszeni i oparła się o drzwi.

— To zabawne — krzyknęła — że po jakimś czasie w sumie można się przyzwyczać do tego hałasu. Widzieliście już nowego? — wskazała palcem w dalszy koniec korytarza, w stronę wejściowych drzwi.

— Zrobiliście już pokoje?

— W pierwszej kolejności. Możecie dotykać wszystkiego, co chcecie... — Jej wzrok padł na nóż do masła trzymany przez Willa. Zamknęła oczy i zazgrzytała zębami. — Skąd pan wziął ten sztuciec, proszę pana?

— Ups. — Will oddał go szeregowej.

Beaton zaklęła, wparowała z powrotem do jadalni, wyłączyła skaner, ponownie skonfigurowała mikrofony i odłożyła nóż tam, gdzie leżał, zanim Hunter naruszył miejsce zbrodni.

Brian pokręcił głową, gdy maszyna wznowiła buczenie.

— Jesteś chodzącą katastrofą, Will. Kompletną katastrofą.

Miał trochę racji. Will zmył się, nim Beaton zdążyła wrócić i obrzucić go kolejnymi, pełnymi dezaprobaty spojrzeniami. Znalazł sierżant Cameron klęczącą w jednej z trzech łazienek mieszkania, gdy wypinając pośladki, zaglądała za umywalkę. Widok był zdecydowanie niczego sobie. Will otworzył usta, by to powiedzieć, a potem ugryzł się w język. Na tym polegał kłopot ze środkami przeciwbólowymi, świetnie tłumiły ból, a także zdrowy rozsądek.

Odchrząknął, starając się nie spoglądać na jej tyłek.

— Znalazłaś coś?

Policjantka podniosła wzrok.

— Maleńkie plamki krwi. Nasz morderca to prawdziwy maniak czystości. Zewnętrzną stronę umywalki potraktowano jakimś detergentem. Pewnie umył ręce, a potem posprzątał to miejsce, by usunąć wszystkie linie papilarne.

Will opadł na kolana, by rzucić na to okiem. Jo miała rację, żadnych odcisków palców, tylko drobne szkarłatne kropki na obudowie zlewu. Wszystko tchnęło świeżym, cytrynowym aromatem.

Hunter usiadł na podłodze, a Jo poszła w jego ślady, ich twarze dzieliła od siebie tylko odległość jednego oddechu... Pozostali tak przez chwilę bez jednego słowa.

To Brian przerwał w końcu to milczenie, zaglądając przez drzwi łazienki.

— Zrobione. Beaton mówi, że już po skanowaniu.

Will nawet nie zauważył, że hałas ucichł.

— Mówi, że jeśli chcecie powęszyć po salonie, lepiej zróbcie to teraz, zanim wszystko oznaczą i zapakują.

— Tak. — Hunter pozbierał się z podłogi, niezręcznie i oficjalnie.

— Jasne. — Jo poderwała się obok niego.

Brian uniósł brwi, a na jego pulchnej twarzy rozkwitł uśmiech.

— Mogę wrócić później, jeśli chcecie.

— Nie. Nie ma potrzeby. — Sierżant Cameron strzepnęła ze swoich jaskrawo-różowych spodni jakiś niewidzialny włos.

— OK... — Brian cofnął się, odsłaniając wyjście. Potem puścił oko. — Idę pomóc Beaton, gdyby ktoś mnie szukał.

— Nieee, my też... yyy... — Wskazała palcem.

— Dobry pomysł. — powiedział Will.

* * *

Szeregowa Beaton i agent Alexander załadowali mikrofony skaningowe do

pojemników, podczas gdy Hunter kręcił się przy stole w jadalni, oglądając potylice Kilgourów. Głowy wszystkich członków rodziny zostały wydrążone — nie został w nich niemal żaden ślad materii wewnątrzczaszkowej. Bardzo, *bardzo* imponujący wyczyn.

Niczym zaskakującym nie był natomiast fakt, że wariackie uśmiechy rodziny okazały się sztuczne. Ktoś zaczepił przezroczyste druciki w kącikach ust i rozciągnął wargi, przyszywając je następnie do dziąseł w okolicy zębów trzonowych. Szczęśliwa rodzinka.

Czy żyli jeszcze, kiedy ich gość po kolei opróżniał im głowy? Siedząc przy stole, czekając na swoją kolej? Will spojrzął na Trent — czteroletnią dziewczynkę — ubraną w odświętny strój i wyszczerzoną, jak reszta jej krewnych. Jezu, miał nadzieję, że nie.

Cofnął się, obejmując wzrokiem tak dużą część pomieszczenia, jak tylko zdołał. Tylko jedno z krzeseł było puste, a stojące przed nim nakrycie otaczały urodzinowe kartki „18 LAT!”. Wypisane na nich życzenia migotały coraz słabiej w miarę wyczerpywania się baterii. Jillian Kilgour — solenizantka.

Na środku podłogi leżał stos prezentów. Tylko połowa z nich została odpakowana, z resztą czekano zapewne do zakończenia obiadu. Zwiędnięte zwłoki tuzina złotych i srebrnych balonów. Wstęga z jej imieniem rozpięta na ścianie.

Will obracał się powoli od prawa do lewa, nie skupiając na niczym wzroku, po prostu chłonąc cały ten obraz, czekając, aż coś rzuci mu się w oczy, aż coś przestanie pasować. Odnalazł coś takiego w pobliżu frontowych okien.

Widok był zachwycający, mimo ulewy. Monsun zmienił Glasgow Green w jezioro — jak co roku — na którego powierzchni leżały rozsiane wyspy i małe, eleganckie restauracje ustawione na palach. Jeden posiłek w którejś z nich kosztowałby tygodniową wypłatę, pod warunkiem że klient nie byłby naprawdę głodny. Pomędzy drzewami rozwieszono złote lampiony, zmieniając cały krajobraz w rozmigotaną, wodną idyllę...

Ale nie to przyciągnęło jego uwagę. Terminal VR był włączony. Zwykły, szary kabel ciągnął się od niego przez cały dywan, a złote złącze połyskiwało na tle splotu. Will podniósł je i kucnął przed terminalem, szukając gogli. Musiały gdzieś tu być. Trent miała tylko cztery lata, była zbyt mała na śródczaszkowy implant.

Odnalazł je.

— Och, co za cacko... — Były malutkie, różowe i pokryte małymi, białymi stokrotkami. Wpiął złote złącze do gniazdka i poluzował pasek mocujący tak bardzo, jak tylko się dało. Google wciąż nie chciały wejść na jego posiniaczoną, obitą głowę, ale był w stanie spojrzeć w ich maleńkie ekraniki.

Maszyna była ustawiona na jeden z kanałów dla dzieci, wszystko skrzyło się jaskrawymi kolorami, zewsząd otaczały go jednorożce i gadające muchomory, czekające, by się z nimi pobawił. W słuchawkach rozbrzmiewały ich piszczące głosy:

— *Hej, już wiem, a może ruszymy na poszukiwanie przygód, Jillian? Czyż nie byłoby wspaniale?*

Jillian — konfiguracja systemu wciąż przechowywała imię ostatniego użytkownika.

Will odrzucił gogle.

Coś było nie tak z częścią dywanu rozciągającą się przed terminalem VR: okrągła plama, wielkością odpowiadająca mniej więcej pizzy, miała lekko odmienny kolor. Była czystsza niż reszta podłogi. Wyciągnął rękę i musnął jej powierzchnię czubkami palców. Opuszki pozostały suche, ale osiadł na nich ten sam cytrynowy aromat, który wyczuł przy umywalce.

Maniak czystości.

Solenizantka leżała dokładnie w tym miejscu, podłączona do wesołej, wirtualnej zabawy dla dzieci, ze związanymi rękami i nogami, łkając zza knebla, i mocząc się ze strachu, podczas gdy tajemniczy gość wypalał dziurę w potylicy jej babci.

Brudna dziewczyna. Naświniła. Nie mógł tego znieść.

— Kiedy już wszystko oznaczycie i spakujecie — odezwał się Will, ruszając w stronę drzwi — zbierzcie wszystkie środki czyszczące, jakie znajdziecie. Uważajcie na odciski palców.

Brian podniósł wzrok znad jednego z mikrofonów skanujących, który próbował wcisnąć do pojemnika.

— Czemu? Dokąd się wybierasz?

Stłumione krzyki. Fałszywe uśmiechy. Każdy czeka na swoją kolej, by umrzeć.

— Dokądkolwiek, gdzie dostanę jakiegoś cholernego drinka.

* * *

Elektroniczny głos przerywa ciszę.

— **WITAJ STEPHEN. PAMIĘTASZ MNIE?**

Głowa Stephena podrywa się, jakby ktoś wetknął mu w odbył poganiacz bydlą pod napięciem... to w sumie całkiem niezły pomysł.

Marszczy brwi, między którymi zarysowują się małe bruzdy.

— Jest tu kto? — pyta, kompletnie ignorując ubezwłasnowłoniwą stojącą w rogu pomieszczenia. Trzymającą tablet.

Skazana wciska następny guzik i ten sam beznamiętny głos mówi

— **PRACOWALIŚMY RAZEM PONAD SZEŚĆ LAT TEMU.**

— To jakiś żart? — Stephen prostuje się na swoim krześle. — Pokaż się albo wezwę ochronę! — Sięga po wideofon, a kobieta wali go tabletem po rękę — wystarczająco mocno, by zaboląło, ale nie dość mocno, by istniało ryzyko uszkodzenia tych delikatnych, zręcznych palców.

Jego oczy rozszerzają się, gdy popycha go z powrotem na krzesło.

— Hej, co... — Ogląda się w prawo, w lewo, patrzy na wprost, wygląda na bardzo, *bardzo* wystraszonego. — Kto to robi?

Skazana wystukuje na klawiaturze dwa słowa:

— **TO JA.**

Jego usta otwierają się jak głębokie rozcięcie. Następnie jego wargi zaczynają drżeć. Biedak musi myśleć, że śni mu się jakiś koszmar.

— Kim jesteś? — szepcze.

Przewidywalny jak zawsze. Kobieta musi jedynie wcisnąć klawisz, by rozbrzmiała zaprogramowana wcześniej odpowiedź.

— **STEPHEN, OBRAŻASZ MNIE. CHYBA MNIE ZAPOMNIAŁEŚ? PŁAKAŁEŚ, GDY ODSYŁALI MNIE NA ZABIEG.**

— O Boże...

Ach, *teraz* pamięta.

— Jakim cudem... Widziałem cię... Ale... Boże, przecież ty nie możesz być...

Policzkuje go. Krew wzbiera w świeżym rozcięciu na wardze.

— **POTRZEBUJĘ NOWEJ TWARZY, STEPHEN. SZCZĘKI, KRTANI, STRUN GŁOSOWYCH, MIĘŚNI POLICZKÓW, WSZYSTKIEGO, CO MI ZABRANO.**

— Nie mogę...

Skazana ponownie go policzkuje.

— **W INKUBATORACH HODUJE SIĘ JUŻ ODPOWIEDNI KLONPLANT. PRZEPROWADZISZ ZABIEG.**

— To się nie dzieje naprawdę...

Tym razem go nie policzkuje. Zwija dłoń w pięść i wali go prosto w podstawę nosa. Głowa Stephena odskakuje, a z jego nozdrzy tryska krew. Kobieta mruczy. Jęczy. Zaciska obie dłonie na jego obitej twarzy. Pewnie bardzo go boli.

Dobrze.

— **PRZEPROWADZISZ ZABIEG I NIKOMU O TYM NIE POWIESZ.**

Lekarz podnosi na nią wzrok, między palcami sączy mu się krew.

— Prędeż zobaczę, jak gnijesz w piekle!

Mysz pokazuje w końcu, że ma jaja.

Czas ją wykastrować.

— **BĘDZIESZ WSPÓŁPRACOWAŁ. ZABEZPIECZYŁAM SIĘ.** — Na jego biurku stoi oprawiony w ramkę hologram. Szczęśliwa rodzina uśmiechająca się do kamery w jakimś egzotycznym miejscu. Skazana bierze go do ręki. — **MASZ DWÓJKĘ DZIECI** — mówi elektronicznym głosem. — **MARTIN MA CZTERY LATA. LUBI DINOZAURY I NIE CHCE JEŚĆ WARZYW. JASMINE MA TRZY LATA. NAJBARDZIEJ NA ŚWIECIE LUBI MISIA ORANGE’A. TWOJA ŻONA TO BLONDYNKA.**

Ręka Stephena puszcza twarz i opada, gdy ubezwłasnowłowiona wyciąga z wiaderka kępę długich, złotych włosów i rzuca ją na jego biurko. Na jej końcu znajduje się krwawy płat skalpu wielkości dłoni.

Z ust lekarza ponownie wyrывa się jęknięcie.

— Ja... nie wierzę ci!

Kobieta pochyla się na zainstalowanym na biurku wideofonem i wystukuje jego domowy numer.

— Co robisz?

Rozlega się kilkakrotny sygnał, a potem na ekranie pojawia się nieznajoma twarz, spod podwójnego podbródka wyziera jej policyjny uniform. Mężczyzna marszczy brwi.

— *Kto tam?*

Stephen chwyta za biurko.

— Dr Bexley. Gdzie moja żona? Gdzie Marylin?

— *Wie pan, że leci panu krew z nosa?*

— Chcę rozmawiać z Marylin!

Policjant spogląda gdzieś w dół, poza kadr, jak gdyby się z kimś konsultował.

— *Pan jest dr Stephen Bexley? Dwa, dwa, trzy, siedem, Niven Towers, w Cowcaddens?*

— Ja... Tak. — Blednie. Przetyka ślinę. — Co się stało?

— *Dostaliśmy anonimowe wezwanie na dziewięć, dziewięć, siedem. Doniesiono nam, że przebywa tu dwoje dzieci bez opieki.*

— Moich dzieci?

Policjant przybrał jeszcze groźniejszą minę.

— *Zdaje pan sobie sprawę, że pozostawienie młodocianych bez opieki*

stanowi wykroczenie.

— O Boże. — Tylko to udaje mu się z siebie wydobyć, raz za razem. — O Boże.

Mężczyzna po drugiej stronie linii wzdycha.

— *Proszę posłuchać, czasami matki mają po prostu dość, chyba pan rozumie? Pańskim dzieciakom nic nie jest, ale musi pan zorganizować im jakąś opiekę, OK? A potem proszę pogadać ze swoją żoną. Niech pan jej okaże jakieś wsparcie.*

Stephen chlipie.

— O Boże, Marylin...

— *Nie ma czego się obawiać, pewnie tylko wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Pochodzi po sklepach. Pozbędzie się stresu.* — Policjant umilkł, spoglądając na Stephena z ekranu wideofonu. — *Na pana miejscu poszedłbym z tym nosem do lekarza.* — Po tych słowach przerwał połączenie.

Stephen drżącymi palcami podnosi z biurka płat skalpu, wacha jasne włosy i wybucha płaczem. To takie słodkie, jak ludzie przywiązują się do różnych rzeczy. Zapach żony. Kawałek skóry. Kończyna. Ich życie.

Dr Westfield daje mu chwilę, po czym ponownie podnosi tablet. Który mówi:

— **SCHOWAŁAM JĄ W BEZPIECZNYM MIEJSCU. JEŚLI NIE WRÓCĘ, BY JĄ UWOLNIĆ, UMRZE. POWOLI. JEŚLI NIE PRZEPROWADZISZ ZABIEGU, UMRZE. JEŚLI SPRÓBUJESZ SKONTAKTOWAĆ SIĘ Z WŁADZAMI, UMRZE. JEŚLI NIE ZROBISZ DOKŁADNIE TEGO, CO CI KAŻĘ, UMRZE. ROZUMIESZ?**

Jego twarz dygocze, jakby pod jej skórą rozpełzły się węże.

— Przecież nie możesz... ona jest w ciąży! Ty... wzywam ochronę! — Sięga po wideofon.

Ubezwłasnowłowiona chwytą go za kłapy i wywleka zza biurka. Rzuca go na podłogę. W powietrzu zaczynają fruwać papiery. Radujący serce, rodzinny hologram spada na posadzkę, a skazana wdeptuje prosto w niego. Rodzina Stephena pęka pod jej stopą.

— **SPÓJRZ NA MNIE.** — Kobieta stuka jedną ręką w klawiaturę tabletu, podczas gdy lekarz pełźnie w stronę półki z książkami, po jego bladej twarzy cieknie krew z rozbitego nosa. — **CO MOGĄ ZROBIĆ, BY ZMUSIĆ MNIE DO MÓWIENIA? CO? CO NIBY ZOSTAŁO MI DO STRACENIA?** — Całą wypowiedź wygłasza ten sam, płaski, sztuczny głos.

— Nie możesz tego zrobić!

— **JUŻ ZROBIŁAM.**

— Proszę... — Stephen dźwiga się z wysiłkiem na kolana, składając przed

sobą ręce, po jego twarzy cieką łzy. — Proszę, *blagam* cię! Wypuść ją przez wzgląd na dziecko. Jeszcze nie jest za późno...

Gdyby mogła, wybuchnęłaby śmiechem.

— **NAPRAWDĘ SĄDZISZ, ŻE JEDNE MAŁE ZWŁOKI WIĘCEJ ROBIĄ MI RÓŻNICĘ?**

Lekarz opiera się ciężko o półkę i zaczyna łkać.

— Proszę... oddaj mi żonę!

Skazana przekrzywia głowę i obserwuje, jak mężczyzna płacze, niczym małe dziecko przypalane papierosem, po czym chwyta za swoje wiaderko, podnosi mopa i rusza w stronę drzwi.

— **NAMNAŻANIE KOMÓREK DOBIEGNIJE KOŃCA W PRZECIĄGU TRZYDZIESTU DWÓCH GODZIN. LEPIEJ, ŻEBYŚ W TYM CZASIE ZADBAŁ O PRZYGOTOWANIE SALI OPERACYJNEJ GOTOWEJ DO PRZEPROWADZENIA PRZESZCZEPU.**

— Co... — Przeciera oczy dłonią, pozostawiając na twarzy krwawe zwały. — A co jeśli nie zdołam przygotować tej sali na czas?

Ubezwłasnowłowniona zatrzymuje się w progu.

— **WTEDY TWOJA ŻONA UMRZE, A MY WEŹMIEMY SIĘ DO TWOICH DZIECI.**

16

Pub „Pies i Dioda” leżał wciśnięty między dwa potężne filary podporowe rozciągającego się ponad nim Zachodniego Wiaduktu. Nie była to najlepsza knajpa świata, ale była oddalona jedynie o krótki spacer od siedziby Organizacji, a w niektóre dni tylko to się liczyło. Wnętrze baru było wyłożone sztucznym drewnem i sztuczną skórą. Pod ścianami ciągnęły się odrębne boksy z ławą i krzesłami, a pozostałą przestrzeń wypełniały wolno stojące stoliki. Kilku agentów po służbie świętowało awans jakiegoś kolegi, upijając go promocyjnymi drinkami. Will wolał usiąść samotnie w kącie — z dala od głośników zapodających mieszankę najnowszych hitów i starych, rockowych klasyków — popijając pintę piwa Black Douglas i dużego Macallana.

Starając się nie myśleć o imprezie urodzinowej z piekła rodem. Ale bezskutecznie.

Kilgourowie byli wciąż żywi, gdy ich niezapowiedziany gość zajmował się nimi przy stole. Wycinał im dziury w potylicy, ostrożnie odparowywał ich mózgi, zmieniając je w obłoczki szaroróżowej mgiełki, a na koniec przyszywał im do twarzy ten obsceniczny, zastygły uśmiech. By potem przejść do następnej osoby. Patrzyli na śmierć członków swojej rodziny i nie mogli w żaden sposób na to zareagować, poza czekaniem na swoją kolej.

Will wzdrygnął się i dopił whisky.

Człowiek z blasterem, kimkolwiek był, robił to już wcześniej. Nie istniała możliwość, by ktoś zdobył taką wprawę w opróżnianiu czaszki bez *długiej* praktyki. Co stało się z poprzednimi ciałami — należącymi do ofiar wcześniejszych niż Kilgourowie — pozostawało zagadką. Pewne było, że Organizacja nigdy ich nie znalazła.

Po twarzy Willa przewinął się cień.

— Dam pensa, żebyś powiedział, o czym myślisz. — Był to Brian, ociekający wodą po przejściu przez szalejącą na zewnątrz ulewę.

— Nie chcesz wiedzieć. Zaufaj mi.

Brian wcisnął się do boksu i wysunął z blatu konsolę.

— Drinka?

Will stuknął swoją pustą szklanką po whisky o pusty kufel.

— Gdzie Jo?

— Składa raport w centrali. Zapędziła swoich kumpli z policji do

przebadania rzeczy, które znaleźliśmy u Kilgourów.

— Mamy coś od ochrony budynku?

Brian skrzywił się.

— Myślałbyś, że w takiej burżujskiej dzielnicy nikt nie będzie oszczędzał na kamerach, skanerach i tym podobnych, ale mają tam naprawdę badziewnie tani system. Jakby go wytargowali na jakiejś wyprzedaży. Całe to cholerstwo zostało zhakowane. Ktoś wykasował z twardego dysku wszystko, co zostało nagrane przez ostatnie półtora tygodnia. — Postukał palcami w konsolę zamawiania drinków, a potem zaczął się wyplątywać ze swojego płaszcza, podczas gdy obaj czekali, aż barman przyniesie zamówienie.

— Ta zaginiona dziewczyna miała na imię Jillian, tak?

Brian pokiwał głową.

— Gdyby nasz kolega z blasterem chciał ją zabić, siedziałyby przy tym cholernym stole razem zresztą rodziny. Musiał dla niej zaplanować coś specjalnego, coś wymagającego czasu i odosobnienia.

— Jezu. Biedna mała...

Do ich boksu przykuśtykał starszy mężczyzna, postawił przed nimi drinki, zabrał opróżnione szkło Willa i odkuśtykał w swoją stronę, nie odzywając się ani słowem.

— Daj spokój, zapomnij o tym na dziś wieczór. — Brian łyknął Guinnessa. — Niech gliny odwalą za nas brudną robotę; a my się urżniemy, kupimy jakieś curry albo coś w tym rodzaju.

— A co z Jamesem?

— Mamy układ. Ja nie marudzę, kiedy on wychodzi na miasto ze swoimi znajomymi, a on nie marudzi, kiedy ja robię jakiś wypad z moimi. A poza tym wie przecież, że przy tobie nie grożą mi żadne pokusy.

Co było prawdą.

Pół godziny później pojawił się George, siąkając i smarkając, cały okutany w zimowe ciuchy. By móc w ogóle wejść do malutkiego boksu, musiał z siebie pościągać poszczególne warstwy, jakby obierał cebulę.

— Kurewsko leje. — Wydmuchał nos, a potem wlepił wzrok w Willa. — Gdzie się podziewałeś dziś rano? Czekałem tam z dwadzieścia minut. Czułem się jak kompletny debil.

— A tak, przepraszam za tamto. — Will wskazał na swoją posiniaczoną twarz. — Miałem bliskie spotkanie ze śmiercią w Kelvingrove Park dzięki dwójce bandytów. Jednego z nich dowiozą ci pewnie jutro do kostnicy... jeśli uda się znaleźć wystarczająco dużo kawałków.

— Wielkie dzięki, *tylko* tego mi trzeba. Więcej roboty. — Niewielki patolog

przetarł czoło dłonią. — Przydałby mi się jakiś eliksir. Jestem umierający.

Zamówili jeszcze po kolejce, a kiedy starszy barman oddalił się z kolejnym zestawem pustych naczyń, Hunter poprosił George'a, by ten opowiedział Brianowi, co odkrył w mózгах nieboszczyków przywiezionych z Sherman House.

— Chyba żartujesz — odezwał się Brian, kiedy opowieść dobiegła końca. — *Specjalnie* zarażają ludzi syndromem VR?

George pociągnął łyk swojej podwójnej brandy z whisky.

— Zgadza się. Kiedy Will nie przyszedł na spotkanie, wróciłem do prosektorium i jeszcze raz przebywałem te zwłoki. Obaj mieli stare ślady po wkłuciach u podstawy karku. Każdy dostał przynajmniej po kilkanaście zastrzyków. Cokolwiek to jest, ci kolesie zarażają ludzi manualnie.

— Pieprzone sukinsyny... — stwierdził Brian i Will musiał się z nim zgodzić.

George uniósł pulchną dłoń.

— Nie, nie. To dobra wiadomość.

— Co? Jakim cudem znalazłeś w tym *cokolwiek* dobrego?

— Oni wciąż robią ludziom zastrzyki. — Umilkł na moment, w oczywisty sposób oczekując na jakąś reakcję. Nie doczekawszy się żadnej, westchnął.

— Syndrom VR jest najgorszy wtedy, kiedy dostanie go wiele osób naraz, racja? Ale ci kolesie wciąż muszą infekować swoje króliki doświadczalne ręcznie. Żeby rozkręcić epidemię, musieliby zarazić dużą część lokatorów bloku jednocześnie, a tego nie da się zrobić, łażąc od drzwi do drzwi z igłą. Potrzebują czegoś, co przenosiłoby się drogą powietrzną albo przez wodę.

Will oparł się o krzesło. Tylko tego im brakowało: ponownego wybuchu przemocy w Glasgow. Ludzi zabijających swoich przyjaciół, rodziny i w ogóle każdego, kogo uda im się złapać. Małych ośrodków szaleństwa rozlewających się na coraz większą część społeczeństwa, aż w końcu pozostaną tylko dwa rodzaje ludzi. Kanibale i martwi.

— Jeśli uda im się zrobić z tego broń...

— Całe cholerne miasto zmieni się w przytułek dla obłąkanych. — Brain spojrział ponuro na swoje piwo. — Tak, i nie dojdzie do tego tylko w blokowiskach, jak za ostatnim razem. Złapią to wszyscy. Ty, ja, Emily, Jo, James...

Gruby patolog siorbnął swojego jaskrawoniebieskiego drinka.

— Czegoś takiego nie wymyśla się ot tak, jednego wieczora. Ktokolwiek stworzył tę szprycę, poświęcił dużo czasu i pieniędzy na jej opracowanie i testowanie. Zapewne całe lata.

— Jakim cholernym cudem da się bezkarnie odstawić takie gówno przez

całe lata?

Will przymknął oczy i westchnął.

— Można zapewnić sobie bezkarność — powiedział, — mając za sobą poparcie kogoś znaczącego i potężnego.

— Korporacja? Jedna z tych organizacji biotechnologicznych?

— Ktokolwiek to jest, mają mocne plecy — gubernator Clark wisiał na telefonie u dyrektor Smith-Hamilton i wykrzykiwał różne dziwne rzeczy o mojej i Emily wizycie w Sherman House zaledwie pół godziny po tym, jak stamtąd wyszliśmy. — Will zabębnił palcami o blat. — Peitai twierdził, że pracuje dla Ministerstwa Zmiany, cały czas nawijał o wynalezieniu szczepionki na VR...

— Gówno prawda — odezwał się George. — Jeśli to nie jest zbrojeniowy program badawczy, to jestem baleriną.

Hunter wlał w siebie resztę whisky i postawił pustą szklanę na środku ławy.

— Pytanie brzmi: co mamy z tym zrobić?

— Powstrzymamy ich! — Brian walnął pięścią w blat, aż zadzwoniło szkło. — Nawet termyty mają prawo żyć bez obawy, że jakiś morderczy skurwiel zrobi z nich króliki doświadczalne. Wpadniemy tam z całą artylerią i załatwimy sukinsynów!

— Nie gadaj głupot. — George opróżnił swoją szklanę i postawił ją obok szklanki Willa. — Nie możesz tak po prostu wpakować się tam i zacząć strzelać. Możliwe, że zarazili już setki albo *tysiące* ludzi. Wejź tam i rozkręć jakąś zadymę, a będziesz miał do czynienia z całą masą trupów.

Hunter podniósł rękę.

— OK, nie możemy tam wparować, więc zrobimy to, co zawsze. Zbierzemy dowody. Odkryjemy, dla kogo tak naprawdę pracuje ten mały zasraniec Ken Peitai i co jeszcze kombinują. A potem zamkniemy cały ten bajzel.

Brian siąknął nosem.

— Taa, już to widzę, Toksyczna Karlica na pewno da zgodę na śledztwo, kiedy gubernator Clark dyszy jej prosto w dekol. Marzy jej się stanowisko w ministerstwie i nie ma takiej opcji, żeby...

— Kiedy z nim skończymy, gubernator Clark będzie jeździł na mopie pozbawiony połowy twarzy. To, że jej nie lubisz, nie znaczy, że pani dyrektor nie jest dobra w tym, co robi. Jeśli z tym do niej pójdziemy, doprowadzi sprawę do samego końca.

— I tak uważam, że oszalałeś. — Brian przełknął resztkę swojego Guinnessa i postawił pusty kufel obok pozostałych naczyń. — Zorganizuję pokój

operacyjny i grupę.

— Nie! Żadnej grupy! — Will podskoczył na swoim krześle. — To musi być kameralna akcja. Tylko nas trzech.

Brian przewrócił oczami.

— Dobra. Powiem Emily, żeby...

— Emily ma o tym nic nie wiedzieć. Nie chcę, żeby Peitai wyczuł, że chcemy go dopaść.

— Co? Przecież znasz ją od lat! Uratowała ci dupsko więcej razy, niż jestem w stanie policzyć. Jak możesz jej nie ufać?

— To nie jej nie ufa. — George wysunął konsolę i zamówił następną kolejkę.
— Jeśli założyli podsłuch i namierzenie Willlowi, to wszczepili je również Emily. Jeśli coś jej powiesz, to jakbyś gadał z nimi.

— Kurwa... — Brian zmarszczył brwi. — To może Jo?

— Im mniej osób o tym wie, tym lepiej. Poza tym ta sprawa jest potencjalnie zabójcza dla kariery. Nie zamierzam stawiać jej w takim położeniu.

— Tak. — Agent Alexander puścił oko do George'a. — Złamać nam karierę, to OK, ale...

Will wyszczerzył zęby.

— Brian, twojej kariery nie da się już bardziej pograć, choćbym się starał. To by było jak odstrzelenie z litości.

— Co by było? — Głos Emily sprawił, że wszyscy trzej podskoczyli. Kobieta stała na końcu ławy, swój dres koloru betonu zastąpiła elegancką, dwuczęściową, ciemnowiśniową kreacją, na którą narzuciła niebieski płaszcz, który ociekał teraz wodą, tworząc kałuże na podłodze pubu. Odstawiła go na wieszak, a następnie wcisnęła się obok Willa, palcem stukając w konsolę zamówień, by zamówić jeszcze raz to samo.

— Yyy... — Hunter rozejrzał się po swoich towarzyszach, ale żaden nie kwapił się do pomocy. — My właśnie... rozmawialiśmy o tym, że nie możemy wrócić do Sherman House.

— No, to niebezpieczne. — Siąknięcie, smarknięcie.

— Taak, ta rudera to pieprzona beczka prochu.

— Banda starych bab. — Wytrząsnęła wodę ze swoich krótko ostrzyżonych włosów. — Coś się tam szykuje, a ta mała menda z Ministerstwa Zmiany, Ken Peitai, to kłamliwy kutas. Może se wsadzić tę gadkę o „poszukiwaniu leku na syndrom VR” we włochaty tyłek mojej matki.

— Nie możesz tego wiedzieć, Emily. — Will poruszył się na krześle. — Jeśli istnieje choćby niewielka szansa, że *mogą* znaleźć lekarstwo, to nie możemy

narażać tego projektu na niebezpieczeństwo.

— Czy coś ci się przypadkiem nie oblużowało między uszami, kiedy obskoczyłeś rano bęcki od tych bandziorów? — Podniosła głos. — Kundle Peitai dowalili nam paralizatorem i przywiązali nas do cholernych krzeseł! *Nie zamierzam przymykać na to oka, bo jakiś mały, nadęty zasraniec z opieki społecznej...*

— Mówię poważnie, Emily. A poza tym to i tak bez znaczenia. Dyrektorka Smith-Hamilton zakazała nam zbliżać się do tego miejsca, dopóki wszystko się nie uspokoi.

— Od kiedy to jesteś taki wyczulony na to, co mówi Smith-Hamilton? Jeśli zdołamy wrócić do tego podziemnego laboratorium, to sądzę, że byłabym w stanie...

— Nie! Dla Organizacji, dla ciebie, dla mnie, i dla wszystkich innych Sherman House po prostu nie istnieje.

— Nie bądź taki cholernie...

Will trzasnął dłonią o blat, aż podskoczyły wszystkie naczynia.

— Koniec dyskusji, porucznik Brand! Nie wolno ci się zbliżać do Sherman House i to jest rozkaz!

Emily spojrzała na niego, zwięzając oczy i kurcząc górną wargę.

— *Tak jest.* — Wstała, porwała z wieszaka swój płaszcz, a potem krótko zasalutowała.

— Emily, nie...

— Proszę mi wybaczyć, *panie wicedyrektorze*, ale muszę wyjść na świeże powietrze. Nagle zaczęło tu cuchnąć gównem.

Odwróciła się i wymaszerowała z pubu, wyprostowana jak struna i z podniesioną głową.

W chwili, gdy zatrząskiwiała za sobą drzwi, starszy człowiek ponownie pojawił się przy ich boksie, prowadząc wózek z podwójną kolejką wszystkich drinków i pojedynczą szklanką wina Methven Bay. Ulubionego napoju Emily.

Gdy barman pokuśtykał w swoją stronę, Brian pochylił się i wybrał z przywiezionej kolekcji dużą butelkę Jacka Danielsa. Pociągnął jeden łyk.

— Dobrze ci poszło — powiedział pośród milczenia. — *Szczególnie* spodobało mi się to, jak zaszachowałeś ją swoim stopniem. Świetny ruch. Spryciarski.

— Odpieprz się. — Will opadł na krzesło. — Nie widziałem, by któryś z was rwał się do pomocy.

— Wiesz — odezwał się George, biorąc sobie kolejną brandy w whisky —

spróbuj spojrzeć na to z dobrej strony. Jeśli ją podsłuchują, pomyślą, że są bezpieczni.

Hunter wzruszył ramionami.

— Pewnie masz rację.

Ale nie poprawiło mu to wcale samopoczucia.

* * *

Kobieta zagrzebuje się głębiej w swoim gniazdku z papieru toaletowego, zadowolona, z rurką do karmienia pozajelitowego w ramieniu, jest jej ciepło i wygodnie. Dwa dzieciaki i żona w ciąży. Doktorze Bexley, ależ z pana jurny ogier.

W ciąży, w ciąży, w ciąży... Uwielbia ciężarne kobiety — tak bardzo urozmaicają całą zabawę. Szczególnie, kiedy przychodzi do wiwisekcji.

Wydaje z siebie odgłos, który można by pomylić z westchnieniem. W niedzielę położy się na stole operacyjnym i odzyska swoją twarz. Swoją własną twarz... *Rozsądek* nakazywałby oczywiście wziąć jakąś cudzą twarz. Ale ubezwłasnowolowana nie chce być rozsądna. Chce, by patrząc w lustro, mogła rozpoznać to, co ogląda. Chce być znowu cała. A kiedy będzie już wyleczona i piękna, będzie musiała opuścić kraj.

Szkoda. To miasto było dla niej dobre — całymi latami pozwalało jej polować na swoich mieszkańców — ale gdyby tu pozostała, ktoś ją w końcu rozpozna. Początkowo dostrzeże tylko uderzające podobieństwo do słynnej doktor Fiony Westfield, ale potem zacznie o tym rozpowiadać. I w końcu trafi na jakiegoś uważnego słuchacza.

Ludzie zaczną zadawać niewygodne pytania. Potem ktoś zbierze jej odciski palców, albo próbkę DNA i będzie wiadomo, że nie umarła. A wtedy przywiążą ją do innego stołu operacyjnego... Tyle że tym razem nie uda się jej wrócić.

Wstrząsa głową i próbuje skierować myśli ku jakiejś weselszej tematyce. Ale Stephen Bexley i jego krzycząca żona już jej nie ekscytują. Widzi tylko długi, ciemny tunel, na końcu którego znajduje się stół operacyjny. Brzęk pszczoł i tłuczonego szkła.

Głęboko oddychać.

To tylko paranoja. Nie ma się czym przejmować. Nie można się jej poddawać.

Głęboko oddychać.

Zabić coś.

To poprawi jej samopoczucie. Zabić coś powoli i pławić się w krzykach.

Nie.

Głęboko oddychać.

Zabić coś.

Jeszcze nie.

Proszę.

Skup się!

Wstrzykuje sobie w kark kolejną ampułkę leku i czeka na chemiczne ukojenie.

Skupić się.

Nie może ryzykować pozostania w tym mieście. Jak tylko jej nowa twarz się zagoi, odjedzie. Żegnaj, Glasgow. Żegnaj, Szkocjo. Chociaż... Najpierw sprawdzi, jak radzą sobie jej dzieci, a dopiero *potem* wyjedzie.

Tak. Gdzieś daleko stąd.

Ale dopiero po wizycie u starego przyjaciela.

Szkoda, że z jego twarzy zniknęła już długa, kręta blizna, którą mu zafundowała. Pasowała do niego: surowa i bolesna. Kuśtykał, kiedy biegł do busa, cały poobijany i w siniakach, pewnie świeżo po operacji...

Doskonale. Jeśli przeszedł tu jakieś leczenie, jego dane będą zapisane w szpitalnej bazie danych — wystarczy po prostu zakręcić się przy którymś z terminali, by dowiedzieć się, co mu dolega i gdzie mieszka.

Kobieta przeciąga się w swoim papierowym buduarze jak kot wygrzewający się na słońcu.

Wiele czasu minęło od momentu, kiedy ostatni raz odwiedzała przyjaciół.

* * *

Solenizantka łąka i jęczy, gdy zwleka ją z łóżka i ciągnie w stronę krzesła. Starsza kobieta — ta, którą znalazł tydzień temu w barze — leży na stole obok okna. Była prawniczką, ale teraz jest zupełnie spokojna i nieruchoma. Zadowolona i szczęśliwa. Gotowa, by połączyć się z aniołami.

Mężczyzna przemocą sadza nową dziewczynę na krzesło. Kobieta stawia opór, ale uderzenie w twarz uspokaja ją na dość długo, by skuć jej kajdankami ręce i nogi. Nie wypada przecież, by solenizantka spadła i zrobiła sobie krzywdę. Nie, kiedy tak niewiele dzieli ją od zbawienia.

Potem, kiedy już jest całkiem spokojna i bezpieczna, mężczyzna zwraca się ku starszej kobiecie, głaskając ją po zimnym, zbielełym policzku. Ma ten cudowny, woskowo blady odcień, wskazujący na to, że dusza opuściła ciało. Szczęściara.

Mężczyzna wyciąga z kieszeni poobijany, ale ulubiony miniblaster, otwiera obudowę i włącza zasilanie. Potem otwiera okno salonu, zawieszony wysoko

nad ulicami. Na zewnątrz szumią i bębnią potoki deszczu, walące z nieba na spotkanie z ziemią. Głupi deszcz. Powinien zostać w niebie. To niebo jest jego domem.

Broń brzęczy mu w ręce, gdy zdziera nią stopniowo twarz kobiety, pozostawiając jedynie nagą, pustą czaszkę. Skóra, tkanka tłuszczowa i włókna jej grzesznego żywota zmieniają się w ciemnopurpurową mgiełkę, która ulatuje przez otwarte okno, odpływając w noc unoszona deszczem. Anihilacja ciała zajmie jeszcze trochę czasu, ale warto się nad tym potrudzić, by zapewnić jej zbawienie.

Mężczyzna wydyma wargi i pracuje dalej, pogwizdując melodyjkę z reklamy DinoPizza.

Siedząca na swoim krześle solenizantka obserwuje to wszystko, krzycząc zza knebla. Wie, że będzie następna.

17

Will zwlekł się z łóżka i pojękując, powłókł się po ciemku do łazienki. W lustrze nad umywalką zobaczył jakiś rozmazany kształt. Toporny zarys skacowanej twarzy, który za cholerę nie chciał nabrać ostrości.

— Światło.

Całe mieszkanie eksplodowało jasnością, jakby ktoś wpychał mu do oczu rozgrzane do czerwoności igły tak mocno, że wyszłyby mu z tyłu głowy.

— Aaaaach! Ciemniej! Ciemniej!

Światło zelżało do mniej zabójczego poziomu i Will wyprostował się, mrugając i przeklinając, dopóki jego wzrok nie wrócił do normy. Boże... wyglądał tak źle, jak się czuł. Jego twarz była z jednej strony szarzielona, a z drugiej purpurowzielona.

Oparł się o krawędź umywalki i spróbował zwymiotować. Ale nic z tego nie wyszło, za to mdłości stopniowo zaczęły ustępować. Ile *wypił* poprzedniego wieczoru? Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, były sprośne piosenki śpiewane razem z Brianem w knajpie z żarciem curry. To, co działo się potem, zlewało się w jedną, wielką plamę.

W apteczce znalazł otwarte opakowanie środków przeciwbólowych, owoc wczorajszej wizyty w szpitalu. Wygrzebał jedną ampułkę i wstrzyknął ją sobie w kark, po czym oparł się czołem o chłodne lustro, czekając, aż magia chemii zacznie działać.

Kiedy dotarł w końcu do salonu, po ostatnich oznakach dudniącego bólu głowy i wiercenia w brzuchu nie było już nawet śladu.

Will polecił panelowi sterującemu, by rozsunał zasłony, i jego oczom ukazał się kolejny mokry, ciemny poranek. Salon śmierdzał nieświeżym browarem, czosnkiem i tłustym mięsem. Na ławie stało siedem albo osiem pustych puszek piwa Greenmantle, tuż obok niedojedzonego kebabu, którego nie powinien był kupować.

Na dywanie, między kanapą a panelem sterującym, rozciągała się abstrakcyjna mozaika z porzrzucanych pendrive'ów. Wszystkie należały do Janet — jej ulubione książki kucharskie, filmy, życzenia urodzinowe, które nagrała któregoś roku w ramach niespodzianki, mając na sobie jedynie jego starą marynarkę. Poodkładał je ostrożnie z powrotem na półki. Minęło sporo czasu od ostatniej okazji, kiedy był dość pijany, by zacząć jej szukać.

Zawołał: „Muzyka” — i panel kontrolny wydał z siebie lekkie piknięcie. W pomieszczeniu rozległy się pierwsze takty *Alba Blue*. Ulubiona opera Janet,

którą zagrano na jej pogrzebie. Nie wyłączając utworu, ruszył robić sobie śniadanie.

Mniej więcej godzinę później zamknął za sobą drzwi wysprzątanego mieszkania. Nie zapomniał nawet o wrzuceniu swojego nowego ubrania do oczyszczarki. Szkoda byłoby nie dać mu szansy na kolejne wyjście.

Dyrektor Smith-Hamilton kazała mu wziąć kilka dni wolnego, ale nie powiedziała nic, z czego wynikałoby, że nie wolno mu poświęcić tego czasu na przeprowadzenie małego, nieuprawnionego pozyskania danych. Niezależnie od tego, kim był pracodawca Kena Peitai, musiały istnieć na ten temat jakieś wzmianki w aktach. Jedynym problemem było ich odnalezienie. Najłatwiejszym rozwiązaniem byłoby włamanie się do bazy danych z podziemnego laboratorium, ale nie istniał sposób na wniknięcie do środka bez wzbudzania ogromnych podejrzeń.

A co, gdyby skorzystał z przedstawionego przez Kena zaproszenia na lunch...?

Will skrzywił się. Już sama myśl o spotkaniu z tym małym, oślizłym zasrańcem była wystarczająco odpychająca, ale gdyby pani dyrektor dowiedziała się o jego ponownej wizycie w Sherman House — a na pewno by to do niej dotarło — konsekwencje byłyby dla niego *dużo* bardziej poważne niż kilka dni wymuszonego urlopu.

Zamiast tego Hunter skierował się więc do centrum miasta.

Gmach Centralnego Archiwum prezentował się jako potężna, pseudowiktoriańska góra z czerwonych cegieł i piaskowca, rozciągająca się po obu stronach Cadogan Street. Z jakiegoś powodu, znanego jedynie funkcjonariuszom departamentu urbanistyki, budynek nie dysponował własną stacją komunikacji miejskiej, dlatego Will był zmuszony brnąć przez ulewę z Wellington Street, zatrzymując się po drodze, by kupić karton z winem na wieczór. Po porannym kacu nie było już ani śladu. Przecisnąwszy się przez drzwi wejściowe, poddał się skanowi geometrycznemu, po czym znalazł sobie cichy kącik z osobną kabiną dostępu.

Monitor zabuczał i aktywował się z trzaskiem. Hunter spędził kilka kolejnych minut na wprowadzaniu do systemu zawitych kryteriów wyszukiwania, po czym nakazał mu odnalezienie starych rozporządzeń ministerialnych. Nie miało dla niego znaczenia, czy na coś trafi, czy nie, chodziło jedynie o to, by pozostawić po sobie zapis, dowodzący, że prowadził jakieś legalne działania.

Zasada numer jeden: zawsze zadbaj o swoje alibi, *zanim* popełnisz jakiś występki.

Podczas gdy maszyna przeżuwała wprowadzone komendy, szukając informacji i odnośników, Will wyjął z kieszeni aparat do hakowania i podważył umiejscowioną pod stołem pokrywę panelu. Rozejrzał się, by mieć

pewność, że nikt go nie obserwuje, po czym wyplątał z wnętrza maszyny dwa kabelki i podłączył je do urządzenia. Następnie włamał się do głównego systemu i rozpoczął swoje własne poszukiwania.

Trzy godziny później wyłączył swój hakerski sprzęt i stłumił ziewnięcie. Ken Peitai nie pracował dla żadnej firmy biotechnologicznej, dla żadnej z wielkich korporacji ani dla żadnego departamentu rządowego. Jego numer ubezpieczenia społecznego nie dawał żadnych rezultatów — ani prawa jazdy, ani paszportu, ani funduszu emerytalnego. Koleś był duchem.

Jedyną informacją, jaką Hunter zdołał znaleźć, była wzmianka z bazy danych funduszu PayFund o wypłacie bonusu dokonanej przed sześciu laty. Była to znaczna suma pieniędzy i tylko dzięki temu udało mu się na nią trafić. Duże wypłaty wymagały zatwierdzenia przez menedżera, a to oznaczało zapis związany z tą decyzją. Znaczyło to też, że Peitai rzeczywiście pracował dla rządu... a przynajmniej była to prawda przed sześciu laty.

Notka dotycząca wypłaty była uderzająco lakoniczna. Will liczył, że znajdzie adres, numer konta albo numer telefonu, ale nie miał szczęścia. Ówczesny pracodawca Kena, kimkolwiek był, nie publikował informacji na temat swoich pracowników w bazach danych.

Hunter rozprostował plecy i zerknął na zegarek: dwunasta piętnaście. Lunch. Nie mógł się dodzwonić ani do Briana, ani do George'a, a prędkiej wyrósłby mu kaktus na ręce, niż Emily odebrałaby jego telefon. Wiedział, że miną tygodnie, nim znowu zechce z nim gadać.

Spojrzał do góry, przyglądając się wielkiemu witrażowi u końca sali mieszczącej archiwum. Słyszał krople deszczu tłukące o wielobarwne szybki. Wciąż lało... ale znajdował się przecież wcale niedaleko od komendy policyjnej na West George Street — to tam pracowała Jo, kiedy nie wypełniała swoich zadań w siedzibie Organizacji. Może ją zastanie?

Byłoby miło. Właściwie to nawet bardziej niż miło.

Will przyglądał włosy i przejrzał się w powierzchni ekranu. Wciąż wyglądał do dupy.

A co tam, za późno, by się tym przejmować, i tak nie mógł nic na to poradzić.

OK...

Wytrzeł dłonie o nogawki spodni. Żaden problem. Przecież nie chodziło o zaproszenie na randkę, prawda? Po prostu kolega i koleżanka z pracy na wspólnym lunchu.

Przymknął oczy i mruknął:

— Spróbuj nie zrobić z siebie pośmiewiska... — Następnie wyciągnął komórkę, zadzwonił do centrali policyjnej i poprosił o połączenie z sierżantem Cameronem. Trzy minuty i dwadzieścia sekund później twarz Jo pojawiła się na

maleńkim wyświetlaczu, jedno z jej oczu miało mętny, szaromleczny odcień.

— *Sierżant Cameron, czym mogę...* — Między jej brwiami zaznaczyła się niewielka zmarszczka. — *Z kim rozmawiam?*

Z pewnym opóźnieniem Will zdał sobie sprawę, że zakrywa kciukiem kamerę swojego telefonu. Dziewczyna widziała tylko pusty ekran.

— O, przepraszam — zabrał dłoń, by mogła w pełni podziwiać jego posiniaczone oblicze — to z przyzwyczajenia. Tu Will. Will Hunter.

Zmarszczka znikła, ale nie zastąpił jej uśmiech.

— *Dzień dobry, panie wicedyrektorze. Dlaczego tak anonimowo?*

— Jestem w Centralnym Archiwum i zastanawiałem się, czy nie masz ochoty na lunch. — Wzruszył ramionami. — Myślałem, że może zgłodniałaś. — Umilkł na chwilę. — No bo... yyy... to pora lunchu. — Odchrząknął. A miał nie robić z siebie pośmiewiska.

Jo spoglądała na niego przez chwilę, po czym przemówiła:

— *Gdzie?*

— W centrum?

— *Kiedy?*

Will starał się, by jego odpowiedź zabrzmiała nonszalancko.

— Słuchaj, jeśli to nieodpowiednia pora, to nie ma sprawy, mogę...

— *Chiswick's, za piętnaście minut.* — Po jej twarzy przemknął uśmiech, a potem zniknął, zapadając się w malutki szary punkcik, kiedy przerwała połączenie.

Will włożył komórkę do kieszeni i nagle uchwycił swoje odbicie w ekranie monitora, z twarzą wyszczerzoną jak jakiś nabuzowany nastolatek. Uśmiech zniknął. Cały poranek spędził na poszukiwaniu wspomnień o zmarłej żonie, a teraz proszę, co wyrabia.

Lunch z poczuciem winy w pakiecie.

* * *

Czternaście minut później siedział przy narożnym stoliku, przeglądając jadłospis. Chiswick's było małą, tanią knajpą, położoną wystarczająco blisko posterunku na West George Street, by przyciągnąć trochę umundurowanej klienteli.

— Czy to miejsce jest wolne? — Przestrzeń rozbłysła feerią jaskrawych barw, gdy sierżant Cameron usiadła na krześle po przeciwnej stronie stolika. Elektryczna limonka i wulkaniczny pomarańcz, mocno ściągnięte w talii. Żakiet prezentował się zaskakująco atrakcyjnie, podkreślając jej biust jak... Will zmusił się, by oderwać wzrok od tej części jej ciała. Przez ostatnie

sześć lat niezbyt często miał okazję umawiać się na randki, ale był raczej pewny, że gapienie się na piersi kobiety nie jest sposobem, by zrobić na niej dobre wrażenie.

Jo zdjęła żakiet, odsłaniając modnie obcisłą, szmaragdową bluzkę.

— Ładne siniaki — zagała.

— Dzięki. Wybrałem je specjalnie na tę okazję.

Roześmiała się.

— Lepiej niech pan opowie, co pan dzisiaj porabiał.

— Niewiele. — Dotknął ręką schowanej pod spodem torby z baniakiem wina.

— Załatwiałem kilka rzeczy na dziś wieczór. A ty?

— Miałam masę roboty. Postanowiliśmy posłuchać pańskiej rady i zgarnęliśmy wszystkie środki czyszczące, jakie udało nam się znaleźć w domu Kilgourów.

— Płyn do zmywania o cytrynowym zapachu?

— Tak, trzy niepełne i jeden idealny odcisk kciuka. Nie należą do żadnego z członków rodziny ani do nikogo z ekipy czyszczącej. Na dziewięćdziesiąt pięć procent należą do naszego sprawcy.

— Udało wam się go zidentyfikować?

— Jeszcze nie. — Chwyciła za kartę z menu. — Zaprzęgliśmy system do przeszukiwania wszystkich kartotek z ostatnich dwudziestu pięciu lat. Jeśli kiedyś był w naszych rękach, to jest nasz. To tylko kwestia czasu.

— To dobrze. — Przyglądał się, jak czyta jadłospis, od czasu do czasu wysuwając z ust maleńki, różowy koniuszek języka. Obcisła, szmaragdowa bluzka rozciągała się przy każdym oddechu. Will starał się ze wszystkich sił nie gapić.

— Znalazł pan już coś dla siebie?

— Ja... yyy... — Czuł, jak jego policzki zalewa rumieniec. — Mhm... wezmę to co ty.

Jo uśmiechnęła się i Will nie mógł się powstrzymać przed odwzajemnieniem tego uśmiechu. Mimo że czuł się jak idiota.

Sierżant Cameron wstukała ich zamówienie w stolikowy panel.

— Co pan zrobił Brianowi ostatniego wieczoru? Przez cały dzień nic tylko wcina chrupki cebulowe i chla kawę.

— Ach, stary sposób na kaca agenta Alexandra. Trochę się wczoraj nawaliliśmy; można powiedzieć, że topiliśmy smutki. — Bawił się trzymanym w dłoni sosem pomidorowym. — Dyrektor Smith-Hamilton zabroniła wszelkich wizyt w Sherman House do czasu, aż sytuacja przycichnie.

— Czyli nie możemy ruszyć ze śledztwem w sprawie Allana Browna. — Skrzywiła się. — Do dupy...

— Przykro mi, Jo.

— Szlag by to trafił. Myślałam, że tym razem dostaniemy konkretną szansę zdobycia dowodów. — Opadła na oparcie krzesła i westchnęła. — Tak jak mówiłam, wydaje się całkiem jasne, że zrobił to któryś z członków załogi frachtowozu, ale... Fajnie byłoby dla odmiany doprowadzić jakąś sprawę do końca. Na jak długo obowiązuje zakaz?

— Nie mam pojęcia. Cały plac jest objęty kwarantanną aż do odwołania.

Przyniesiono przystawki — dwie miski zupy z dorsza — i obydwójce zajęli się w milczeniu jedzeniem. Poważny nastrój powoli ustąpił. Rozmawiali o starych sprawach, o filmach, nabijali się z naburmuszonych przechodniów przemykających między kałużami. Tuż po tym, gdy na stole pojawiło się główne danie, Jo wyprostowała się jak struna na swoim krześle, a jej lewe oko zmieniło barwę ze złotobrązowej na mlecznoszarą.

— Cholera... — Wygrzebała z zakietu jaskrawoczerwony palcofon i wsunęła go na rękę. Wycelowała palec w swoim kierunku.

— Sierżant Cameron, słucham.

Will zastygł w bezruchu, z widelcem zawieszonym w połowie drogi między miską rubinowoczerwonego gulaszu, a ustami.

— Nie. — Odepchnęła swój talerz. — Będę na posterunku za mniej więcej trzydzieści sekund. Odpalajcie ścigacz, spotkamy ich na miejscu.

Jo schowała palcofon do kieszeni i wstała. Will ruszył za nią.

— Co się dzieje?

— Zidentyfikowaliśmy linie papilarne od Kilgourów. — Naciągnęła na siebie swój zielono-pomarańczowy zakiet. — Czeka na mnie grupa interwencyjna.

— Pójdę z tobą.

— Co to, to nie. Masz zakaz brania udziału w akcjach, pamiętasz?

— Ale...

— Żadnego „ale”. — Popchnęła go delikatnie z powrotem na krzesło. — Zostań. Zjedz deser. Dam ci znać, jak nam poszło.

A potem znikła, wybiegając przez drzwi wprost pod siekące krople deszczu. Will spoglądał za nią, dopóki jej jaskrawe wdzianko nie zginęło mu z oczu, wtapiając się w tłum przemoczonych przechodniów. Minutę później okna kawiarni zadygotały i ryk silników ścigacza zagłuszył wrzawę ludzi korzystających z przerwy obiadowej.

Hunter opadł z wolna na oparcie krzesła i spojrzał na talerz pełen lepkich,

ciemnoczerwonych kawałków mięsa. Uczucie głodu odeszło.

* * *

Oswoiła się ze szpitalnym zgiełkiem tak bardzo, jak z własnym oddechem. Jest ciepły i dodaje otuchy. Siedzi w swoim przytulnym gniazdku z papieru toaletowego, z tabletem na podołku, pogrążona w lekturze. Jej osobiste notatki z badań od zawsze stanowiły część akt programu PsychTech, schowane między niezliczonymi zapiskami o mimowolnym moczeniu, bezsenności, drobnych kradzieżach sklepowych, nienawiści do ojca, miłości do matki, rywalizacji między rodzeństwem i o innych strzępach psychiki osób, z którymi jej zespół przeprowadzał wywiady.

Ale jej pliki różnią się od pozostałych akt PsychTechu: są tajne, ukryte w niewidocznym podkatalogu. Chronione hasłem i zakodowane.

PsychTech. Kierowała tym projektem przez pięć szczęśliwych lat, monitorując obywateli Glasgow z wszelkich grup wysokiego ryzyka i dbając o to, by nie stanowili zagrożenia dla siebie i dla innych.

Wszystko to było oczywiście *jej* pomysłem. Walczyła o ten program, przepchnęła go przez komitet, przekonując jego członków swoim zaangażowaniem i błyskotliwością. Uświadomiła wszystkim, że jeśli zrozumieją, jak wygląda umysł przestępcy, będą mogli przebadać całą populację, wyławiając jednostki pasujące do profilu. Ludzi, którzy być może nie zrobili jeszcze nic złego, ale mieli odchyły predysponujące ich do takich czynów w przyszłości.

A któż rozumiał umysł przestępcy lepiej od niej?

Pięła się po coraz wyższych szczeblach hierarchii, a wraz z kolejnymi awansami rósł też jej budżet i uprawnienia. Program stał się flagowym projektem Ministerstwa Zmiany — szeroko zakrojony eksperyment psychologiczny opracowany po to, by uczynić Glasgow lepszym i bezpieczniejszym miejscem.

Kobieta mości się głębiej w swoim gniazdku.

Nie mieli pojęcia o jej własnym, specjalnym projekcie: o Zwiastunie.

Jej palce stukają w klawiaturę, otwierając tajne notatki badawcze... Otwierając... Przerzywa wyszukiwanie. Spogląda wilkiem na ekran. Coś tu nie gra, coś tętniącego w lukach jej pamięci.

Coś...

Nieważne, później sobie przypomni.

Dr Westfield studiuje opisy poszczególnych przypadków, analizując rozwój swoich dzieci, począwszy od momentu, gdy pierwszy raz zobaczyła ich rodziców. Jest tu sporo do czytania. Niektórzy z jej podopiecznych nawet się jeszcze nie narodzili, gdy zaczęła kształtować ich rozwój psychologiczny.

Kiedy ministerstwo zamknęło program PsychTech, pozostawiono jej dzieci samym sobie. Bez żadnej terapii, bez analizy, nikt nie chciał słuchać o ich problemach i o pokręconych fantazjach. Sześć lat bez jej nadzoru i porad.

Cóż za marnotrawstwo.

Jest ich dwadzieścioro siedmioro: chłopaki, dziewczyny, a także tacy, co do których nie ma pewności, kim są. Najtrudniej pracuje się z dziewczynami, nie dają się tresować tak łatwo jak chłopcy, natura morderczyń predestynuje je bardziej do gwałtownych rzezi niż do seryjnych zabójstw. Najłatwiejsi w obróbce są ci nieokreśleni; dysfunkcje seksualne stanowią cudownie twórcze pole do popisu dla doświadczonego psychologa.

Skazana delikatnie stuka tabletem o swoje odsłonięte zęby. Sześć lat to długi czas. Kto wie, jakie psoty były im w głowie.

Dwadzieścia siedem szans na piękną jatkę. Dwadzieścioro sześcioro z nich wciąż przebywa gdzieś w mieście, wyszkoleni i gotowi, by eksplodować.

Podczas procesu jej oskarżyciele uważali, że jedynym stworzonym przez nią mordercą był Alastair Middleton. Biedny Alastair: jej pierwszy prawdziwy sukces. Szkoda tylko, że nie był trochę bardziej ostrożny w doborze ofiar. Gdyby był, nie siedziałaby tutaj teraz pozbawiona połowy twarzy.

To *jego* wina. Gdyby nie on, dochrapałaby się do tej pory miejsca w radzie ministerialnej. Wszystko przez to, że ten głupi zasraniec nie potrafił utrzymać swojego pierdolonego kutasa w spodniach. Wypełnił jej świat potłuczonym szkłem, zmienił ją w okaleczone dziwadło. WSZYSTKO TO JEGO CHOLERNA WINA.

Wyciąga następną ampułkę leku z opakowania i drżącymi palcami wstrzykuje ją sobie w kark. Spokój. Spokój. Głęboko oddychać.

To niczyja wina. To niczyja wina.

Chemiczne ukojenie rozlewa się po jej krwioobiegu. Alastair robił jedynie to, czego go nauczyła.

Spokój.

To był zwykły pech, nic więcej.

Spokój.

Jej wzrok pada z powrotem na trzymany w dłoniach tablet.

Sześć lat. Większość z jej dzieci ma teraz około dwudziestu lat. Być może Alastair Middleton nie był jedynym, który zrealizował swój potencjał. Być może w bazie danych szpitala Glasgow Royal Infirmary znajdą się wzmianki o ubezwłasnowłownieniu również innych spośród jej wychowanków. Dr Westfield wstukuje imiona swoich dzieci do szpitalnej wyszukiwarki i opiera się na swoim posłaniu, czekając.

Rezultaty wyszukiwania są zachęcające.

Troje doznało niegroźnych złamań — nic poważnego, tylko ręce i nogi. Czworo podlega leczeniu w związku z zaburzeniami psychotycznymi i skazana spędza mniej więcej dwie godziny na radosnej lekturze uwag ich psychiatrów. Oczywiście ich pytania nie są nawet w przybliżeniu tak przenikliwe, jak te, które sama potrafiłaby postawić, ale w końcu posiada unikalną perspektywę do oceny swoich podopiecznych.

Pięcioro z jej dzieci nie żyje: dwa przypadki pchnięcia nożem, jeden zgon od postrzału w trakcie interwencji policyjnej, jedno samobójstwo, ostatni został natomiast zmasakrowany w ubikacji miejskiej tak bestialsko, że aby móc go zidentyfikować, niezbędne było badanie DNA. Nie ma bliższych danych na temat obydwu zgonów od pchnięcia nożem, właściwie niemal same wnioski z sekcji zwłok, ale za to postrzelenie prezentuje się o wiele ciekawiej. Duncan Clark, liczne obrażenia twarzy i głowy zadane blasterem. Hologramy z jego sekcji zwłok to prawdziwa trójwymiarowa uczta dla oczu, mieniąca się purpurą i czerwienią. Jego głowa wygląda tak, jakby ktoś obdarł ją ze skóry, a potem wypolerował papierem ściernym. Dr Westfield wchodzi na stronę NewsNetu i wpisuje do wyszukiwarki „DUNCAN CLARK”.

Pojawia się cała dokumentacja. Duncan Clark okazał się sukcesem.

Prezenter rozmawia z sąsiadami Duncana i z jego matką — na której twarzy maluje się dokładnie taki sam obłęd jak wtedy, gdy dr Westfield uzależniła ją od Dropsów. Uzależnieni są tacy podatni na manipulację.

Odnajduje się nawet nagranie z akcji odbijania zakładników, która okazała się początkiem i końcem walki Duncana z rozbrzmiewającymi w jego głowie głosami. Chłopak nosi szaro-czarny, miejski strój maskujący, przez ramię ma przewieszony karabin szturmowy. Obok znajduje się naga kobieta. Clark chwyta ją za blond włosy i podrywa z ziemi, podczas gdy zakładniczka krzyczy, szlocha i próbuje się wyrwać, między nogami spływają jej strużki krwi. Duncan przykładą jej do gardła ząbkowane ostrze noża, wrzeszcząc coś w stronę grupy interwencyjnej Organizacji, a na jego bladej, pokrytej plamami twarzy połyskują punkciki laserowych celowników.

Potem podrzyna jej gardło, od ucha do ucha. Krew tryska spektakularnie w zwolnionym tempie. Oczy kobiety wychodzą z orbit, uginają się pod nią kolana, gdy wtem twarz Duncana eksploduje, zmieniając się w obłok różowej mgiełki. Wiejąca bryza jest wystarczająco silna, by kamera mogła uchwycić najdrobniejsze szczegóły tego, jak jego rysy twarzy wyparowują. Wszystko trwa zaledwie sekundę.

Clark pada na swoją ofiarę — to pewnie najbliższy w całym jego życiu kontakt z nagą kobietą — targany drgawkami. Z poszarpanej, zakrwawionej dziury znajdującej się w miejscu, gdzie miał kiedyś usta, wydobywają się stłumione okrzyki. Nie ma oczu ani policzków, stracił też większość zuchwy.

Dokumentacja kreśli następnie cukiernicze portrety pozostałych siedemnastu osób znajdujących się wewnątrz baru: ojcowie, żony, synowie, córki. Nikt z nich nie przeżył drogi na stół operacyjny.

Dobra robota, Duncan. Mama jest z ciebie bardzo dumna.

Dr Westfield przewija do momentu podejrzenia gardła kobiety, a potem wciska pauzę, jej palce pieszczą jego odparowywaną twarz.

To takie piękne.

Gdyby tylko mogła z nim porozmawiać, zanim przystąpił do tej masakry, mogłaby pojąć, co aktywowało mechanizm, nad którego konstrukcją trudziła się przez tak wiele lat.

W NewsNecie nie ma żadnych nagrań na temat Allana Browna — tego, którego zidentyfikowano na podstawie DNA — ale raport z jego sekcji zwłok brzmi jak reportaż z rzeźni. Plik zawiera wiele hologramów: zbliżenia rąk, twarzy, genitaliów oraz brzucha, wszystko porozrywane i poszarpane na strzępy. Piękne rzemiosło. Dziwnie znajome...

Ale nie ma to znaczenia. Ważne, że pozostała część badanej przez nią grupy, dwadzieścia jeden osób, wciąż przebywa gdzieś na terenie miasta. Otuleni kruchym pancerzem z pszczoł i tłuczonego szkła. Wyczekujący na delikatny kuksaniec, który sprawi, że runą w otchłań szaleństwa.

Ma jeszcze sporo do nadrobienia.

* * *

Minęły cztery godziny, a deszcz wciąż nie przestawał chłostać ulic miasta. Will stał na obrzeżu placu Blythswood, ze spokojem znosząc kapiące na niego krople, i obserwował ubezwłasnowłowiego.

Skazaniec ciągnął za sobą wózek, zbierając przemoczony śmieci z zalanych ulic. Przygwoździł chwytakiem wyrzucone opakowanie po chrupkach i przeniósł je do wózkowego pojemnika. Dziwnie było pomyśleć, że to coś sprzątające teraz okolicę placu było kiedyś człowiekiem. Narzędziem przemocy i zniszczenia.

I co z niego zostało?

Mrużąc oczy, Will opuścił strefę pod koroną drzewa, w którego cieniu się schronił, i ruszył przez plac w stronę postaci noszącej czarno-pomarańczowy strój. Pani doktor Morrison powiedziała, żeby się ruszał, albo ciało zacznie mu odmawiać posłuszeństwa, obecnie rozumiał już, co miała na myśli. Wydawało mu się, jakby dopadło go wyjątkowo silne zeszytnienie pośmiertne. Tyle mu przyszło z siedzenia przez cały dzień przed ekranem monitora w poszukiwaniu Kena — Niewidzialnego Człowieka — Peitai.

W końcu musiał się przyznać do porażki: jeśli istniały jakieś dane na temat Peitai, to nie potrafił ich znaleźć. Zamiast tego zaczął rozmyślać o Jo i o tym,

czy Janet by ją polubiła, zastanawiając się, czy zmarła żona pochwaliłaby to, że spotyka się z inną kobietą.

Potem zabrał się za poszukiwanie Alastaira Middletona. Nie było to trudne, jeśli się wiedziało, do której bazy danych trzeba się włamać.

Skazaniec nawet nie podniósł wzroku, gdy Will podszedł do niego i przystanął obok, patrząc, jak kolejna porcja rozmoczonych śmieci znika w wózku. Ubezwłasnowłównionych zdawała się otaczać aura spokoju. Emanowali swego rodzaju pogodą i czymś ponadczasowym. Nigdzie nie pędzili. Nie pozostało im nic, czym mogliby się przejmować.

— Dzień dobry, Alastair — odezwał się Hunter, wzmacniając uchwyt na reklamówce wypełnionej zakupami. — Długo się nie widzieliśmy.

Jeżeli Alastair Middleton go usłyszał, to w ogóle nie dał tego po sobie poznać, w dalszym ciągu zbierał odpadki, wrzucając je do swojego małego wózka.

— Sporo o tobie myślałem przez ostatnich kilka dni. Twoja dawna mentorka nie żyje. Wiedziałaś?

Alastair nic nie odpowiedział, ale przecież nie był do tego zdolny. Wiele lat upłynęło, odkąd odebrano mu umysł i żuchwę.

— Spaliła się w rozbitym frachtowozie. Ot tak, po prostu. Nie ma już doktor Fiony Westfield. — Włożył ręce do kieszeni i wzruszył ramionami. — Ale nie ma to dla ciebie chyba większego znaczenia, prawda? Wykorzystała cię tak samo jak wszystkich innych: nakręciła cię i pozwoliła odejść.

Woda spływała po przyciętej twarzy skazańca, skapując z obnażonych górnych zębów, sprawiając, że to coś, co było kiedyś Alastairem Middletonem, połykiwało.

— Wiesz, czasem zastanawiam się, czy nie byłoby litościwiej, gdybym cię zabił, kiedy miałem okazję: gdybym wypalił ci klatkę piersiową, tak jak ty zrobiłeś Janet. Jak myślisz? Cieszysz się ze swojego obecnego stanu? Że nie jesteś już zagrożeniem dla społeczeństwa?

Na plac wkroczyła kilkunastoosobowa grupka uczennic — wszystkie były ewidentnie totalnie naćpane — rżąc i chichocząc w swoich długich, czerwonych, szkolnych pelerynach. Will patrzył, jak skaczą od kałuży do kałuży, piszcząc z radości, rozbawione własną młodością i narkotycznym rauszem.

— No cóż — powiedział, kiedy odeszły. — Po prostu chciałem, żebyś wiedział, że nie żyje.

Hunter nie czekał na odpowiedź — nie miało to sensu — odwrócił się tylko na pięcie i ruszył w stronę najbliższego przystanku komunikacji miejskiej.

Brian i Jo powinni być już w pubie, urządzając sobie tradycyjną popijawę z

okazji schwytania kolejnego kryminalisty. Bóg wie, że Willowi przydałoby się poświętować razem z nimi.

* * *

W pubie „Pies i Dioda” nie było śladu po grupie interwencyjnej, więc Hunter wygrzebał swoją komórkę i wybrał numer agenta Alexandra. Brak odpowiedzi, więc spróbował dodzwonić się na numer domowy.

Mały ekranik przez chwilę trzeszczał i syczał, aż w końcu wyklarowała się na nim twarz Briana. Will starał się zachowywać absolutnie nienagannie. Powstrzymał się nawet od zasłonięcia kamery.

— Brian, jak... Jezu, fatalnie wyglądasz!

Twarz agenta Alexandra była blada i zwiotczała, miał przekrwione oczy i czerwony nos. Z jego ust wyrwało się westchnienie.

— *Will.* — To było wszystko, żadnych uprzejmości, żadnego przywitania, żadnych żartów.

— Wszystko w porządku?

— *Nie.*

— Jezu, Brian, co się stało?

Jego rozmówca przetarł oczy.

— *Nie chcesz wiedzieć. A ja naprawdę nie chcę o tym gadać.* — Wziął kilka głębokich oddechów. — *Przepraszam, Will. Ja... pogadamy potem. Teraz nie dam rady.*

Ktoś pojawił się przy jego ramieniu i Will rozpoznał głos Jamesa obejmującego szyję Briana.

— *Ciiii... No, wyrzuć to z siebie. Już w porządku.*

Potem połączenie zostało przerwane.

Na ekranie rozbłysła ikonka z napisem „POŁĄCZENIE ZAKOŃCZONE” i Will zmarszczył brwi. To nie było w stylu Briana, być tak roztrzęsionym. Nie aż tak.

Wybrał numer komendy na West George Street. Zmaltretowany głos jakiegoś sierżanta oświecił go, że coś mu się popierdoliło, jeśli sądzi, że będą dawać prywatny numer funkcjonariuszki jakiemuś obsrańcowi z pubu, po czym jego rozmówca się rozłączył. Will ponownie miał przed oczami ikonkę „POŁĄCZENIE ZAKOŃCZONE”.

Zawsze może wygrzebać numer do Jo z bazy danych policji, kiedy wróci do mieszkania. Poza tym miał ze sobą baniak wina, a w domu czekała na niego dostawa pizzy. Czego można więcej chcieć?

* * *

Ubezważnoglówiona odsuwa tablety i przeciąga się. Zajęło jej to większość dnia, ale ma teraz adresy wszystkich swoich pozostających przy życiu dzieci. Co zaskakujące, większość z nich mieszka w tym samym miejscu. Trójka osiedliła się na przedmieściach, ale pozostała osiemnastka skupiła się wokół placu Potworności. Dziwne, że los kazał im zamieszkać obok siebie. Dziwne, ale wygodne — odwiedziny u nich będą łatwe i przyjemne.

Ale najpierw będzie musiała się trochę zabezpieczyć. Wziąć kilka wybranych sztuk broni z jednego ze swoich arsenałów. Byłoby kiepsko paść ofiarą któregoś ze swoich własnych dzieci. Byłaby to ironia losu.

Dr Westfield wytacza się ze swojego gniazdka i zeskakuje na podłogę magazynu. Niestety, nikt tu nie zaglądał od czasu wizyty Kris i jej przyjaciela. Nikt nie może podziwiać, jak doskonale wyczyściła wszelkie ślady swojej zabawy. Ale tak pewnie jest lepiej: kogoś mogłyby zastanowić dwa słoje oparte o tylną ścianę, wypełnione płynem konserwującym i częściami ciała. Lubi ściągać je z półki i tańczyć z nimi po całym pomieszczeniu. Unosić je pod światło i patrzeć, jak jego promienie migoczą i pląsają między włóknami mięśni. Odkręcać ich wieczka i...

Zamiera w bezruchu, z jedną ręką na wieczku słoja, a drugą na chłodnym, plastikowym pojemniku. Musiała je otworzyć. Pliki z jej sprawy powinny być dokładnie zabezpieczone. Hasło. Szyfrowanie.

Słój wysuwa jej się z dłoni. Uderza o betonową podłogę i toczy się po niej, rozpryskując na wszystkie strony oczy, jądra i jajniki w eksplozji gorzko zalatującej cieczy. Obijając się o podłogę, wiruje, bryzgając resztkami płynu konserwującego, a potem, potańczywszy jeszcze przez moment, zatrzymuje się u jej stóp.

Nie powinna mieć dostępu do plików Zwiastuna. Wykasowała wszystkie otwarte wersje, kiedy zaczął wokół niej węszyć ten sukinsyn z Organizacji. Wszystko zostało ukryte. Zapisane. Skompresowane. Zabezpieczone pułapkami. Jedynym sposobem na zdobycie dostępu do tych plików miała być ewentualność, że komuś uda się je otworzyć i rozbroić. A przecież na sto procent nic takiego nie zrobiła.

Ktoś majstrował przy jej dziele. Ktoś przy nim grzebał.

Ktoś musi za to *zapłacić*.

* * *

Odgłos dzwonka u drzwi domagał się jego uwagi, więc Will odłożył klawiaturę i przeciągnął się. Klucze w mięśniach wróciło, ale zostało mu już tylko kilka ampulek i nie zamierzał ich marnować. Zamiast tego pociągnął kolejny łyk wina i powlókł się do przedpokoju, by zapłacić kurierce za trzydziestocentymetrową DinoPizzę z mięsem syntetycznym.

Wpakował jeden kawałek do ust, rozsiadł się na kanapie i przyciągnął do

siebie klawiaturę. Włamanie się do systemu rządowego nie zajęło mu zbyt długo — zabezpieczenia były śmieszne. Gdyby nie fakt, że miał zwyczaj hakowania również innych, bardziej ostrożnych systemów, zwróciłby komuś na to uwagę. Główne serwery policji wcale nie miały lepszej ochrony i Hunter spędził kilka następnych minut na przeglądaniu kartoteki aresztowań, by sprawdzić, czy rzucą mu się w oczy jakieś nazwiska. Nic nie znalazł. Wobec tego zaczął grzebać głębiej — obchodząc zapórę ogniową otaczającą ich akta osobowe — i wyszukał dokumentację sierżant Cameron.

Większość z tych informacji widział już wcześniej, ale ponownie rzucił na nie okiem: wyróżnienia, upomnienia werbalne, imponująca liczba dokonanych ujęć. Trzy podania o transfer do Organizacji. Nie widział ich w jej oficjalnych aktach. Nic dziwnego, że chwyciła szansę, by zostać funkcjonariuszką łącznikową. Dla niej była to furтка do awansu. Trzy albo cztery odrzucenia podań o przyjęcie na służbę nie były niczym dziwnym. Organizacja wolała mieć pewność, że nowi agenci naprawdę chcieli dla niej pracować.

Wykaz prowadzonych przeciwko niej postępowań dyscyplinarnych nie prezentował się jakoś szczególnie źle — ostatni wpis pochodził sprzed dwóch lat, więc wyglądało na to, że nauczyła się reguł tej gry. Polityka: przekleństwo sił porządkowych na całym świecie. Nie wystarczy, że będziesz dobry w tym, co robisz, musisz być jeszcze wyczulony na machinacje swoich przełożonych.

Will ugryzł kolejny kęs pizzy. Robiła się zimna, na klonowanym pepperoni zbierał się tłuszcz, a ser zaczynał się ścinać.

Przeszedł do danych osobowych: adres, panięskie nazwisko matki, wzrost, waga i numer domu. Wystukał go na telefonie i opadł na kanapę, w ostatniej chwili przypominając sobie, że Jo nie będzie w stanie nic zobaczyć, bo przecież rozwalił kamerkę.

— Cholera. — No nic, było za późno, żeby coś z tym zrobić.

Telefon dzwonił i dzwonił, aż w końcu włączyła się automatyczna sekretarka, która przemówiła nagrany głos sierżant Cameron, oznajmiając mu, że nie jest w stanie teraz odebrać, ale jeśli ma ochotę i nie nastawia się na szybką odpowiedź, to po sygnale może zostawić wiadomość. Will rozłączył się.

Popił następny kawałek pizzy solidnym łykiem wina. To, że nikt nie chciał z nim gadać, nie oznaczało, że nie da rady wybadać, co wydarzyło się tego dnia. Jeśli Jo składała dziś jakiś raport, to będzie on umieszczony na serwerze policji. Wybrał z jej dziennika logowań zakładkę z numerami referencyjnymi i zaczął poszukiwania.

Był już naprawdę blisko, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. Drugi raz tego samego wieczoru. To jakby rekord.

Zaklął i zamknął ekran, wsuwając klawiaturę pod ławę, a potem otworzył

drzwi.

Z trudem zdołał rozpoznać stojącą w jego progu kobietę. W ubiorze sierżant Cameron nie było zupełnie nic z żarówiastej krzykliwości ciuchów, które normalnie nosiła, zamiast tego jej strój utrzymany był w ponurej, niebieskoszarej tonacji. Jej włosy, uwolnione z koka, w jaki je zwykle upinała, opływały jej twarz niczym żałobna woalka, kryjąc oczy i skręcając się w gęste, czarne loki w okolicy policzków. Były znacznie bujniejsze, niż się spodziewał.

Uśmiechnął się do niej.

— Cześć.

Nie odpowiedziała.

Will spróbował ponownie.

— Wszystko w porządku?

— Mogę wejść? — Mówiła niskim głosem, lekko zniekształcając słowa. Niewiele, daleko od popadania w bełkot, ot na tyle, by Will miał świadomość, że piła.

— Yyy... Tak, no pewnie.

Podążyła za nim do salonu.

— Znalazłam ten adres w twoich aktach.

Will zmarszczył brwi.

— Mój adres figuruje w publicznie dostępnych aktach?

Potrząsnęła głową, a po jej ustach przemknął nieznaczny uśmiech.

— Nie.

Bawiła się w te same podchody, co on.

— Napijesz się czegoś? Mam zimną pizzę, mogę podgrzać.

— Nie odmówię drinka.

Will wyciągnął ze zmywarki parę szklanek i postawił je na blacie. Miał dziwne przeczucie, że to nie pora na wino. Chlusnął do szklanek solidną porcję whisky, dolewając do niej jedynie odrobinę wody.

Jo pociągnęła głęboki łyk, obracając trunek w ustach. Miała zaróżowione i podpuchnięte oczy, identycznie jak Brian.

Usiedli obok siebie na sofie, próbując podtrzymać nieklejącą się rozmowę. Pogoda, siniaki Willa, widok z jego apartamentu... Gdy przyszła pora zmienić temat, głos Jo zadrżał.

— Znaleźliśmy Jillian Kilgour — powiedziała z ustami wewnątrz szklanki.

Will opadł na sofę, czekając, aż zacznie o tym opowiadać, ale policjantka milczała. Zamiast tego przygryzła dolną wargę, a jej ramionami zaczął wstrząsać spazm szloch. Początkowo nie było nic słychać. Widział tylko, jak kołysze się łagodnie do przodu i do tyłu, a potem zaczęła ronić łzy. Wzbierały w kącikach jej oczu jak maleńkie kryształki, po czym spływały po jej policzkach koloru kawy. Wreszcie wzięła urywany wdech i ponownie zagryzła wargi. Will odstawił szklankę na ławę i objął ją ramieniem.

— Już dobrze — powiedział, gdy wsparła mu głowę na obojczyku. — Już dobrze.

Tulił ją, dopóki nie wypłakała wszystkich łez.

* * *

Bałagan został posprzątaný, starty mopem i wypucowany tak, że nie pozostał najmniejszy ślad rozlanego płynu konserwującego i części ciała.

Potłuczone szkło i pszczoły. Wypełniające magazyn swoim bezustannym, przenikliwym brzęczeniem.

Ktoś grzebał w jej plikach.

Jakiś sukinsyn majstrował przy jej dziele.

Przez moment balansuje na krawędzi wybuchu. Byłoby wspaniale coś porozwalać. Ale nie wolno jej tego zrobić. Zainstalowane wewnątrz magazynu czujniki dostrzegłyby taką destrukcję i wezwałyby kogoś na dół w celu sprawdzenia, co się dzieje. Nie może sobie pozwolić na nic, co zwróciłoby na nią uwagę. Zupełnie nic.

Siedzi na krawędzi stosu fartuchów chirurgicznych i kipi złością. Ktoś włamał się do plików Zwiastuna. Ktoś przeglądał jej badania. Ktoś...

Nieruchomieje i spogląda na potwora, którego odbicie widnieje na wypolerowanej, stalowej powierzchni centralnego terminalu. Tylko jednemu człowiekowi udało się włamać do jej plików. Długa, purpurowa blizna wije się po lewej stronie jego twarzy. Nosi granatowy garnitur.

Dr Westfield obrzuca złowrogim spojrzeniem trzymany w ręku tablet — otwarte pliki Zwiastuna. Powinna była to przewidzieć. Nie pozwoli, by drugi raz uszło mu to na sucho.

Jej palce tańczą po klawiaturze tabletu, wyszukując dokumentację przyjęć funkcjonariuszy Organizacji z ostatnich trzech dni. A oto i on. Trzy złamane żebra, uraz czaszki — nic poważnego — oraz wizyta kontrolna umówiona na wpół do piątej następnego dnia. Ten skurwiol będzie tutaj, dokładnie w tym budynku...

Przymyka oczy. Jeśli zacznie się *teraz* za nim uganiać, ryzykuje, że straci wszystko. Drżącymi palcami wstrzykuje sobie ampulkę leku w miękką skórę u nasady karku.

Jej ciało wypełnia chemiczna fala spokoju.

Jej klonplant będzie już wkrótce gotowy, a Stephen sprawi, że będzie znowu cała.

Będzie znowu cała, a wicedyrektor sekcji William Scott Hunter rozpocznie nowe, wypełnione bólem życie.

Ubezważona wyszukuje jego dane osobowe i zapisuje domowy adres.

Czeka ich wspólna zabawa. Tylko ich dwoje, skalpel, młotek do kości, igły, ostrza, krzyki i krew. Jego cudowna twarz... Śmierć jest szybka i permanentna. Ale jeśli go odpowiednio potraktować, Mężczyzna w Granatowym Garniturze może cierpieć całymi latami.

Dr Westfield wyjmuje jedno ostrze do sekcji z liczącego dwanaście sztuk opakowania. Świetnie leży w jej ręce, poręczne, ciężkie, błyszczące. Okaleczanie go będzie dla niej jak terapia. A zawsze wiedziała, jak korzystna bywa dobra terapia.

18

Jo spała z rozchylonymi ustami, wydymając wargi, tak że można było dostrzec błysk jej zębów i miękki, różowy koniuszek języka. Will uniósł głowę z poduszki i patrzył, jak oddycha. Powoli i spokojnie. Pierwszy raz był dziki i gwałtowny, drugi o wiele łagodniejszy.

Nie powiedziała mu, co się wydarzyło tego popołudnia.

Wysunął rękę spod jej głowy i Jo drgnęła, przyjmując wygodniejszą pozycję. Will podciągnął koldrę, okrywając ją tak, że widać jej było jedynie twarz okoloną przez burzę czarnych loków. Potem pochylił się do przodu i delikatnie pocałował ją w czubek nosa. Jej nozdrza drgnęły i przeciągnęła po twarzy wierzchem dłoni, podczas gdy Hunter wymknął się z łóżka i ruszył w stronę salonu.

Na zewnątrz deszcz w dalszym ciągu obijał miasto jak worek treningowy. Bębnił o szyby i tańczył na balkonie, otulając cały świat, jak okiem sięgnąć. Całe niebo nad miastem pokrywały nisko zawieszony, czarne chmury, mieniające się gdzieniegdzie odbitym blaskiem sodowych lamp. Dziesiąta trzydzieści w sobotnią noc — mimo że ogrzewanie było podkreśnione do oporu, poczuł przemożny dreszcz przeszywający go od stóp do głów.

Wziął stojącą na ławie szklanekę i nalał sobie jeszcze jedną małą whisky. I tak się nigdzie jutro nie wybierał. Trunek, aksamitny w smaku i rozgrzewający, miał prawdziwie magiczną moc, przegnał ziąb precz.

Komputer wciąż działał — w końcu wyłączył tylko ekran — więc rozgarnął na boki stare skarpety, majtki i spodnie, wyciągnął spod ławy klawiaturę i wrócił do czytania sporządzonego przez Jo raportu. Nie chciała o tym rozmawiać i nie zamierzał jej do tego zmuszać. Ale nie rezygnował z poznania faktów.

Sprawozdanie Jo było imponująco schludne, włączyła do niego nawet nagranie z akcji wykonane kamerą zainstalowaną na hełmie sierżanta Nairna, a całość była opatrzona odnośnikami i przypisami.

Will podzielił obraz na ekranie na dwie części, po jednej stronie odtwarzając nagranie, po drugiej przeglądając zawartość raportu.

Colin Mitchell: dwadzieścia siedem lat, singiel bez rodziny. W przeszłości trzykrotnie poddawany leczeniu psychiatrycznemu, dwa razy z powodu podpaień, raz za napaść, miał też za sobą krótką odsiadkę w Puszcze.

Obraz po prawej stronie ekranu trzeszczał od zakłóceń. To przez lądującą Ważkę. Nagle komora zrzutowa maszyny rozjarzyła się blaskiem laserowych celowników, gdy szturmowcy aktywowali swoją broń.

Było zbyt ciemno, by Will był w stanie rozpoznać twarze poszczególnych, wyskakujących pod siekący deszcz ludzi, ale rozpoznawał ich głosy. W polu widzenia ukazały się ręce sierżanta Nairna trzymające włączony blaster.

Trzy lata wcześniej Colin Mitchell zaprosił pewną młodą kobietę do swojego małego mieszkania w południowej części miasta i odurzył ją narkotykami. Kiedy straciła przytomność, rozebrał ją i przywiązał do krzesła. A potem zaczął się onanizować nad jej potylicą. I tyle. Nie doszło do żadnego współżycia seksualnego.

Kiedy kobieta się ocknęła, wszczęła awanturę i wezwała policję. Colin trafił na siedem miesięcy do Puszki za czyn lubieżny i bezprawne uwięzienie oraz został skierowany na kolejną rundę terapii.

Will patrzył, jak dwie postaci przemykają korytarzem, jedna z nich trzymała megablaster — to musiała być Dickson, tylko ona miała uprawnienia do obsługi broni obłączniczej — a druga miotacz. Obydwoje odliczali mijane drzwi, aż wreszcie Dickson przywarła do ściany i zwinęła dłoń w pięść. Człowiek z miotaczem ustawił się po drugiej stronie framugi i wykonał ten sam gest. Nairn kiwnął głową i Will dostał zbliżenie na dywan rozciągający się na podłodze korytarza, po czym szturmowcy przystąpili do wyważania drzwi.

Opinie psychologiczne w sprawie Colina Mitchella były o wiele bardziej wyczerpujące, niż Will oczekiwał, więc przejrzał tylko pospiesznie, jak Nairn i jego ludzie krążyli od pokoju do pokoju z bronią gotową do strzału. Ich celowniki rzucały upiorną poświatę na ścianach lokalu.

Nieprzystosowanie społeczne, krótki epizod syndromu VR podczas rozruchów — nie było to nic szczególnego, połowa miasta zapadła na to cholerstwo — jednak większość problemów Colina zdawała się wynikać z ogólnego poczucia alienacji. Otaczające go osoby nie miały nic wspólnego z jego życiem, były tylko cieniami, nie były prawdziwe.

W tylnej części mieszkania znajdowała się dodatkowa sypialnia z oknem zastawionym plastikową płytą, przez co pomieszczenie tonęło w mroku. Na półce pod ścianą naprzeciwko drzwi stało kilkanaście oczyszczonych czaszek z wyrytymi zawijasami. Były opróżnione z zawartości, tak jak czaszki Kilgourów. Można to było poznać po tym, jak promień celownika przeświecał przez puste oczodoły, odbijając się od wewnętrznej kości potylicy.

Matka i ojciec Mitchella brali udział w programie terapeutycznym, próbując wyjść z alkoholizmu i nauczyć się panować nad gniewem. Skierowanie wystawili pracownicy socjalni... Will poczuł, jak powietrze więźnie mu w gardle. Ich terapeutką była dr Fiona Westfield.

Wychylił whisky i nalał sobie kolejną szklanę.

To nic takiego. Mała niespodzianka, to wszystko. Nie spodziewał się znaleźć tu jej nazwiska.

To przekłete babsko było jak zjawa, nawet po śmierci potrafiła sprawić, że dostawał gęsiej skórki.

Will usiadł ponownie przy komputerze.

Rodzice Colina nigdy nie chcieli dzieci i nie cierpieli swojego syna, obarczając go winą za zrujnowanie im życia, i wykorzystywali to jako pretekst do częstego, brutalnego bicia. Podczas jednej z sesji matka oświadczyła, że jej mąż wykorzystywał chłopaka seksualnie, ale nie było na to żadnych dowodów. Później odwołała to stwierdzenie, tłumacząc, że palnęła byle co po pijaku.

Pod jedną ze ścian znajdowało się małe łóżko polowe, na pokryty plastikowym materiałem materac opadały pozwijane łańcuchy.

Ojciec Colina zmarł na skutek przedawkowania heroiny, kiedy chłopak miał osiem lat, a matka popadła po tym zdarzeniu w fanatyzm religijny. Co oznaczało, że chłopak dostawał jeszcze częstsze manto.

Na środku pokoju stało krzesło otoczone plastikowym parawanem. Do jego nóg i poręczy przymocowano łańcuchy: wielkie, z trzpieniami mocującymi po bokach.

Matka Colina zmarła trzy i pół roku temu. Wróciła do nałogu alkoholowego, poślizgnęła się pijana i spadła ze schodów. Przeleciała cztery piętra. Gdy się wreszcie zatrzymała na dole, miała połamane obie nogi, pęknięty nadgarstek i skręcony kark. Colina o nic nie oskarżono, ale od razu po zakończeniu dochodzenia został skierowany do ośrodka opieki.

Szturmowcy po prawej stronie jego ekranu znieruchomieli i Will podkreślił głośność.

Nairn zapytał:

— *Słyszycie coś?*

Kamera powoli omiotła całe pomieszczenie. Nie było się tu gdzie schować. Nie było żadnej szafy ani niczego pod łóżkiem.

W polu widzenia pojawiła się ręka i obraz zatrzeszczał, gdy Nairn założył na obiektyw jakąś przesłonę. Wszystko ogarnęła czerń, a kiedy widok ponownie się wyklarował, szturmowcy byli jasno świecącymi, żółtymi i czerwonymi plamami ciepła na tle chłodnego pomieszczenia. Kolejny powolny obrót na prawo i kamera znieruchomiła: na ścianie widniał bladopomarańczowy zarys, położony pod półką z czaszkami.

Nairn ruszył do przodu i obraz na ekranie zaczął się powiększać. Były tam dwie postacie, jedna owinięta wokół drugiej. Will nie mógł dostrzec ukrytego przejścia, ale Nairn najwidoczniej je widział — wepchnął nóż w

styk między płytami na ścianie i przekręcił.

Nagły ruch. Przekleństwa. Gmatwanina kończyn. Ktoś biegnie. Krzyząc. Ostre trzaski paralizatora ustawionego na pełną moc. Kolejne krzyki, wszystkie głosy zlewają się w jedną wrzawę, a potem:

— *Jillian? Słyszysz mnie, Jillian?*

Jillian Kilgour, osiemnastolatka, leżała zwinięta w kłębek na podłodze ukrytej wnęki.

Ktoś przyklęknął obok niej i sprawdził tętno. Szturmowiec podniósł dziewczynę do góry i trzymał ją w ramionach, sprawdzając, czy nie odniosła jakichś ran, czy nie ma zagrażających życiu obrażeń. Coś było nie tak z tylną częścią głowy Jillian. Will pochylił się do przodu, by się lepiej przyjrzeć, lecz obraz był zbyt rozmazany. Dostrzegł, jak ręka szturmowca cofa się od wyrzucenia u podstawy czaszki dziewczyny.

— *Kurwa, co jest?* — Głos był niski i pobrzmiwał w nim szok. Mężczyzna wpatrywał się w potylicę młodej kobiety. — *Jezu Chryste...*

Ciało Jillian znalazło się nagle ponownie na podłodze, upuszczone, kiedy trzymający je człowiek odbiegł, by wymiotować. Osiemnastolatka nie próbowała wstawać, dygocząc w milczeniu, aż ktoś okrył ją jakimś kocem.

Wokół zaczęli się zbierać inni szturmowcy... gdy wtem sygnał zniknął i Will miał przed oczami jedynie szare, śnieżące tło. Nie musiał czytać raportu z oględzin lekarskich Colina Mitchella, by się domyślić, co nastąpiło później. Dostał łomot. Na tyle umiarkowany, by go nie zabić i nie spowodować żadnych *poważnych* uszkodzeń. Na tyle mocny, by go naprawdę bolało. W raporcie miało się znaleźć wytłumaczenie, że potłukł się podczas upadku po porażeniu paralizatorem. A potem zahaczył głową o klamkę. Potem złamał żebro, zawadzając o jakiś stół. Na koniec ktoś nadepnął mu przypadkowo na dłoń, wystarczająco mocno, by wybić mu wszystkie palce.

Will ściszył dźwięk w oknie z nagraniem, czekając na wznowienie wizji, i zajął się wyszukiwaniem raportu lekarskiego na temat Jillian Kilgour.

— Co robisz? — Podskoczył, słysząc głos Jo. Obejrzał się i zobaczył, że stoi tuż za kanapą, rozczochrana i rozespana. Była zupełnie naga.

— Czytam twoje sprawozdanie w sprawie Jillian Kilgour. — Wskazał na ekran, wiedząc, że nie ma sensu kłamać.

— To było straszne. — Wzięła z blatu drugą szklanekę. Poruszała się od niechcienia, ale to wystarczyło, by Will poczuł, jak całe jego ciało pulsuje.

— Chcesz o tym pogadać?

Jo potrząsnęła głową.

— Nie. — Odkręciła Whisky i napełniła szklanekę do połowy.

— OK. — Zgasił monitor i odepchnął klawiaturę. Ale nie wyłączył komputera ani nie przerwał połączenia.

Jo podeszła do drzwi na patio i przystanęła, sącząc drinka i wpatrując się w ulewę. Will patrzył jak urzeczony. Była taka swobodna. Sam nigdy nie zdobyłby się na to, by chodzić po mieszkaniu w stroju Adama. Nie przy uchylonych roletach.

— Trochę nam upadł, kiedy go aresztowaliśmy.

Will pokiwał głową, ale nic nie powiedział.

— Nairn nalegał, by zawlec go na dach i sprawdzić, czy skurwiel umie latać.
— Założyła jedną rękę pod biustem, a jej skóra mieniła się jak złoty karmel w odbitych światłach miasta. — Byłam za.

Hunter podniósł się z sofy i stanął przy niej obok szyby, obejmując ją w talii. Jo oparła się o niego, jej skóra była gorąca w dotyku.

— Jillian Kilgour zmarła, zanim zdążyliśmy ją donieść do Ważki. Lekarz powiedział, że miała szczęście: gdyby to przetrwała, resztę życia spędziłaby w akwarium. Uszkodzenia neurologiczne. — Jo pociągnęła nosem i Hunter dostrzegł, że znowu zaciska zęby na dolnej wardze.

Wzięła kilka głębokich oddechów i otarła oczy wierzchem dłoni.

— Mitchell wypalił jej dziurę z tyłu głowy, mniej więcej tutaj. — Klepnęła Willa w potylicę, tuż powyżej wysokości lewego ucha. — Doktor powiedział, że dziura przeszła przez cały mózg, aż do płatów przedczołowych. Przez cały mózg. — Opuściła rękę do boku. — Wziął pistolet z klejem i przymocował tej biednej dziewczynie kondom z tyłu głowy.

Will miał paskudne przeczucie, że wie, co stało się potem.

— Pieprzył ją. W głowę. — Łzy płynęły jej teraz z oczu bez zahamowania. — Wetknął kutasa w potylicę tej dziewczyny i ją pieprzył. To... to... on...

Will objął ją i obydwójce osunęli się na podłogę, gdzie kołysał ją, aż skończyła płakać.

19

Nastał świt, ale nie miało to większego wpływu na panującą na zewnątrz aurę. Gęste chmury i rześisty deszcz nie przepuszczały światła. Wszystko wyglądało szaro i smutno.

Will siedział samotnie przy stole w jadalni owinięty w szlafrok, przyciskając do siebie kubek gorącej herbaty. Ziewnął. Potarł podrażnione oczy. Westchnął. To była długa, trudna noc. Jo rzucała się przez sen, kiedy w ogóle udawało się jej zasnąć, a z nim nie było wcale lepiej: koszmary wróciły z całą dławiacą żołądek wyrazistością.

Jego przymusowy urlop oficjalnie dobiegał jutro końca. Wcześniej nie mógł się doczekać powrotu do pracy, ale teraz, gdy była tu Jo, zdał sobie sprawę, że wcale nie chce tam iść. W życiu są ważniejsze rzeczy niż robota papierkowa i statystyki przestępczości.

Przynajmniej mogą spędzić jeden dzień razem. Leniwe, niedzielne śniadanie, może jakiś spacer w deszczu — gdziekolwiek, byle nie w Kelvingrove Park — późny lunch, jakiś wypad na miasto. OK, będą musieli zajrzeć do szpitala na umówioną wizytę kontrolną u doktor Morrison, ale poza tym mógłby nie wstawać aż do jutra... Co nasuwało mu kolejny dobry pomysł: spędzić cały dzień w łóżku.

Dał Jo jeszcze godzinę, po czym zaparzył dzbanek herbaty i zaniósł go do sypialni. Kobieta zdążyła się już obudzić i była na wpół ubrana. Gdy wszedł do środka, podskoczyła i przycisnęła koszulę do piersi, zakrywając biustonosz.

— Will, panie wicedyrektorze, chyba...

Nie pozwolił jej skończyć.

— Zanim coś powiesz — przemówił, kładąc dzbanek na stoliku przy łóżku — chcę, żebyś wiedziała, że nie uważam ostatniej nocy za błąd. Polubiłem cię od pierwszego dnia, kiedy się spotkaliśmy. — Umilkł na chwilę i wzruszył ramionami. — No... poza tą sytuacją z poszatkowanymi zwłokami w ubikacji, rzecz jasna.

Nie odzywała się, więc brnął dalej.

— Jest niedziela i chciałbym, żebyś spędziła ją ze mną. Moglibyśmy skoczyć do Comlab Six i uratować świat przed najeźdźcami z Marsa albo szarżującymi dinozaurami, a potem możemy skoczyć na kolację do jakiejś fajnej restauracji. Co tylko zechcesz.

Spojrzała na niego, a potem wbiła oczy w dywan.

— Ja... yyy... mam mnóstwo papierkowej roboty do nadrobienia.

— Rozumiem. — Wziął dzbanek i zaniósł go z powrotem do salonu, zostawiając ją, by mogła się w spokoju ubrać.

Gdy pojawiła się w salonie jakieś pięć minut później, wyglądała na gotową do wyjścia.

— To, co mówiłeś, było na serio? — zapytała.

Will kiwnął głową.

— Naprawdę *mam* masę papierów do wypełnienia — powiedziała, zarzucając torebkę na ramię — ale jeśli chcesz, możemy umówić się po lunchu i skoczyć ratować świat.

* * *

Will zrobił sobie kolejną filiżankę herbaty i rozsiadł się na kanapie. Po jego twarzy przemknął uśmiech. Chciała się z nim ponownie spotkać. OK, może i ten dzień nie upłynął pod znakiem nagości i ulegania żądzom, jak na to liczył, ale lepsze to niż nic.

Dużo lepsze.

Czemu więc męczyło go poczucie winy?

Jego życie uczuciowe było od czasu śmierci Janet niemal pustynią. Trzy i pół roku celibatu, przerwane przez jednorazowy numerek z dyrektorką firmy Dis-Com-Lein na imprezie zorganizowanej przez jakiś mały południowoafrykański kraj, siedzący w kieszeni tej korporacji. Kobieta z twarzą o klonowanych, leciutko orientalnych rysach była obecna w jego życiu przez cztery pełne godziny. Telefonowała do niego jeszcze kilka razy, ale nigdy nie oddzwonił. Pamięć Janet była wciąż zbyt boleśnie świeża. Kolejne dwie kobiety spotkał ten sam los. Zaczynało się obiecująco, ale ostatecznie nie był w stanie się przed nimi otworzyć.

Może sześć lat to wystarczająco długo, by zakończyć żałobę.

Wzdychając, wyciągnął spod ławy klawiaturę i ponownie uruchomił monitor. Nie powiodło mu się wczoraj poszukiwanie Kena Peitai, więc nadszedł czas na odmienne podejście. Will otworzył stary kwit potwierdzający wypłatę bonusu, który udało mu się znaleźć.

Wszystkie cyfrowe sygnatury były załączone w wykazie. Otrzymał: Ken Peitai. Zatwierdził: Julius Grond — menedżer PayFundu. Wnioskował: Tokumu Kikan. To oznaczało, że ten ostatni był szefem Kena i jak widać, cenił sobie jego pracę, jeśli sądzić na podstawie liczby zer w wypłaconym bonusie.

Will pochylił się do przodu. Tokumu Kikan. Nigdy o nim nie słyszał, ale każdy przyjaciel Kena był również jego przyjacielem.

Wprowadził do systemu zestaw programów wyszukiwujących, ukierunkowanych na znalezienie wszystkiego, co dotyczyło szefa agenta Peitai.

Dziesięć minut później wciąż tkwił w miejscu. W systemach rządowych nie było ani śladu Kena bądź jego szefa, jeśli nie liczyć tej wypłaty bonusu. PayFund był jednym z nielicznych usługodawców realizujących zlecenia wszystkich ministerstw, więc postanowił pójść tym tropem.

Zalogował się do systemu wypłat Organizacji i obszedł zabezpieczenia dzięki furtce, o której istnieniu nie powinien był wiedzieć. Dostanie się stąd z powrotem na serwery PayFundu bez pozostawiania śladów było bardzo trudne. System firmy stosował zastrzone środki bezpieczeństwa i był po temu istotny powód: przechodził przez niego każdy pojedynczy pens otrzymywany i wydawany przez rząd. Gdyby tu coś zachachmęcić, można by doprowadzić do bankructwa całego kraju. Firma stosowała wszystkie rodzaje oprogramowania ochronnego znane jej informatykom, a każde z nich podlegało całodobowemu monitoringowi pod kątem wychwytywania ewentualnych intruzów. Dlatego też Will musiał działać powoli i ostrożnie, zacierając wszelkie ślady swoich działań.

Wślizgnął się do sekcji budżetowej i zaczął szukać wszelkich wzmianek na temat Kena Peitai, Tokumu Kikana albo Sherman House.

Minęło pół godziny, a zdążył się w tym czasie jedynie nabawić potężnego bólu głowy. Musiał coraz bardziej kluczyć, by system nie złapał go na gorącym uczynku. Gdyby pozostał tu jeszcze dłużej, ktoś w końcu mógłby się zorientować.

Ken Peitai: jeden — William Hunter: zero.

Ostrożnie opuścił system, starając się nie pozostawić po sobie nic, co mogłoby go zdradzić, po czym opadł na sofę, rozmasowując oczy.

OK. Czas spróbować innego podejścia.

Nie mógł znaleźć nic na temat ludzi *kierujących* projektem Sherman House, ale co z osobami, na których przeprowadzano eksperymenty. Zwłoki, które stamtąd przywlekli: Allan Brown i Kevin McEwen. Dwaj mężczyźni mieszkający dwoje drzwi od siebie. Jeden z nich był seryjnym mordercą, a drugi rodzinnym człowiekiem, który pewnego ranka postanowił zamordować swoją żonę i dzieci.

Allana Browna udało im się zidentyfikować tylko dzięki temu, że jego DNA znajdowało się w aktach PsychTechu, ale może znajdzie się tam też coś na temat Kevina McEwena.

Nic się nie znalazło.

Will zaklął. Potem spróbował szczęścia w kilku innych systemach. Wszystko wskazywało na to, że Kevin McEwen był całkowicie normalnym obywatelem,

dopóki Ken Peitai nie zaraził go syndromem VR. Wobec tego Will wrócił do programu PsychTech i wyszukał dokumentację Allana Browna.

Było tego dużo, podobnie jak wcześniej w przypadku raportów na temat Colina Mitchella, opisujących krok po kroku jego przemianę w bestię, którą w końcu schwyтали. Ale w aktach PsychTechu znajdowały się też inne dane. Dane nieprzeznaczone do publicznego wglądu. Dane, których nigdy by nie znalazł, gdyby nie miał praw dostępu roota do zarchiwizowanej dokumentacji. Dane zalogowane pod nazwą użytkownika dr Fiony Westfield.

Cholera. Za każdym razem, kiedy trafiał na jej imię, chytywał go ten znajomy skurcz żołądka. A im bardziej zagłębiał się w lekturę, tym silniejsze stawało się to uczucie.

— Jezu...

W jej notatkach znajdowały się szczegóły wszystkich sesji z rodzicami Allana Browna: jej zachęty do bicia, fantazji seksualnych, poczucia niechęci, uzależnienia od alkoholu i narkotyków... Allan Brown miał przechlapane od samego początku. Rodzice go nienawidzili, maltretowali i porzucili. Chłopak szukał schronienia w pełnych przemocy fantazjach. Zaczął bawić się w podpalanie. Zaczął bawić się w znęcanie. Zaczął bawić się w zabijanie.

— Chłopak skończył rozdarty na strzępy w klozecie.

Will wyszukał dokumentację Colina Mitchella. Znalazł w niej zestaw podobnych notatek, wszystkie zostały naniesione przez dr Fionę Westfield, gdy metodycznie rujnowała życie swojego pacjenta.

Wszyscy sądzili, że Alastair Middleton był jedynym potworem, jakiego stworzyła, ale wyglądało na to, że była o *wiele* bardziej produktywna. Brała dzieci ze środowisk wysokiego ryzyka i krzywiła ich psychikę na swoją modłę.

Pierwsze, co zrobi w poniedziałek rano, to zbierze zespół ludzi, którzy przetrząsną wszystkie dane — by sprawdzić, czy da się znaleźć jeszcze jakieś inne osoby zmanipulowane przez Westfield.

— Ile ich jeszcze jest? Ilu was jeszcze wyprodukowała?

* * *

Skazana stoi przed pomieszczeniem inkubacyjnym, udając, że myje okno, lecz tak naprawdę patrzy na to, co rośnie wewnątrz.

To piękne. Większą część jej nowej głowy pokrywa skóra: miękka, blada i cudowna. Głowa unosi się zawieszona w worku z pożywką, otoczona obłokiem gęstych, złotych włosów. Jej twarz wygląda tak jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. W czasach, gdy dopiero zaczynała eksperymentować z rozczłonkowywaniem ciał. Ach, być znowu młodą i niewinną...

Nos jest trochę za duży, podbródek odrobinę za szeroki — dokładnie tak, jak

wyglądały, zanim tatuś zapłacił za operację plastyczną. Wspomagając naturę na drodze do doskonałości.

Czuje drżenie serca, gdy tak obserwuje swoją nową twarz pływającą za szybą. Dziś w nocy dr Stephen Bexley zadba o to, by mogła mówić, jeść i wyglądać jak prawdziwa osoba.

Dziś w nocy odzyska swoją ludzką maskę.

Kończy polerować szkło i wrzuca ścierkę do wiaderka na kółkach.

Czas się upewnić, czy wszystko zostało przygotowane.

Wjeżdża do pokoju miłego pana doktora, ciągnąc za sobą wiaderko i mopa. Wzdrga się, gdy ją zauważa. Przez ostatnie dwa dni wyraźnie schudł; jego przekrwione, szare oczy są teraz sino podkrążone. Zawsze miał piękne oczy. Zdaje się, że potrzebuje odrobinę czasu, by poznać, czy to naprawdę ona, czy tylko jakiś bezmózgi niewolnik od wycierania brudów. Ubezwłasnogłowiona widzi, jak po jego twarzy spływają krople potu. Wie, kogo ma przed sobą.

Dr Westfield wyciąga z kieszeni tablet i wciska guzik.

— **NO I?** — odzywa się bezbarwny, sztuczny głos.

— Sala numer sześć, wpół do dwunastej. — Stephen bawi się nerwowo leżącymi na jego biurku długopisami. — To najwcześniejsza godzina, na którą mogłem coś załatwić, kiedy nikt nie będzie tam zaglądał.

— **DO PRZYJĘCIA.**

Lekarz przeciera twarz dłonią.

— Ja... nie jestem pewien, czy dam radę samodzielnie sobie poradzić z całym zabiegiem.

Potrzebuje kogoś do trzymania za rękę. Do podzielenia się zaszczycem.

— No bo... bo kto będzie mi asystował? Kto zajmie się anestezją? Nie zdołam wszystkiego zrobić! A co, jeśli coś pójdzie nie tak? — Po jego policzkach cieką łzy i skazana zastanawia się, czy nie przyciska go za mocno. Może powinna była powiedzieć mu o operacji w ostatnim momencie, zamiast dawać mu czas na zamartwianie się. Przecież widać, że boi się o los swojej rodziny, że nie spał. Panikuje. Wyobraża sobie, jak jego ciężarna żona jest żywcem obdzierana ze skóry.

Hm... Dr Westfield marszczy brwi. Źle to wykalkulowała: potrzebuje go w jak najlepszej formie, a nie wycieńczonego. Ale już za późno, by się tym przejmować.

Jej palce tańczą na klawiaturze.

— **JEŚLI COŚ PÓJDZIE NIE TAK, TWOJA ŻONA UMRZE.**

— Ale ja...

Ubezwłasnowłowiona ponownie wciska guzik.

— **JEŚLI COŚ PÓJDZIE NIE TAK, TWOJA ŻONA UMRZE.**

Dr Bexley chowa twarz w dłoniach i płacze.

— **POSTARAJ SIĘ, ŻEBY WSZYSTKO BYŁO GOTOWE. ZACZYNAMY DOKŁADNIE WPÓŁ DO DWUNASTEJ.**

Cofa się od biurka i patrzy na niego. Maże się, jak wystraszone dziecko. Odrażający. Słaby.

Kiedy go zabije — po tym, gdy już naprawi jej twarz — wyrządzi mu przysługę. Długą, powolną, bolesną przysługę.

— **NIE ZAWIEDŹ MNIE, STEPHEN** — oznajmia trzymany przez nią tablet. — **INACZEJ NIE POŻYJESZ DOŚĆ DŁUGO, BY ZDAŹYĆ TEGO POŻAŁOWAĆ.**

I tak nie pożyje, ale czasami można naprawdę wiele zdziałać odrobiną nadziei.

* * *

Stali pod zadaszeniem budki z burgerami, chroniąc się przed ulewnym deszczem oraz wcinając kotlety z syntetycznego mięsa i nadmiernie wysmażoną cebulę. George wgrzyzał się w swoją bułkę z wyraźnym zadowoleniem. Brian polał swoją sosem pomidorowym. Will wpatrywał się podejrzliwie w swoją, jakby zastanawiał się, czy nie nasrał do niej kot.

— To co wiemy? — zapytał Brian pomiędzy poszczególnymi kęsami.

— Odkryłem, kto był szefem Kena sześć i pół roku temu. Poza tym: nic. Dosłownie. Jakby nie istnieli.

— Jak to możliwe, że nic nie ma? Nikt nie jest dziś niewidzialny, nawet szpiegdy z ministerstwa.

— Nie ma o nich żadnych informacji w bazie danych ubezpieczeń, ani na serwerach Służb, ani w systemie PayFundu, jeśli nie liczyć tego wielgachnego bonusu. Nie zdołałem nawet znaleźć żadnej alokacji budżetowej na projekt agenta Peitai w Sherman House.

— I jesteś pewny, że nie są z żadnej korporacji?

Will skinął głową.

— Żadna prywatna firma nie ma tak długich rąk, żeby utrzymać coś tak wielkiego w sekrecie.

Brian burknął coś i wgrzył się w swojego burgera.

— Jeśli nie ma ich w oficjalnym budżecie, to są finansowani z pieniędzy na tajne operacje. A to znaczy, że są z tajnych służb albo z wywiadu, albo z jakiegoś innego, zasranego, niejawnego wydziału.

George uniósł brwi, z podbródkiem wysmarowanym tłuszczem.

— To źle?

— No, te sukinsyny nie mają żadnych zasad. Chodziłem kiedyś z koleśkiem, który pracował dla tajnych służb — kupę lat temu, tuż po tym, jak wygrali wojnę: każdy chciał przelecieć żołnierza — przechwalał się, co robili z takimi, co wchodzili im w drogę. Myślał, że to podniecające. Musimy być naprawdę ostrożni, nawet jeśli znajdziemy dowody... bo nas pogrzebią, dosłownie.

Will zaklął, zaryzykował gryza swojego burgera i znowu zaklął.

— Za wysokie progi na nasze nogi — podjął Brian, gdy Will rozglądał się, gdzie by tu wypluć ugryziony kawałek. — Musimy działać jak naprawdę przebiegłe sukinsyny, jeśli ma nam to ujść na sucho.

George pociągnął łyka napoju Irn-Bru i beknął.

— Rozesłałem te próbki mózgu po laboratoriach. Jutro dostanę je z powrotem. Przynajmniej będziemy wiedzieli, czym Peitai szprycuje tych biednych zasrańców.

Hunter wywalił resztę swojego burgera do kosza. Nie było to Bóg wie co, ale zawsze jakiś początek.

— A ty coś masz, Brian?

— Nikt nie puszcza pary z gęby. Powykręcałem już ręce wszystkim, którzy przyszli mi do głowy. Nie wiem, co tam robią, ale robią to naprawdę po cichu.

— W takim razie mamy tylko jedno w tajemniczy sposób sztucznie podniszczone mieszkanie, parę zwłok i chemiczny ślad Georga. — Will spojrzał ponuro na padający deszcz, patrząc, jak tłucze o chodnik z taką mocą, że krople odpryskują na wysokość kolan. — Jest jeszcze coś: dr Westfield.

Brian uniósł brwi — „Że co?” — a George nie przerwał jedzenia.

— Okazuje się, że Alastair Middleton nie był jedyną kukiełką pani doktor. Colin Mitchell i Allan Brown także przechodzili u niej terapię. Znalazłem jej notatki opisujące z detalami, jak wykrzywiła psychikę ich rodzicom, a potem to samo zrobiła z nimi. Urabiała ich, aż zaczęli zabijać.

— Kurwa... — Ciało Briana przeszył dreszcz. — Jeśli wykoleiła trzech, to skąd wiemy, że nie było ich więcej?

— Właśnie to pomyślałem. Trochę za duży zbieg okoliczności, co? Westfield produkowała morderców, a teraz nasz przyjaciel Ken Peitai robi to samo. Tyle że stosuje trochę bardziej zaawansowaną technologię i...

Rozległ się dźwięk alarmu w komórce Huntera. Spojrzał na zegarek: wpół do

drugiej. Czas na popołudnie z Jo.

— Muszę spadać. Informujcie mnie o wszystkim na bieżąco, OK? — Wybiegł na deszcz, pędząc w stronę najbliższego przystanku.

* * *

— Obawiam się, proszę pana, że mieliśmy pewne trudności.

Pomieszczenie było ciemne, oświetlały je tylko monitory ustawione na zajmującym centralną pozycję stole. Szef Kena nie odezwał się, tylko obracał w palcach próbkę, tak by zawarty w jej wnętrzu płyn nie mógł zastygnąć w bezruchu.

Ken Peitai patrzył na wprost.

— Panowie Moncur i Stevenson... błędnie ocenili sytuację. Popelnili pewne zaniedbania w trakcie monitorowania matki naszych podopiecznych.

Szef Kena przestał zabawiać się próbką i postawił ją na stole, czemu towarzyszyło delikatne stuknięcie.

— Proszę kontynuować.

Peitai kiwnął głową.

— Przekazałem im pańskie instrukcje, by doktor W. została poddana permanentnemu smażeniu mózgu, ale Stevenson zachorował na gripę, a Moncur był zavalony innymi projektami. Sprawdziłem ich wpisy: nie pojawiła się od ponad trzech tygodni. To oznacza, że nie zażywała swoich leków. A to oznacza...

— Dobrze wiem, co to oznacza. Znajdź ją. Znajdź ją i dostarcz, gdzie trzeba, *natychmiast*.

— Nie będzie to konieczne. Jest w kostnicy. Frachtowóz, którym ją przewożono, poczuł w sobie wenę do latania podczas jazdy obwodnicą i walnął prosto w autobus. Bum! — Odegrał małą eksplozję. — Nikt nie przeżył. Szpitalne prosektorium przeprowadziło badania DNA pobranego ze szczątków Westfield. Idioci wzięli nie tę próbkę, ale Moncur twierdzi, że i tak dał im fałszywe potwierdzenie, żeby nie zachęcać ich do głębszego grzebania w tej sprawie. Czip identyfikacyjny się zgadzał, więc nie ma problemu: wszystko załatwione.

Starszy mężczyzna wydał wargi. Jego twarz nabrała przez to jeszcze bardziej opływowego charakteru niż zazwyczaj.

— Moncur i Stevenson?

— To pierwszy raz, kiedy któremuś z nich przytrafiła się jakaś wtopa, panie Kikan. Udzieliłem im pierwszego i ostatecznego ostrzeżenia. Jeszcze jedno złamanie procedur i sami wypróbują kolejną wersję mikstury.

— Trzy tygodnie. — Kikan zmarszczył brwi. — Kiedy daję rozkaz, żeby zrobić

komuś lobotomię, Ken, to oczekuję, że zostanie on natychmiast wykonany. Jeśli dr Westfield „zerwała się ze smyczy” bez swoich leków, to postawi nas w bardzo niezręcznej sytuacji.

— Tak jest, proszę pana. Ale nic takiego się nie stało, a teraz nie żyje. — Patrzył, jak szef ponownie podnosi próbkę i jak zaczyna ona tańczyć między jego palcami.

— A ta druga sprawa?

— Ach... no tak... ta druga sprawa. Pamięta pan tego faceta z Organizacji, którego kiedyś złapaliśmy, Williama Huntera? Wicedyrektora?

— Tego, na którego miałeś uważać?

Ken odchrząknął.

— Tak... dokładnie tego. Oficjalnie stosuje się bez zarzutu do polecenia, by trzymać się z dala od rejonu eksperymentu, ale monitorujemy jego domowe łącze i wiemy, że grzebał w aktach PsychTechu.

— No i? — Głos mężczyzny sugerował znudzenie, ale Ken był zbyt doświadczony, żeby się na to nabrać.

— Szukał też informacji o panu i o mnie. Nic jeszcze nie znalazł, ale nasi statystycy twierdzą, że istnieje sześć i trzy dziesiąte procent szansy, iż uda mu się trafić na coś, co wolelibyśmy zachować w tajemnicy.

— Jakim sposobem poznał moje imię, Ken? — Oczy starszego mężczyzny były jak lód.

Peitai zająknął się.

— Ja... nie wiem...

— To miała być dyskretna operacja, Ken. Najpierw pozwoliliście, by ta Westfield żyła dłużej, niż było to potrzebne, a teraz to. Nie podoba mi się to. Ani trochę mi się to nie podoba.

— Oczywiście. Rozumiem, proszę pana.

— W takim razie wiesz, co robić, prawda? — Wsunął próbkę z powrotem do kieszeni i wstał z krzesła.

— No właśnie... — Ken przestąpił z nogi na nogę. — Nie sądzi pan, że powinienem przeprowadzić z nim najpierw przyjacielską pogawędkę?

Starszy mężczyzna zatrzymał się przed wyjściem z płaszczem zarzuconym na ramię.

— Skąd u ciebie *ta* dziwna niechęć do zabicia tego człowieka, Ken?

— To bohater, proszę pana. Czytałem jego akta, William Hunter jest po dobrej stronie. Wolałbym się go raczej nie pozbywać, chyba że będzie to absolutnie konieczne.

Kikan potrząsnął głową, a na jego twarzy pojawił się rzadko widywany uśmiech.

— W takim razie przypilnuj, by nie przysporzył nam więcej problemów niż do tej pory. Przy pierwszej oznace jakiegoś nieodpowiedniego postępowania ma zostać usunięty. Zrozumiano?

— Tak jest! — Ken Peitai zasalutował przepisowo. — Proszę się nie przejmować panem Hunterem. Zadbam o to, by zachowywał się wzorowo przyjaźnie. A jeśli nie zechce, to sprawię, że będzie wzorowo martwy.

20

Will obejrzał się do tyłu i patrzył, jak miasto pochłaniają płomienie. Powietrze było zamglone od wyparowanego ludzkiego mięsa: delikatne, różowe obłoczki zwolna opadały na ziemię, oblepiając wszystko, czego dotknęły, ledwo uchwytną warstewką zniszczonych tkanek. Oderwawszy oczy od tych płonących stosów i słupów gęstego, tłustego dymu, obejrzał trzymany w rękach miotacz. Magazynek był już w ponad połowie opróżniony. Jeśli Jo zamierzała coś zrobić, to musiała się z tym pospieszyć.

Barykada, za którą się chował, zatrzęsa się od kolejnego ataku. Wszędzie dookoła posypały się dymiące okruchy betonu. Hałas był ogłuszający. Jego oczy wyławiały w oddali, za mglistą kurtyną z odparowanej skóry i kości, zarys sylwetki Jo kryjącej się za wrakiem szkolnego autobusu. Pojazd wyglądał, jakby ktoś przepuścił go przez magiel, a sama Jo nie wyglądała dużo lepiej. Jej kombinezon był cały w plamach i nosił ślady osmalenia, w okolicy talii był zaś rozcięty niemal na pół, odsłaniając spuchnięte, poparzone ciało.

Odwzajemniła jego spojrzenie, zaglądając mu prosto w oczy zza lufy swojego karabinu plazmowego. Na krótką chwilę Will po prostu skulił się bez ruchu, a potem stojący obok niego mężczyzna eksplodował.

Trzymana przez Jo broń zawyła.

Mieli coraz mniej czasu.

Hunter przeskoczył przez barykadę i ruszył pędem zdewastowaną ulicą, starając się uniknąć odstrzelenia głowy. Gdy skierował się w stronę ciemnoczerwonego wozu bojowego, płyty chodnika ugięły się nagle pod jego stopami i we wszystkich kierunkach rozprysnęły się fragmenty betonu zdewastowanego ostrzałem próbujących go wykończyć artylerzystów.

Karabin plazmowy Jo zawył ponownie, wrywając drobne kęsy metalu z kadłuba wozu bojowego. Will zrównał się z pojazdem i z trudem wyhamował, ślizgając się na strzępach ludzkiego ciała. Chwycił swój miotacz i zmienił głowę kierowcy w zielono-szarą plamę rozbryzgniętą na suficie maszyny.

Pasażer wozu chwycił coś błyszczącego i spiczastego, jak elektryczna kałamarnica, na całej długości obiektu migotały światelka. Hunter nie czekał, by przekonać się, do czego służy dziwny przedmiot, tylko wycelował swój miotacz w nowego przeciwnika i pociągnął za spust, rozchlapując go po całej kabinie. Nawet nie zdążył krzyknąć.

Komputerowe fantazje z Comlabu zawsze wywoływały u Willa pewien dyskomfort. W tym świecie miałeś pełne prawo zabijać wszystko, co tylko

zechcesz. Skacząc jak wariat po całym ringu gry, nie mógł się uwolnić od poczucia, że wszystko to jest trochę zbyt realistyczne. Jak gdyby nie istniały tu granice między tym, co jest, a tym, czego nie ma. Ale nie powstrzymało go to przed udziałem w grze.

* * *

Will oparł się o automat z napojami, kompletnie wykończony. Pot spływał mu po plecach i wsiąkał w slipy; nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się zagrać w odpowiednim stroju. Jo zachowała się dużo bardziej sensownie: porzuciła swoje zwykłe ciuchy i założyła jednoczęściowy kombinezon, który przylegał do ciała jak druga skóra. Włosy kleiły się jej do czoła, wyraźna czerwona linia znaczyła miejsce, gdzie miała przymocowane gogle. Ale na jej twarzy widniał uśmiech.

Hunter przeciągnął ręką po twarzy, a potem wytarł mokre dłonie o spodnie.

— Jak nam poszło?

Jo dopiła swoją puszkę gazowanego napoju.

— Nie najgorzej — powiedziała, tłumiąc beknięcie. — Nie jest to najlepszy wynik świata, ale dokopaliśmy tym Marsjanom na całego.

— Cieszysz się, że przyszłaś?

Potarła czoło.

— Od lat nie nosiłam już gogli. Zapomniałam, jak bardzo zaburzają reakcje. Pełna immersja jest o wiele łatwiejsza. I mniej męcząca. — Jo przyjrzała mu się przez chwilę. — *Naprawdę* nie masz portu w czaszce? Przy twojej wicedyrektorskiej pensji?

— Nie mam... przykro mi.

— Neee, to była dobra zabawa. Z odrobiną nostalgii. — Podniosła rękę, by dotknąć jego policzka i skrzywiła się. — Uch... ale z ciebie cieknie! — Ruszyła w stronę szatni dla kobiet. — Wskoczę pod prysznic i zmienię ciuchy. Gdybyś nie był takim gamoniem, panie „zwykłe ubranie wystarczy”, mógłbyś zrobić to samo.

— Bla, bla, bla, bla. Zobaczymy się w kantine, OK?

— Spróbuj nie zasmrodzić całego miejsca. — Podeszła bliżej i przez chwilę Will sądził, że chce go pocałować. Potem coś się stało i zamiast tego posłała mu uśmiech, obróciła się i zniknęła za drzwiami przebieralni.

Było tak przez całe popołudnie. Jak gdyby ostatnia noc nigdy nie miała miejsca, a oni znowu musieli się zachowywać jak nerwowi nastolatki. Doprowadzało go to do szaleństwa.

Zarzucił swoją nową marynarkę na mokre ramiona i ruszył się przespacerować po holu areny, by trochę ochłonić. Jak zwykle, wszędzie

przewalały się tłumy ludzi: gracze z ostatniej tury, kręcący się po sali i omawiający swoje ostatnie przygody, mimo że wyszli z symulacji zaledwie pięć minut temu; gracze z następnej tury, podłączeni do systemu i gotowi do akcji. Przechadzając się wśród nich, obserwował, jak się logują. Był to dla niego jeden z najzabawniejszych elementów całej zabawy, ponad tysiąc ludzi stało na podiach szerokich na dwa i pół metra i wymachiwało rękami, wciskając guziki, które tylko oni byli w stanie dostrzec. Ściągali zasejwowane postaci i scenariusze, by móc zająć się przemocą i seksem.

Poziom hałasu przybierał coraz bardziej na sile, w miarę jak gry zaczynały się rozkręcać. Gracze skakali po swoich ringach, wymachując niewidzialnymi mieczami, wyrzutniami rakiet, miotaczami, sztucznymi penisami. Przy każdym podium znajdował się mały ekranik zainstalowany obok panelu sterującego i Will zatrzymywał się przy nich od czasu do czasu, spoglądając, co się na nich wyświetla. Łatwo było poznać ludzi korzystających z różowych dysków, ponieważ ekraniki przy ich ringach były puste, podczas gdy oni sami nurzali się we wszelkiej rozpuście, która ich pociągała.

— Lubisz patrzeć?

Will zamarł na dźwięk tego sztucznie amerykańskiego akcentu. Odczekał sekundę, wykrzywiając usta w wymuszonym uśmiechu, po czym odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz ze stojącym za jego plecami Kenem Peitai opartym o jedno z podiów. Miał na sobie jeden z tych strojów, które zakładało się w pomieszczeniach do głębokiej immersji, gdzie można było przeżyć najlepszą wirtualną rzeczywistość bez konieczności korzystania z gogli, wystarczyło po prostu podłączyć sobie kabel do portu w tylnej części głowy.

— Ken, miło cię widzieć. — Było to kłamstwo.

Skąd ten podły, mały zasraniec wiedział, gdzie jestem... Czipy namierzające — ot, skąd — wszczępione głęboko pod skórę. Czego nie widać, o tym łatwo zapomnieć.

Ken uśmiechnął się i w kącikach jego oczu pojawiły się małe zmarszczki, jakby była to szczerza mina. Wykonał ręką szeroki gest, wskazując na pomieszczenie pełne graczy.

— To jedna z moich nielicznych słabości. Od czasu do czasu lubię uratować świat. A ty?

— Właśnie skończyłem. Czerwony podbój.

— Świetna rzecz. Jak ci poszło? — Uśmiechnął się jeszcze szerzej. Popatrz, jaki jestem otwarty i przyjacielski... jak na morderczego sukinsyna.

— Nie najgorzej. Ocaliliśmy Aberdeen, ale Dundee przeszło do historii.

Ken westchnął.

— Szkoda, nawet lubiłem tamtejsze kasyna. No wiesz, cały ten blichtr.

Zapadła niezręczna cisza.

— Wiesz, Will... mogę tak do ciebie mówić, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, wziął Huntera pod ramię i ruszył z miejsca. — Świetnie. Wiem, że interesowałeś się tym, co robiliśmy w Sherman House...

— Wspaniały projekt. — Will postanowił iść na całość. — Nie potrafię sobie wyobrazić nic ważniejszego od sposobu na zapobieżenie kolejnemu wybuchowi wirtualnych rozruchów.

— Dzięki. Przez to, że musimy się z tym tak kryć, nigdy nie dostajemy żadnych wyrazów uznania. Ale przekażę ludziom z zespołu, co mi powiedziałeś. — Jego twarz znowu rozjaśnił ten sam uśmiech. — Naprawdę się ucieszę. No, ale ja powiedziałem ci wszystko o naszym projekcie, a ty nigdy nie powiedziałeś nam nic o sobie, Will.

— Rzeczywiście. Byłem wtedy trochę skrępowany.

Ken roześmiał się o wiele mocniej, niż było to konieczne.

— „Byłem wtedy skrępowany”. To dobre! „Skrępowany”. Ha!... Ale poważnie, czym się ostatnio zajmujecie w Organizacji?

Ten oślizły skurwiel naprawdę próbował wyłudzić od niego jakieś informacje.

— Sam wiesz, jak to wygląda w centrali Organizacji. Zawsze dużo się dzieje.

— Tak, wszyscy ci ludzie zasuwiają, żeby zapewnić nam bezpieczeństwo. Ale chodzi mi o ciebie. Pracujesz teraz nad czymś interesującym?

— Jestem właśnie od kilku dni na urlopie.

— Rzeczywiście, racja. Słyszałem plotki, że złapałeś typa odpowiedzialnego za tę aferę z dziurami w głowie. Dobra robota. Szybka. Musisz być dumny ze swoich ludzi, że tak prędko zgarnęli tego kolesia.

— Tak. — Odwzajemnianie uśmiechu przychodziło Hunterowi z coraz większym trudem. Colin Mitchell został aresztowany mniej niż dwadzieścia cztery godziny temu, a Ken Peitai już o tym wiedział.

— Czy mogę być z tobą szczerzy, Will? Mogę? Dobrze. — Ken zatrzymał się. Stali przy zachodnim wyjściu. Na zewnątrz, za podwójnymi szklanymi drzwiami krople deszczu tłukły o betonowy parking i odbijały się od jego nawierzchni, migocząc w świetle reflektorów.

— Wiesz, Will... — Peitai mówił, jakby dobierał słowa ze szczególną ostrożnością. — To zabawne, że ochrona naszego bezpieczeństwa narodowego wymaga, by niektóre z najdziwniejszych spraw zakwalifikować jako informacje poufne. — Umilkł na chwilę, jak gdyby chciał zobaczyć, czy Hunter pojął, o co mu chodzi. — Czasem nawet najgłupsze z błałych rzeczy,

rzeczy, które zdają się być w ogóle ze sobą niepowiązane, mogą stanowić w dalszej perspektywie zaczątek prawdziwych trudności. Ale ty to rozumiesz, prawda? Sam przecież nieustannie masz do czynienia z poufnymi informacjami.

Klepnął Huntera w ramię i mrugnął, jakby byli kumplami.

Zarozumiały chujek.

— Chodzi mi o to, że *wiem, iż nie robisz nic złego*, kiedy grzebiesz w aktach PsychTechu albo próbujesz znaleźć coś o mnie i o moim szefie. W ogóle cię za to nie winię. Po tym, co się stało, musisz być ciekaw, o co chodzi, prawda? Ale mam nad sobą zwierzchników, którzy wiedzą o tym wszystkim dużo więcej, niż ja kiedykolwiek się dowiem, i niektórzy z nich obawiają się o ryzyko wycieku, który zagroziłby projektowi, jaki realizujemy w Sherman House. — Wzruszył ramionami. — Moim zdaniem to głupie, ale co ja tam wiem?

Ewidentnie wiedział, że Will szperał w bazie danych PsychTechu. Tak jak wiedział o aresztowaniu Mitchella... Hunter zastanowił się, czy gdyby wrócił teraz do centrali Organizacji i odtworzył nagrania skaningowe z mieszkania Colina, to czy nie przekonałby się, że w kątach pomieszczeń widnieją małe, szare plamy sygnalizujące brak danych.

— Jeśli pracujesz dla Ministerstwa Zmiany, to czemu martwisz się o bezpieczeństwo narodowe, Ken?

Uśmiech na twarzy agenta Peitai lekko przybladł, ale zareagował jak zawodowiec:

— Hej, w tych trudnych czasach chyba wszyscy martwimy się o bezpieczeństwo naszego kraju, prawda?

Hunter popatrzył na niego i nic nie powiedział.

— Słuchaj, Will, wiem, że masz swoje podejrzenia. Do diabła, byłbym zdziwiony, gdyby było inaczej. Ale obaj gramy po tej samej stronie. My... — Szybko omiół wzrokiem całą halę. — Twój kumpel patolog znalazł pozostałości chemikaliów w mózgach Allana Browna i Kevina McEwena, prawda?

A więc miał rację — podsłuchiwali jego komórkę. Wobec tego nie ma sensu kłamać.

— Jego zdaniem wstrzyknięto im coś wywołującego syndrom VR.

Ken oparł się o podwójne drzwi.

— Wiem, jak to wygląda, ale... — Umilkł na chwilę i wziął głęboki oddech. — Will, to, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami. Nie żartuję, to absolutny sekret, OK?

— Mów.

— OK. — Peitai zniżył głos. — Masz rację, zarażamy kontrolowane grupy osób czymś, co sprawia, że zachowują się, jakby mieli syndrom VR. — Podniósł rękę. — Wiem, że głównianie to wygląda, ale nie mamy wyjścia. Nie mamy pojęcia, co wywołało ostatnie rozruchy wirtualne. Nie możemy tego badać w warunkach naturalnych. A jednocześnie nie możemy po prostu siedzieć, nic nie robiąc, i czekać na kolejny wybuch epidemii.

Spojrzał w bok.

— Chcę ci powiedzieć, że nienawidzę tego. Nienawidzę, że szprycujemy swoich obywateli tym gównem i obserwujemy, jak im odbija, ale to jedyny sposób, żeby znaleźć skuteczny lek, zanim zaraza powróci. Wiesz, ile osób zginęło ostatnim razem?

Will wiedział, ale nie zamierzał odpowiadać.

— Trzy miliony. Zmarły trzy miliony szkockich obywateli. Na całym świecie liczba ofiar sięgnęła jakichś pięćdziesięciu, sześćdziesięciu milionów.

— I dlatego infekujecie syndromem swoich własnych rodaków.

— Will, zarażamy kontrolowane grupy i poddajemy je naprawdę drobiazgowej obserwacji. Pracujemy nad tym, czego potrzeba, by utrzymać ich przy życiu i zdrowiu. Szukamy sposobów na rozbijanie czynników spustowych, zanim jeszcze staną się groźne. Próbowaliśmy wykorzystywać do tego symulacje i modele komputerowe, ale bez powodzenia. Interakcje zachodzące w zainfekowanej populacji mają w sobie coś takiego, swego rodzaju sprzężenie zwrotne, które można zaobserwować jedynie w środowisku naturalnym. To ono jest przyczyną niszczycielskiej siły syndromu VR. — Potrząsnął głową. — Wszystko, co ci pokazywałem podczas waszej wizyty w naszej bazie, to szczerą prawdą. Robimy, co w naszej mocy, i zbliżamy się do celu. Gdy rozpęta się następna epidemia, będziemy gotowi. Nie będziemy siedzieć na tyłkach i przyglądać się, jak giną kolejne miliony tych biedaków.

Will musiał przyznać, że Ken zdawał się mówić z pełnym przekonaniem. Jak gdyby wierzył w każde wypowiedane słowo. Lecz Hunter miał już wcześniej do czynienia z małymi, kłamliwymi zasrańcami.

— A co z Allanem Brownem? Przecież zabijał przez całe lata — dlaczego go nie powstrzymaliście? Siedzicie tam i monitorujecie cały budynek, a on urządza sobie łowy na ubezwłasnowłównionych.

Uśmiech Kena nieco przybladł.

— Nie jesteśmy ideałami, OK? Jak mówiłem, nie mamy jeszcze kamer we wszystkich mieszkaniach.

— Robił to przez całe lata, Ken. Chcesz mi powiedzieć, że nic nie zauważyliście?

Uśmiech całkiem zniknął.

— Słuchaj, wiem tylko, że syndrom VR zmienił Amerykę z supermocarstwa w pieprzony kraj trzeciego świata. Nie zamierzam siedzieć na dupie i pozwolić, by to samo stało się tutaj. Znowu. Will, mówię ci, jeśli to wycieknie, wszystkich nas czeka prawdziwe piekło. — Ken wpatrywał się w niego. — Musisz zrozumieć. Robimy to, co musimy. Proszę cię, żebyś stanął po dobrej stronie i po prostu przestał w tym szperać. Daj sobie spokój. My skupimy się na poszukiwaniu leku, a ty i twój zespół zajmiecie się waszymi sprawami. Nikomu nie musi stać się krzywda, OK?

Nikomu nie musi stać się krzywda? Ten mały gnojek właśnie mu pogroził. Will poczuł nagłą chęć, by skopać mu dupę, tak by przeleciał na drugi koniec hali. Zamiast tego wyciągnął rękę i powiedział:

— Jestem po dobrej stronie.

Ken rozpromienił się.

— OK! — Uścisnęli sobie dłonie. — Muszę spadać. Ktoś tu musi powalczyć ze smokami i goblinami. Miłego dnia.

Will podziękował, ale myślał o tym, by wykręcić mu głowę tak mocno, aż rozlegnie się trzask łamanego karku.

* * *

Jest tak podekscytowana, że nie może usiedzieć na miejscu. Sala operacyjna będzie gotowa za trochę ponad osiem godzin. Osiem godzin. Jak ma tyle wysiedzieć i nie pęknąć?

Zautomatyzowany magazyn lśni jak nowiutki gwóźdź. Pucowała go i zmywała, i odkurzała, i szorowała — cokolwiek, byle sprawić, że ten dzień szybciej dobiegnie końca. Zabijała czas...

Głęboko w środku narasta w niej pragnienie. Pragnienie, by zabić coś więcej niż tylko czas.

Zażyła dziś swoje leki, dwukrotność normalnej dawki, lecz potrzeba nie chce odejść. To podniecenie. Sprawia, że jej ciało drży.

Jeszcze osiem godzin.

Osiem godzin...

Chodzi po całym magazynie, wygładzając stosy fartuchów chirurgicznych, pojemników dermokleju, lancetów, prześcieradeł, jednorazówek i wszelkich innych artykułów niezbędnych w dużym, nowoczesnym szpitalu. Policzyła już każde prześcieradło ze stosu, każde pudełko składników odżywczych i wciąż nie może znaleźć spokoju.

Musi znaleźć jakieś ujście dla tego pobudzenia. Musi je znaleźć *prędko* albo nie będzie w stanie logicznie myśleć. A jeśli nie będzie logicznie myśleć, zacznie popełniać błędy. A jeśli zacznie popełniać błędy, to ją złapią.

Usprawiedliwienie.

Przestaje krążyć i przymyka oczy, zadowolona z siebie.

Jeśli czegoś nie zabije, to ją złapią.

Chwyta świeże ostrze ze stosu opakowań i chowa je w swoim pomarańczowo-czarnym kombinezonie. To ostatni dzień, kiedy zakłada na siebie ten paskudny, poliestrowy uniform. Po dzisiejszej nocy wróci do swoich najelegantszych strojów. Kiedy ustąpi opuchlizna, być może przespaceruje się po Sauchiehall Street i puści kogoś z torbami. Byłoby miło. Manicure, maseczka kosmetyczna i cudowny lunch w Green. Co może być lepszego?

Potem odwiedzi wicedyrektora Williama Huntera i pogratuluje mu awansu.

Dr Westfield pakuje trochę środków czyszczących do swojego wiaderka na kółkach i rusza w stronę wyjścia. W szpitalu Glasgow Royal jest mnóstwo osób i wielu z nich dane będzie dożyć sędziwego wieku. Ale jednej z nich jest pisane nie dożyć jutra.

Drzwi magazynu zasuwają się za jej plecami, a ubezwłasnowłowniona zastanawia się, kto też to będzie.

* * *

— Co z tobą? — Jo zjawiała się w kantynie areny Comlab Six, zastając Willa przy półlitrowej puszcze importowanego, jasnego piwa i w niewesołym nastroju. Stała przed jego stolikiem z rękoma na biodrach, z twarzą okoloną lekko wilgotnymi włosami. Ładnie w nich wyglądała.

— Nic. — Hunter zmusił się do uśmiechu. — Nic mi nie jest.

Sierżant Cameron uniosła brwi.

— Bez kitu. Przeprowadzałam wywiady ze złodziejami i mordercami, pamiętasz? Potrafię rozpoznać kłamstwo. — Rzuciła swoją torbę na stół i opadła na krzesło po jego przeciwnej stronie. — Opowiadaj.

— Naprawdę, nic mi...

— Williamie Hunterze, jeśli planujesz na dziś wieczór jakąś kolację, tańce albo coś innego, to lepiej nie ściemniaj. Zrozumiano?

— Coś innego? — Tym razem uśmiech był szczery. — Ciekawe, co też masz na myśli?

— Gadaj.

Po krótkim milczeniu pokiwał głową i oświadczył:

— Wpadłem na starego znajomego, kiedy się przebierałaś. Powiedział mi, żebym nie wtykał nosa w akta PsychTechu i żebym przestał poszukiwać informacji o nim i o jego szefie. Powiedział, że jeśli go posłucham, to

„nikomu nie stanie się krzywda”.

— *Groził ci?*

— Tak.

— Przecież jesteś wicedyrektorem Organizacji!

Will wzruszył ramionami.

Jo zmarszczyła brwi.

— Czemu kogoś miałoby, do diabła, obchodzić, że wężysz wokół zapomnianego, odrzuconego programu badań psychologicznych, który zlikwidowano całe lata temu?

— Nie mam pojęcia. — Will wstał. — Za czterdzieści minut mam wizytę u doktor Morrison w Glasgow Royal. Szkoda by było, gdyby mi się tam *przez przypadek* przytrafiło włamanie do akt PsychTechu. Przejdziesz się ze mną?

— Jak bardzo niebezpieczny jest ten twój „stary znajomy”?

— Tego właśnie próbuję się dowiedzieć.

Jo naciągnęła żakiet.

— To na co czekamy?

* * *

Przechadza się po poszczególnych oddziałach jak klient w restauracji studiujący kartę dań. Co za bogaty wybór. Są tacy, za którymi nikt nie zatęskni, i tacy, którzy pozostawią po sobie pogrążoną w żałobie rodzinę. Niektórzy są młodzi, inni starzy, ale nie ma wśród nich takich, którzy wyglądaliby na zdolnych do stawiania oporu. To podoba jej się najbardziej. To nie pora na podejmowanie jakiegokolwiek zbędnego ryzyka. Szybki, czysty mord, a potem trochę zabawy w patroszenie. Operacja ma się rozpocząć dopiero o wpół do dwunastej, więc może się zająć zwłokami bez pośpiechu.

Ale najpierw musi przetransportować ofiarę na dół.

Winda towarowa się nie nada, jest przeznaczona jedynie do przewożenia szpitalnych utensyliów ze zautomatyzowanego magazynu *do góry*, a nie do podróży na dół. Przebywanie w niej, kiedy wsuwa się w ścianę i zaczyna gwałtowny zjazd pod ziemię oznaczałoby... duży bałagan. Nie zostałoby nic, czym można by się pobawić. Nic poza krwawą breją i kilkoma połamanymi kośćmi. Gdzie tu zabawa?

Wyciąga mopa z wiaderka i rozprowadza po podłodze trochę środka dezynfekującego. To przyziemna robota, ale pomaga jej w myśleniu. Kiedy odzyska swoje prawdziwe życie, niezależnie od tego, czy przyjdzie jej mieszkać w Nowej Republice, w Azji Większej, czy może nawet w Koloniach, będzie miała najczystszy dom w całej okolicy.

W stojącym obok łóżka rozlega się płacz małego dziecka. Ma nie więcej niż pięć lat. Za małe, by zapewnić jej godziwą rozrywkę, choć zmieściłoby się niemal idealnie w jej wiaderku, gdyby oderwać mu rączki i nóżki. Jednak główka wystawałaby na zewnątrz i ktoś mógłby zauważyć...

Skazana wędruje do oddziału, gdzie leżą bardziej wyrośnięci pacjenci.

W pomieszczeniu pracuje kilku innych ubezwłasnowolwionych. Jeden z nich jeździ frotką po porysowanej posadzce z lastryka, inny popycha wózek na śmieci od jednego łóżka do drugiego, podnosząc kosze na zużyty papier i przesypując ich zawartość do swojego pojemnika na kółkach. Zatrzymuje się na chwilę, by przypatrzeć się jego — albo jej — pracy. Podnieść kosz, wysypać go do wózka, odstawić na miejsce. Miła, niewymagająca praca, coś w sam raz dla chirurgicznie zresocjalizowanego, wielokrotnego mordercy. Albo gwałciciela. Albo menedżera funduszu hedgingowego. Niezależnie od tego, co miało na sumieniu to coś w pomarańczowym kombinezonie, zasłużyło sobie tym ewidentnie na przepołowienie twarzy.

Ładny, duży wózek, odpowiednio wielki, by zmieścić w nim dorosłego o standardowych gabarytach. Idealnie.

Kobieta podchodzi do ostatniego łóżka. Mężczyzna leżący pod pomiętym, białym kocem ma na sobie piżamę w paski i nosi gogle VR. Jego dłonie spoczywają na przykryciu, więc fantazje, którymi karmi swój umysł, nie mogą być szczególnie niegrzeczne.

Dr Westfield rozgląda się po oddziale: nikt nie patrzy. Podchodzi więc do jednego z parawanów, chwyta go i ustawia tak, by zasłonić wybrane łóżko. Mężczyzna nawet nie spogląda.

Nazywa się Liam Holdstock i — według karty chorobowej wyświetlającej się na jej tablicy — ma infekcję wątroby. Lepiej jej nie zjadać... I wtedy przypomina sobie, że przecież nie ma jamy gębowej, którą mogłaby to zrobić. W każdym razie jeszcze nie ma.

Zostało siedem i pół godziny.

Zwija prawą dłoń w pięść, a potem klepie Liama w ramię.

— Czego, do diabła, chcesz? — mamrocze mężczyzna, wciąż pochłonięty swoją komputerową zabawą. — Nie widzisz, że jestem zajęty. Jezu, nie macie nic lepszego do roboty, tylko musicie mnie męczyć?

Skazana klepie go ponownie, rozkoszując się rozciągniętą w czasie zabawą.

— *Co jest?* Nie możecie, do kurwy... — uchyla gogle z jednej strony i zerka do góry. Marszczy brwi, rozdziawiając rozlazłe usta. Nikogo tu nie ma, tylko jakaś głupia ubezwłasnowolwiona. — Ty też możesz spierdalać, ty szczerbaty sukins...

Kobieta uderza go prosto w podstawę nosa, gruchocząc ją. Krew zalewa mu twarz. Unosi ręce, rozcapierzając palce. Klasyczna pozycja obronna. Ale dr

Westfield nie ma dzisiaj ochoty na gierki. Chwyta stojący na jego stoliku zegar i wali nim w głowę ofiary. Ciało mężczyzny wiotczeje.

Przez minutę tylko patrzy na niego, jak leży kompletnie bez ruchu, po czym wyciąga rękę i sprawdza mu tętno. Bingo. Nie uderzyła go za mocno; przeżyje podróż na dół. Ale nie to, co tam na niego czeka.

Jakby na zawołanie zza parawanu wyłania się ubezwłasnowłowniony z wózkiem na śmieci, rozglądając się za koszem Liama Holdstocka. Dr Westfield bierze wózek i skierowuje odmóżdzonego niewolnika na drugą stronę łóżka, gdzie wciska mu do rąk swojego mopa, a potem wypycha go z powrotem na oddział.

Liam okazuje się cięższy, niż na to wyglądał, i wpakowanie go do wózka nie jest łatwe, ale skazana daje radę i włacza go do środka. Nie chce, by wydawał z siebie jakiegokolwiek odgłosy podczas podróży do magazynu, więc wyciąga z kieszeni tubkę dermokleju i szybkim, oszczędnym ruchem rozsmarowuje mu go na wargach, a potem dociska je do siebie. Wygląda teraz zabawnie, jakby zapomniał włożyć zębów. Dla pewności robi mu jeszcze na dłoniach spirale z tego samego kleju, po czym dociska mu je do uszu. Nic nie usłyszy, nic nie powie, ale będzie mógł wszystko zobaczyć i poczuć.

Opróżnia kosz Liama na jego głowę i wyjeżdża zza kurtyny. Ubezwłasnowłowniony wciąż stoi w miejscu i wpatruje się zbity z tropu w trzymanego w rękach mopa. Zrobiła mu mętlik w jego ptasim mózdzku. Opróżniał kosze, a teraz szoruje posadzki. Prędzej czy później włączą się wytrenowane odruchy. Nie musi się o to martwić.

A to dla niej dobra wiadomość, bo czeka na nią w podziemiach randka z mężczyzną, którego najbliższych kilka godzin nie ucieszy nawet w połowie tak bardzo, jak ją.

* * *

Will i Jo precyzyjnie przeszli przez tłum w szpitalnym holu, zmierzając na prywatny oddział Organizacji, dobre pół godziny przed terminem umówionej z doktor Morrison wizyty kontrolnej.

Na trzynastym piętrze przeprowadził ją przez kontrolę w drzwiach, a potem ruszyli korytarzem do pokoju, w którym urzędowała pani doktor. Nie zastali jej w środku, więc Will wślizgnął się za jej biurko, włączył komputer i poprosił Jo, by stała na czatach.

— No dobra — powiedział, włamując się do systemu szpitala. — Zobaczmy, co ta mała menda próbuje ukryć... — Wprowadził do wyszukiwarki imiona „KEN PEITAI” i „TOKUMU KIKAN”, po czym rozpoczął przetrząsanie wszystkich zapisów zgromadzonych na szpitalnych serwerach. Nie było ich w plikach PsychTechu — to sprawdził rano, przed wyjściem z domu — ale musieli gdzieś być, a system szpitala był jedynym, do którego się wczoraj nie

włamał. Dziewięćdziesięciu procent zapisanych w nim danych nie dało się otworzyć spoza budynku.

Panującą w pokoju ciszę przerywał jedynie szum wentylatora i pomruk pracującego komputera.

Jo stała oparta o ścianę z rękoma skrzyżowanymi na piersi, lekko marszcząc brwi.

— Will — odezwała się w końcu — kiedy byliśmy dziś rano w twoim domu, zwróciłam uwagę na zdjęcia przedstawiające jakąś kobietę...

A więc o to chodziło.

Nie była to rozmowa, za którą by tęsknił.

— To... — Odchrząknął. — Miała na imię Janet. Byliśmy małżeństwem. — Przymknął oczy. Było mu ciężiej, niż się spodziewał. — Ona... zmarła przed sześciu laty.

— Wciąż za nią tęsknisz.

— Ja... — Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. Westchnął. — Tak, wciąż za nią tęsknię. — Sześć lat. Sześć pieprzonych lat, a on ciągle nie mógł się z tym pogodzić.

— Rozumiem.

W pomieszczeniu ponownie zapadła cisza, okrywająca je jak całun.

* * *

Pierdolony, beużyteczny, tłuŝty SKURWIEL!

Liam leżał rozciągnięty na betonowej posadzce, prawie bez żadnych śladów tortur na ciele, za to kompletnie martwy. Wytrzymał ledwie dziesięć minut.

Beużyteczny kutas.

Kobieta przerywa swoją wędrówkę wte i wewte po terenie magazynu i kopie go w twarz. Mocno.

Zwłoki odskakują, oklapnięte jak ogromna, sflaczała, szmaciana lalka. W jego karcie chorobowej nie było wzmianki o chorym sercu.

Ubezwłasnogłowiona kopie go raz jeszcze, wgniatając mu nos w woskową twarz.

Jak ma działać, jeśli nie wpisują do karty takich rzeczy?

Tym razem wdeptuje w twarz obcasem, uderzając w nią raz za razem — beużyteczny — pierdolony — sukinsyn — aż cała przednia część jego czaszki zapada się do środka.

Do operacji zostało jeszcze siedem godzin, a jej nie pozostało nic, czym mogłaby się zająć, z wyjątkiem pozbycia się odrażających zwłok Liama. To

takie *niesprawiedliwe*. Pragnęła tylko odrobiny rozrywki, by zabić czas. Czy to naprawdę tak wiele?

Czegoś, co uciszyłoby te pierdolone pszczoły.

Łup, łup, łup.

Przestaje, gdy dociera do niej, że to, co robi, powiększa tylko bałagan, który będzie musiała posprzątać. Głowa Liama wygląda jak stara poduszka, a wszystko, czym była wypchana, sączy się teraz na podłogę magazynu. Skazana odsuwa się od ciała i zaczyna głęboko oddychać, wdech i wydech przez nos, z pominięciem niewielkiego otworu przyklejonego do gardła.

Spokój.

To tylko przejściowa sytuacja. Prowizorka. Zabijanie czasu pozostałego do operacji, nic więcej.

Uspokoić się. Głęboko oddychać. Głęboko oddychać i zachować spokój, ochłonać.

Bezużyteczny *sukinsyn*.

Chwyta stojący nieopodal stojak od kroplówki i wali nim w jego pierś, aż jedno z kółek odpada, a ostra krawędź wbija się w ciało.

Jeszcze siedem godzin. Tylko siedem godzin. Da radę, na pewno da. Musi tylko oczyścić umysł.

Stojak grzechocze i brzęczy, gdy upuszcza go na posadzkę.

Spokój, chłodny umysł. Spokój, chłodny umysł.

Wstrzykuje sobie w kark jeszcze jedną dawkę leku i opiera się o pryzmę termometrów.

Spokój, chłodny umysł.

Będzie musiała czymś owinąć zwłoki, a potem wyczyścić podłogę. Pozbyć się dowodów. Jakaś głęboko ukryta część jej osobowości cieszy się z tego zajęcia. Ścieranie i szorowanie będzie pełniło funkcję terapeutyczną i uspokajającą. Potem będzie mogła wrzucić ciało z powrotem do wózka, by zawieźć je do spalarni.

Spokój, chłodny umysł.

Lecz w środku dr Westfield *płonie*. Pragnęła znaleźć ujście dla swojego pobudzenia — należało jej się — a Liam nie wypełnił swojej części umowy. Potrzeba jej czegoś, na czym mogłaby wyładować swoją frustrację. Potrzebuje tego. Mimo trzech wstrzykniętych ampułek wciąż nie może usiedzieć na miejscu.

Pszczoły i potłuczone szkło.

Skazana odrywa wzrok od zmasakrowanych zwłok beznadziejnego Liama i

spogląda na zawieszony na ścianie zegar. Jest dopiero tuż po czwartej. Do operacji zostało jeszcze niemal siedem i pół godziny. Nie wytrzyma aż tyle. Po prostu nie da rady.

Jej ciało przeszywa dreszcz. Mężczyzna w Granatowym Garniturze ma przyjść do szpitala o wpół do piątej. Wyczytała w jego aktach, że ma umówioną wizytę. Ma pół godziny na sprzątnięcie głupiego Liama, zanim człowiek, który za to wszystko odpowiada, pojawi się w tym budynku.

Zamierzała zachować Williama Huntera na potem, na moment, kiedy będzie już zupełnie naprawiona, by móc rozkoszować się jego strachem i jego krwią, ale potrzebuje czegoś już teraz. A William Hunter nada się do tego doskonale. Zabrać go na dół, do magazynu-sali operacyjnej i zapewnić mu siedem najgorszych godzin jego życia.

21

Organizacja dysponuje w szpitalu Glasgow Royal swoim prywatnym piętrem. Różni się ono od pozostałej części budynku — ma grubsze ściany, wzmocnione podłogi i ekranowany sufit. Przy głównych szybach wind pełnią wartę szturmowcy; każda osoba nieupoważniona do wejścia musi zawrócić, skonfrontowana z wymierzonym w jej twarz miotaczem. Ale skazana przechodzi obok wartowników, jakby ich tu w ogóle nie było.

Przechadza się powoli po recepcji, zbierając kosze i opróżniając je do swojego wózka. Tłusty, bezużyteczny Liam jest już kolejną warstwą popiołu w szpitalnym piecu, magazyn jest idealnie wysprzątny, a ona ma wciąż dziesięć minut, zanim Mężczyzna w Granatowym Garniturze przybędzie na wizytę kontrolną. Dziesięć minut, by dowiedzieć się, w którym pokoju należy się go spodziewać. Dziesięć minut, by zająć odpowiednią pozycję. Dziesięć minut, by zdecydować, co mu zrobi.

Jest tyle pięknych opcji...

Leki powodują, że jej pole widzenia rozbłyskuje na obrzeżach maleńkimi gwiazdkami, świat musuje rozkołysany chemicznym przypiływem. Jej kark jest obolały od wielokrotnych wkłuć. Zużyła dziś o wiele więcej ampulek, niż wynosi zalecana dzienna dawka.

Wózek skrzypi, gdy przepycha go przez podwójne drzwi, trzymając się pomarańczowej linii. Na całym piętrze panuje spokój, ale w końcu czwarta dwadzieścia w niedzielę po południu to nie godziny szczytu. Mija oddziały, skanery i sale operacyjne. Pokoje lekarskie znajdują się na końcu krótkiego korytarza.

W jego środkowej części znajduje się mała poczekalnia — wygodne fotele, rośliny doniczkowe, automat z kawą — a po obu stronach ciągną się pokoje zabiegowe. Każdy wyposażony jest w wyświetlacz pokazujący nazwisko lekarza i dane osoby, która zostanie zaproszona do środka.

W pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zobaczyć, jak sprawdza poszczególne ekrany, szukając nazwiska Williama Huntera. Odnajduje je przy ostatnich drzwiach korytarza.

Siedem minut. Jego wizyta powinna się rozpocząć za siedem minut.

Idealnie. Jedyne, co musi zrobić, to poczekać w małym pokoiku. Nie przejmuje się lekarką, która powinna się tam już znajdować — lekarze umierają równie łatwo, jak pozostali. A kiedy William Hunter zamelduje się w środku, skazana poczeka na moment, gdy mężczyzna obróci wzrok w inną stronę. Wówczas ona wykorzysta ukrytą w kieszeni strzykawkę, by podać

mu dużą dawkę środka uspokajającego. Załaduje Huntera do wózka, tak jak bezużytecznego Liama. Tyle że kiedy dowiedzie go już do magazynu, będzie mogła liczyć na o wiele, wiele dłuższą zabawę.

Mmmm...

Jej dłoń nieruchomieje na klamce. Z wnętrza pokoju dobiegają jakieś głosy. Skazana spogląda raz jeszcze na wyświetlacz, marszcząc brwi. Nikogo nie powinno tam być — pomieszczenie jest zarezerwowane dla Mężczyzny w Granatowym Garniturze. Jak śmieją! Jak *śmieją* wchodzić jej w drogę! I wtedy głosy wypowiadają słowo, na dźwięk którego aż się wzdraga.

— Peitai...

To słowo sprawia, że przeszywa ją bolesny dreszcz.

Zimne pomieszczenie, klawisze pod jej palcami i rurki podłączone do jej ramion.

Odskakuje od drzwi, w piersi czuje łomot serca.

Peitai.

Zdjęcia jej dzieci, migoczące światła, pytania, prąd, ból. Zatacza się na wózek, a ten przewraca jedną z doniczek, która wraz z rośliną spada na podłogę.

Peitai...

* * *

— Co to było? Jo wyprostowała się gwałtownie.

— Mówiłem, że Ken Peitai...

— Ciii! — sierżant Cameron skoczyła do drzwi i przyłożyła do nich ucho. — Ktoś jest po drugiej stronie!

Will pokiwał głową.

— Taak, przecież to *szpital*. Kręcą się tutaj tysiące ludzi. — Była to głupia odzywka, ale wygłosił ją, zanim zdążył się powstrzymać. Od kiedy zapytała go o te zdjęcia w salonie, wyrosła pomiędzy nimi szklana ściana. Coś, czego nie można dostrzec, a co mimo to oddzielało ich od siebie. Zachowywał się jak dupek i zdawał sobie z tego sprawę.

Jo popatrzyła na niego pochmurnie.

— Wiesz, o co mi chodzi. Włamujemy się do archiwum szpitala. Myślisz, że pani doktor będzie tym zachwycona?

— Słuszna uwaga. — Zaczął szybko klikać w klawiaturę, wstukując komendy. — Sprawdź, kto tam jest, a ja skopiuję pliki i wszystko wyłączę.

* * *

Światła, zbyt jasne, by mogła je wytrzymać, świecące jej prosto w oczy. Niewysoki mężczyzna w zielonym stroju i drugi, starszy, ubrany jak wrona. Pytania. Więcej pytań. Zataczając się, skazana podchodzi do umieszczonych pośrodku poczekalni foteli i opada na jeden z nich.

W jej głowie dudni rozpalony hałas. Krzesło do przesłuchań. Ostre, bolesne ukłucia. Pytania. Peitai i jego pan — mężczyzna w długim, czarnym płaszczu, którego delikatne palce sprawiają, że wije się z bólu.

Ktoś coś mówi, ale kobieta ignoruje to. Jej głowa płonie od wewnątrz.

Jakaś dłoń dotyka jej ramienia i ubezwłasnowłoniowana zrywa się z fotela. Nie. Już wystarczy. Nie odpowie na ani jedno pytanie więcej!

Słychać trzask i nagle cały ten hałas, światło i cierpienie znikają.

Znajduje się w poczekalni, stojąc nad ciałem jakiejś kobiety. Kobieta się nie porusza, po prostu leży na podłodze. W kaburze pod jej ramieniem tkwi paralizator, ledwie widoczny pod rozpiętym żakietem.

Dr Westfield chwytą go w dłonie.

Wszystko poszło nie tak. Wszystko się sypie...

Wpatruje się w drzwi pokoju przyjęć, obok których wyświetla się jego nazwisko.

To zbyt niebezpieczne. Za duże ryzyko. Musi stąd uciekać. W tej chwili.

Chwytą swój wózek i rusza ku wyjściu. Iść, nie biec. Jeśli zacznie biec, zorientują się, że coś nie gra. Jeśli pobiegnie, to ją złapią.

* * *

Will wyłączył komputer pani doktor z wyraźnym zadowoleniem. Znalazł w nim jedynie kilka informacji na temat Kena Peitai i jego szefa, pana Kikana, ale było to i tak o wiele więcej, niż zdołał wyszukać dzisiaj rano. A teraz miał wszystkie te pliki ściągnięte na przenośny dysk, skąd mógł je odczytać w dowolnym momencie.

Czekając na powrót Jo, zaczął ustawiać wszystko na biurku w porządku, jaki zastał. Gdy nie wracała, podszedł do drzwi i przyłożył do nich ucho: cisza.

— Jo?

Otworzył drzwi na oścież i ujrzał jej ciało leżące w poprzek podłogi. Na jej czole widniało krwawe otarcie.

— Jo! — Will przyklęknął na jedno kolano i sprawdził jej tętno. Żyła, ale wyglądało na to, że będzie miała naprawdę solidnego guza. — Jo, słyszysz mnie? Kto to zrobił?

Brak odpowiedzi.

— Cholera! — Aktywował mikrofon na szyi. — Centrala, tu Hunter. Jestem

koło pokojów zabiegowych Organizacji w Glasgow Royal. Mam tu ranną funkcjonariuszkę.

— Zrozumiałem, ochrona jest już w drodze... Chwileczkę, „funkcjonariuszkę”? Chodzi panu chyba o agentkę?

— Nie. — Wyciągnął z kabury swój miniblaster, włączając zasilanie. — Przyślijcie mi tu zespół, natychmiast! Znajdziecie sierżant Cameron przed pokojem dr Morrison.

— A dokąd pan...

Hunter przerwał połączenie.

Nie było żadnych śladów, w którą stronę skierował się napastnik.

W prawo czy w lewo? W lewo. Ruszył biegiem przez korytarz, zmierzając w kierunku wyjścia i wind, przepchnął się przez pierwsze drzwi wahadłowe i niemal przewrócił się o ubezwłasnowłoniętego. Pieprzony głupek stał akurat na środku przejścia, ale Will zdążył go w porę ominąć i pobiegł dalej.

Ciężko oddychając, otworzył drugie drzwi, by wypaść prosto pod lufy ciężkiej artylerii.

— Ani kroku dalej! Wyciągnij ręce, tak żebym je widział!

Will spoglądał prosto w wymierzony w niego miotacz ustawiony na pełną moc — można to było poznać po charakterystycznym migotaniu kontrolki na obudowie broni. Zrobił dokładnie to, czego od niego zażądano.

— Broń na ziemię, koleś, albo sam będziesz zaraz uziemiony!

Will wypuścił pistolet z ręki.

— Wicedyrektor sekcji Hunter. Mam tam funkcjonariuszkę policji, która potrzebuje pomocy medycznej, a sprawca napaści wciąż pozostaje na wolności! Czy ktoś was mijał?

— Co? — Lufa broni odsunęła się od jego twarzy, a szturmowiec, który poprzednio mówił, zmarszczył brwi. — Od tej strony nikt nie przechodził.

— W takim razie napastnik w dalszym ciągu przebywa na tym piętrze!

Will wycelował palce w szturmowca z miotaczem i belkami na ramieniu oznaczającymi stopień sierżanta.

— Pójdiesz ze mną. — Odwrócił się w stronę dwóch następnych. — Macie przeszukać całe piętro, jeśli będziecie musieli, to zajrzyjcie nawet do nocników. — Potem chwycił ostatniego szturmowca. — Wracaj tam i pilnuj wind, nikomu nie wolno do nich wsiąść ani z nich wysiąść. Zrozumiano?

— Opuścić ręce. — Miotacz ponownie wziął na cel głowę Huntera. — Zanim zaczniemy tu ganiać jak te psy, pokaż jakąś legitymację.

* * *

Czuje, jak na jej czole perli się pot. Korytarz jest pełen uzbrojonych strażników, ale nie są nią zainteresowani. Ich uwaga skupia się na mężczyźnie, który próbuje nimi komenderować. Na mężczyznę, którego przyszła zabić. Celują w jego głowę, a nie jej, i skazana wołałaby, żeby tak zostało.

Serce wali jej coraz szybciej, gdy przejeżdża obok nich swoim rozklekotanym wózkiem.

Spokój. Zachować spokój. Nawet nie chce się im na nią spojrzeć, gdy przemyka obok nich, mimo że zdaje sobie sprawę, iż musi się trząść jak licealista w burdelu. I oto drzwi zatrząskują się za jej plecami i znajduje się w recepcji, modląc się z każdym kolejnym krokiem.

Bóg musi ją kochać, bo nikt nie odzywa się nawet słowem, gdy wsiada do windy.

Drzwi zasuwają się za nią i całe jej ciało przeszywa dreszcz.

Ujdzie jej to na sucho.

* * *

Will pobiegł z powrotem w kierunku pokoju przyjąć, ciągnąc za sobą swoją uzbrojoną eskortę. Jo leżała cały czas tam, gdzie ją zostawił, i cała grupa zatrzymała się obok niej. Dzięki Bogu wciąż oddychała.

— Przeszukać pokoje!

Ukląkł przy niej, głaszcząc ją po policzku, podczas gdy sierżant z miotaczem zaczął otwierać kopniakami kolejne drzwi. Powieki Jo zadrżały, a potem z jej ust dobył się jakiś szept. Will musiał się schylić, by usłyszeć, co mówi.

— Jedno jest pewne — stwierdził, siadając na podłodze — obwody odpowiedzialne za przeklinanie masz nienaruszone.

Jo jęknęła, otworzyła oczy, a potem zamknęła je z powrotem, przyciskając dłoń do krwawiącego czoła.

— Sukinsyn...

— Wszystko w porządku?

— Nie. — Z trudem usiadła. — Złapaliście go?

— Nie było tu zupełnie nikogo. Widziałaś, w którą stronę uciekł?

Skinęła głową, skrzywiła się, a potem wskazała w kierunku głównej recepcji, skąd Will dopiero co przybiegł. — Słyszałam trzaskanie drzwi.

— Co? Ale tam nikogo nie było... — Wstał, patrząc, jak sierżant wyłamuje drzwi następnego pokoju przyjąć. Szturmowcy powiedzieli, że nikt ich nie mijal, a Will też nikogo nie widział, gdy biegł tu z powrotem.

Aktywował mikrofon na szyi.

— Czy ktoś próbował opuścić to piętro?

Jo prawie upadła, starając się jak najszybciej wyciągnąć słuchawkę z ucha.

— Nie tak głośno!

Wzruszył przepaszająco ramionami, a w jego uchu zatrzeszczał głos szturmowca pilnującego windy.

— *Nie. Jedynie ubezpieczony z wózkiem na śmieci.*

— Zatrzymać windę!

— *Co?*

— Zatrzymaj tę cholerną windę!

— *OK, OK! Zatrzymuję!*

Jo opadła na ziemię i oparła się o rząd foteli, z jękiem ściskając głowę w dłoniach.

— Dasz sobie radę?

— Idź. Złap go.

Willowi nie trzeba było powtarzać. Pognał korytarzem prosto do recepcji. Szurmowiec stał przy panelu sterującym windy, którego otwarta obudowa ukazywała staranne sploty wielobarwnych przewodów i niewielki terminal.

— Chyba mówiłem ci, że nikt nie wchodzi ani nie wychodzi! — zawołał Hunter, biegnąc w jego kierunku.

— To był tylko ubezpieczony! Przecież nie mógł tego zrobić! Nie ma mózgu!

— Nie chodzi o ubezpieczony, durniu, tylko o wózek. Mówiłeś, że pchał wózek na śmieci.

— Tak.

— Wystarczająco duży, by pomieścić człowieka?

— Kurwa. — Twarz szurmowca wydłużyła się.

— No ja myślę. Obejdź zabezpieczenia windy. Żeby nie mógł otworzyć drzwi i wyskoczyć.

— Tak jest! Szeregowy wprowadził jakąś komendę do panelu sterującego. — Zabezpieczenia wyłączone. Nigdzie nie ucieknie.

— Gdzie jest teraz kabina?

— Winda stanęła między głównym holem a parterem.

— Dobra. — Will sprawdził poziom energii w swoim pistolecie. — Zostań tutaj i nie pozwól, by ktokolwiek więcej tędy wyszedł. I tym razem pamiętaj, że jak mówię, żeby nikogo nie puszczać, to znaczy nikogo! Jasne?

— Tak jest!

Kretyn.

Hunter połączył się z sierżantem i nakazał mu, by zebrał pozostałych ludzi i dołączył do niego w szpitalnym holu.

* * *

Winda zatrzymuje się gwałtownie pomiędzy piętrami i po twarzy skazanej zaczynają płynąć łzy. Była tak blisko. Tak bardzo, bardzo blisko. Jeszcze dwadzieścia sekund i byłaby wolna.

Głupia, głupia, głupia, głupia.

Mogła siedzieć na tyłku w swoim magazynie i czekać na operację. Ale nie. Musiała się *zemścić*! Musiała wszystko zaryzykować dla małej, banalnej przyjemności.

Zasługuje, by ją złapali.

Zasługuje na to.

Ale było tak blisko...

Dr Westfield sięga do kieszeni kombinezonu i dotyka swojego nowego paralizatora. Nie będzie ułatwiała im zadania. Aktywuje mały, wypukły dysk, przestawiając pokrętło regulacyjne poza „CIĘŻKIE PORAZENIE”, aż do oznaczenia „PEŁNA MOC”.

Przygląda się temu, co zostało z jej twarzy, odbitej w lustrzanych drzwiach windy. Jeśli ją złapią, to znowu usmażą jej mózg. Tylko tym razem zrobią to jak należy. Tym razem nie będzie szansy na powrót.

Paralizator grzeje ją w dłoń.

Żywcem jej nie wezmą.

* * *

Szturmowcy ustawili się wokół wejścia do windy z bronią wycelowaną prosto w drzwi. Za plecami drużyny szturmowców zaczęła się gromadzić niewielka grupa gapiów, ale podobnie jak to miało miejsce w przypadku mieszkańców Sherman House, wszyscy przestrzegali mitycznej bariery sześciu stóp.

Will aktywował mikrofon na szyi.

— Kiedy dam sygnał, sprowadźcie windę powoli na dół. — Obrzucił wzrokiem ciężką artylerię tworzących kordon szturmowców. Mieli wystarczającą siłę ognia, by stawić czoła niewielkiej armii. — Teraz.

Podwójne drzwi kabiny otwały się z delikatnym *piknięciem* i powietrze wypełniły dźwięki elektronicznej broni przygotowywanej do oddania strzału, co brzmiało jak brzęk os wpuszczonych do blendera. Ich oczom ukazał się

wózek na śmieci i stojący za nim samotny ubezwłasnowolony.

— Cholera. — Sierżant wykonał krok naprzód i otaksowałabinę wzrokiem od góry do dołu. — Nikogo tu nie ma.

Will mógłby przysiąc, że okaleczona twarz rozluźniła się na dźwięk tych słów... ale to przecież niedorzeczne.

— Moment. — Hunter posłał jednego z szeregowych do przodu, wskazując na wózek na śmieci. Miał rację: pojemnik był wystarczająco duży, by móc pomieścić dorosłego mężczyznę. Szturmowiec kiwnął głową i ustawił swój miotacz pionowo, tak że jego kolba muskała płytki na suficie kabiny, a lufa mierzyła prosto w wylot wózka.

— Przykro mi, proszę pana — powiedział w końcu. — Tu jest tylko jakieś badziewie.

— Jesteś pewien?

— Tak. — Szturmowiec wetknął lufę do pojemnika, gmerając ją wśród śmieci, tak że uderzała o jego ścianki. Gdy ją wyciągnął, widniały na niej różne poprzyklejane paskudztwa.

Will wszedł do windy. Zaczynało się w niej robić trochę tłoczno: trzech ludzi z Organizacji, ubezwłasnowolony oraz wózek na śmieci. Zajrzał do środka pojemnika, ale szturmowiec miał rację, wewnątrz nikogo nie było. Cała ta akcja była jedną, wielką stratą czasu.

Odeszli na bok, pozwalając skazańcowi ruszyć do jego zadań, krążyć między ustawionymi w kularach koszami i opróżniać je do wózka, jakby na całym świecie nie było ważniejszej rzeczy.

— Kurwa mać! — Wrócili do punktu wyjścia.

Szturmowiec z ufajdanym miotaczem wytarł lufę i powiedział:

— Wie pan co, a może ten sukinsyn cały czas jest na górze?

Sierżant pokiwał głową.

— Tak, a poza tym są jeszcze schody.

— Macie rację. — Will wyłączył swoją broń i włożył ją do kabury. — Sierżancie, niech pan weźmie odpowiednio dużo ludzi i przeszuka całe piętro Organizacji. Reszta niech obstawi wyjścia.

— Tak jest.

— Jo, słyszysz nas? Sierżant Cameron, czy mnie słyszycie?

— *Nie tak głośno! Słyszę. Boże, moja głowa...*

— Miło słyszeć, że już ci lepiej. — Hunter wrócił do windy, wciskając guzik na trzynaste piętro. — Czy możesz opisać napastnika?

— *Pamiętam wszystko jak przez mgłę. Wyszłam na zewnątrz i... zdaje się, że*

na jednym z foteli siedział jakiś ubezwłasnowolowany... A ja... pamiętam, że podeszłam, by sprawdzić, czy nic mu nie jest... Następne, co pamiętam, to, że stoisz nade mną, a ja czuję, jakby ktoś rozłupał mi głowę.

— Nie widziałaś nikogo innego?

— *Tylko tego ubezwłasnowolowanego.*

Drzwi windy zasunęły się, a Will zamarł. To niemożliwe... prawda? Wcisnął guzik „STOP” i ponownie wyciągnął miniblaster. Była to szalona myśl, ale mógłby przysiąc, że widział, jak wyraz twarzy skazańca ulega zmianie — jakby spodziewał się jakichś problemów, które nie nastąpiły. Hunter przecisnął się przez drzwi i wybiegł do holu. Wszędzie dookoła było pełno ludzi, ale ani śladu ubezwłasnowolowanego z wózkiem na śmieci.

— Gdzie jesteś? — Will przepchnął się przez tłum, przystając w centralnym punkcie pomieszczenia, po czym wskoczył na jeden z foteli.

— Hej, złaź stamtąd!

— Zamknij się, Peter, nie widzisz, że koleś ma broń?

Will zignorował gapiów, starając się wyłowić z tłumu znajomą, przyciętą twarz i pomarańczowo-czarny kombinezon. Tam jest: koło automatu z napojami! Zeskoczył z fotela i jeszcze zanim dotknął podłogi, zdążył zauważyć kolejnego ubezwłasnowolowanego. A potem następnego. I następnego. Nagle cały hol roił się od nich, a wszyscy dreptali w stronę wyjścia.

— Co jest, do diabła? — Przepchnął się do drzwi z przodu pomieszczenia.

Na zewnątrz było ich jeszcze więcej, wszyscy wysiadali z przyczepy jaskrawożółtego frachtowozu służb. Maszyna podjechała pod sam szpital, zatrzymując się pod jego portykiem, który zapewniał schronienie przed deszczem. Tłuścioch w brudnym, szaro-niebieskim kombinezonie wyprowadzał z niej teraz kolejnych skazańców. Will chwycił go i obrócił w swoją stronę.

— Hej, zabieraj te łapy, frajerze! — Mężczyzna prychnął, wytrącony z równowagi, wygładzając urojone wgniecenia na swoim uniformie.

— Chcę, żebyś trzymał swoich ubezwłasnowolowanych z dala od tych, którzy pracują w szpitalu!

— To pięknie. Robimy zmianę warty, koleś, te kreatury muszą tam wejść, żeby ścierać podłogi i zbierać śmieci.

— Masz ich tu zatrzymać! — Will podetknął mu pod nos swoją legitymację, obserwując jednocześnie zbierających się obok siebie skazańców.

— Proszę, proszę. — Mężczyzna wziął legitymację i obrzucił ją spojrzeniem.

— Ej, Dougie, popatrz no tylko. To jakaś szychta z Organizacji! — Grubas obrócił się i pokazał dokument swojemu koleżce, który rozdawał właśnie

mopy i wiaderka. — Ale nas kopnął zaszczyt!

— No ba, normalnie mnie ścięło z nóg. — Dougie roześmiał się, ukazując zdekompletowany garnitur krzywych zębów.

Will wyrwał grubemu swoją legitymację.

— Uśmiecha wam się trzytygodniowy urlop w Puszcze? Bo tam właśnie traficie, jak was zgarnę za utrudnianie mi pracy!

— Dobrze, już dobrze, nie podpalaj się, koleś. Bo zadyszki dostaniesz. — Tłuscioch skinął ręką w kierunku swojego kolegi. — Douglas — odezwał się, z udawaną, ironiczną elokwencją — bądź tak dobry i ustaw naszych gości przed pojazdem, żeby nam się nie pomieszali z tym szpitalnym pospólstwem.

— Tak jest, kapitanie. Zbiorę ich tutaj wszystkich, żeby żaden przypadkiem nie ucierpiał. — Zasalutował w wystudiowany sposób i pozganiał swoich podopiecznych pod burtę frachtowozu. — No, dalej, moi drodzy, zapraszamy do nas.

— Proszę bardzo, koleś, wszyscy obecni i gotowi — powiedział tłuscioch, po czym dodał — melduję wykonanie rozkazu! — Stuknął obcasami i wyszczerzył zęby. Will z najwyższym trudem powstrzymał się przed walnięciem go w ten wykrzywiony, sarkastyczny pysk.

Ubezwłasnogłowieni z poprzedniej zmiany zaczynali się niecierpliwić. Każdego wieczoru wychodzili przed szpital, pakowali się do frachtowozu i wracali do zajezdni, gdzie byli myci i karmieni. Ten rozkład dnia stał się ich drugą naturą, a jego zmiana wywoływała w nich nerwowość. Jeden po drugim porzucali swoje wózki i wiaderka, rozłóżąc się na wszystkie strony, wyraźnie zestresowani. Will próbował zaprowadzić wśród nich jakiś porządek, ale przypominało to żonglowanie kotami: skazańcy chcieli wsiąść do frachtowozu i nie zamierzali stać w miejscu, dopóki tego nie osiągną.

— Nosz kurwa! Zapakujcie to cholerstwo do ładowni.

— Trzymaj ich na zewnątrz, ładuj ich do środka, tańcz i podskakuj... — Tłuscioch ukłonił się uniżenie przed swoim przyjacielem o fatalnym uzębieniu. — Douglas, bądź, proszę, tak miły i wprowadź naszych pasażerów na pokład naszej pocziwej łajby.

— Z przyjemnością, kapitanie! — Szczerbaty odwrócił się, zwijając brudne dłonie w tubę tuż przy swoich krzywych ustach. — Wszyscy na pokład naszego okrętu! — Ku zaskoczeniu Willa ubezwłasnogłowieni ruszyli we wskazanym kierunku. — Dalej, panie i panowie, zapraszamy!

Skazańcy ciągnęli ze sobą swoje mopy, wiaderka, wózki i miotły. Dougie odbierał im sprzęt, a kapitan Sarkastyczny Tłuscioch pomagał im wejść na stopień i wprowadzał ich do ładowni. Hunter stał przy tylnym wejściu, przyglądając się twarzom poszczególnych ubezwłasnogłowionych. Szukając jakichś oznak życia. Nie było mowy, by zdołał rozpoznać, czy któryś z nich

był tym spotkanym w windzie; wszyscy wyglądali dla niego identycznie. Każdy jeden zdawał się być kompletnie odmóżdżony.

— Szczęśliwy? — zapytał kapitan, gdy wszyscy znaleźli się już na pokładzie, poprzypinani w swoich przegrodach.

— Ilu ze sobą przywiozłeś?

— Tylu, ilu dostałem w zajezdni. Co z tobą, koleś?

— Ilu?

Tłuścioch wskazał kciukiem do tyłu na ubezwłasnowłowionych ustawionych wzdłuż burt frachtowozu.

— Tylu.

— Musicie przecież gdzieś to zapisywać...

— Słuchaj no, dobry człowieku, nie jesteśmy ich opiekunami. My ich tylko zgarniamy i podwozimy na miejsce, OK? Daj nam spokój!

Will zeskoczył ze stopnia przy tylnym wejściu i wbił wzrok w szereg nowych skazańców, wszyscy ściskali swoje środki czyszczące i czekali na polecenia. To szaleństwo: przecież to ubezwłasnowłowieni. Żadnemu z nich nie zostało dość rozumu, by choćby puścić bąka, a co tu mówić o napaści na policjantkę i ucieczce przed grupą ochroniarzy Organizacji. To nie było mało prawdopodobne, to było niemożliwe. Robił tu z siebie głupka.

— Skończyliśmy, koleś? Ja i Dougie świetnie się bawimy, ale musimy stąd zjeżdżać i brać się do roboty.

Will zazgrzytał zębami, zmuszając się, by wymamrotać:

— Dziękuję za okazaną pomoc. — Potem zrobił w tył zwrot i wrócił do szpitala, starając się ignorować pogardliwy śmiech, który wybuchł za jego plecami.

* * *

Skazana patrzy, jak Mężczyzna w Granatowym Garniturze odchodzi ze skrzywioną twarzą i przygarbionymi ramionami. Biedaczek. Potrzeba mu kobiecej ręki. Na myśl o tym wypełnia ją ciepło. Kobiecej ręki z bardzo ostrym lancetem.

Zamiana miejsc była łatwiutka i tym sposobem dr Westfield znalazła się w grupie nowo przywiezionych niewolników, zamiast zostać wśród tych wywożonych.

Idzie na swoim miejscu, gdy kolejka oddala się od frachtowozu i przechodzi przez szpitalne drzwi. Wszyscy skazańcy ustawiają się jak dobrzy żołnierze, by odebrać swój przydział obowiązków od znudzonego nadzorcy.

Stara się wyglądać na kompletnie pozbawioną inteligencji, gdy mężczyzna

poleca jej udać się do kostnicy, by pościerać tam podłogi. Drepcząc w stronę windy, widzi, jak nadzorca dochodzi do końca kolejki i spogląda na swoją rozpiskę.

— Mamy o jednego za dużo... — Marszczy brwi, a potem wzrusza ramionami. — A co tam, od przybytku głowa nie boli.

Dr Westfield zauważa wielki zegar ze szkła i brązu zawieszony nad biurkiem recepcji. Nie ma jeszcze nawet piątej. Wciąż ma przed sobą sześć godzin czekania.

Sześć godzin oraz głowę pełną pszczoł i tłuczonego szkła.

Peitai...

Musi sobie znaleźć jakiś miły, prywatny pokój i wziąć prysznic. Długi, gorący prysznic, by spłukać z siebie cały ten brud, plugastwo i niewolniczą pracę z ostatnich sześciu lat.

Potem będzie czyściutka i cała do dyspozycji doktora Stephena Bexleya. Odzyska dzięki niemu swoją twarz i swoje życie, a później odbierze mu jego własne. Następnie odwiedzi w domu tego miłego mężczyznę z Organizacji.

Prawie udało mu się dzisiaj ją dopaść — był o krok od tego, by wszystko zakończyć, zanim się to jeszcze na dobre zaczęło.

Jeden szczęśliwy traf powinien przyciągnąć następne.

* * *

Will siedział na krawędzi kozetki i starał się nie krzywić, gdy doktor Morrison dźgała palcami i uciskała jego posiniaczone żebra.

— Wiesz — powiedziała, odchodząc do tyłu i przyglądając mu się, jak siedzi w samych slipach i skarpetach — zaczynasz tu być niemal codziennym gościem. Może byś tak spróbował nie pakować się w żadne kłopoty przez jakiś miesiąc albo dwa? Pozwól za sobą zatęsknić.

— Chciałbym — Will uśmiechnął się — ale jesteś za bardzo w moim typie, bym zdołał się powstrzymać.

— Bardzo śmieszne. Ubieraj się. — Wstrzyknęła mu w rękę jeszcze kilka ampulek środka przeciwbólowego i poprosiła go uprzejmie, by zechciał spieprzać z jej gabinetu.

Jo czekała na niego na zewnątrz, na jej czole jaśniała różowa plama, widniejąca dokładnie w miejscu, gdzie wcześniej znajdowało się otarcie.

— Ładnie opatrzone — odezwał się, gdy ruszyli w stronę windy.

— Tak się wystarali, żeby dopasować to do mojej karnacji. — W jej głosie wciąż pobrzmiwał pewien chłód. Wcisnęła guzik na położone na dachu lądowisko i stanęli obok siebie, czekając na przyjazd kabiny. — Jak twoje żebra?

Will wzruszył ramionami.

— Pani doktor mówi, że się goją. A co z tobą?

— Lekki wstrząs mózgu i łata na głowie.

Uśmiechnął się i objął ją w talii.

— Czyli w sumie udany dzień, co?

— Tak. Świetny. Przypomnij mi, żebym się z tobą umówiła następnym razem, gdy najdą mnie myśli samobójcze.

— O, przykro mi. — Puścił ją, starając się, by w jego głosie nie pobrzmiwało poczucie krzywdy.

Stali obok siebie w milczeniu.

Will zagryzł wargę i wziął głęboki oddech. Chciał ją przeprosić, powiedzieć, że jest dla niego ważna i że nie zamierzał jej odpychać... Ale widząc, jak stoi przy nim z wyrazem napięcia na twarzy, nie potrafił znaleźć odpowiednich słów.

Odwrócił głowę.

Znowu spieprzył sprawę.

Dr Stephen Bexley stoi pośrodku sali operacyjnej. Jest sam — grzeczny chłopiec. Skazana przygląda się przez okno obserwacyjne, jak lekarz wierci się niespokojnie i dygocze. Jej nowa głowa spoczywa obok niego na bloku operacyjnym, piękna i świetlista w kąpeli składników odżywczych.

Skazana powinna być szczęśliwa, ale czuje się tylko chora i wykoślawiona. Jej ataki powtarzają się z coraz większą siłą: napady bólu, jaskrawe rozbłyski oraz starszy mężczyzna. Przeszłość nie pozwala jej o sobie zapomnieć.

Wyciąga swój tablet i schodzi po cichu po schodach na poziom sali operacyjnej. Stephen nie słyszy jej wejścia, jest zbyt zajęty obgryzaniem paznokci. Z ust wyrывa mu się okrzyk, gdy zimny, sztuczny głos pyta:

— **JESTEŚ GOTOWY?**

— Ja... Myślałem już, że nie przyjdiesz. — Rozgląda się po pomieszczeniu, jak gdyby po raz pierwszy było mu dane oglądać wielkie bloki maszynierii. — Wyłączyłem kamery, ustawiłem sztuczną anestezję i... — Brakuje mu słów, więc tylko stoi przed nią, oklapnięty i cichy. Ciemne wory pod jego oczami powiększyły się, a jego szpakowate włosy są nieuczesane.

Sprawia wrażenie człowieka, który nie powinien operować nawet kota.

Jej ręce tańczą na klawiaturze tabletu, wystukując słowa otuchy.

— **STEPHEN, JESTEŚ NAJLEPSZYM CHIRURGIEM OD KLONPLANTÓW W CAŁYM KRAJU. ŚWIETNIE SIĘ SPISZESZ I SPRAWISZ, ŻE ZNOWU BĘDĘ PIĘKNA. NIKT INNY NIE PORADZI SOBIE Z TYM RÓWNIE DOBRZE, JAK TY.**

Nie wydaje się, żeby jej wierzył.

— **PAMIĘTASZ DZIECKO JENKINSA? DAŁEŚ MU NOWE ŻYCIE. JESTEŚ GENIUSZEM.**

W oczach Stephena rozbłyskuje coś jakby duma i kiwa głową, a potem prostuje się. Bierze się trochę w garść. Musi być zdesperowany, skoro takie banalne pochlebstwa przywracają mu chęć do życia. Do tego niedługiego kawałka życia, który mu jeszcze został.

— No dobrze. — Jego głos jest o wiele silniejszy, niemal władczy. — Ułóż się, proszę, na stole operacyjnym, popodłączamy cię do aparatury. — Jego ręce drżą, gdy przygotowuje kroplówki. Potem bierze głęboki oddech i wbija jej w skórę igły. Jego profesjonalizm sprawia, że skazana niemal nic przy tym nie czuje.

Z wnętrza jej klatki piersiowej zaczyna promieniować odrętwienie. Kobieta wyczuwa zapach własnego strachu. Ostatnim razem, gdy przyszło jej leżeć

na bloku operacyjnym, wszystko jej odebrano. Wszystko. Stara się zapanować nad przyływem paniki, ale ten jest jak kwas, który wżera się jej w brzuch. W polu widzenia ma Stephena zajmującego się ostatnimi przygotowaniem, lecz w jej uszach rozbrzmiewa głos tamtego chirurga: tego, który ukradł jej życie.

Zacniemy od rozszczepienia żuchwy.

Zaczyna coraz szybciej oddychać i w coraz bardziej nieregularny sposób, a gdzieś zza jej pleców dochodzi pikanie automatu anestetycznego, który zwiększa dawkę środka uspokajającego.

Kątem oka widzi, jak Stephen ustawia swój lancet ultradźwiękowy w odpowiedniej pozycji. Tuż obok znajduje się bloczek testowy — kawałek wypolerowanego granitu, poszczerbiony i porysowany w toku wcześniejszych operacji. Ubezwłasnogłowiona chce krzyknąć, chce to wszystko przerwać, ale pozostaje bez ruchu, obezwładniona działaniem podanych leków.

Stephen naciąga jej na twarz przesłone zabiegową.

— Zacniemy od oznaczenia krawędzi usuwanego obszaru — mówi, przemawiając do nieobecnych chirurgów, studentów i pielęgniarek.

Dr Westfield ledwie wyczuwa ucisk markera kreślącego na jej skórze linię biegnącą dookoła szyi. Stopniowo pogrąża się w chemicznym mroku, wciąż sparaliżowana lękiem przed spotkanym sześć lat wcześniej chirurgiem, przed jego długimi, wąskimi palcami i przed zadaniem jej przez nie bólem. Jej umysł wiruje, rozdygotany paniką i przerażeniem. Nie jest nawet w stanie dosłyszeć niskiego brzęczenia lancetu ani poczuć, jak jej stara twarz ulatnia się w przestrzeń pod postacią rzadkiej, czerwonej mgiełki. Lecz przed jej oczami przelatuje nagły obraz — jego imię, wymienione w jej medycznej dokumentacji.

Zna już tożsamość starszego mężczyzny.

* * *

Mieszkanie było równie zimne, jak puste, w czym idealnie odpowiadało nastrojowi Huntera. Siedział w ciemności z klawiaturą na kolanach, a z głośników ryczała opera *Alba Blue*. Na stoliku stał otwarty karton whisky. Jedyne źródłem światła w pomieszczeniu był ekran komputera, a przeglądane przez Willa zapisy „uwolnione” ze szpitalnych serwerów jarzyły się upiorną, białą poświatą.

Ważka zabrała ich ze szpitala, zanim zdążył zamienić z Jo więcej niż parę słów. Zamiast tego stał tam jak idiota, starając się znaleźć coś do powiedzenia. Starając się powiedzieć coś, dzięki czemu zrozumiałaby, że wcale nie chciał trzymać jej na dystans. Że bardzo ją lubi. I że tak naprawdę to wcale nie jest dupkiem. „Przypomnij mi, żebym się z tobą umówiła

następnym razem, gdy najdą mnie myśli samobójcze”. Świetnie. Właśnie to chciał usłyszeć. Po prostu zajebiście.

Zapomnieć o tym. To bez znaczenia. To co, że Jo ma go już dość. Wielka tragedia. Przecież i tak jest tu szczęśliwy. Sam. W ciemności. Z wolna pogrążając się w szaleństwie.

Nic dziwnego, że ma przywidzenia.

Gania za ubezwłasnowłowionymi po całym szpitalu jak jakiś wariat.

A jednak pośród porażek tego dnia krył się jeden sukces — udało mu się ocalić pliki ściągnięte ze szpitalnych serwerów.

Nalał sobie kolejną szklankę whisky.

Ken i jego szef byli aktywni pół dekady wcześniej.

Pan Tokumu Kikan, pracodawca Kena, przez niemal sześć miesięcy pracował w szpitalu Glasgow Royal jako dyplomowany chirurg. Wyglądało na to, że zdołał stać się w tym czasie wykonawcą prawie wszystkich przeprowadzonych wtedy ubezwłasnowłowień. Lista jego „klientów” wyglądała jak alfabet kryminalnego półświatka Glasgow. Seryjni zabójcy, porywacze, gwałciciele, politycy — wymień jakiegoś skazańca, a on... Will zamarł z tłukącym sercem, czytając kolejne nazwisko. Doktor Fiona Westfield.

Być może miał jednak jakiś powód do wdzięczności wobec Kena i jego szefa. To oni zmienili tę podłą sukę w zombie.

Dokumentacja pokazywała, że po jej ubezwłasnowłowieniu Kikan przeprowadził jeszcze tylko kilka podobnych zabiegów. Jak gdyby nikt inny nie zasługiwał na jego uwagę.

Ken Peitai zaczął pracować dla szpitala niedługo po tym, jak przestępstwa dr Westfield zostały ujawnione opinii publicznej. Zatrudniono go do porządkowania bazy danych projektu PsychTech, który później bezceremonialnie zarzucono.

Will sprawdził, jak te daty mają się do bonusu, którego potwierdzenie udało mu się znaleźć. Wszystko się zgadzało. Gdy Peitai skończył pracować przy bazie danych projektu PsychTech, Kikan zadbał o to, by pożegnać go gigantyczną premią.

Dlaczego chirurga miałyby obchodzić jakiś spec od danych?

Hunter zmarszczył brwi.

— Co tak naprawdę tam robiłeś, ty mały, gnidowaty zasrańcu?

Co takiego znajdowało się w dokumentacji PsychTech, że Peitai nie chciał, by ją oglądał?

Pociągnął kolejny łyk whisky.

Prawdziwe pytanie brzmiało oczywiście: po co w ogóle Peitai i Kikan uskuteczniali tę zabawę w lekarza?

* * *

Ból nie jest aż tak okropny, jak się spodziewała. Otacza ją chłód i lepkość, a jej gardło piecze, jakby nałykała się drutu kolczastego, ale da się to wytrzymać. Drżącą ręką sięga do góry, prawie przestraszona tym, co tam znajdzie.

— Przez jakąś godzinę albo dwie będziesz oszołomiona. — Z głosu Stephena zniknęła nerwowość; znów pobrzmiewa w nim chirurgiczna arogancja. — Operacja zakończyła się całkowitym sukcesem. Szczególnie zadowolająco prezentuje się regeneracja nerwów. — Gestykułuje teatralnie z wyraźnym samozadowoleniem. — To jedno z moich najwspanialszych dokonań.

Jej drżące palce natrafiają na coś wystającego i opuchniętego: jej podbródek. Udało się! Dłoń wędruje dalej ku górnej części twarzy; dotyka warg, napiętych policzków, gładkiego czoła i włosów. Długich, zmierzwionych, posklejanych włosów, wciąż utyłanych w serum odżywczym.

— Staraj się ograniczać ruchy — mówi, gdy kobieta rozkleja swoje powieki.

Światło piecze, przyprawia ją o zawroty głowy i o skurcz żołądka. Stephen stoi obok bloku operacyjnego, wystarczająco blisko, by mogła go chwycić i wycisnąć z niego życie.

Chce prosić o lustro, lecz z jej ust wydobywa się tylko syczący jęk.

— Nie próbuj mówić. Twoim nowym strunom głosowym potrzeba czasu, by mogły podjąć działanie.

Dźwignięcie się do pionu wymaga niemal nadludzkiego wysiłku. Coś jest nie tak. Całe jej ciało przeszywa palące mrowienie. Nie powinna tego odczuwać.

— Masz problemy? — W jego głosie słychać triumf... sukinsyn coś jej *zrobił!*

Próbuje chwycić go za gardło, ale lekarz uchyla się z łatwością. Szczercząc zęby. Kobieta zamachuje się ręką, przez co traci równowagę. Zsuwa się z krawędzi stołu operacyjnego i spada na podłogę — całe jej ciało eksploduje bólem. Jego zakończenia nerwowe krzyczą i płoną.

— Nie jesteś już taka ważna, co? — Pluje na nią. Gęsty glut białej, spienionej śliny rozpryskuje się na jej twarzy jak sperma.

Stephen wykonuje dwa kroki do tyłu — biorąc rozbieg — po czym kopie ją prosto w brzuch. Jeszcze więcej bólu. — GDZIE JEST MOJA ŻONA?

Kobieta podnosi się, oparta na dłoniach i kolanach, ale Stephen znowu ją kopie, tak że pada płasko na podłogę.

— Czujesz się nie w pełni dysponowana? Tak to bywa, jak się miesza

narkotyki.

Z jej nowiutkich ust wyrywa się cichy jęk.

— Podoba się, pani *doktor*? Mam cię jeszcze sponiewierać? — Celuje i kopie ją w żebra, a skazana może się jedynie skulić od siły uderzenia. — Gdzie ona jest? ODDAWAJ MI MOJĄ ŻONĘ, SUKO!

Boże... wszystko ją boli,

Leży na posadzce, wpatrzona w lampy sali operacyjnej, próbując powstrzymać płacz. To nie tak miało wyglądać: dr Bexley był pobity, *należał* do niej.

Stephen chwyta ją za ramiona i wlecze po wypolerowanej, marmurowej posadzce z powrotem w stronę stołu operacyjnego. Dr Westfield jest w stanie jedynie słabo machnąć ręką w jego kierunku. Mężczyzna podrywa ją ze stęknięciem z podłogi i rzuca na blat z nierdzewnej stali. Nie wiedziała, że może być taki silny. Taki władczy.

— Masz teraz piękną twarz — mówi, układając ją na stole. — Miałaś rację, *jestem* geniuszem. W tej chwili jest co prawda trochę opuchnięta, ale to zniknie za dzień albo dwa. — Ponownie przyciąga do siebie zasilacz lancetu ultradźwiękowego, po czym chwyta za lusterko i pokazuje jej, że jest bardzo piękna. — Taka śliczna buźka. Szkoda byłoby zrujnować tyle mojej ciężkiej pracy, nie sądzisz? — Lancet zaczyna wyć w jego rękę, gdy pociąga za spust i odkrawa róg boczku testowego, który spada ze stukotem na posadzkę.

— Powiedziałas mi, że nie masz nic do stracenia. To teraz masz. — Przytyka chłodną końcówkę lancetu do jej spuchniętego podbródka. — Chciałabyś może powrócić do swojego poprzedniego stanu?

— Nnnn... — To nie do końca słowo, ale wymusza je ze swojego obolałego gardła.

— Czy to błaganie o pomoc? Co?

Kobieta kiwa głową, po policzkach ciekną jej gorące łzy.

— Prszszszsz nnnnnn...

Lekarz upuszcza lancet na blat stołu, przyrząd podskakuje ze stukiem na metalowej powierzchni.

— Gadaj, gdzie moja żona!

— Nnnn mmmmg mwwwć.

Mężczyzna chwyta jej tablet i wciska go jej mocno w twarz. Zakończenia nerwowe palą i zgrzytają.

— Nie możesz mówić, ale możesz pisać, pierdolona dziwko! Gadaj, gdzie ona jest, albo jak Boga kocham, zedrę ci twarz!

Jej ręce obracają niezgrabnie gładki, ceramiczny czworokąt, który wyslizguje się jej z palców, obija się o krawędź stołu operacyjnego i spada na podłogę.

— Głupia, niezdarna *dziwka!* — Policzkuje ją. Kobieta ma wrażenie, jakby ktoś rozorał jej twarz nożem. Dermo-aerazol i dermoklej przesuwają się pod powierzchnią jej policzka, co grozi zerwaniem mięśni. Zostały przytwierdzone do kości tak niedawno, że nie zdążyły jeszcze wytworzyć własnych włókien łączących je z kością.

Stephen schyla się po upuszczony tablet, podczas gdy dr Westfield zwija się w męczarniach. Przecież tak ciężko pracowała! To nie tak miało wyglądać!

Coś zimnego i twardego uderza o jej czoło i kobieta sięga w tym kierunku, chwytając przedmiot obydwoma rękoma.

— Dobra, szmato. — Mężczyzna łapie ją za ramiona i przekręca z powrotem na plecy. — Pisz!

Lancet wyje w jej dłoni i dr Bexley zaczyna krzyczeć.

— Jezuuu, kuuurwaa, Jezuu! — Zwija się na podłodze, opierając się na rękach i kolanach, ściskając swój lewy policzek. W jego twarzy widnieje wielka dziura, przechodząca na wylot, aż do języka.

Kobieta ostrożnie opuszcza nogi ze stołu operacyjnego i dotyka stopami ziemi. Jej głowa pulsuje, bolą ją żebra i przez chwilę balansuje na krawędzi omdlenia... ale udaje jej się zachować przytomność. Wyszarpuje bloczek testowy z uchwytu przy zasilaczu i wali nim doktora Bexleya prosto w tył głowy.

* * *

Jest jej już dużo lepiej. Do ramienia ma podłączony biofiltr pozostający w wyposażeniu sali operacyjnej, który wysysa jej krew, oczyszcza ją, po czym ponownie pompuje ją do jej arterii. Wyplukuje wszystkie chemikalia zaaplikowane jej przez figlarnego Stephena.

Dr Bexley leży na stole operacyjnym, dokładnie do niego przywiązany, z oczami rozwartymi tak szeroko, że wydają się wielkie jak talerze. Jest przerażony, co zresztą zrozumiałe.

Kobieta klepie go po policzku — tym bez dziury wielkości piłeczki do golfa — i rozciąga swoje nowe usta w uśmiechu. To trudne. Nie robiła tego wcześniej.

— Byyśś nnngrzrzrzcnnn... — Trzeba przyznać, że nie brzmi to zbyt dobrze.

Ale i tak idzie jej lepiej niż Stephenowi. Jedynym dźwiękiem, który udaje mu się z siebie dobyć, jest stłumione łkanie dolatujące z otworu o gładkich krawędziach, ziejącego w jego policzku. Gdy zajrzeć do środka, można

zobaczyć język widoczny przez okrągłą dziurę wyciętą w zębach mężczyzny. Biedaczysko. A przecież to dla niego dopiero początek nieszczęść.

Dr Westfield wyciąga tablet i pisze na nim to, co chce powiedzieć.

— **BYŁEŚ NIEGRZECZNY** — oznajmia zimny, sztuczny głos.

Mężczyzna nie odpowiada, bo przecież nie może tego zrobić. Jego wargi zostały zlepione dermoklejem.

— **MIELIŚMY UKŁAD, STEPHEN, A TY PRÓBOWAŁEŚ ODEBRAĆ MI TWARZ.**

Po jego twarzy ciekną ciurkiem łzy, przypominające małe wodospady. Rana policzka musi mu trochę doskwierać. Dr Westfield mogłaby mu zaaplikować kilka ampułek środka przeciwbólowego, który złagodziłby ból, ale nie ma takiego zamiaru.

— **MÓWIŁAM CI, CO SIĘ STANIE Z TWOJĄ ŻONĄ, JEŚLI MI SIĘ SPRZECIWISZ.**

Mężczyzna szarpie się, próbując zrzucić krępujące go więzy. Bezskutecznie. Kobieta spogląda na zegar zawieszony na ścianie pomieszczenia. Jest już prawie szósta trzydzieści rano. Wkrótce zaczną schodzić się pracownicy, by wszystko posprzątać i wypolerować, i przygotować salę przed pierwszą tego dnia operacją. Ale dr Westfield naprawdę pragnie, by ostatnie minuty życia Stephena były niepowtarzalne.

— **ZAMIERZAŁAM POZWOLIĆ JEJ UMRZEĆ. ALE TERAZ BĘDĘ JĄ MUSIAŁA PRZYKŁADNIE UKARAĆ.**

Dr Bexley zaciska powieki. Tłucze głową o blat z nierdzewnej stali. Płacze.

— **PRZEZ CIEBIE BĘDZIE UMIERAŁA PRZEZ WIELE DNI. DŁUGICH, BOLESNYCH DNI. MOŻLIWE, ŻE POŚLĘ TWOIM DZIECIOM JEJ GŁOWĘ NA PAMIĄTKĘ.**

Milknie na chwilę, a z jej ust wydobywa się odgłos, który można by niemal uznać za śmiech. Kosztuje ją to trochę bólu, ale to wspaniałe uczucie! Pochyliła się nad nim tak nisko, że na jej rzęsach połyskują jego łzy.

— **PODOBA CI SIĘ TEN POMYSŁ, STEPHEN?**

Chlipanie robić się coraz głośniejsze, grymas na jego twarzy sprawia, że gładkie krawędzie rany otwierają się i zaczynają przesiąkać krwią.

— **GŁOWA MAMUSI W PUDEŁKU.**

Lecz mężczyzna już nie słucha; pogrążył się całkowicie w rozpacz. Dopiero co skazał swoją żonę oraz nienarodzone dziecko na śmierć i będzie musiał z tym żyć aż do śmierci. Dr Westfield ponownie rzuca okiem na zegar. Zostało dokładnie osiemnaście minut, z trzydziestosekundowym marginesem błędu. Chce się stąd zmyć z odpowiednim wyprzedzeniem, by uniknąć pośpiechu i wścibskich oczu.

A skoro już mowa o oczach...

Wspina się na stół operacyjny, siadając okrakiem na biodrach doktora Bexleya. Zaczyna się kołysać do przodu i do tyłu, delikatnie i rytmicznie, starając się wywołać u niego erekcję, ale Stephen nie chce współpracować. Szkoda. Ale dr Westfield ma coś, co uwolni go od myśli o jego biednej, martwej małżonce.

Odkręca tubkę dermokleju i wyciska cienki pasek wzdłuż dolnej i górnej powieki obojga jego oczu. Delikatnie rozchyła je palcami i przylepia do skóry. Dr Bexley wygląda jak jakaś zaskoczona postać z kreskówki.

Kobieta pochyla się i próbuje polizać go po prawej gałce ocznej, ale jej język jest zbyt mało zręczny, zbyt opuchnięty, więc kończy się to tylko na strumyczku śliny, która spływa krętą nitką na jego rogówkę i zbiera się w głębokiej, czerwonej fałdzie poniżej. Jej lewa ręka sięga po lancet ultradźwiękowy i wyciąga go z przyczepu na zasilaczu. Przyrząd włącza się z przenikliwym buczeniem, a dr Westfield bawi się przez chwilę jego spustem, starając się znaleźć odpowiednią szybkość obrotów. Chce, żeby wszystko przebiegło bardzo delikatnie.

— Zwszszsz młśśś pjęknnnn oczczcz.

Opiera końcówkę lancetu o źrenicę lewego oka Stephena, lekko rozchylając usta, starając się nie napinać zbyt mocno mięśni. Bierze oddech. Powietrze ma smak środków dezynfekujących, wentylacji i potu doktora Bexleya.

Zaczyna pieścić palcem spust przyrządu.

Teraz powietrze ma smak oka.

23

— Czasami myślę, Williamie, że jesteś zdeterminowany, by zniszczyć własną karierę. — Dyrektor Smith-Hamilton masowała swoje skronie z teatralną ostentacją. W jej biurze było miło i ciepło, co kontrastowało z pogodą na zewnątrz. Panoramiczne okna dzwoniły smagane ulewą. — Naprawdę sądzisz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak tylko latać po mieście, sprzątając twój bałagan?

Will nie odpowiedział.

— Dlaczego zawsze musisz sprawiać takie *trudności*, Williamie? Czemu zawsze pakujesz się w kłopoty?

— Ani przez moment nie złamałem żadnego z pani aktualnych poleceń. Kazała mi pani trzymać się z dala od Sherman House i tego się trzymam.

— To czemu zawdzięczam dzisiejszą poranną rozmowę telefoniczną z Kenem Peitai, który opowiadał mi, jak bardzo ucieszyła go wasza wczorajsza *pogawędka*? Ależ on cię komplementował, Williamie, „co za wspaniały agent”, „człowiek z głową na karku”, „chluba Organizacji”.

To nie miało sensu — dlaczego ten mały, oślizgły gnojek dzwonił do pani dyrektor z takimi entuzjastycznymi pochwałami?

— Przepraszam panią, ale chyba nie rozumiem. Czy pan Peitai miał jakieś zastrzeżenia do mojego zachowania?

Szefowa spojrzała na niego wilkiem spod ostrej jak brzytwa grzywki.

— Pan Peitai nie, ale gubernator Clark i owszem. *Ponownie!* — Dyrektor Smith-Hamilton opadła na swój fotel i wróciła do masowania skroni. — Po co w ogóle z nim rozmawiałeś? Kazałam ci trzymać się z dala od Sherman House!

— I tak zrobiłem! — Nerwy w tej sytuacji w niczym nie pomagały, więc Will wziął głęboki oddech i spróbował wszystko rozsądnie wyjaśnić. — Byłem w arenie Comlab Six razem z sierżant Cameron na wypadzie integracyjnym, gdy wtem podszedł do mnie pan Peitai. Polecił mi zaprzestać poszukiwania informacji na temat jego samego, jego szefa, oraz programu PsychTech. Powiedział, że to kwestia bezpieczeństwa narodowego.

— Bezpieczeństwa narodowego? — Pani dyrektor zacisnęła wargi w cienką linię, opadającą w kącikach ku dołowi.

— Udało mi się pogrzebać na serwerach szpitala Glasgow Royal i...

— Williamie! Co ja mówiłam na temat nieuprawnionego pozyskiwania

danych?!

— Peitai i jego szef pracowali w tym szpitalu przed sześciu laty. Kikan zajmował się ubezwłasnowłównieniami, a Peitai obróbką danych programu PsychTech. Nie wiem, czym się zajmują, ale na pewno ma to coś wspólnego z tym projektem. Zapędziłem speców od profilowania do przeglądania tamtej dokumentacji i...

— Tyle razy mówiłam ci, żebyś nie węszył w cudzych komputerach bez mojego wyraźnego polecenia! Czy masz pojęcie, w jakie kłopoty nas wpakowałeś?

— Okazuje się, że Alastair Middleton nie był jedynym zabójcą stworzonym przez doktor Westfield. Mam dowód, że ...

— Ach, rozumiem. — Dyrektor Smith-Hamilton opadła na swój fotel, krzyżując ręce na piersi. — Teraz przejdziesz do sedna.

Will wyciągnął z kieszeni wydruk z danymi i rzucił go na biurko pani dyrektor.

— Tu są akta, które wygrzebałem z dokumentacji programu PsychTech. Dowodzą, że Colin Mitchell był kolejnym z jej „małych eksperymentów”, podobnie jak Allan Brown. Wszyscy trzej zmienili się w morderców za sprawą tej morderczej dziwki. Ona...

— Chodzi ci tylko o zemstę, prawda?

— Co? Nie. Peitai i Kikan to...

— Nie myśl, że nie dostrzegam związku. Dr Westfield szoruje kible w Sherman House, więc korci cię, żeby tam zajrzeć. Twoja obsesja kosztuje życie jednego z twoich ludzi — nie przerywaj — i mimo że masz zakaz ponownego zbliżania się do tego budynku, to i tak wracasz. *Potem* zaczynasz brykać po serwerach w poszukiwaniu dokumentacji projektu, któremu szefowała, i sierżant Cameron doznaje ciężkich obrażeń głowy!

Dyrektor Smith-Hamilton walnęła dłonią w biurko, aż zadrżał hologram Marsa.

— Do tego teraz służby donoszą mi, że szalałeś wczoraj przed szpitalem, próbując aresztować jakichś ubezwłasnowłównionych. Ubezwłasnowłównionych! A ty siedzisz tu i próbujesz usprawiedliwić swoje dziwaczne zachowanie jakąś wyssaną z palca historią o wielkim spisku!

— To nieprawda! Peitai i Kikan...

— Pracują dla pewnych bardzo ważnych osób i nie pozwolę, byś ingerował w ich projekt!

Will zagrał swoją ostatnią kartą:

— Oni zarażają ludzi syndromem VR.

Dyrektor Smith-Hamilton zamarła z szeroko otwartymi oczami. Tego się nie spodziewała. Mimo całej politycznej presji, którą na nią wywierano, wciąż potrafiła odróżnić dobro od zła. A przynajmniej taką miała nadzieję.

Kobieta siedziała przez chwilę z rozdziawionymi ustami, wpatrując się w niego.

— Masz jakiś dowód?

Will skinął głową.

— Mamy w kostnicy dwa ciała, w mózgach obydwu znaleźliśmy ślady chemicznej substancji, która doskonale imituje efekty działania syndromu. George wysłał jej próbki do analizy.

Dyrektor Smith-Hamilton przechyliła się nad biurkiem i podniosła wydruk z aktami PsychTech, obracając go w dłoniach.

— Nie podoba mi się to, Williamie. Ani trochę mi się to nie podoba. Powinieneś mnie o wszystkim informować od samego początku. Jak śmiesz mnie pomijać i rozpoczynać poważne śledztwo bez mojej wiedzy!

— Ja...

— Twoje zachowanie zaczęło się gwałtownie pogarszać od momentu, gdy dowiedziałeś się o śmierci doktor Westfield. Rozmawiałam z naszymi psychologami. Żaden z nich nie widział cię w swoim gabinecie!

— Nie sądziłem, że to...

— Wrócisz do swojego biura i umówisz się na całotygodniową, poszerzoną sesję terapeutyczną.

— Ale...

— Albo zejdziesz na dół i spakujesz swoje rzeczy. Twój wybór.

Milczenie.

Następnie rozległa się odpowiedź Huntera:

— Tak jest, pani dyrektor.

— Potem zrobisz coś pożytecznego i przeprowadzisz kontrolę swojego zespołu! Agent Alexander ma jedno z najgorszych wskaźników wykrywalności, jakie widziałam. *Twoim* zadaniem będzie wyciśnięcie z niego lepszych rezultatów.

— Tak jest, pani dyrektor.

— Proszę się ogarnąć, panie Hunter. Niech się pan weźmie w garść albo zacznie pan szukać jakiegoś innego zajęcia. Czy jasno się wyrażam?

— Tak jest, pani dyrektor.

— A teraz zejdź mi z oczu.

* * *

Kobieta siedzi w swoim gniazdku z papieru toaletowego, przyglądając się swojej nowej, cudownej twarzy odbijającej się w skradzionym lusterku. Skóra jest napuchnięta i obrzmiała, ma ciemnosiny odcień, ale dla niej i tak jest piękna. Dr Stephen Bexley — niech Bóg przyjmie jego umęczoną duszę — naprawdę był geniuszem. Zanim spotkała go niespodziewana, brudna, *bolesna* śmierć.

Siniaki znikną w ciągu dwudziestu czterech godzin, jeśli tylko nie zapomni o zażywaniu pooperacyjnych leków. Opuchlizna utrzyma się trochę dłużej. To przez nią jej twarz wydaje się nierówna i wyboista, jakby były powpychane pod jej skórę kawałki na wpół przezutej gumy.

Jej długie, jasne włosy są wciąż pozlepiane i sfilcowane, oplatają jej głowę jak zaciśnięte struny. Nie wolno jej ich umyć aż do wieczora, kiedy dermoaerazol nabierze pełnej trwałości. Byłoby głupio, gdyby jej nowa twarz zaczęła się odwarstwiać.

Garść ampułek ze środkiem przeciwbólowym, które wstrzyknęła sobie, pozbywszy się ciała Stephena, zapewniła jej poczucie błęgiego rozluźnienia, ale ona nie może się już doczekać, kiedy ucieknie z tego lochu, od jego stojaków z nocnikami i stosów plastikowych prześcieradeł. Pragnie poczuć na swojej nowej twarzy promienie słońca.

Ześlizguje się na podłogę magazynu i zrzuca z siebie stary fartuch chirurgiczny Stephena. Jemu nie będzie już potrzebny. Został po nim jedynie popiół.

Ubranie Kris, którego nie miała na sobie, gdy dr Westfield przyłapała ją z chłopakiem *in flagranti*, jest czyste i zdezynfekowane — skazana wyprała je własnoręcznie w małej umywalce. Koronkowa pajęczynka udająca bieliznę Kris jest, jak na jej gust, nieco zbyt pospolita i zdzirowata, ale i tak ją wkłada. Biustonosz wisi na niej bezwładnie, jego miseczki wypełnia pustka i smutek. Nie ma już piersi, tylko parę blizn w kształcie litery U w miejscu, gdzie odciął je chirurg — pozbawiając ją płci, tak aby nikt nie odczuwał pokusy, by realizować swoje perwersyjne fantazje, pieprząc seryjną morderczynię. Skazana nadaje stanikowi weselszy wygląd za pomocą kilku garści papieru toaletowego. Większy problem jest z majteczkami. Wystający cewnik wypycha je z przodu jak malutki namiot, co przypomina niewielką erekcję. Gdy już załatwi swoje sprawy w tym mieście, uda się w jakieś inne miejsce i podda się kolejnym operacjom. Znów będzie kobietą.

Dr Westfield naciąga zielone spodnie, podkoszulkę i białe adidas, które należały kiedyś do Kris. Wygląda w tym stroju jak jakaś stażystka, ale nic na to nie poradzi. Narzuca na ramiona biały fartuch laboratoryjny i ponownie przegląda się w lustrze.

Nowa twarz sprawia, że wygląda... dziwnie, nieznajomo. I przyczyną tego

nie jest wcale ani opuchlizna, ani dawny nos — chodzi o dolną szczękę. Była jej pozbawiona przez sześć nieszczęsnych, bezmózgich lat. Ostrożnie unosi górną wargę, odsłaniając ukryte pod nią zęby. To do *tego* jest przyzwyczajona, do tej potwornej parodii ludzkiego oblicza.

Wsuwa do kieszeni swoje nowe karty kredytowe — Kris, jej martwy chłopak i Stephen nie będą ich już potrzebować — oraz kilka sztuk szpitalnych artykułów, które będą jak znalazł za jakiś czas. Potem dr Fiona Westfield żegna się z magazynem, który przez pięć ostatnich dni był dla niej domem.

Nie ogląda się za siebie.

* * *

Will stał na deszczu z podniesionym kołnierzem i ponurą miną. Po drugiej stronie taśmy z napisem „STREFA POSTĘPOWANIA KRYMINALNEGO” kilku najlepszych funkcjonariuszy w Glasgow przetrząsało górę szczątków piętrzącą się u stóp wiaduktu Kinning Park.

Agent Brian Alexander stał po kolana w kłębówisku wszelkiego śmiecia, kierując poszukiwaniami z miną kogoś, kto właśnie wyłowił gówna ze swojej wanny. Will przekradł się pod czarno-żółtą taśmą, starając się nie myśleć, na czym właśnie stanął. Było to coś brązowego i chlupoczącego. Ta wiedza wystarczała mu aż nadto.

— Jak to jest, Brian — zapytał, przejeżdżając butem po krawędzi stosu przemoczonego papieru — że zawsze dostają ci się takie sprawy?

Brian burknął:

— Bo ta suka mnie nienawidzi, ot co. Popatrz tylko! — Machnął pulchną ręką w stronę ogromnego stosu przemoczonych odpadków. — Czy do tego rzeczywiście potrzeba prawdziwych ludzi? Mógłbym ściągnąć tu kilku ubezwłasnowolowionych, żeby pogrzebali w tym gównie, ale nie! To by było zbyt proste. To, czego nam trzeba, to paru biednych sukinsynów z Organizacji brodzących po kolana w tym syfie!

Will stał plecami do wiatru, obserwując Behemoty z Dis-Com-Lein płynące po ołowianym niebie w stronę Glasgow Central i zastanawiając się, co porabia ta klonowana kierowniczką z działu publikacji, z którą przespał się przed kilkoma laty. Pewnie *nie* nurza się w śmierdzących hałdach śmieci.

Plusem był fakt, że stojąc pod drogą ekspresową, byli nieco osłonięci przed deszczem. Jedynymi ich zmartwieniami były brud, zarazki oraz roznoszące choroby robactwo.

Will wyciągnął palec w stronę drużyny przekopującej to nieoficjalne wysypisko śmieci.

— O co tu chodzi?

— W piątek zaginęło dwoje policjantów. — Brian wpakował dłonie do

kieszeni. — Dowódca posterunku zajął się tym dopiero w sobotę po południu. Mówił, że ma za mało ludzi, żeby zorganizować należyte poszukiwania. Zastraniec. W końcu zdecydował się nas o tym poinformować i musieliśmy się z nim użerać przez cały weekend, żeby zgodził się aktywować ich czipy lokalizujące. Twierdził, że korzysta się z nich jedynie w ostateczności. Tak jakby funkcjonariusze Douglas i McDonald urządzili sobie wypad na miasto, żeby coś wszamać i wychlać! — Brian wciągnął kapkę wiszącą mu u nosa i splunął na hałdę śmieci. — W końcu wyemitowaliśmy dziś z samego rana ich kody identyfikacyjne i trafiliśmy w dziesiątkę, obydwa sygnały dochodziły z tej kupy gówna pod wiaduktem. I tym sposobem siedzimy teraz tutaj i przekopujemy ten syf własnymi rękami, próbując ich znaleźć.

Will pokiwał głową, wpatrując się w górę zapleśniałych odpadków.

— Dlaczego nie macie tu żadnych glin do pomocy?

Brian ponownie stęknął.

— Komendant posterunku nie miał żadnych rezerw. Uwierzysz? Nawet po to, żeby znaleźć swoich własnych ludzi! No kurwa, niewiarygodne.

Will musiał przyznać mu rację.

Ruszyli obrzeżem hałdy śmieci i Brian zaczął żalić się na swój los, podczas gdy Will wydawał z siebie co jakiś czas współczujące pomruki, choć prawie go nie słuchał. Zastanawiał się za to nad tym, co oznaczał opieprz, który dostał od dyrektora Smith-Hamilton. Przedstawił jej bardzo obciążające dowody, a ona z miejsca je zbagatelizowała. To nie było w jej stylu.

I miała przy tym czelność twierdzić, że to *on* zachowuje się irracjonalnie.

— Wiesz — odezwał się, obserwując szturmowca w brudnym, szarym kombinezonie, przekopującego wielobarwną kupę śmieci — dyrektor Smith-Hamilton uważa, że powinienem poddać się jakiejś terapii. Że mam „problemy”.

— Też mi, kurwa, niespodzianka. Nie jesteś sobą od chwili, gdy ta suka Westfield poszła z dymem. Nie, żebym się temu dziwił — biorąc pod uwagę wszystkich, których ukatrupiła, i całe to gówno, które odchodzi w Sherman House...

— Nie zaczynaj.

— Słuchaj, przylazłeś tu dzisiaj tylko dlatego, że Jej Wysokość cię przeczłgała. — Odwrócił się i dźgnął Willa palcem w ramię. — Do tej pory uważała, że masz więcej oleju w tyłku niż inni w głowach. Ludzie zaczynają sądzić, że zrobiła się z ciebie pierdoła.

Will roześmiał się.

— Wiesz co? Być może mają rację.

Coś zatrzeszczało i w jego uchu rozległo się siąkanie, po którym zabrzmiał głos George'a:

— *Will, Brian, to wy? Halo? Halo?*

— Nie musisz się tak wydzierać, George, słyszymy cię.

Odpowiedź Briana była odrobinę bardziej bezpośrednia:

— Ciszej, ty zasmarkany sukinsynu!

— *Ups, sorry. Mam złą wiadomość... i jeszcze gorszą wiadomość. Laboratoria zgubiły próbki, które im przestałem.*

— Nosz kurwa, typowe.

— Nie szkodzi — powiedział Will — wciąż mamy te zwłoki, prawda? Możemy pobrać więcej próbek i...

— *To właśnie ta gorsza wiadomość.* — W uszach rozmówców patologa rozległo się głośne pociągnięcie nosem. — *W czasie, gdy byłem na zebraniu, pojawili się ludzie ze służb i zabrali nie te zwłoki. Mieli wziąć tych dwóch skoczków, których zeszkrobaliśmy z chodnika w zeszłym tygodniu, ale zamiast tego zgarnęli trupy z Sherman House. Wysłali je przez komin do krainy wiecznych łowów. Dowiedziałem się o tym dopiero, kiedy chciałem pobrać kolejną próbkę tkanki mózgowej do wysyłki.*

— Powiedz mi, że wciąż mamy te nagrania ekipy technicznej!

— *Och... Nie sprawdziłem. Mam to zrobić?*

— Proszę.

Rozległo się kliknięcie i głos patologa umilkł. Brian pokręcił głową.

— One też przepadły, przecież wiesz, prawda? — Ponownie splunął flegmą na śmietnik u swoich stóp. — Mamy przejebane. Zostaliśmy bez dowodów.

— Mamy jeszcze ostatni punkt zaczepienia, ale jeszcze nie wiem, co z tego wyniknie.

Brian uniósł brwi.

— Ach tak?

— Peitai chciał, żebym nie węszył wokół projektu PsychTech, więc postanowiłem zrobić rozeznanie. Mam zespół ludzi, którzy przeczesują całą ściągniętą przeze mnie dokumentację, szukając czegokolwiek, co obciążałoby tego małego, oślizgłego gnoja. Czegoś, co moglibyśmy wykorzystać. — Ponownie wybuchnął gorzkim śmiechem. — Chociaż Jej Wysokość i tak nic z tym nie robi, znowu dostała telefon od gubernatora Clarka. Ostro na nią naciskają, żeby ukręcić wszystkiemu łeb.

— Cholera... To co zrobimy?

Will spojrział na hałdę odpadków.

— Będziemy dalej grzebać.

* * *

Mieszkanie należało kiedyś do pewnego samotnego mężczyzny. Mówił, że lubi wierszyki dla dzieci, więc obcięła mu przyrodzenie rzeźnickim nożem. Poza tym niewiele pamiętała z tego spotkania. W pokojach panuje czystość i porządek — w przeciwieństwie do jej niektórych innych lokali — choć na wszystkim zalega cieniutka warstewka kurzu, ale wystarczy szybki obchód z mokrą ścierką, żeby temu zaradzić.

Kobieta rzuca na kanapę torby z zakupami i siada na fotelu. Cóż za cudowny dzień. W ciągu półtorej godziny zdołała wykorzystać środki na wszystkich trzech kartach kredytowych. Dzięki kochanej Kris, jej chłopakowi Normanowi i staremu, dobremu doktorowi Bexleyowi kupiła sobie więcej przyjemności, niż było jej dane zaznać przez ostatnie sześć lat. Koniec z tanimi, koronkowymi majteczkami Kris, w jej miejsce sprawiła sobie bieliznę z najdelikatniejszego jedwabiu, jednocześnie zastępując papier ze stanika miękkim, różowym kaszmiem. To próżne i niemądre, ale dobrze się czuje, znowu mając piersi, nawet jeśli to tylko atrapa.

Poza tym sprawiła sobie mały *prezent*. Wydobywa z jednej z toreb niewielki, szklany słoik. Był drogi — nawet jak na jej standardy — ale absolutnie wart swojej ceny. Odkręca wieczko i wdycha bogaty, ziemisty zapach. Rozkoszuje się nim. Potem zanurza palec w lepkim płynie, opływającym jej skórę jak bursztyń. Prawdziwy miód od prawdziwych pszczoł. Takich jak te w jej głowie. Rzadki i wykwintny. Dekadencki. Smakuje latem: słodki, ciepły i na długo pozostający na języku, jego aromat niemal ją obezwładnia po tak długim czasie, gdy była pozbawiona ust.

Pozwala sobie zaczerpnąć miodu jeszcze dwa razy, po czym zakręca słoik i odwiązuje swoje nowiutkie szpilki. Boże... tak lepiej. Przez całe lata nosiła jedynie robocze obuwie; zasługuje na odrobinę luksusu. Nawet jeśli skutkuje to pęcherzami i otarciami stóp. Pomoże dobra kąpiel w wannie, ale zanim będzie się w niej mogła zanurzyć, ma jeszcze pewną sprawę do załatwienia.

W łazience leży żona Stephena, prawie całkowicie schowana w czarnym, plastikowym worku na zwłoki, oklejonym chirurgiczną taśmą klejącą, tak że widać tylko jej twarz. Dr Westfield pochyla się nad wanną i przygląda się swojej ofierze. Wygląda niemal anielsko, całkowicie otumaniona środkami uspokajającymi, efekt ten psuje jednak trochę brak sporej części skalpu — ranę przykrywa warstwa dermoaerolu powstrzymująca krwawienie. Podpięte do jej ramion woreczki z odżywką do karmienia pozaustrojowego są prawie puste. Wieczorem zaczną popadać w odwodnienie, a to będzie oznaczać, że śmierć jest już blisko. Jest w końcu w ciąży. Będzie umierała za dwoje.

O ile ktoś jej wcześniej przez przypadek nie wypatroszy.

Dr Westfield odczepia woreczki od prysznicza i upuszcza je na podłogę. Wyciąga worek na zwłoki z wanny, uśmiechając się na dźwięk wstrętnego chlupotania dochodzącego z jego środka. Układ wydalniczy kobiety był najwyraźniej aktywny. Należało się tego spodziewać. Biedaczka musi być przerażona. Na myśl o tym uśmiech dr Westfield rozszerza się od ucha do ucha.

Przeciąga worek do jadalni i mocuje go na jednym z krzesel, przywiązując go dokładnie chirurgiczną taśmą klejącą. Pani Bexley nigdzie się stąd nie ruszy. A w każdym razie na pewno nie za życia.

Dr Westfield wyciąga dożylny dozownik środka uspokajającego z szyi kobiety i wyrzuca worek do kosza. Miną trzy albo cztery godziny, zanim jej ofiara ocknie się z farmakologicznej drzemki, To wystarczająco długo, by wziąć gorącą kąpiel. A potem, kiedy pani Bexley będzie już przytomna i przerażona, będą mogły uciąć sobie pogawędkę o niegrzecznym zachowaniu Stephena i o tym, ile bólu będzie ją ono kosztowało, zanim będzie w końcu mogła umrzeć.

Uśmiechając się wesoło, dr Westfield klepie kobietę po policzku. To nie *jej* wina, że poślubiła słabego mężczyznę, ale już za późno, by się tym teraz przejmować.

* * *

— Panie wicedyrektorze! Tutaj! Znaleźliśmy jednego!

Will wspiął się z trudem na szczyt hałdy, dołączając do grupy ludzi w kombinezonach. Wszyscy stali wokół płytkiego dołu wygrzebanego w śmieciach, spoglądając na coś, co kiedyś było człowiekiem. Ciało związane jak tobolek pomarańczową taśmą pakunkową, z kolanami dociśniętymi do klatki piersiowej i rękami zgiętymi w sztywne szpony. Głowa policjanta była zgięta do tyłu i pochylona na lewe ramię, jego niewidzące oczy wpatrywały się w drogę ekspresową, dolna szczeka wisiała otwarta, a skóra miała woskowożółty odcień, jak zjełczałe masło.

Brian przykucnął na brzegu tego prowizorycznego grobu i przejechał czytelnikiem po opuszkach palców funkcjonariusza. Począł, aż wyniki skanu wróćą z centralnego archiwum, a potem odczytał rezultat.

— Stephen Mackay, dwadzieścia pięć lat, mężczyzna, policjant. Stopień...

— Posterunkowy. — To była Jo, stojąca na obrzeżach grupy w żółtym kostiumie i krótkim, szkarłatnym płaszczu, przypominającym strój hippiczny. Miała postawiony kaptur, który skrywał jej oczy, a jej głos brzmiał, jakby nie spała od miesiąca. — Żonaty. Żona: Louise Mackay. Jedno dziecko: Cheryl, trzy lata.

Wyjęła z kieszeni transponder wielkości dłoni, wystukała na klawiaturze numer identyfikacyjny martwego policjanta i podała urządzenie agentowi

Alexandrowi. Z delikatnością, która mogłaby zaskoczyć kogoś, kto go nie znał, Brian odgarnął śmieci spod głowy posterunkowego Mackay'a, przycisnął transponder do podstawy jego czaszki i nacisnął guzik „wysłać”.

— Lepiej? — zapytał jednego ze szturmowców.

— Ja nie... Tam! Mam lokalizację tego drugiego.

Drużyna przeniosła się na drugą stronę hałdy odpadków, zostawiając Briana, Willa i sierżanta Cameron przy znalezionych zwłokach.

— Jo — odezwał się Will.

— Panie wicedyrektorze — odpowiedziała Jo.

Nie była to szczególnie przyjacielska odpowiedź.

— Na litość boską... — Brian wyprostował się, wsunął transponder do kieszeni i spróbował strząsnąć chociaż część plugastwa lepiącego się do jego płaszcza. Nic to nie dało, tylko bardziej się nim wymazał. — Jesteście jak para małych dzieci. — Popatrzył, jak stoją obok siebie w milczeniu, a potem westchnął. — Dobra, trzymajmy się procedur. Każdy z czipów lokalizujących zakłócał pracę drugiego. Nie mogliśmy porządnie namierzyć żadnego z nich.

Will wpatrywał się w związane zwłoki.

— Macie jakiś pomysł, dlaczego ich zabito?

— Kto to może wiedzieć w dzisiejszych czasach? — odpowiedziała Jo. — Może byli w złym miejscu w złym czasie? Zadali nie te pytania, co trzeba, temu, komu nie trzeba? Dziwnie się na kogoś popatrzyli? — Wyprostowała ramiona. — Jeśli pan pozwoli, to pójdę nadzorować wydobycie drugiego ciała.

— Oczywiście. — Patrzył, jak ostrożnie schodzi po śliskim zboczu hałdy, zmierzając do miejsca, gdzie ich grupa rozpoczęła kopanie.

— No dobra — odezwał się Brian, gdy dziewczyna znalazła się wystarczająco daleko. — Opowiadaj, co zrobiłeś?

Will przymknął oczy. Powinien był się spodziewać tego pytania.

— Nic. Nic nie zrobiłem.

— Gówna prawda. Dziwiłem się, czemu siedziała dziś rano tak cicho. Zrobiłeś jakąś głupotę, co?

— Brian...

— Bez takich mi tu! Jeśli sądzisz, że będę się spokojnie przypatrywał, jak olewasz najlepsze, co ci się przytrafiło od wielu lat, to masz coś nie tak z myśleniem.

— To nie...

— Słuchaj no, Williamie Hunterze. Całymi latami patrzyłem, jak się snujesz,

nie dopuszczając do siebie nikogo, bo wciąż nie mogłeś przejść do porządku nad śmiercią Janet. Minęło już sześć pieprzonych lat! Myślisz, że chciałyby, żebyś był nieszczęśliwym, samotnym, starym sukinsynem? Naprawdę? Bo tym właśnie się stajesz!

Will zrobił krok w tył.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Tej kobiecie na tobie zależy! A przynajmniej zależało, zanim wszystko spieprzyłeś.

— Wiem! OK, wiem. — Hunter westchnął, spuszczać wzrok i spoglądając na martwego posterunkowego. — Zapytała mnie o Janet i mi odbiło. Ja... wciąż za nią tęsknię, Brian.

Głos Briana stał się łagodniejszy, a jego wielka ręka spoczęła na ramieniu Willa.

— Wiem o tym. Ale ty nie umarłeś.

Jo stała w pewnej odległości od kopiących, obserwując, jak szturmowcy wydobywają spod odpadków drugie ciało. W swoim jaskrawożółtym kostiumie i krótkim, czerwonym płaszczku wyglądała jak owocowy koktajl.

— Ma chyba najstraszniejszy gust do ubrań, z jakim miałem do czynienia — odezwał się Will z wątlym uśmiechem. — Bardzo ją lubię, ale jej już chyba na tym nie zależy.

— W takim razie — Brian puścił do niego oko — zostaw to mnie. Nie na darmo nazywają mnie amorkiem z Clydeside.

* * *

— Mów.

— Tak jest. — Ken miał spokojny głos, mimo że czuł się tak, jakby jego serce zalewał lodowaty wodospad. — Po wczorajszej rozmowie z panem Hunterem kazałem naszym ludziom monitorować wszelkie przypadki wyszukiwania pańskiego lub mojego nazwiska. Wczoraj wieczorem zidentyfikowali jedną taką próbę w szpitalu Glasgow Royal.

— I?

Ken przestąpił z jednego lśniącego wypastowanego obcasa na drugi, starając się, by ten gest wyglądał na zdawkowy.

— Wyszukiwanie dało rezultat w postaci pewnych plików przechowywanych na szpitalnych serwerach.

— Mówiłeś mi, że wykasowałeś wszelkie informacje na temat naszej działalności w tym miejscu, Ken.

— My... Nie wiedzieliśmy, że te pliki zostały zachowane w kopii zapasowej,

proszę pana. Nie mieliśmy do nich dostępu. Kiedy przed pięciu laty doszło do awarii systemu szpitalnego archiwum, musieli je przywrócić do bazy danych wraz z innymi informacjami. Można powiedzieć, że pliki, których się pozbyliśmy... powróciły.

Zapadła cisza, w której starszy mężczyzna złożył swe dłonie o długich, delikatnych palcach przed swoją twarzą, stukając ich koniuszkami o dolną wargę, z nieobecny wyrazem twarzy i wzrokiem wbitym w przestrzeń.

— Kto zarządził to wyszukiwanie? — zapytał w końcu.

Nadszedł moment, którego Ken się obawiał.

— Dostęp do plików uzyskano w wyniku włamania, więc nie mamy zamiarów użytkownika, ale dwie minuty po tym, jak skopiowano ostatnie dane, miał w tym rejonie miejsce incydent z udziałem wicedyrektora Williama Huntera i sierżant Jo Cameron.

— Rozumiem. — Starszy mężczyzna opadł na oparcie swojego krzesła i wyciągnął z kieszeni próbkę, wysuwając ją spomiędzy palców i z powrotem chowając, jakby była żywą istotą.

— Nasi ludzie monitorują łącze pana Huntera, by przyjrzeć się naprawdę dokładnie, na jakie serwery zagląda. Wczoraj rano ściągnął sobie całą bazę danych projektu PsychTech.

Ken patrzył na próbkę tańczącą między palcami jego pracodawcy, czując, jak pochłania go jego milczenie. Nie mógł się powstrzymać.

— Ale... pliki Zwiastuna nie były zaszyfrowane.

Brwi starszego mężczyzny gwałtownie uniosły się do góry, a na karku Kena Peitai zaczęły się zbierać małe kropelki potu.

— Wezwałem Moncura i Stephensona. Wygląda na to, że wykazali się „inicjatywą” i przeglądali oryginalne notatki doktor Westfield w poszukiwaniu dalszych danych. Ale niestety nie zadbali o to, by je potem ponownie zaszyfrować. Hunter uzyskał dostęp do wszystkiego, czym zajmowała się doktor Westfield, zanim ją złapano.

— Rozumiem... — Spojrzenie starszego mężczyzny było ciężkie jak kamień, ostre i zimne jak szpilka mocująca motyla w gablocie wystawowej. Młody mężczyzna przełknął ślinę, starając się powstrzymać od miętoszenia swojego krawata, wiedząc, że te zimne, szare oczy wwiercają się właśnie w niego.

— Kenneth, kiedy Organizacja wpadła na trop nagannej działalności doktor Westfield, poprosiłeś mnie o zgodę na przestudiowanie jej notatek, by sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co moglibyśmy wykorzystać. Zaakceptowałem twój wniosek. Kiedy odkryłeś jej program hodowli seryjnych morderców i zasugerowałeś, byśmy przejęli nad nim kontrolę, zgodziłem się. Kiedy poprosiłeś mnie, żeby nie poddano jej prawdziwemu

ubezwłasnowłownieniu, byśmy mogli korzystać z jej wiedzy, to nawet osobiście podjąłem się przeprowadzenia tego zabiegu. — Tokumu Kikan wyprostował się na swoim krześle, zaciskając zęby. — Spędziliśmy całe sześć lat na jej przesłuchiowaniu i na monitorowaniu jej cholernych dzieci. Sześć lat! I co z tego mamy?

— Panie Kikan, ja... — Ken przełknął ślinę. Jeszcze nigdy nie widział starszego mężczyzny tak rozgniewanego.

— Nic! Właśnie tyle. Ale tobie dostał się wielki bonus!

— Panie Kikan, gdyby nie współpraca z doktor Westfield, nie udałoby się nam wyprodukować formuły. My...

Długa, szczupła dłoń huknęła o blat stołu, tak że Peitai podskoczył.

— Dość!

Ken wyprostował się, unosząc podbródek.

— Jeśli chce pan, bym złożył rezygnację...

— O nie, tak łatwo się z tego nie wywiniesz, Ken. — Starszy mężczyzna opadł na oparcie krzesła i postawił próbkę na stole przed sobą. — Co zamierzasz zrobić w sprawie pana Huntera?

— Dowiem się, ile wie i komu o tym powiedział.

— A potem?

— Zabiję go.

24

Ostatni promyk słońca przepadł w kłębowisku nisko wiszących chmur, zostawiając miasto na pastwę nocy i deszczu. Stojąc po przeciwnych stronach stołu do sekcji zwłok, wicedyrektor William Hunter i sierżant Jo Cameron starali się prowadzić pogawędkę. Brian był słownym człowiekiem, więc namówił Jo na przejażdżkę do prosektorium razem z nowymi zwłokami, a potem gdzieś przepadł.

— Słuchaj — powiedział Will, kiedy wreszcie wyczerpali temat syfiastej pogody — przepraszam za wczorajsze.

— Nie ma za co. To nie twoja wina, że dostałam po głowie.

— Nie o to mi chodziło, przepraszam, że zachowywałem się jak dupek.

Jo nie odpowiedziała, milczały również związane zwłoki posterunkowej Sandy Douglas.

— Kiedy zapytałaś mnie o Janet, ja... nie wiedziałem, co... źle zareagowałem, zamknąłem się w sobie. Przepraszam.

Skinęła głową.

— Janet... — Wziął głęboki oddech. — Janet zmarła sześć i pół roku temu. Byliśmy małżeństwem przez cztery lata. Tropiłem kolesia, który miał już na koncie zabójstwa siedmiu osób. Lubił korzystać z blastera, ale nie jak Mitchell. Specjalnością Alastaira Middletona było ludzkie serce. Wypalał...

— Will przymknął oczy i spróbował ponownie. — Wypalał swoim ofiarom dziurę w piersi, a potem chwycił ich serca i trzymał, dopóki nie przestawały bić. Zadzwoił do mojego biura, podając się za świadka w innej sprawie. Na ścianie za moimi plecami wisiało wielkie zdjęcie przedstawiające Janet i mnie, a on je zauważył. Nie wiedziałem, kim jest. Rozmawiałem z nim jak z normalną osobą, a on przez cały czas gapił się ponad moim ramieniem na fotkę Janet.

Will oparł się o krawędź stołu do sekcji zwłok.

— Trzy godziny później odebrałem następny telefon: to była Janet. Chciała, żebym wracając, kupił jakieś wino, coś z bąbelkami. Powiedziała, że ma mi coś szczególnego do zakomunikowania. Ona... — Odchrząknął, zaciskając dłonie na krawędzi stołu tak mocno, że aż zbielały mu palce. — Nagle rozległ się dzwonek do drzwi i Janet powiedziała: „Poczekaj chwilkę, zaraz wracam”. I wtedy znowu go zobaczyłem. Alastair Middleton, człowiek, z którym rozmawiałem przez telefon. Był w moim domu z wielkim bukietem kwiatów dla mojej żony. Uśmiechnęła się i zaprosiła go do środka. Widziałem, jak rozmawiają, gdy wtem Alastair zadał jej cios w twarz.

— O Boże, Will. — Jo wyciągnęła rękę nad zwłokami policjantki i chwyciła Huntera za rękę.

— Krzychałem na niego, próbowałem go powstrzymać, ale on tylko wciąż w nią walił. — Ciało Willa przebiegł dreszcz. — Poleciałem Centrali, by wysłali tam szybko jakąś ekipę, ale nie było na to czasu... On... Janet miała na sobie dziergany sweter, który kupiłem jej na urodziny, a teraz patrzyłem, jak Alastair zmienia go w obłok dymu. Jednocześnie cały czas nie przestawał śpiewać „Cicho, dziecinko, nie mów już nic...”.

— Will, tak mi przykro.

— Mi też. — Wziął głęboki urywany wdech i wyprostował się. — Brakuje mi jej... ale byłem sam przez sześć i pół roku. Naprawdę cię lubię. Jesteś bystra, seksowna, kolorowa. — Dał radę się uśmiechnąć. — I nie chodzi mi tylko o ubrania.

Puściła jego rękę, unosząc dłoń i kładąc mu ją na policzku.

— Słuchaj, koleś, noszę je tylko do pracy, OK?

Pochyliła się lekko do przodu, ponad ciałem posterunkowej Sandy Douglas, wciąż oplątanym pakunkową taśmą i przyciągnęła jego twarz ku swojej.

— Dlaczego? — zapytał.

— Powiem ci może później — odparła, gdy ich wargi spotkały się ponad stołem do sekcji zwłok. — Ale tylko jeśli będziesz bardzo, bardzo grzeczny.

* * *

Siedzi sama w sypialni, starając się ignorować szloch żony Stephen.

Przecież nie powinna robić tyle hałasu tylko dlatego, że za chwilę zostanie zamęczona na śmierć!

Knebel nie działa — przepuszcza zbyt dużo dźwięków. Może najlepiej byłoby po prostu ją zabić i mieć to z głowy?

Dr Westfield uśmiecha się na tę myśl i ponownie przejeżdża szczotką po swoich włosach, które połyskują jak roztopione złoto. Dermaaerazol, którym przymocowano jej nową twarz, zespolił tkanki naprawdę idealnie, niemal nie widać krawędzi połączenia. A przecież nawet te bladoróżowe linie również z czasem wyblakną. Wkrótce znowu będzie doskonała. Siniaki znikają, podobnie jak opuchlizna. Jej skóra jest miękka i gładka, wolna od piętna czasu. Nie ma już kurzych łapek ani zmarszczek od śmiechu. Ponownie wygląda, jakby miała osiemnaście lat.

Ostatnie pociągnięcie szczotką i może spojrzeć w lustro, by podziwiać swoje długie, blond włosy. Jest piękna. Gdy była młodsza, zawsze nienawidziła swojego nosa. Ale teraz nadaje on jej twarzy charakter. Nie jest duży, jest dumny. Jej podbródek nie jest szeroki, jest silny. Odpowiedni dla osoby, którą się stała. Stephen był naprawdę genialnym chirurgiem.

Podejmuje decyzję: w hołdzie dla jego zdolności nie rozpruje jego żonie brzucha i nie udusi jej za pomocą jej własnych jelit. Zamiast tego pani Bexley umrze z odwodnienia. Tak, to powolna i bolesna śmierć, ale o wiele godniejsza. Niech nikt nigdy nie ma powodu, by twierdzić, że dr Fiona Westfield nie potrafi być litościwa.

Mimo że ta suka naprawdę potrafi narobić hałasu.

Dr Westfield zamyka drzwi do sypialni, odcinając się od odgłosów stłumionego szlochu. Potrzebna jej cisza, by móc zaplanować kolejny ruch.

Przez cały czas rozmyślała obsesyjnie o człowieku, który ją złapał, ale William Hunter to tylko część całej tej historii. Wpadł na trop jej przestępstw wyłącznie przez przypadek. Gdyby Alastair Middleton zadzwonił tamtego dnia do kogoś innego, gdyby nie zabił żony pracownika Organizacji, to pewnie nigdy by go nie aresztowano i nie poddano przesłuchaniu. Nie opowiedziałby im wszystkiego o swoich sesjach terapeutycznych, a Hunter nie zacząłby jej ścigać.

To był przypadek. Kaprys losu. Nic więcej.

Lecz Peitai i Kikan to zupełnie inna sprawa. W tym, co jej zrobili, nie było grama przypadku. Kiedy skupi się wystarczająco mocno, wciąż czuje zapach pokoju przesłuchań — stara skóra i gorzko migdałowy płyn po goleniu.

Tak, to William Hunter ją złapał, zebrał przeciw niej materiał dowodowy, sprawił, że skończyła jako okaleczona niewolnica. Ale on nie jest jedynym, który zawinił. W niczym nie zmienia to faktu, że i tak będzie musiał cierpieć, ale nie będzie w tym osamotniony.

Peitai i Kikan. Kikan i Peitai. Ukradli jej dzieci, torturowali ją, by wydobyć z niej informacje. Zakłócili jej badania. Nie potrafili dostrzec jej *zdolności* ani maestrii koniecznej do tego, by móc wziąć całkowicie normalną osobę i zmienić ją w kogoś, kto bez wahania zabije kompletnie nieznanego człowieka, wytnie mu dziurę w brzuchu i zerznie zwłoki.

Tworzyła dzieła sztuki, podczas gdy Peitai i Kikana interesowała tylko masowa produkcja zabójców.

Ignoranci.

Dziś w nocy złoży panu Hunterowi wizytę, a potem zapyta go, kiedy wciąż jeszcze będzie miał usta i będzie w stanie krzyczeć, gdzie można znaleźć starszego mężczyznę i jego szczerowatego pomagiera.

Pokaże im, jakie to uczucie, gdy ktoś wyrwie ci sześć lat z życia. Krojąc jeden plasterk męki za drugim.

* * *

Sądził, że nie może się już bardziej rozpadać, ale była to mylna ocena. Miasto za szybko zniknęło w strugach deszczu, zasłonięte lawiną

bombardujących je kropel wody.

Will pociągnął łyk whisky, spoglądając przez drzwi patio na szalejącą na zewnątrz ulewę, mimo że tak naprawdę nie zwracał na nią uwagi.

— Myślałam, że idziesz do łóżka. — Jo stanęła pośrodku salonu, z rękoma opartymi na biodrach, całkiem naga.

— Hm? Przepraszam, zamyśliłem się.

— Czy zawsze jesteś taki pochmurny, Will? Wolałabym wiedzieć, zanim zbyt głęboko w to wejdziesz.

Hunter zdołał się uśmiechnąć.

— Zazwyczaj jest jeszcze gorzej. — Pocałował ją miękko w kark. — Zapytaj Briana.

— Pytałam. Zaserwował mi jakąś bajeczkę, jaki to z ciebie wielki, zwycięski i wrażliwy bohater. Nie wiem, ile mu płacisz za to, żeby cię zachwalał, ale to dobrze wydane pieniądze. — Przysiadła na brzegu sofy. — Czemu jesteś taki zamyślony?

— Ostatnio mam sporo na głowie.

Jo prychnęła.

— Zła odpowiedź! Spróbuj jeszcze raz.

— My... to znaczy Brian, George i ja węszyliśmy trochę w sprawie tego kolesia, o którym ci wczoraj opowiadałem.

— Tego Petty?

— Peitai, właśnie tego. Facet prowadzi jakieś eksperymenty w Sherman House; mają narkotyk, który wywołuje u ludzi syndrom VR. Testuje go na mieszkańcach bloku.

— O cholera! Chyba sobie żartujesz!

Will pokręcił głową.

— Mieliśmy dowody. Te zwłoki, które widziałaś w kostnicy, wycinki ich mózgów, nagrania ekipy technicznej z lokali w Sherman House. Ale wszystko przepadło. — Pociągnął kolejny łyk whisky. — Laboratorium zgubiło próbki tkanek, Służby pomyłkowo zniszczyły nie te zwłoki, a na koniec dostałem telefon od George'a, który dzwonił, by powiedzieć, że obsłudze w naszej centrali przytrafił się dziś po południu „mały wypadek przy pracy”: wykasowali wszystkie nagrania, jakimi dysponowaliśmy.

— Ktoś chce to ukryć?

— Opowiedziałem dyrektorowi Smith-Hamilton o dowodach, jakie zgromadziliśmy przeciw Kenowi Peitai i jego szefowi, a sześć godzin później wszystkie przepadły. Zablokowała nawet pracę zespołu, któremu zleciłem

przejrzenie archiwum PsychTech, skonfiskowała dokumentację. Przez cały tydzień wydzwaniał do niej gubernator Clark, więc woli udawać, że nic takiego się nie wydarzyło.

Jo wstała i oplotła jego szyję ramionami.

— Chcesz go załatwić?

— Nie chodzi jedynie o niego. Clark to dupek, robi to, za co mu płacą. Ktoś nim steruje. Ktoś, kto nie obawia się grozić wicedyrektorowi Organizacji. — Will przymknął oczy i oparł czoło o czoło dziewczyny. — A ja nie mam nawet kawałka dowodu. Wszystko zniszczyli.

— Słuchaj no, Williamie Hunterze. — Jo cofnęła się lekko i ujęła jego głowę w dłonie, zmuszając go, by spojrzał jej w oczy. — Żaden skurwiel na tym świecie nie ma takich pleców, żeby się przed nami ukryć! Jeśli Ken Petty chce walki, to skopię mu włochate dupsko tak, że doleci aż do Inverness. Chcesz ich dopaść? To ich dopadniemy. Pieprzone sukinsyny nie mają szans.

Uśmiechnął się. Miała ikrę. A jej sutki stawały na baczność, gdy wpadała w gniew.

— Takie słownictwo u młodej damy?

— Ha, uwielbiasz, kiedy rzucam mięsem. — Przyciągnęła go do siebie i na kolejne dwie godziny całkowicie zapomniał o Kenie Peitai i o Sherman House.

* * *

Stoi przy oknie apartamentu, patrząc, jak Glasgow połyskuje pod strugami nocnej ulewy. Kocha to miasto bardziej niż wszystkie inne. Było dla niej jak matka, przez prawie dwanaście lat pozwalało jej żywić się swoimi mieszkańcami, nie zgłaszając przy tym ani słowa skargi.

Peitai i Kikan... To duże wyzwanie. Hunter to łatwizna, znalazła jego adres w szpitalnym archiwum. Wystarczy, że odwiedzi go dziś w nocy i pokaże mu kilka chirurgicznych sztuczek. Ale wytropienie Peitai i Kikana to o wiele cięższe zadanie. Nawet jeśli William Hunter wie, gdzie przebywają, dopadnięcie ich będzie znacznie trudniejsze.

Ale będzie się tym martwić jutro. Dzisiejsza noc ma upłynąć pod znakiem zabawy! I noży.

Na kuchennym stole leżą w rzędzie różne instrumenty do cięcia, wszystkie ostre i błyszczące. Dr Westfield z przyjemnością poświęca pięć minut na wybranie tych, z których skorzysta tej nocy. W końcu pakuje do torby nóż kuchenny, trzy skalpele i mały, przenośny lancet ultradźwiękowy, wraz ze środkami uspokajającymi wykorzystywanymi podczas ubezwłasnowłowania, czterema tubkami dermokleju i butelką dobrego wina. Wizyta bez upominku byłaby nietaktem.

Pani Bexley wreszcie ucichła, siedzi sobie przywiązana do krzesła.

— Tylko żebyś mi się tu zachowywała, kiedy mnie nie będzie, OK? — Głos dr Westfield wciąż brzmi trochę szorstko, ale robi nieustanne postępy.

Przejeżdża palcami po włosach pani Bexley. Kobieta zamyka oczy i dygocze, głośno wciągając powietrze nosem. Przerazona.

Dr Westfield uśmiecha się.

— Jesteś głodna? Spragniona?

Kobieta kiwa głową, po jej policzkach płyną łzy.

— To dobrze. — Dr Westfield narzuca na ramiona nowiutki płaszcz kupiony tego popołudnia w pewnym bardzo drogim butik. Armani. Bardzo stylowy. Jest już prawie za drzwiami, kiedy przypomina sobie o ręcznym paralizatorze zdobytym w szpitalu. To noc zabawy i noży, ale i paralizatorem można zrobić wiele ciekawych rzeczy, jeśli ustawić go na niski poziom rażenia i wycelować w odpowiednie części ludzkiego ciała. Ciekawych i bardzo bolesnych.

Na ulicach wciąż panuje ruch, mimo że jest już wpół do drugiej w nocy, a nad miastem przechodzi monsun. Klubowicze przemykają między poszczególnymi miejscami dającymi schronienie przed ulewą albo po prostu brną przez ścianę deszczu, wcinając chipsy i kebaby z klonowanego mięsa. Niektórzy są pijani, niektórzy naćpani, niektórzy szukają pretekstu do bójki, a jeszcze inni szukają miłości. Mogłaby zabrać kilkunastu z nich do domu, by wykapać się w ich krwi, i nikt by się nie zorientował.

Po przejściu przez Glebe Street schodzi śliskimi schodami do miejscowej stacji komunikacyjnej i wsiada do pierwszego wehikułu jadącego na zachód. Szkoda będzie opuszczać to piękne miasto, ale kiedy znowu zaczną się w nim znajdować martwe ciała, ludzie zaczną gadać. Dlatego będzie musiała po prostu zacząć od nowa gdzieś indziej — gdzie nikt nie zna jej *modus operandi* — ale będzie bardzo tęsknić za Glasgow.

Gdy pojazd podjeżdża na peron, dr Westfield dostrzega odbicie swojej twarzy widoczne w wypukłej, pleksiglasowej szybie. To twarz kogoś, kto zasłużył na odrobinę rozrywki. Na odrobinę zemsty.

* * *

Leżąc w ciemnej sypialni, Will starał się zidentyfikować hałas, który wyrwał go ze snu. Do jego uszu dochodziło ciche popiskiwanie termostatu, nieustanny szum panelu sterowania i głęboki oddech leżącej obok niego Jo, okutanej w kołdrę. Jakby ścisnął ją boa dusiciel... Leżał bez ruchu, wstrzymując oddech, starając się ponownie uchwycić tamten odgłos.

Cisza.

To pewnie tylko deszcz albo lodówka, albo ten idiota z dołu.

Ale wiedział, że skoro się już przebudził, to nie zdoła ponownie zasnąć, dopóki nie zajrzy do każdego pomieszczenia, by sprawdzić, czy nie kryje się w nim jakieś straszycło. Po cichu wymknął się z pościeli, narzucając na siebie szlafrok. Jego miniblaster tkwił w kaburze zawieszony u wezglowia łóżka, więc uwolnił metalową tubę w uchwytu i przekręcił ją, aktywując mechanizm. Urządzenie ożyło pod jego palcami, jego bateria była teraz gotowa, by zmienić w obłok zjonizowanego pyłu każdego, w kogo by wycelował.

Podchodząc do drzwi sypialni, zawahał się. Ktoś był po drugiej stronie, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Z bijącym sercem przekręcił klamkę i chyłkiem wszedł do salonu. Ogromne okna patio były częściowo zasłonięte przez opuszczone na trzech czwartych powierzchni rolety, tak że do wnętrza pomieszczenia przenikał jedynie blask zapalonych przed budynkiem latarni sodowych. Ich martwe, żółte światło zdawało się pogrążyć wszystkie przedmioty w jeszcze większym mroku, nadając cieniom wyrazistość prawdziwych obiektów.

Skradał się poprzez salon, zmierzając prosto do kuchni. Była pusta, podobnie jak gabinet. Do sypialni gościnnej nikt nie zaglądał od ośmiu lat, od czasu, gdy ojciec Janet przyjechał do nich w odwiedziny w tym samym roku, w którym umarł. Will pootwierał wszystkie szafy, ale nie znalazł w nich żadnych szkieletów, o których już wcześniej nie wiedział. A jednak był pewien, że ktoś jest w mieszkaniu...

Dźwięk nie był głośny, ledwie mocniejszy od słabego skrobnięcia plastiku o plastik.

Will wymknął się z gościnnej sypialni i stanął, wpatrując się w drzwi wejściowe. Przez szparę między nimi a podłogą sączyło się światło. Jakiś cień zamajaczył w korytarzu na zewnątrz.

Delikatne skrobanie rozległo się raz jeszcze i Will usłyszał ciche piknięcie. Słabe i dyskretne. Dźwięk otwieranego zamka przy wejściu.

Po cichu wycofał się do sypialni, zamykając za sobą drzwi niemal do samego końca. Ktoś włamywał się w środku nocy do jego apartamentu i Hunter był raczej pewny, że nie są to świadkowie Jehowy. Peitai. Ta mała gnida wykorzystwała gubernatora Clarka, żeby wyrzucić presję na dyrektora Smith-Hamilton. Wyglądało na to, że teraz zamierza rozwiązać problem z Willem w dużo bardziej permanentny sposób.

Hunter oparł się o ścianę i zaklął pod nosem. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była wizyta grupy interwencyjnej w jego domu o pierwszej czterdzieści pięć w czwartkową noc. Ci ludzie mają celowniki laserowe, czujniki podczerwieni, paralizatory, wyrzutnie, miotacze i Bóg wie co jeszcze. A on miał jedynie miniblaster... i sierżant Cameron.

Chwycił ręką za kołdrę, ściągając ją z łóżka. Zanim Jo zdążyła obrzucić go

przekleństwami, zasłonił jej dłonią usta i wskazał blasterem na drzwi sypialni. Dziewczyna spojrzała na niego gniewnie, gdy wtem gdzieś wewnątrz mieszkania rozległo się następne stuknięcie. Jej oczy rozszerzyły się gwałtownie.

Hunter cofnął dłoń, położył palec na ustach i wyszeptał:

— Ciii...

Jo zakłęła, a potem zaczęła zbierać swoje porozrzucane ciuchy.

Will aktywował nadajnik na szyi, ustawiając go na kanał kryzysowy.

— Centrala, tu Hunter, słyszycie mnie? — wyszeptał, wpychając do ucha słuchawkę.

— *Panie wicedyrektorze?*

— Potrzebuję tu oddziału szturmowców i to *natychmiast*.

— *Panie wicedyrektorze?*

— Po prostu przyślijcie ich!

— *Panie wicedyrektorze, wszystkie nasze drużyny są na akcjach...*

— Mam to gdzieś, choćbyś miał nawet zmobilizować swoją chorą babcię! Oddziały rezerwowe, cokolwiek! Tylko ich wy... — w słuchawce rozszalała się burza trzasków i Hunter musiał ją wyciągnąć.

Jo zapytała szeptem:

— Na czym stoimy? — Była całkiem naga, a w ręku trzymała nowiutki paralizator polowy. Urządzenie było trzy razy większe od jej poprzedniej broni, a jego migoczące kontrolki rozświetlały jej karmelową skórę łagodnym, błękitnym blaskiem. Uchwyciła jego spojrzenie i wzruszyła ramionami. — No co? Uznałam, że skoro mam się z tobą zadawać, to lepiej skołuję sobie lepszą giwerę.

— Zakłócają łączność. Zostaliśmy sami. Nie wyślemy żadnego komunikatu ani nic do nas nie dojdzie.

Zakłęła po cichu.

— Ilu ich jest?

— Nie wiem. — Will podkręcił swój blaster na maksymalną moc. — Przynajmniej czterech.

— To czemu tyle zwlekają?

— Skąd mam, do diabła... — Odchrząknął. — Przepraszam. Robię się trochę spięty, kiedy próbują mnie zabić.

Siedzieli obok siebie w ciemności, mierząc w nieznacznie uchylone drzwi.

— Może przeszukują poszczególne pomieszczenia?

Will pokręcił głową.

— Jeżeli mają gogle na podczerwień, to widzą nasz ślad cieplny. Nie muszą szukać.

— A co, jeśli mają gogle noktowizyjne wzmacniające światło?

Hunter już otwierał usta, żeby powiedzieć „Nie bądź niemądra”, ale było to *jakieś* wyjaśnienie, dlaczego intruzi nie wtargnęli jeszcze do sypialni. Po jego wargach przemknął uśmiech. Jeśli korzystali z gogli wzmacniających światło, to czekała ich przykra niespodzianka.

Podkraść się do drzwi, trzymając się tuż przy ścianie.

— Zasłoń oczy i przygotuj się do biegu.

Z salonu dochodził odgłos miękkich, ostrożnych kroków. Zbliżali się.

Will zaryzykował i zerknął do salonu, wykorzystując do tego szparę między drzwiami a framugą. Jego wzrok trafił prosto na spojrzenie dziwnie wyglądającego stwora w goglach. W ułamku sekundy, jaki zajęło im wzajemne rozpoznanie, Hunter zauważył jego buty, hełm z kamerą, ciężkie rękawice i pełnowymiarowy blaster.

Zamknął oczy i krzyknął:

— Światła!

Całe mieszkanie rozbłysło nagle jasnym blaskiem, jak w środku dnia — przez zamknięte powieki Willa przeświecała różowa poświata — a potem wypełniło się przekleństwami.

— Wyłącz światła! — Chwyć Jo za rękę i wypadł z sypialni.

Oczy Huntera wciąż były przystosowane do mroku, kiedy wpadł na pierwszego szturmowca z blasterem, zwalając go z nóg. Mężczyzna upadł, miażdżąc stolik do kawy, wciąż przyciskając dłonie do gogli, oślepiony nagłą jasnością. Pomieszczenie roiło się od ludzi mających ten sam problem, którzy potykali się o sprzęty i zasłaniali oczy rękoma. Will ruszył w kierunku drzwi wejściowych, a Jo deptała mu po piętach.

Dziewczyna wystrzeliła ze swojego paralizatora, posyłając błękitną błyskawicę w stronę najbliższego intruza. Mężczyzna wrzasnął i poleciał do tyłu, uderzając jak iskrząca kula armatnia prosto w panel sterowniczy, a wszystkie mięśnie jego ciała zwinęły się w konwulsyjnym skurczu. Rozległ się ryk trzymanego przez niego miotacza i na policzek Willa trysnęło coś czerwonego. Odwrócił się w samą porę, by zauważyć człowieka w bojowym rynsztunku telepiącego się na podłodze z wielką wyrwą w klatce piersiowej.

Will nie zamierzał się zatrzymywać przy frontowych drzwiach, tylko wybiegł na zewnątrz, a przekraczając próg, ponownie wrzasnął:

— Światła! Popędził razem z Jo w stronę windy ścigany odgłosami kolejnych przekleństw.

Dziewczyna była z jednej strony kompletnie spryskana czymś malinowym. Mimo że zupełnie nic na sobie nie miała, nie był to erotyczny widok.

Zatrzymali się dopiero na końcu korytarza. Hunter uderzył w przycisk od windy, rozległo się piknięcie i drzwi rozsunęły się, ukazując zaskoczoną kobietę w bojowym rynsztunku, z opuszczonym blasterem opartym o stopę.

— Kurwa mać! — Jo strzeliła jej paralizatorem prosto w twarz.

Z głowy kobiety sypnęło gorącymi, błękitnymi iskrami, po czym w kabinie rozległ się ogłuszający ryk odruchowego wystrzału z blastera, który urwał jej kawałek stopy i rozwalił fragment podłogi.

— Przestań już! — Will wskoczył do windy. Wypełniała ją różowa mgiełka śmierdząca surowym mięsem i spalonym ozonem. Z okaleczonej nogi szeregowej tryskał strumień gorącej, czerwonej krwi, rozlewającej się w śliską kałużę i przeciekającej przez dziurę w podłodze. Spływającej pięćdziesiąt siedem pięter w dół.

— Nie narzekaj, tylko nas stąd wydostań! — Jo opadła na kolana i wyrwała blaster z rąk nieprzytomnej kobiety.

Will wcisnął guzik na stację komunikacji miejskiej pod budynkiem i oparł się o chłodną, lustrzaną ścianę kabiny. Drzwi zasunęły się za nimi i winda ruszyła na dół.

Jo wyplątała z upręży wstrząsane drgawkami ciało szeregowej, rozciągniętej na środku podłogi.

— Widziałeś, ilu ich było?

— Naliczyłem siedmioro, plus ta tutaj. Standardowa grupa interwencyjna składa się z dziesięciu osób, nie licząc pilota. Podejrzewam, że kolejnych dwoje osłania wyjścia.

— Łap. — Rzuciła mu uprząż, którą od razu zainstalował na swoim szlafroku, okręcając ją w taki sposób, by zapasowe baterie do broni były tuż pod ręką. Gdy już wszystko podopinał, podała mu blaster, po czym wybuchnęła śmiechem. — Ale wyglądasz!

— Przynajmniej jestem ubrany!

— Racja. — Jo rozsunęła suwak na przedzie kombinezonu nieprzytomnej szeregowej, posadziła ją pod ścianą i zaczęła uwalniać jej kończyny z rękawów i nogawek. — Ile jeszcze? — zapytała, próbując przeciągnąć ostatnią nogawkę przez ciężki but kobiety.

— Trzyście pięter. — Winda zaczynała już hamować.

— Kurwa!

- Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem...
- Nie mogę ściągnąć tego cholerstwa przez ten pieprzony but!
- Dwa, jeden.

Winda piknęła i Will przywarł do tylnej ściany kabiny z blasterem wycelowanym prosto w drzwi. Gdy ich połówki zaczęły rozsuwać się na boki, jego oczom ukazał się peron. Stało na nim dwóch mężczyzn — jeden trzymał miotacz, a drugi karabin soniczny, obydwaj mierzyli w jego kierunku.

Will nie czekał, aż się przedstawią, tylko szarpnął za cyngiel blastera, wybijając w drzwiach windy dziurę na wysokości piersi. Obydwaj mężczyźni padli na ziemię, starając się zejść z toru strzału, podczas gdy Hunter trzymał przycisk, wypełniając powietrze oparami metalu i jakby brzęczeniem torturowanych pszczół. Jednocześnie drugą ręką grzmotnął w panel sterowania, posyłając kabinę z powrotem na parter. Przez liczącą cztery stopy średnicy dziurę można było zobaczyć przemykające ściany szybu windy.

— Udało się! — Jo wstała, trzymając w dłoniach postrzępiony kombinezon. Zdołała naciągnąć jedną nogawkę, gdy kabina zatrzymała się gwałtownie, a Will wypchnął ją do holu budynku.

— Co to miało być, do cholery? — Dziewczyna zatoczyła się na ścianę i w tym samym momencie podłoga windy eksplodowała. Nieprzytomne ciało jednonogiej szeregowej podrygiwało w rytm rozszarpujących je wystrzałów.
— A, teraz rozumiem.

Z masywnej, zdobionej brązem i marmurem portierni wypadł pan Duncan, gospodarz domu.

— Co tu się, do diabła, wyrabia?

— Proszę wracać za biurko i nie wychylać głowy! — Will ruszył w stronę głównego wejścia, ciągnąc za sobą Jo. — I niech pan dzwoni po pomoc!

Obydwoje wypadli na ulicę, pod strugi ulewy.

Jo zdołała wreszcie wcisnąć ręce w rękawy kombinezonu.

— Dokąd teraz?

— Tędy. — Wskazał na dróżkę zaczynającą się po drugiej stronie ulicy, wiodącą w najdziksze ostępy Kelvingrove Park. — Jeśli pójdziemy gdziekolwiek indziej, złączą ginąć ludzie.

— Uwierz mi — powiedziała, przebiegając wraz z nim przez bramę parku — że jeśli te skurwysyny się do mnie zbliżą, to naprawdę złączą ginąć ludzie.

Will był już całkiem przemoczony, połę jego szlafroka łopotały za jego plecami niczym peleryna. Jego blaster miał w sobie wciąż dość mocy na dwa, trzy wystrzały, a na uprzęży miał przyczepione parę zapasowych

baterii. Jeśli zdołają znaleźć jakąś dobrą kryjówkę, to może uda im się wyjść z tego z życiem.

Pędzili na bosaka w głąb parku, między syczącymi kulami żółtego światła, aktywując po drodze kolejne hologramy reklamowe. Will ponownie spróbował uruchomić mikrofon na szyi.

— Centrala, słyszycie mnie?

Odpowiedź była nieczytelna — drobne urywki słów przetykane falami głośnego szumu.

— Masz coś? — Jo miała już ciężki oddech, podobnie jak i on sam.

— Aparatura zagłuszająca przerywa sygnał. Być może grupa wsparcia jest już w drodze, ale nie wiem, ile im to zajmie.

Obejrzał się przez ramię dokładnie w momencie, kiedy siedmiu ciężko uzbrojonych szturmowców wypadło przez drzwi wejściowe jego budynku, zatrzymując się gwałtownie na chodniku. Przez chwilę wydawało się, że ich nie zauważą... ale jeden z napastników musiał dostrzec linię migoczących reklam, które zostawili na swojej drodze, bo wskazał dokładnie w ich kierunku.

— Skurwiel! Musimy się schować! — Jo chwyciła Huntera za połą przemoczonego szlafroka i skręciła prostopadle do ścieżki, ciągnąc go w mrok.

Zimna, śliska trawa smagała ich łydki, a deszcz i noc szybko pochłoneły wątłą poświatę lamp sodowych. Było zbyt ciemno, by dostrzec własną dłoń trzymaną na wprost twarzy, nie mówiąc już o kierunku, w którym zmierzali. Will potknął się, grzmotnął o ziemię i przejechał po błocie aż pod gałęzie jakiegoś kanciastego krzewu, skręcając sobie kostkę.

Z tej przekrzywionej pozycji mógł dostrzec szturmowców z grupy interwencyjnej pędzących parkową ścieżką. Wyglądali jak wypolerowane chrząszcze, a światło lamp sodowych barwiło ich pancerze matowym blaskiem.

— Will?

— Ciii! — syknął przez zaciśnięte zęby. — Uciekaj stąd. Ja ich zatrzymam.

— Jeszcze, kurwa, czego. — Padła na błotnistą ziemię tuż obok niego.

— Mamy o wiele większe szanse, jeśli się rozdzielimy.

Pokręciła głową, ale Will wyciągnął ręce i ujął jej twarz w dłonie. — Musisz iść. Musisz się stąd oddalić tak bardzo, jak to tylko możliwe.

— Nie odejdę...

— Pewnie, że nie. Po prostu się rozdzielimy, to wszystko. Żeby było im trudniej nas odnaleźć. — Kostka rwała niemiłosiernie, nie było mowy o

szybkiej ucieczce i zdawał sobie z tego sprawę. — Kiedy wyjdiesz z parku, wskocz do jakiegoś autobusu i odjedź gdzieś daleko. Jak tylko znajdziesz się poza zasięgiem zagłuszania, zadzwoń do centrali i ściągnij tu grupę interwencyjną.

— Ja...

Will przyciągnął ją do siebie i złożył na jej ustach miękki pocałunek.

— Tam są! — Okrzyk, a tuż po nim przenikliwy gwizd miotacza ustawionego na pełną moc. Huknęło, i tuż przed miejscem, gdzie siedzieli, eksplodowała fontanna przemoczonej murawy, opadająca na ziemię pod postacią błotnistego deszczu.

— Ruszaj!

Jo nie potrzebowała, by jej powtarzać. Poderwała się i popędziła prosto w krzaki.

Will podniósł swój blaster i uruchomił celownik laserowy. Spod krzaka wystrzeliła ostra, zielona linia, mierząca prosto w klatkę piersiową wykrzykującego szturmowca. Hunter szarpnął za spust i tors mężczyzny zmienił się w obłok pary. Jego czterej koledzy patrzyli jak zahipnotyzowani, jak jego ramiona opadają na biodra. Następnie krwawy zezwłok przewrócił się na ścieżkę, otoczony kłębamii czerwonej mgiełki. Kiedy zielony promień ruszył w stronę następnego z nich, wszyscy padli gwałtownie na ziemię. Ale dopiero po tym, jak Will strzelił po raz drugi. Blaster zawarczał i jeden z napastników stracił wszystkie narządy między swoim lewym łokciem a kręgosłupem. Pozostali poderwali się na nogi i zaczęli wiać na złamanie karku, starając się zniknąć z otwartej przestrzeni, zanim Will strzeli ponownie.

Hunter wybrał jednego na chybił trafił i wypalił mu skórę na plecach, po czym broń zadzwieczyła w jego rękach, sygnalizując koniec baterii.

— Trzech z siedmiu. Nieźle, jak na półnagięgo kolesia w szlafroku. — Will ustawił blaster na sztorc i wystrzelił pustą baterię na zablocony trawnik. Słyszał, jak szturmowcy przedzierają się przez krzaki po jego obydwu stronach, próbując wykorzystać czas potrzebny na przeładowanie, by go oskrzydlić. Uśmiechając się ponuro, wpakował następną baterię do magazynka i podkręcił moc do oporu. Kontrolki zamigotały wzdłuż obudowy broni, a ukryte wewnątrz elektrody zaczęły wibrować.

Ciemność nocy rozdarł nagle błękitny błysk. Krzak po jego lewej stronie rozleciał się na pojedyncze molekuly, a rześisty deszcz porwał ze sobą rozpylone fragmenty chlorofilu. Hunter wytypował potencjalne źródło ostrzału i przejechał ten obszar swoim blasterem. Kawałki zarośli wystrzeliły do góry, iskrząc od naelektryzowania. Obracał broń do przodu i do tyłu, niszcząc wszystko w jej polu rażenia, a ogłuszający ryk wystrzałów sprawiał, że zaczęły mu dzwonić zęby i przytknęło mu uszy. Huk był ogłuszający.

Nie usłyszał, kiedy podchodzili go od tyłu, dopóki niemal na niego nie nadepnęli.

Will okręcił się w miejscu razem z blasterem, rozorując nim ziemię i krzaki, ani na chwilę nie puszczać naciśniętego spustu. Pierwszy, który wyskoczył z krzaków, wyłapał pełną salwę prosto na twarz. Jego ciało wykonało jeszcze jeden krok, po czym dotarło do niego, że ośrodek, który nim sterował, już nie istnieje, i padło na ziemię, tryskając tętniczą czerwienią na zmłóconą przez deszcz trawę. Następny szturmowiec uchylił się przez wystrzałem i walnął Willa w pierś, wywracając go prosto w zakrwawione błoto.

Hunter poczuł, jak coś twardego uderza w bok jego głowy, tak że aż ją okręciło. Przed oczami zamigotały mu żółte plamy. Świat zawirował. A potem ktoś wskoczył na niego, siadając na nim okrakiem i wpychając go w grzęzawisko. Ekspłodował bólem, gdy atakująca go kobieta chwyciła pełną garść jego włosów i odepchnęła jego głowę na ziemię. Gruchnęła go pięścią w nos i poczuł, jak jego gardło zalewa ciepłą, słoną krew. Kolejny cios podbił mu lewe oko, wbijając jego głowę jeszcze głębiej w błoto.

Próbował zrzucić ją z siebie, ale suka ważyła swoje, a jej ciężar przygniatał go do ziemi i pozbawiał możliwości ruchu.

Pięść trafiła go w lewy policzek i do jego uszu dobiegł zaskakująco wyraźny, stłumiony trzask pękającej kości.

Jego dłonie gorączkowo rozgarniały błoto, szukając czegoś, *czegokolwiek*, czym mógłby się bronić. Wtem dotknął palcami jakiegoś buta — należącego do bezgłowego szturmowca.

Napastniczka ponownie walnęła go pięścią. Will poczuł przeszywający ból łamanych zębów. Zbierało mu się na wymioty, z jego popękanych warg tryskała krew.

Z góry dobiegł do niego głos:

— Ty pierdolony skurwysynu!

Kolejny cios.

Will chwycił za but, obmacując jego powierzchnię. Nóż w cholewie. Spraw, Boże, żeby tam był... Bingo. Zaczął szarpać za rzemyk mocujący ostrze w pochwie. Wyłuskał je wreszcie, czując pod palcami chłodny dotyk rękojeści. Miał wrażenie, że odpływa.

Nie mógł myśleć.

Był oszołomiony.

Ciemność...

Ktoś wrzeszczał na niego z góry, drąc mu się prosto w poobijaną twarz, przywracając go do świadomości. Zdrowym okiem dostrzegł, jak siedząca na nim kobieta ponownie bierze zamach pięścią. Will wbił jej nóż tuż za kostką

i przekreślił ostrze, aż poczuł, jak pęka ścięgno Achillesa.

Krzyk. Ciężar spadł mu z piersi. Napastniczka tarzała się w błocie, ściskając kurczowo nóż wystający z jej nogi.

— Ty skurwielu! Moja pieprzona noga! Ty gnoju! Aaach, Jezuuu!

Will przetoczył się na bok i zwymiotował krwią, gorzką i słoną. Huczący mu w głowie hałas przychodził falami, co chwilę odrywał się od rzeczywistości i zaraz z powrotem do niej wracał.

— Ty pierdolony chuju!

Spróbował się ruszyć, ale organizm nie chciał go słuchać. Mógł tylko leżeć, gdy szeregowka podniosła się na klęczki, wygrzebując z błota jego porzucony blaster. Miała bladą twarz, zaciśnięte zęby i oczy skurczone we wściekłe, ciemne szparki, ale i tak nie można jej było z nikim pomylić. Podczas ich pierwszego spotkania miała na sobie plemienne blizny i eklektyczne fatałaszki. Za drugim razem nosiła zwyczajny strój i rozmawiała z mężczyzną w długim, czarnym płaszczu. Raczej grubokoścista niż otyła. Jej rude włosy były teraz schowane pod bojowym hełmem.

— Pierdolić rozkazy, zajebię cię!

Po bokach broni zamigotały kontrolki, a powietrze przeszył suchy trzask. Błyskawica walnęła ją prosto w pierś i Will usłyszał ostry warkot blastera, odpalonego wskutek niekontrolowanych skurczy mięśni. Jej sztywne ciało rozbłysło gwiazdozbiorem błękitnych iskierek, po czym runęło w błoto, rozchlapując wodę.

Willowi chciało się śmiać, ale z jego ust wydobył się jedynie skrzypiący charkot oraz jeden z trzonowych zębów. Pozostał na leżąco, krwawiąc na przesiąkniętą od deszczu ziemię. A potem spokojnie stracił przytomność.

25

— Jak to „zgubiliśmy go”? Ken Peitai stał w ciemnej ładowni ścigacza, patrząc na zawieszony naprzeciw swojej twarzy monitor, a to, co na nim oglądał, w ogóle mu się nie podobało. Wyruszył z grupą ciężko uzbrojonych szturmowców, by zgarnąć *jednego* człowieka, a te bezużyteczne sukinsyny dały się pobić. Jeden nieżywy w mieszkaniu Huntera, a drugi nieprzytomny. Jeden rozwalony na kawałki na dnie szybu windy. Trzech martwych na polanie w Kelvingrove Park. Jeden pozbawiony głowy w krzakach, a następny znokautowany. Zostało tylko dwóch, a do tego zgubili przeklęty obiekt.

— *Przykro mi, proszę pana. Nie ma po nim ani śladu. Poszerzamy strefę poszukiwań...*

— Możecie nawet powpychać sobie do tyłków ananasy, ale macie go znaleźć! I tę sukę z policji, która z nim była. Jeżeli któreś z nich dotrze do prawdziwego świata, *osobiście* zadbam o to, żebyście spędzili resztę waszego nędznego życia jako króliki doświadczalne do testowania kolejnej porcji formuły! Czy wyrażam się jasno?

— *Tak jest!*

Ken kliknął przycisk „rozłączyć”. Tokumu Kikan był już i tak w kiepskim humorze. Jeśli dotrze do niego, że to spieprzyli, wybuchnie.

A przecież wyglądało to na łatwiutką akcję: wejść, zgarnąć Huntera i wyjść, zabrać go do jakiejś kryjówki, torturować, przesłuchiwać i zlikwidować.

Więc jakim cudem miał teraz sześciu martwych szturmowców i dwóch nieprzytomnych?

W końcu koleś był tylko wicedyrektorem Organizacji, a nie jakimś cholernym supermenem.

— Kapitanie — Ken włączył interkom zainstalowany obok monitora — proszę startować tym żelastwem. Zrobimy kółko nad tym cholernym parkiem.

— *Mieliśmy rozkaz, żeby nie rzucać się w oczy, proszę pana...*

— Wolałby pan, żebym tam poszedł i zmusił pana do wykonania mojego polecenia? Naprawdę chce pan tego?

— *Nie, proszę pana.*

Rozległ się warkot włączanych silników wprawiający komorę zrzutową w lekkie wibracje. Ken poczuł, jak podłoga unosi się pod jego stopami, po czym ścigacz ześlizgnął się z krawędzi budynku i ruszył w stronę centrum parku.

Hunter nie wymknie się po raz drugi.

* * *

Sierżant Jo Cameron padła na ziemię jak worek żwiru. Ktoś wpakował się jej na plecy, wciskając jej twarz w mokrą ziemię. Zadała do tyłu cios łokciem, który walnął w coś twardego. Napastnik stęknął i zsunął się nieco na bok. Jo wparła kolano w przemoczoną trawę i szarpnęła się do góry, całkowicie sukinsyna zrzucając.

Nastąpiła zamiana ról i teraz to ona siedziała okrakiem na tym mężczyźnie, wpychając mu w twarz swój paralizator tak mocno, że złamała mu cztery przednie zęby.

— Zły ruch, złotko. — Podkreśliła moc do oporu. — Masz dokładnie trzydzieści sekund, by mi powiedzieć, kim i skąd ty, do diabła, jesteś, albo przysmażę ci łeb. Kapujesz?

Napastnik tylko się na nią gapił. Krew ściekała mu z poranionych ust na brodę, z której zniknęła splukana ulewnym deszczem.

— Dwadzieścia pięć, dwadzieścia cztery, dwadzieścia trzy...

Mężczyzna nawet nie drgnął.

— Dwadzieścia, dziewiętnaście, osiemnaście... — Ponownie wcisnęła mu paralizator w twarz, rozcinając mu przy tym policzek celownikiem. — Ja tu wcale, kurwa, nie żartuję!

— Dwanaście, jedenaście, dziesięć, dziewięć, osiem... — Walnęła go raz jeszcze, przykładając mu rękojeść broni do łuku jarzmowego.

Koleś tylko stęknął.

— Pieprzyć to. — Jo spojrzała w oczy zakrwawionego mężczyzny i splunęła. — Jesteś zbyt tępy, by wiedzieć, kiedy masz przejebane. Wetknęła mu lufę broni pod włochaty podbródek.

— No to pa.

Nie zauważyła drugiego szturmowca, skradającego się za jej plecami, ale poczuła uderzenie, jakie wymierzył jej w potylicę kolbą swojego karabinu. Przed oczami eksplodowała jej feeria pomarańczowych iskier.

Paralizator wyslizgnął się jej z palców i powoli osunęła się w błoto.

* * *

Ścigacz mknął zygzakiem poprzez ścianę deszczu, omijając rozjarzone latarnie sodowe zawieszane nad ścieżką. Silniki obróciły się z ogłuszającym rykiem i siła odrzutu wprasowała trawę w ziemię, po czym pojazd osiadł na rozmiękłym gruncie, wysuwając trzy segmentowane wsporniki. Wyglądał teraz jak ogromna, metalowa pchła, pozbawiona wszelkich widocznych oznak uzbrojenia. Na boku kadłuba widniało logo nieistniejącej firmy

inżynieryjnej, namalowane pomarańczową, łuszczącą się farbą.

Ken Peitai zszedł po tylnej rampie, na głowie miał hełm z noktowizorem, a w rękę ściskał w pełni naładowany miotacz. Wychodząc na monsunowy deszcz, ustawił swoje gogle na widzenie w słabym oświetleniu. W ciemności zarysowały się intensywnie zielone kontury i pastelowo zielone kształty. W pobliżu leżały na ziemi trzy ciała: w jednym brakowało wszystkiego między ramionami a biodrami; w drugim zionęła ogromna dziura w miejscu, gdzie powinny się znajdować serce, płuca i ręka; kręgosłup trzeciego, położonego nieco dalej od innych, był tylko mglistym wspomnieniem, z gładkiego otworu w plecach wyzierały białe końcówki żeber.

Ken aktywował mikrofon na szyi.

— Wyłaż z kabiny i pakuj tych umarłaków do ładowni.

— *To chyba nie jest dobry pomysł, proszę...*

— Lepiej, żebym nie musiał ci powtarzać... Złaż tutaj i ich zabieraj, natychmiast! Ja pójdę sprawdzić, czemu reszta twoich przygłupowatych koleżków tak się z tym grzebie.

To niedorzeczne. Ktoś na jego stanowisku nie powinien być zmuszony, by babrać się w błocie i poszukiwać kretynów, którzy mieli przecież znać się na swojej robocie!

— Dobra, małpowate łajzy, meldujcie, co załatwiliście!

— *Tu Armstrong, proszę pana. Mamy jedną osobę!*

— Najwyższy czas! — Ken uśmiechnął się do zacinającego deszczu. — Które z nich znaleźliście?

— *Kobietę: pięć stóp dziewięć cali wzrostu, ma na sobie jeden z naszych kombinezonów. Skąd ona wytrzasnęła nasz...*

— Nie przejmuj się tym. Żyje?

— *Tak, jest tylko nieprzytomna.*

— Dobra, dawajcie ją tutaj. — Omiótł park uzbrojonym w gogle spojrzeniem, szukając następnych dwóch szturmowców. — Banda małp. — A przecież dostawali całkiem niezłą pensję. — Gdzie jest, do cholery, Carter?

W jego uchu odezwał się ten sam głos:

— *Carter jest ze mną, proszę pana.*

— Sam nie może się odezwać?

— *Nie, proszę pana, ma złamaną szczękę. Młoda dama skopała mu tyłek.*

— Tylko tego mi trzeba. Pieprzony, zarośnięty niemowa.

Tuż obok rozległo się stękanie pilota, ciągnącego jedno z ciał do ścigacza. Zwłoki zostawiały na ziemi rozmazaną smugę krwi. Jak jakiś ślimak z

krwotokiem. Na podstawie ułożenia ciał można było bezpiecznie założyć, że zabójca szturmowców był ukryty w krzakach.

— Czy ten włochaty zasraniec da radę przynieść tu kobietę?

— *Tak jest.*

— No to zapieprzaj tutaj i znajdź mi Huntera.

— *Yyy... ale jak?*

— Jak to „jak”? Namierz lokalizatory, na miłość boską!

— *Sprzęt do zagłuszania blokuje sygnał — łapię tylko szum.*

— Jezu... — Niewiarygodne. Na cholere wszczepiać ludziom czipy lokalizujące, jeśli nie można ich wykorzystać? Ken złapał pilota idącego po następne ciało. — Wracaj tam i wyłącz to cholerne zakłócanie.

Pilot obrzucił go wzrokiem. Otworzył usta. Ponownie je zamknął. Na moment zamknął oczy.

— Jeśli wyłączymy sprzęt zagłuszający, sfilmuje nas każda kamera miejskiego monitoringu. Każdy śmigłowiec organizacji w tym rejonie będzie znał nasze położenie. Będziemy mieli przesrane.

Miał rację.

Ken popatrzył na ciemny park. Wszystko się sypało.

— Ładuj zwłoki na pokład.

— Tak jest. — Pilot zrobił to, co mu kazał. Chociaż ten jeden raz.

— Armstrong! — Ken aktywował mikrofon na szyi. — Kontynuować zagłuszanie.

— *Ale jak mam...*

— Po prostu rusz dupę i znajdź mi sukinsyna.

— *Park jest ogromny, nie mogę...*

— Chcesz wypróbować następną wersję formuły? Co? Tego właśnie, kurwa, chcesz?

— *Nie, proszę pana!*

Miał do dyspozycji samych pierdołów.

Ken ruszył w stronę krzaków, trzymając swój miotacz w gotowości do strzału. Tuż za zewnętrznym kręgiem zieleni znajdował się skotłowany plac wyglądający, jakby ktoś zdarł wszystko z ziemi aż do samego gruntu. Na trawie leżał jakiś biedny sukinsyn, który nie miał już na co założyć kapelusza. Z tylnej części nogi następnej szeregowej wystawał wielki, brudny nóż, sterczący jak jakiś uchwyt.

Wygląd podłóża sugerował, że ciągnięto tu kogoś w stronę zarośli — byle dalej od tego miejsca. Ken przeszedł trzy kroki w tamtym kierunku, po czym stanął. Kobieta była już w ich rękach, Hunter wciąż pozostawał na wolności, zdołali też ustalić los wszystkich członków grupy interwencyjnej. W takim razie kto odciągnął stąd jakieś ciało?

— Armstrong — powiedział do mikrofonu — gdzie jesteś?

— *Szukam tego żołnierzyka z Organizacji. Tak jak pan kazał.*

— Nie ma go z tobą?

Zapadło krótkie milczenie.

— *Nie, proszę pana. Gdybym go miał, to bym panu powiedział.*

— W takim razie kogo tam słyszeć?

— *Meneli? Dilerów, ćpunów, dropsiarzy, heroinistów, zboczeńców, bandziorów...*

— Dobra! Starczy już, pojąłem. — Ken rozejrzał się po zdewastowanej polance, licząc na jakieś olśnienie, ale nie dostrzegł nic poza parą zwłok. — Cholera.

— *Tak?*

— Biegiem tutaj, koleś. — Spojrzał gniewnie na mieniące się zieloną poświatą, nocne niebo. — Gdzie cię, do diabła, wcięło, Hunter?

* * *

Kobieta pada na kolana i wpatruje się w jego poobijaną twarz. Jedno oko niknie już za opuchlizną. Ma złamany nos, uwalany zakrzepłą krwią, a lewa strona jego twarzy wygląda na dziwnie zdeformowaną. Wyciąga rękę i dźga go w policzek, czując kość poruszającą się pod jej palcami.

Przynajmniej jeszcze oddycha. Widać, jak jego pierś unosi się i opada, jak krew rozplywa się na deszczu...

To rozczarowujące. Nie tak to sobie wyobrażała. Miało być idealnie. Tak długo czekała na tę chwilę, ale teraz, gdy wreszcie nadeszła — a Hunter leży kompletnie poobijany i bezradny — po prostu czuje, że to nie to. Powinien być przytomny i przerażony. Musi wiedzieć, że zabrała mu *wszystko*: żonę, przyszłość i życie.

Ma cierpieć.

Kobieta siada na ziemi i patrzy na krople deszczu rozbijające się o jego bladą skórę.

Mogłaby to wszystko skończyć, dokładnie w tej chwili. Wystarczyłoby walnąć go pięścią w szyję, zmiażdżyć mu tchawicę i zostawić go, by zadławił się własną krwią. Mogłaby też wyciągnąć z plecaka jeden z noży i poderżnąć

mu gardło. Albo wziąć tubkę dermokleju i zalepić mu usta oraz nos, żeby się udusił... Tylko po co, jeśli nie będzie wiedział, że to jej sprawka?

Kobieta głaszcze go po policzku, czując, jak krótki zarost kłuje jej palce. Ludzie w militarnych wdziankach zepsuli jej zemstę. Wszystko zrujnowali.

Spogląda w głąb parku, podążając wzrokiem za wygniecionym śladem na trawie, do miejsca, gdzie go odnalazła w chwili, gdy miał być właśnie rozwalony na kawałki przez kobietę z nożem w nodze.

Rozpoznaje ten uniform. Bojowy mundur jednostek specjalnych. Taki jak te, które mieli na sobie strażnicy w komnacie tortur Peitai i Kikana.

— Peitai...

Nie ma sensu mordować Williama Huntera. Nie teraz, kiedy jest w tym stanie. Trzeba natomiast ukarać Peitai i Kikana.

Kobieta pochyła się i składa pocałunek na posiniaczonym i zakrwawionym czole Huntera. Będzie jeszcze mnóstwo czasu, by go potortuować, kiedy się z tego wyliże.

I wtedy nadciąga kawaleria.

— Nie ruszać się!

Kobieta zastyga w bezruchu. Zza wielkiego rododendrona wyłania się policjantka. W rękę trzyma wielki paralizator polowy. Broń jest włączona, na jej rozgrzanej lufie parują krople deszczu.

Dr Westfield wstaje.

— Musi mi pani pomóc! — Jej głos działa już niemal idealnie, jedyną pozostałością faktu, że przez sześć lat była pozbawiona strun głosowych, jest leciutka chrypka.

Policjantka nie opuszcza swojego paralizatora.

— Kazałam ci się nie ruszać.

— Ten człowiek został napadnięty!

— Fakt. — Funkcjonariuszka podchodzi trochę bliżej. — A kto zaręczy, że to nie ty go napadłaś?

Przez ciało Huntera przebiegają drgawki, a z jego ust wydobywa się jęk, cichy, bolesny dźwięk, ale to wystarcza, by policjantka spuściła ją z oczu. Dr Westfield rzuca się na nią, przewraca ją na ziemię i ucieka w głąb ciemnych zarośli.

* * *

— *Proszę pana, mamy poważny problem!*

— Jezu, co znowu? — Ken włączył celownik na swoim miotaczu, omiatając zarośla jego światłem. Otaczające go krzaki były coraz gęstsze i coraz

ciemniejsze, za to wygnieciony ślad nagle się urwał. Był przemoczony do suchej nitki, nie znalazł Huntera, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, była kolejna porcja marudzenia tego pierdołowatego pilota.

— *Nadlatuje śmigłowiec Organizacji. Będzie lądował za dwie minuty dwadzieścia sekund.*

Ken splunął w deszcz — ta noc coraz bardziej się rozkręcała.

— Jakie mamy opcje?

Pilot odpowiedział bez najmniejszego zająknięcia.

— *Zwiewać.*

— Nie da się.

— *Nie możemy się im stawiać. To zasaństwo nie ma szans w starciu z taką siłą ognia.*

Ken zacisnął zęby. Cała ta operacja zmieniła się w jeden wielki pierdolnik. Może i udało im się złapać tę policjantkę, ale powrót bez Huntera był taką samą porażką jak powrót z pustymi rękami. Stary go zabije.

— *Szacowany czas do lądowania: minuta pięćdziesiąt sekund. Musimy ruszać, proszę pana, albo wjadą nam w tyłek!*

— KURWA! — Ken odwrócił się w stronę oczekującego ścigacza. — Mamy twoją dziwkę, Hunter! Słyszysz mnie? — Oddał kilka strzałów na chybił trafił, posyłając w powietrze pióropusze błota i zielska. — Mamy ją i jeśli tylko otworzysz gębę choćby na milimetr, to osobiście pokroję jej twarz!

Wskoczył na rampę, gdy silniki ścigacza warczały już na pełnych obrotach.

— *Minuta trzydzieści sekund.*

— SŁYSZYSZ MNIE, HUNTER? POKROJĘ JEJ PYSK NA KAWAŁKI!

Maszyna zerwała się do lotu jeszcze w trakcie wciągania trapu. Ken przeszedł chwiejnie przez ładownię, zataczając się, kiedy pojazd przyspieszył, śmigając nisko nad ulicami. Uciekając tak prędko, jak to tylko umożliwiały dwie masywne turbiny, zanim rozpęta się piekło.

W przegrodach po obu stronach ładowni było pełno martwych ludzi. Niektórym brakowało głów, innym pleców, jeszcze inni pogubili wnętrzności. Bezużyteczne sukinsyny. Dwóch nieprzytomnych szturmowców zwisało w swoich uprzężach, kołysząc się w przód i w tył pod wpływem manewrów pojazdu. Na samym końcu pomieszczenia leżała ich nagroda pocieszenia po dzisiejszej klęsce: sierżant Josephine Cameron.

Cienka strużka krwi ściekała jej po karku z miejsca, gdzie Armstrong palnął ją w potylicę. Ken złapał ją za włosy i podciągnął jej głowę góry. Była ładna. Nie oszałamiająco piękna, ale całkiem niezła.

Sześciu martwych, dwóch nieprzytomnych i jeden ze złamaną szczęką.
— Lepiej, żebyś była tego warta.

26

Ważka przechyliła się ostro na lewo i poszybowała w dół, jak rollercoaster dla wariatów ze skłonnościami samobójczymi. Ponad połowa przegród była pusta, bo nie było możliwości skontaktowania się z ich zwykłymi lokatorami o drugiej nad ranem we wtorkową noc. Ci, którzy się zameldowali, zachwiali się pod wpływem manewru pojazdu, ściskając swoją broń, trąc zaspane oczy i mamrocząc. Na samym przodzie porucznik Emily Brand wpatrywała się gniewnie w monitor, patrząc, jak na ekranach gasną rozmazane kształty. To pewnie tylko zakłócenia spowodowane pracą silników, ale mogłaby przysiąc, że coś dostrzegła wśród trzaskających rozbłysków. Sięgnęła do mikrofonu na szyi.

— Oliver, mam...

— *Przywróciliśmy wizję!*

Monitor zamigotał, po czym wykrystalizował się na nim obraz leżącego dwadzieścia metrów niżej parku oglądanego w podczerwieni. Centralną część pola widzenia zajmowały dwie plamy ciepłe o ludzkich kształtach, jedna żółta i jedna pomarańczowa: jedna postać leżała na ziemi, druga stała, machając rękami.

— Włączyć reflektory!

Po kadłubie maszyny przeszedł łagodny trzask i kawałek parku Kelvingrove pojaśniał jak w bardzo mokry, letni dzień. Emily przełączyła wyświetlacz, uzyskując obraz z zewnętrznych kamer. Na pierwszym planie było widać krzaczaste rododendrony przygięte do ziemi siłą podmuchu, a tuż za nimi można było dostrzec policjantkę stojącą nad jakimś ciałem. Leżący miał na sobie brudny szlafrok i wyglądał, jakby zebrał naprawdę solidne cięgi. Był to William Hunter.

— Cholera! Centrala, mamy tu rannego agenta! — Emily wetknęła głowę do kokpitu. — Ładuj, ale już!

Wsporniki Wążki nie zdążyły nawet jeszcze dotknąć gruntu, kiedy porucznik Brand otworzyła boczny właz i wyskoczyła na spotkanie ulewy. Spadła na ziemię, przetoczyła się i stanęła na nogi, trzymając w ręku gotowy do użycia, włączony miotacz, omiatając park jego lufą, jak dyrygent wymachujący batutą, gotów rozpocząć koncert śmierci i zniszczenia.

— Na co czekacie, panienki? — zapytała. — Zrobić mi tu strefę ochronną, *natychmiast!*

Za jej plecami rozległ się syk otwieranego tylnego włazu i czterech wymizerowanych szturmowców wygramoliło się pod siekące strumienie

deszczu.

— Ty! — Emily skierowała miotacz prosto na przemoczoną twarz policjantki.

— Na głębę!

— Tak jest! — Posterunkowa rzuciła broń i padła na ziemię, przywierając do niej jak do dawno niewidzianego przyjaciela.

— Co tu się stało?

— Ktoś go napadł i pobił.

— Tyle to widzę. — Will wyglądał, jakby ktoś przepuścił jego twarz przez magiel. Emily podeszła bliżej i wykopnęła policyjny paralizator spoza zasięgu funkcjonariuszki, ani na chwilę nie przestając w nią mierzyć. — Kto to zrobił?

— Nie zdążyłam się jej dobrze przyjrzeć, było ciemno, ale na pewno była to kobieta. Stała nad nim, kiedy tu dotarłam. Zakwestionowałam jej wyjaśnienia, a ona rzuciła się do ucieczki. Suka obaliła mnie na ziemię.

— Pozwoliłaś jej zwać?

Nastąpiło krótkie milczenie.

— Nie miałam wyboru. Ofiara wciąż żyła. Próbowałam to zgłosić na komendę, ale...

— Wiem, sprzęt zagłuszający.

— Ruszyłam w pościg, ale ofiara potrzebowała pomocy, więc...

— Dobrze zrobiłaś. — Emily pochyliła się, pomagając ubłoconej policjantce podnieść się na nogi. Potem zaczęła wykrzykiwać rozkazy. — Nairn, Dickson, zabezpieczcie strefę ochronną. Nikt nie wchodzi ani nie wychodzi. Floyd, Patterson, bierzcie nosze. Ruchy, ludzie, nie płacą nam od godziny!

Posterunkowa wpatrywała się w poobijaną głowę Willa.

— Wyjdzie z tego?

Dobre pytanie.

— Gdzie te cholerne nosze?

Patterson i Floyd wyhamowali z poślizgiem, rzucili nosze na mokrą ziemię, po czym ostrożnie przenieśli na nie Huntera. Przypięli go i włączyli napęd. Urządzenie uniosło się w powietrze, wypełniając je szumem i pikaniem czujników. Ruszyli pospiesznie w stronę oczekującego śmigłowca, a Floyd wyciągnął kilka ampułek środków przeciwbólowych i pobudzających, i wstrzyknął je Willowi w kark.

— Llllll przznnn sfff...

— Spokojnie, tygrysie. — Patterson popchnął głowę Huntera z powrotem na nosze. — Ktoś spuścił ci naprawdę solidny wpierdol.

Emily podążyła za szturmowcami, wspinając się po trapie do ciepłego, suchego wnętrza Ważki.

— Nairn, Dickson, meldujcie!

— *Nic tu nie ma, tylko cholernie wielka plama krwi jakieś dwieście metrów od miejsca zbiórki. Poza tym zero śladów.*

Emily spojrzała na rześistą ulewę.

— Znaleźliście plamę krwi w tym syfie?

— *To nie takie trudne, jakby się wydawało, jest jej tu od zajebania.*

Porucznik Brand spojrzała na zmasakrowaną twarz Willa.

— Coś ty tu, do cholery, zrobił...? — Później będzie czas, żeby się tym martwić. — Nairn i Dickson, wracajcie do Ważki. Następny przystanek: szpital Glasgow Royal...

Poczuła uchwyt palców na swoim nadgarstku.

— Żdnnnch lkrzrzrz. — Środki pobudzające zaczynały działać.

— Nie bądź niemądry. Twoja głowa wygląda jak nadmuchiwana rzepa.

— Żdnnnch lkrzrzrz. Nnnn mmm czssssu! — Hunter spróbował usiąść, ale paski mocujące noszy trzymały go na miejscu. — Gdzie Jo?

— Jo?

— Jo! Sierżnnnt Cammrnnn.

Policjantka złapała Emily za rękaw.

— Tuż przed tym, jak się zjawiliście, ktoś wrzeszczał „mamy ją”. Później wykrzykiwali, że jeśli ktoś puści parę z gęby, to poszatkuje jej twarz.

Will szarpnął się, próbując zrzucić z siebie mocujące paski.

— Uwlnnnij mninie sssstego.

— Nigdzie nie pójdziesz, dopóki nie obejrzy cię lekarz. — Emily aktywowała mikrofon na szyi. — Nairn, Dickson, jesteście na pieprzonej wycieczce? Dupy w troki i oboje migiem tutaj!

Dwoje przemoczonych i ubłoconych szturmowców wspięło się po rampie do wnętrza maszyny.

— Co tak długo? — Emily walnęła przycisk, zatrzasnąjąc tylny właz. — Zabieraj nas stąd — powiedziała do pilota. — Do szpitala Glasgow Royal, ale gazem.

* * *

Will skrzywił się, patrząc na swoje odbicie w szpitalnym lustrze. Miał nadzieję, że już nigdy nie będzie musiał przechodzić łączenia złamanej kości

policzkowej. Trójkątna łąta dermokleju i klamra ortodontyczna wykrzywiały jego usta w nieustannym, przekrzywionym uśmiechu, niezależnie od tego, czy miał na to ochotę, czy nie. Nos został nastawiony po raz chyba tysięczny, a w dziąsła zostały wszczepione załączki nowych zębów.

Siniak pod okiem zaczynał już blaknąć, podobnie jak wszystkie pozostałe siniaki, dzięki solidnej dawce leków przeciw wybroczynom, ale widok i tak nie był piękny.

Człowiek posłany do jego mieszkania, by dostarczyć mu ciuchy na zmianę, zastał to miejsce zrujnowane. Wszystkie zwłoki znikły. Żadnych trupów w apartamencie, żadnych trupów w windzie, żadnych trupów w parku. Zostały tylko dwie ogromne plamy krwi na dywanie w salonie i jakieś lepkie fragmenty skóry na ścianie kabiny. Jeśli badania DNA nic nie wykażą, nie ma szans, by zdołali kogoś zidentyfikować.

— Musimy wracać do bazy — odezwał się do Emily, przypatrującej się, jak zakłada ubranie.

— Musisz wracać do wyra. Wyglądasz równie fatalnie, jak pachniesz.

Wlepił w nią wzrok.

— Nie ma na to czasu! Jeśli mają Jo... — W tym momencie przypomniał sobie o czipach podsłuchowych umieszczonych pod skórą Emily. Wszystko, co jej powiedział, trafiało wprost do uszu tego kurdupłowatego skurwiela Kena Peitai. Głęboki oddech. — Przepraszam. — Naciągnął spodnie. — To przez te wszystkie dragi. Nie mogę zebrać myśli. Masz rację. Muszę się położyć.

Jej oczy się zwężyły.

— O nie, wcale kurwa nie musisz. Dalej, co z tym „jeśli mają Jo”?

— Nic. To był ciężki...

— Co z *tobą*, Will? Dlaczego nie chcesz mi nic powiedzieć? Co ja ci takiego zrobiłam?

— Ja... — Zamknął usta i wepchnął ręce w rękawy koszuli. Środki przeciwbólowe działały, ale i tak miał sztywne mięśnie. — Nic nie zrobiłaś. To moja wina. Sama słyszałaś panią doktor, za dużo ciosów w głowę. Wstrząs mózgu. To nie... Ja nie...

— Nie wciskaj mi kitu, Will. Ci, którzy cię napadli, mają sierżant Cameron. Jedziemy ją odbić!

Hunter uśmiechnął się, wskutek czego jego twarz wykrzywiła się jeszcze bardziej.

— Myślałem, że jej nie lubisz.

Moment zawahania trwał tylko jedno uderzenie serca, ale był wyczuwalny.

— Jest częścią zespołu. Nie zostawiamy swoich w potrzebie.

Hunter ostrożnie naciągnął na siebie swoją starą marynarkę i wyprostował się, spoglądając na własne posiniaczone i poobijane odbicie w lustrze, przed oczami mając Jo, jak ucieka na złamanie karku, ubrana w kombinezon zdarty ze zwłok.

Emily krążyła wte i wewte po małym szpitalnym pokoiku.

— Każemy policji aktywować jej lokalizator. Ściągniemy posiłki. Pociągniemy za wszystkie sznurki, jakie się nawiną, aż ktoś puści farbę. Przyciśniemy, kogo trzeba. Uruchomimy maszynę. Zrobimy wszystko, co konieczne, żeby ją uwolnić.

Dobra sugestia, lecz bez nadziei na realizację. Nie wiadomo, dla kogo pracował Ken Peitai, ale nie byli to ludzie, którzy przesiadują po barach, gotowi opowiedzieć historię swojego życia za kufel piwa. Ale taka akcja dałaby Emily jakieś zajęcie, a wszystko, co robiła, trafiałoby do starego, dobrego Kena. Niech myśli, że szukają po omacku.

— Masz rację. Działaj. — Położył jej rękę na ramieniu i mimo że czuł się jak kompletny sukinsyn, że musi ją znowu okłamywać, powiedział: — Idę do domu.

Na korytarzu czekała posterunkowa, którą zgarnęli w parku. Błoto obeszło na jej niebieskim uniformie, nadając mu barwę grochówki. Widać było, że próbowała doprowadzić strój do porządku, ale daleko mu było do czystości.

— Wiadomo już coś? — zapytała, kiedy się z nią zrównali.

Will pokręcił głową, skrzywił się i postanowił, że na jakiś czas powstrzyma się od takich ruchów.

— Porucznik Brand organizuje poszukiwania. Ja wracam do łóżka. Z polecenia lekarza.

Policjantka wyglądała na zaskoczoną.

— Czy to aby bezpieczne, proszę pana?

Emily skinęła głową i zerknęła na zegarek.

— Wszystkiego pilnuje tam dwoje naszych z nocnej zmiany: megablaster i wyrzutnia. Nikt się tam nie przemknie.

— Mimo wszystko — posterunkowa stanęła na baczność — wolałabym tam pana odeskortować. Wiem, że to pewnie zbędne, ale...

— Dobry pomysł. — Emily położyła dłoń na plecach Huntera i skierowała oboje w stronę wind. — Będę miała o jedno zmartwienie mniej na głowie.

* * *

— Wiesz co — odezwał się Will, wsiadając do pojazdu komunikacji miejskiej — uratowałaś mi życie, a ja nawet nie wiem, jak się nazywasz.

Posterunkowa zerknęła w dół i oderwała okruch błota od plakietki przyklepionej z przodu brudnej tuniki. — Catherine McDonald. — Złapała za plakietkę, by mu ją pokazać. — Ale jeśli pan chce, może mnie pan nazywać „Cat”. Tak zwraca się do mnie mój sierżant.

Will zmarszczył brwi, krzywiąc poobijaną twarz.

— Czy my już kiedyś się spotkaliśmy?

— No nie, znowu? — Westchnęła. — Proszę posłuchać, nie mam w zwyczaju upijać się na oficjalnych imprezach, OK? Poza tym to było całe lata temu. Możemy o tym zapomnieć?

— Już zapomniałem. — Wyciągnął rękę i wpisał „CENTRALA ORGANIZACJI” w okienko nawigatora, po czym opadł na siedzenie, a wehikuł ruszył do przodu, ustawiając się na wyjazdowej rampie szpitala. Pojazd nabrał prędkości i jasno oświetlone ściany tunelu pozostały za ich plecami, w kabinie jarzyła się jedynie zainstalowana tam na stałe lampka. Jej blask zmieniał półokrągłą szybę w zakurzone zwierciadło, odbijające z maltretowanego wicedyrektora Organizacji i brudną policjantkę. Światło mijanego reflektora sprawiło, że ich obraz zaczął to znikać, to znów się pojawiać, jak stary, migoczący wyświetlacz.

— Nie jedzie pan do swojego mieszkania? — odezwała się posterunkowa Cat McDonald, gdy wjechali do odgałęzienia głównej sieci komunikacji miejskiej.

— Nie. — Will wyciągnął swoją komórkę. — Jadę do centrali Organizacji, dostanę w swoje ręce bardzo ciężką artylerię, a potem powyrywam bardzo wielkie dziury w tych, którzy porwali sierżant Cameron. — Wybrał domowy numer Briana, czekając na połączenie.

Posterunkowa pokręciła głową i przyłożyła dłoń do boku swojego ramienia.

— O nie, co to, to nie.

— Uwierz mi, nie ma...

— *Grmmmmf?* — Na wyświetlaczu pojawiła się rozmazana twarz, przyciśnięta za blisko kamery. — *Will?* — przemówiła, otwierając oczy. — *Czy ty, kurwa, wiesz, która jest godzina?*

— Brian, potrzebuję pomocy.

Twarcz cofnęła się trochę i zmarszczyła brwi.

— *Coś ty sobie, do diabła, zrobił w głowę? Wygląda, jakby skakał po niej jakiś grubas.*

— Zamknij się i posłuchaj. Włamali się do mojego mieszkania. Mają Jo.

— *Jezu!* — Brian w mgnieniu oka zaczął wyglądać na dużo mniej śpiącego.

— *Kiedy? Jak?*

Will wszystko mu opowiedział, kątem oka obserwując policjantkę. Kobieta

bawiła się nerwowo paralizatorem wiszącym na jej udzie, marszcząc brwi, kiedy doszedł do momentu, w którym ocalała mu życie. Will wyciągnął telefon w jej kierunku. — Powiedz mu, co słyszałaś.

— Nikogo nie widziałam, ale słyszałam jakiegoś amerykańca krzyczącego, że jeśli ktoś coś zrobi albo powie, to pokroi twarz sierżant Cameron na kawałki.

— *Amerykańca?*

Will zabrał komórkę.

— To Peitai. Gada, jakby wyskoczył z tunelu. Nowe Stany Zjednoczone? Założę się, że nigdy nie był na zachód od Govan.

Posterunkowa McDonald wydeła usta i zmarszczyła brwi.

— To jego ścigasz?

— I jego pieprzonego szefa — odparł Will, wracając do rozmowy telefonicznej. — W każdym razie zahaczę teraz o nasze biuro, zgram trochę sprzętu. Nie mogę cię prosić, żebyś ze mną jechał, ale...

— *Skończ pieprzyć. Dobrze wiesz, że nie pozwolę, żebyś zajął się tymi zasrańcami beze mnie.* — Obejrzał się, spoglądając na coś poza kamerą, i się uśmiechnął. — *James tym razem sam sobie poradzi ze zrobieniem śniadania.*

Policjantka wciąż wpatrywała się w przestrzeń, kiedy wehikuł zasygnalizował, że dotarli do centrali Organizacji. Will wyciągnął rękę i delikatnie dotknął jej ramienia, jej dłoń skoczyła do góry, zaciskając się na jego nadgarstku jak imadło.

— Wszystko w porządku, pani władzo?

Zarumieniła się i puściła jego rękę.

— Przepraszam pana, zamyśliłam się.

— Nie ma o czym mówić. Muszę tam wejść i pozałatwiać parę spraw. Dzięki za eskortę. Możesz pojechać tym wehikułem do swojej komendy...

— O nie, nie ma mowy. — Wysiadła za nim na peron. — Jeśli jedzie pan po tę sierżant, to jadę z panem, czy to się panu podoba, czy nie. Ona zrobiłaby dla mnie to samo.

— Kapuję. — Will poddał się kontroli przy wejściu i wprowadził policjantkę wejściem dla personelu. — Wiesz, gdzie jest zbrojownia?

Pokręciła głową.

— Zapytaj w recepcji. Powiedz im, że masz rozkaz pobrać kilka miotaczy, aparat namierzający i co tylko jeszcze ci się spodoba. Jeśli zażądam potwierdzenia, niech do mnie zadzwonią.

— A gdzie pan będzie?

Will rozprostował barki i ruszył w kierunku windy.

— Muszę się najpierw czymś zająć.

* * *

Większość światel prosektorium była wyłączona, wskutek czego w sterylnym pomieszczeniu ciemniały plamy gęstego mroku. Will przysiadł na krawędzi bloku sekcyjnego, w ręce trzymał ostrze chirurgiczne, a po jego lewym boku spływała krew. Biurowa lampka rzucała paląco biały snop światła na jego lewą pachę, blask sprawiał, że krew lśniła i połyskiwała. Zaciskając zęby, ciął głębiej, rozchylając brzegi rany. Nie bolało, gwarantowała to ostatnia porcja wydanych mu w szpitalu środków przeciwbólowych, ale widok i odgłosy przyprawiły go o mdłości.

George powiedział mu, że jeden z czipów namierzających został umieszczony pod jego lewym ramieniem, w obrębie klatki piersiowej, ale do Willa zaczynało docierać, że znalezienie transmittera nie będzie takie łatwe, jak się spodziewał. Wszystko było śliskie od krwi, która utrudniała widoczność.

Ostrze wyslizgnęło mu się z palców po raz trzeci w ciągu ostatnich trzech minut, spadając z brzękiem na blat z nierdzewnej stali.

Pieprzone gówno.

Jak miał je chwycić, skoro cały przyrząd był śliski od krwi? Czy to naprawdę musiało być tak kurewsko trudne?

Złapał za rękojeść i odrzucił nóż w ciemność. Ostrze zadzwięczało o coś metalowego, ukrytego w cieniu.

Hunter ukrył twarz w zakrwawionych dłoniach i położył się na zimnym, sekcyjnym stole.

To niemożliwe. Nie mógł przecież zbliżyć się do Sherman House z dwoma czipami namierzającymi ukrytymi pod skórą. Wszyscy skończyliby martwi, zanim jeszcze zdążyliby tam dotrzeć.

W zimnym pomieszczeniu rozległ się rozgniewany głos.

— Kto tu jest?

— George?

Niewysoki, gruby patolog stał w drzwiach z kapciami na nogach i młotkiem do kości w ręku. W kostnicy włączyły się światła, rozpraszając cienie.

— Will? Co ty tu, do diabła, robisz? Jest wpół do trzeciej rano!

— Mógłbym cię zapytać o to samo.

George wzruszył ramionami i wkroczył na skrzypiącą podłogę.

— Wybuch na stacji Queens Cross. Czterdzieści jeden ofiar. Uciałem sobie kilkugodzinną drzemkę, zanim wrócę do... — Pociągnął nosem, po czym

przystanął, wpatrując się w krew sączącą się z boku Huntera. — Co ty, do cholery, wyprawiasz?

— Próbowałem pozbyć się...

— Uwalałeś krwią całe moje kochane, czyściutkie prosektorium!

Jednym pchnięciem położył Willa na wznak na bloku do sekcji i przyjrzał się otwartej ranie ziejącej w jego boku.

— Zrobiłeś to tarką do sera? Co za bajzel!

— Próbowałeś kiedyś zoperować sam siebie? To nie takie proste...

— A tak w ogóle to zrobiłeś cięcie nie w tym miejscu, co trzeba!

— W takim razie sam to zrób, jak jesteś taki cholernie mądry.

George zrobił krok do tyłu i przygryzł wargę.

— Operuję jedynie martwych ludzi.

Will położył mu rękę na ramieniu, zostawiając na nim ciemnoczerwoną plamę.

— Złapali Jo. Nie zdołam jej odbić, jeśli będą wiedzieć, że nadchodzę.

— Kładź się, pójdę po lancet.

* * *

Will przepchnął się przez podwójne drzwi stacji komunikacyjnej Organizacji. Czuł lekki ból klatki piersiowej i brzucha, coś jakby jakiś hałas rozbrzmiewający w tle, zbyt mało głośny, by go zidentyfikować. George może i wolał pracować ze zmarłymi, ale radził sobie całkiem zręcznie również z żywymi ludźmi. Nawet jeśli podczas całej procedury przemawiał, jakby przeprowadzał właśnie kolejną sekcję.

Posterunkowa Cat McDonald już na niego czekała, a z jej ramienia zwieszał się nowiutki megablaster. Przytłaczał swoimi rozmiarami paralizator połowy przytroczony do biodra policjantki, sięgając od łydek aż za czubek jej głowy. U jej stóp znajdował się mały wózek wyładowany uzbrojeniem pobranym z arsenału.

Swój ubłocony, policyjny uniform zamieniła na stosowany przez Organizację cementowoszary kombinezon kamuflujący.

— Dla pana też wzięłam — powiedziała, wręczając mu drugi komplet.

Dwie minuty później na peron wjechał jeden z wehikułów, z którego wygramolił się Brian. Wyglądał, jakby zaplątał się w swój kombinezon, spadając z łóżka.

— Ktoś wzywał taxi?

— Trzymaj — powiedział Will, wręczając mu jeden z miotaczy i plecak z

różnym sprzętem do kontrolowania tłumu — przyda się do czegoś.

Kiedy już usadowili się we wnętrzu pojazdu — upychając potężny megablaster pod kątem, żeby go zmieścić — Brian wyciągnął rękę w stronę nowej członkini grupy.

— Agent specjalny Brian Alexander. A ty czym się zajmujesz, kiedy nie wybierasz się na safari do krainy pieprzonych ćpunów?

Posterunkowa uśmiechnęła się i uścisnęła jego dłoń.

— Cat McDonald, policja.

— Czy my się nie znamy?

Policjantka przestała się uśmiechać.

— Byłam pijana, OK?

Brian puścił oko w kierunku Willa.

— Kobieta w moim guście.

Rozległ się cichy brzdęk i wehikuł ruszył z prywatnego przystanku Organizacji, wjeżdżając do głównej sieci tuneli. Pośród szumu maszyny rozpędzającej się do swojej stałej szybkości padło w końcu zasadnicze pytanie, zadane przez Briana:

— To jak ją znajdziemy?

Will wygrzebał z plecaka Cat urządzenie namierzające i rzucił je swojemu przyjacielowi.

— Lokalizator.

Brian uruchomił aparat i spojrzał gniewnie na pusty, trzeszczący wyświetlacz.

— Dajże spokój! Miną dni, zanim uda nam się namówić tego pieprzonego szefa komendy, żeby aktywował jej czipa!

— A kto mówi, że będziemy go prosić? — Konsola wehikułu zamigotała pod palcami Huntera, łamiącego zabezpieczenia Organizacji i włamującego się prosto do systemu komunikacyjnego policji. Po upływie kilku minut rozległo się ciche kliknięcie, a urządzenie namierzające w dłoni Briana rozbłysło jak wesołe miasteczko.

— Mamy lokalizację! — Brian przytknął twarz blisko do wyświetlacza, lekko poruszając wargami przy odczytywaniu danych.

Will wyprostował się na siedzeniu.

— No i? Gdzie ją trzymają?

— Momencik, właśnie patrzę... — Zmarszczył brwi, widząc mapę, która wyświetliła się na ekranie aparatu namierzającego. Lokalizator Jo był na niej

reprezentowany przez duże czerwone kółko kurczące się do małego punktu, w miarę jak odbiorniki organizacji rozszyfrowywały jego sygnał za pomocą triangulacji. — Południowy wschód, po drugiej stronie rzeki, za strefą przemysłową... O kurwa. — Brian podniósł wzrok. — To...

— Sherman House — dokończył Hunter.

— Tak, Sherman House. — Brian westchnął. — Zasrańcy.

— Spójrz na to z dobrej strony — odezwał się Will, aktywując swój miotacz i sprawdzając stan baterii — będziesz miał okazję poznać uroczego pana Peitai.

Brian wzdrygnął się i wpakował nową baterię do swojego karabinu.

— Jej wysokość dostanie małego rozumu, kiedy to do niej dojdzie. Zrobi sobie kolczyki z naszych jaj.

— Tylko jeśli damy radę wyjść z tego żywi.

Brian rozpromienił się i klepnął swoją nową znajomą Cat po plecach.

— Taak, ma rację. Zawsze szukać pozytywnych stron sytuacji.

27

Osadzone na wspornikach reflektory śmigają za oknami pojazdu, a ich zimnobiałe światło połyskiwało na karoserii wehikułu. Wewnątrz maszyny Brian przeglądał zbiór narzędzi do kontrolowania tłumy, pobranych przez posterunkową Cat McDonald ze zbrojowni w centrali Organizacji, układając je na podłodze. Policjantka zabrała całkiem sporo sprzętu: przypiekacze, sprzęt do zagłuszania, granaty oblepiające i ładunki dymne. Same zabawki.

Brian zapakował je z powrotem do torby, podczas gdy Will wprowadzał Cat w szczegóły „społecznego projektu badawczego” Kena Peitai, wyjaśniał kwestię podskórnych transponderów i urządzeń podsłuchowych, opowiadał o pracy Peitai i Kikana w okresie, gdy byli zatrudnieni w szpitalu Glasgow Royal, oraz o tym, co znalazł w ukrytych plikach programu PsychTech.

Kiedy skończył, Brian rzucił załadowaną do pełna torbę na siedzenie obok niego i powiedział:

— Udało ci się dowiedzieć, dlaczego ten chujek i jego szef babrali się w aktach PsychTech?

— Jeszcze nie. — Will spoglądał za okno, wpatrując się w przemykające na zewnątrz rozmyte smugi światła. — Westfield tworzyła zabójców, Peitai również. Może chodziło o jakieś pokrewieństwo dusz?

Cat McDonald uniosła dłoń, jakby chciała prosić o pozwolenie na wyjście do ubikacji.

— Westfield chciała sprawdzić, czy książkowy model rozwoju seryjnych morderców znajduje potwierdzenie w faktach, prawda? — Posterunkowa skubała swój połowy paralizator tkwiący wewnątrz kabury. — Może sądzą, że mogą zawłaszczyć jej badania?

Will skinął głową.

— Tak właśnie pomyślałem.

Pojazd zakołysał się lekko, opuszczając główną sieć komunikacyjną i wjeżdżając w odgałęzienie prowadzące na plac Potworności.

Hunter spojrział na GPS. Byli prawie na miejscu.

— Szykujcie się, ludzie.

Postawił swój miotacz na sztorc i wyjął z niego magazynek, sprawdzając, czy wszystkie łącza są czyste i czy bateria jest w pełni naładowana, po czym ponownie wepchnął go na miejsce. Popatrzył, jak Brian i Cat robią to samo.

Pojazd zaczął hamować, wjeżdżając na stację Sherman House, a jego

pasażerowie przejechali ostatnie pięć metrów w całkowitym milczeniu. Wehikuł stuknął o bufor i stanął w miejscu, a jego drzwi otwały się z miękkiem sykiem, wpuszczając do środka gorzki odór zwięzłego moczu. Will wyszedł na peron, patrząc, jak przyblakłe latarnie sodowe rzucają rozmigotane światłocienie na brudne, betonowe mury.

— W którą stronę?

Brian zmarszczył nos.

— Jezu... ależ tu wali! — Zerknął na wyświetlacz urządzenia namierzającego, po czym wykonał powolny, niezgrabny piruet, trzymając aparat w wyciągniętych przed siebie rękach. Wreszcie uniósł rękę schowaną w szarym rękawie kombinezonu i wskazał poza końcową krawędź peronu, w stronę ciemnego wlotu tunelu komunikacji miejskiej. W kierunku, z którego dopiero co przyjechali.

— Będziemy się musieli przejść.

Posterunkowa McDonald prawie się zakrztusiła.

— Chyba żartujesz? — Spojrzała na wehikuł, a potem na czarny otwór tunelu. — Masz pojęcie, jak szybko zasuwiają te wagoniki?

Will uniósł swój miotacz do pozycji gotowości do strzału, po czym ruszył w stronę odległego końca peronu.

— Panie wicedyrektorze, jeśli wejdziemy do tunelu, a jednocześnie nadjedzie jakiś pojazd, to rozmaże nas na ścianach jak powidła!

Brian wzruszył ramionami i przewiesił swoją broń przez ramię. Trzymając aparat namierzający w wyciągniętej ręce, ruszył w ślad za Hunterem i zszedł po drabince na tory, zostawiając Cat samą na peronie, ściskającą potężny megablaster i wykrzykującą swoje obiekcje.

— Czy tylko ja widzę, jaka to głupota?

— Tak — odparł Brian — na to wygląda.

Will wkroczył w mrok, oświetlając sobie drogę paląco zielonym promieniem swojego celownika.

* * *

Pomieszczenie połyskiwało jak nóż chirurgiczny. Ostre światło odbijało się od kolistego lustra, skupiając się na postaci przywiązanej do fotela przesłuchań. Przebiegła suka zwisała przechylona na bok, udając, że wciąż jest nieprzytomna, ale sprzęt monitorujący wskazywał, że to nieprawda. Zdążyła się już ocknąć i zdawali sobie z tego sprawę.

Starszy mężczyzna oparł rękę na oknie pokoju obserwacyjnego, spoglądając przez szybę na dziewczynę Williama Huntera.

— Czy udało ci się już coś wydobyć z naszego nowego gościa? — Jego głos

był łagodny, ale Ken umiał wyczuć w nim groźbę. Był jak pluszowy miś wypełniony brzytwami.

— No cóż, ucięliśmy sobie przyjacielską pogawędkę i wygląda na to, że Hunter wie o wiele mniej, niż zakładaliśmy. Albo też nie powiedział naszej Pocahontas wszystkiego, co odkrył. Tak, czy inaczej... — Ken rozprostował dłoń, czując, jak świeża warstwa dermoaerozolu opina jego poobdzierane palce. — Była chętna do współpracy.

— Przekonałeś ją?

Peitai skinął głową, wskazując na monitory.

— Chemicznie, elektrycznie i kinetycznie. Nie ma już nic do ukrycia.

Starszy mężczyzna odwrócił się tyłem do okna i wyciągnął z kieszeni próbkę, obracając ją w palcach i utrzymując zawarty w niej gęsty płyn w nieustannym ruchu.

— Wciąż nie znalazłeś pana Huntera. — Nie było to pytanie.

— Szukamy go, proszę pana. Trzy zespoły przetrząsają w tym momencie całe miasto.

— Czy tym razem będą korzystać z czipów lokalizacyjnych, które wszczepiliśmy mu pod skórę? A może posłałeś ich na oślep, by biegali jak kurczaki z obciętymi głowami, używając noktowizorów, zamiast widzenia w podczerwieni?

Stojąc w półmroku, Peitai poczuł, jak jego policzki zalewa rumieniec.

— Nie mogliśmy wykorzystać tych czipów w parku, proszę pana, urządzenia zagłuszające zablokowały...

— Nie lubię wymówek, Ken, wiesz o tym.

Tokumu Kikan uśmiechnął się i położył mu dłoń na karku. Starszy mężczyzna był od niego przynajmniej o trzydzieści centymetrów wyższy, mimo że Ken miał buty na obcasach. Peitai z trudem powstrzymał wzdrygnięcie, czując na szyi długie, chłodne palce.

— Byłbym niepokieszony, gdyby ta sprawa nas poróżniła, Ken. — Pauza. — Nie pozwól, by tak się stało.

— Tak jest. Oczywiście, proszę pana. Skontaktuję się z naszymi zespołami i dam im znać, żeby...

— Znajdź mi Huntera. Może zapomnimy o popełnionych przez ciebie błędach.

— Tak jest. Dziękuję panu.

Taniec próbówki dobiegł końca i Ken mógł dostrzec, jak zawarty w niej płyn spływa po szklanych ściankach, zbierając się w gęstą, zieloną masę.

— A jeśli ci się nie uda... — Kikan wzruszył ramionami. — Jeśli ci się nie uda, to zawsze przyda się nam ktoś do testowania formuły. — Wsunął Kenowi próbkę do kieszonki, stukając w nią lekko opuszkami palców.

— To nie będzie konieczne, proszę pana, przysięgam.

— Grzeczny chłopiec. — Starszy mężczyzna ponownie się uśmiechnął i wrócił do obserwacji siedzącej po drugiej stronie szyby sierżant Cameron, udającej, że jest nieprzytomna.

Wywiad dobiegł końca.

Ken wyparował z pokoju tak szybko, jak tylko chciały go nieść jego kowbojskie buty. Jeżeli stary był na niego wkurzony, to lepiej będzie się nie zatrzymywać. Lepiej zniknąć, zanim grupa interwencyjna rozwali w środku nocy drzwi *jego* mieszkania i go załatwi. Może by tak wskoczyć na transatlantycki prom i założyć jakiś sklep w którejś z tych niewydarzonych, kowbojskich republik. Załatwić sobie nową tożsamość, nową twarz i ani na moment nie podnosić głowy. Przecież nawet stary nie będzie żył wiecznie... Ale Peitai wiedział, że to by nie pomogło. Nowe Stany Zjednoczone nie były dość daleko. I tak by go znaleźli.

Nie miał zatem wyboru. Musiał załatwić sprawę do końca.

W dyspozytorni panował spokój, ściana migających monitorów pokazywała poszczególne apartamenty w budynku u góry. Jakaś kobieta o mysich blond włosach siedziała za dużym biurkiem w kształcie półksiężyca. Ken przysiadł na jego krawędzi i zażądał raportu o postępach poszukiwań.

— Nie bardzo jest się czym chwalić, proszę pana. — Kontrolerka nacisnęła jakiś guzik i monitory zamigały, łącząc się w jeden wielki obraz. Pojawił się na nim na krótko widok z powietrza na Finneston, po lewej stronie kadru zamajaczył ledwo widoczny, charakterystyczny dziób ścigacza. — Drużyna numer dwa przeszukuje miasto dzielnicą za dzielnicą, ale ich urządzenia namierzające nie wychwytyją żadnego sygnału.

Kobieta wcisnęła kolejny guzik i przez ścianę przemknęła Ważka Organizacji, jej światła nawigacyjne migotały na czerwono i na zielono na tle zalanego deszczem nocnego nieba.

— Drużyna numer trzy przechwyciła piętnaście minut temu sygnał z tego śmigłowca. Jego kod nie pasuje, ale...

— To porucznik Brand, ta, która okuliwała Arkwrighta. Zapomnij o niej, nie ma... — Ken przerwał, wspominając dotyk palców starszego mężczyzny na swoim karku. — Albo nie, obserwuj ją. Ma założony podsłuch. Jeśli Hunter spróbuje się z nią skontaktować, chcę o tym wiedzieć.

— Tak jest.

— A co z drużyną numer jeden?

— Prowadzi poszukiwania, poruszając po spirali, począwszy od centrali Organizacji. Hunter spędził kilka godzin w szpitalu Glasgow Royal, gdzie pozszywali mu głowę, ale nie mogliśmy go tam dopaść; zbyt silna ochrona. Godzinę temu pojechał wehikułem miejskim do centrali Organizacji. Dwadzieścia minut później sygnał lokalizatora zniknął.

— Kurwa mać. — Czterdzieści minut, sukinsyn mógł być teraz gdziekolwiek.
— Ściągnij tu wszystkie rezerwowe jednostki, jakimi dysponujemy. Chcę wiedzieć, gdzie się chowa ten skurwiol.

* * *

— Szukajcie, a znajdziecie. — Głos Briana był prawie równie cichy jak szept, ale i tak odbił się nieprzyjemnie głośnym echem w ciemnej pustce tunelu komunikacji miejskiej. W niewielkiej odległości od nich, ledwo zarysowane jako błądy półokrąg widniało nieoznaczone odgałęzienie głównej linii.

Will przejechał promieniem swojego celownika po najbliższej ścianie, a potem wyłączył go, zostawiając całą grupę w całkowitej ciemności.

— Widzieliście jakieś kamery? — zapytał.

— Nie, proszę pana.

— Jak niby mielibyśmy zobaczyć te kamery? Przecież wyłączyłeś cholerne światło!

— Przestań jęczeć. — Will wyciągnął przed siebie rękę, starając się znaleźć najbliższą stojącą osobę i trafił na posterunkową McDonald. — Złap mnie z tyłu za uprząż, a Brian złapie za twoją. Idziemy gęsiego. — Ruszył powolutku do przodu, brnąc po omacku w stronę prywatnej linii komunikacyjnej.

— Proszę pana — szeptała Cat. — Proszę pana, co zrobimy, kiedy się tam dostaniemy?

— Złapiemy pierwszego człowieka, na którego trafimy, i wypytamy go, gdzie jest Jo. Potem ją uratujemy i zwiejemy, zanim wezwą kawalerię.

— Świetnie. — Westchnęła. — Dobrze obmyślany plan. Nic nie pozostawione przypadkowi. Co miałyby pójść nie tak?

— Chcesz listę? — zapytał Brian z ostatniego miejsca w kolejce.

— Zamknijcie się oboje!

Skradali się w milczeniu, przedostając się z głównej trasy do prywatnego tunelu, orientując się w przestrzeni dzięki magnetycznym szynom. Tunel oddalał się od stacji komunikacyjnej pod Sherman House. Wydawało się, że idą już całe godziny, kiedy Will wreszcie przystanął. Podążając po omacku wzdłuż ramienia posterunkowej McDonald, znalazł Briana, trzymającego ją za kombinezon bojowy.

— Ile jeszcze?

Rozległo się kliknięcie i twarz Briana rozjaśnił bladoszary blask. Światło było tak przytłumione, że niemal nie świeciło, ale po kompletnej ciemności tunelu zdawało się jaśnieć jak latarnia.

— Niecałe sto metrów... Jezu. — Wyłączył wyświetlacz, pograżając wszystko na powrót w ciemności. — Jesteśmy dokładnie nad tym cholerstwem.

— Dobra, zrobimy tak ... — Will przerwał, wpatrując się w głąb tunelu. Zamajaczyło tam coś niemal niedostrzegalnego, błyśnięcie, ale to coś robiło się coraz jaśniejsze. Hunter wyciągnął ręce, chwytając Briana i Cat, po czym skoczył ku ścianie korytarza. Przywarli do betonowego muru, a wokół nich rozbłysły smugi światła, rażąc ich oczy. Fala ciśnienia zatkała mu uszy, gdy przyciskał się ze wszystkich sił do ściany, a za jego plecami zawył pędzący wehikuł. Pojazd zwolnił gwałtownie, przechodząc w stateczny ślizg, po czym stopniowo wyhamował, zatrzymując się na prywatnej stacji ośrodka badawczego.

Umieszczone na filarach po obu stronach tunelu reflektory przygasły, pograżając go znowu w ciemności. Na ścianach stacji rozbłysły kule światła i Will musiał zmrużyć oczy, by dostrzec coś więcej niż tylko nieprzyjemnie drażniące wzrok, rozmazane plamy. Z wehikułu wysiadły na peron trzy osoby. W głąb podziemnego korytarza popłynęły dźwięki puenty jakiegoś dowcipu, z trudem przebijające się przez dzwonienie w ich uszach, po czym nowo przybyli wybuchnęli śmiechem, poklepalili się nawzajem po plecach i zniknęli w wyjściu ze stacji.

— Kurwa, mało brakowało! — odezwał się Brian po ich odejściu. — Całe życie przeleciało mi przed oczami... Fakt, te sprośne momenty były OK, ale...

Will obrócił głowę i jego twarz znalazła się o mniej niż cal od twarzy posterunkowej McDonald. Jej biodra wpierały się mocno w jego biodra, a na karku czuł jej gorący oddech, w miejscu, gdzie byli do siebie przyciśnięci pod ścianą tunelu. Przyływ adrenaliny wywołany bliskim spotkaniem ze śmiercią sprawiał, że wszystko to miało bardziej erotyczny charakter, niż powinno. Policjantka uśmiechnęła się, oblizwała wargi i powiedziała:

— Mój bohater!

— Tak, no cóż... — Hunter cofnął się na środek tunelu. — Lepiej, yyy, lepiej ruszajmy.

Will powiodł grupę w kierunku opuszczonego wehikułu i wyprowadził ją na peron. Zdjął z ramienia swój miotacz i wcisnął włącznik. Broń przeszła w stan gotowości z miękkim, elektronicznym brzęczeniem. Brian poszedł w ślady Huntera. Potem obydwaj zaczekali, aż Cat uruchomi swój megablaster.

Nic.

Policjantka zaczęła wciskać guziki i kręcić pokrętłami.

— To jakiś nowy model. Inny od tego, do którego jestem przyzwyczajona, OK?

Brian pomógł jej znaleźć odpowiedni przycisk i broń zawarczała, zagłuszając wszystkie pozostałe dźwięki.

— Dobra — powiedział Will — zrobimy tak: od tej pory poruszamy się gęsiego. Jak pójdę na przodzie, Cat w środku, a Brian będzie pilnował tyłów.

— Kurwa, czemu znowu ja?

— Bo tak. W środku wszystko jest obstawione czujnikami, więc... — Włożył rękę do plecaka Briana i wyciągnął przenośne urządzenie zagłuszające. — Ma zasięg około dwustu metrów. — Pstryknął przełącznikiem i schował aparat tam, skąd go wyjął. — Będą mogli odgadnąć naszą pozycję, obserwując kamery wyłączające się na obranej przez nas trasie, ale na to już nic nie poradzimy.

— Właśnie, że poradzimy. — Brian puścił oko do Cat. — Will robi za głównego mózgowca w Organizacji, ale i mnie nie przyjęli tam wyłącznie za urodę. — Wskazał na duży, szary sześciokąt z napisem „NIEBEZPIECZENSTWO PORAŻENIA PRĄDEM!”, wmontowany w betonową ścianę za pomocą jakiejś tony piankostali. — Widzicie to? To główna linia energetyczna tego miejsca. Cat, zechcesz sama się nią zająć?

— Co?

Brian westchnął.

— Rozwal to cholerstwo.

— A, z przyjemnością. — Posterunkowa uniosła potężną broń i pociągnęła za spust. Z zerowym skutkiem.

Brian przewrócił oczami i ponownie westchnął.

— Działa lepiej, kiedy go odbezpieczyć — powiedział, wyciągając rękę i przesuwając odpowiednie pokrętło.

— Dzięki. — Tym razem elektrody zaczęły wibrować, wystając jej zza pleców jak jakiś rozwścieczony jeżozwierz. A potem rozległ się ryk megablastera. Cat zachwiała się na nogach pod wpływem odrzutu, a działo wystrzeliło ostrą, niebieską wiązkę, rozwalając piankostał, jakby to była galaretka. Salwa rozrzuciła na wszystkie strony zjonizowane drobinki metalu i betonu, wirujące w powietrzu jak cyklon szarego pyłu, trzaskającego pod wpływem naelektryzowania.

Cat McDonald wyszczerzyła zęby w maniakalnym uśmiechu, widząc, jak jej działo rozwalilo linię energetyczną.

Hałas był ogłuszający, zwielokrotniony przez rezonans wewnątrz tunelu. Z

poszarpanej piankostali trysnęła fontanna iskier, a wszystkie lampy na stacji popękały. Echo ryku megablastera ucichło, pozostawiając po sobie jedynie trzaskanie i skwierczenie wirującego pyłu, jarzącego się poświatą własnych wyładowań elektrycznych. A potem znowu zapadła ciemność. I znowu dzwoniło im w uszach.

— PROSZĘ BARDZO! — wrzasnął Brian. — ŻADNEGO ZASILANIA. TERAZ WYŁĄCZYLIŚMY WSZYSTKIE KAMERY.

Will tylko się uśmiechnął, pokręcił głową i popchnął drzwi, wkraczając do pogrążonego w mroku ośrodka.

Włączył celownik swojego miotacza, zalewając całe miejsce miękka, monotonna zieloną poświatą. Aktywacja zapasowych generatorów była tylko kwestią czasu, a on miał zamiar przedrzeć się jak najdalej, zanim do tego dojdzie. Popędził głównym korytarzem, starając się odgrzebać w pamięci jak najwięcej szczegółów planu bazy, którą zwiedzał razem z Peitai. Tuż za nim biegła Cat, omiatając okolicę lufą swojego megablastera, podczas gdy Brian niósł w jednej ręce urządzenie namierzające, a w drugiej miotacz.

— Brian, dokąd teraz?

— Do końca korytarza, a potem w lewo..., nie, w prawo. Kurwa, to cholerstwo pokazuje we wszystkie strony, to pewnie przez zagłuszenie!

Will otworzył kopniakiem drzwi na końcu przejścia i przejechał po nowym pomieszczeniu zielonym promieniem celownika.

Przy automacie z napojami stało wielgachne babsko trzymające w rękach kubek czegoś gorącego i ciemnego.

— Co tu się, do diabła, wyrabia?

Will wycelował w nią swój blaster, zmuszając ją, by zmrużyła oczy, oślepiąca światłem celownika, nadającym jej pomarańczowym włosom zielony odcień.

— Buchan, to ty? — Zakołysała się, robiąc krok do przodu. Jedna z jej nóg tkwiła po kolano w gipsie, ale i tak trzymała postawę jak zawodnik rugby.

— Na podłogę, w tej chwili!

— Nie rozumiem...

— Na ziemię albo odstrzelę ci tyłek! — Hunter przycisnął spust, za słabo, by wystrzelić, ale wystarczająco mocno, by miotacz zaczął warczeć w jego rękę. Kobieta szybko padła na podłogę, rozpryskując kawę po całej posadzce.

Will przytknął jej lufę broni do jej karku.

— Gdzie ona jest?

— Nie wiem, o kim...

— Will? — Głos należał do Briana, słychać w nim było troskę. — Co robisz?

— Ta tutaj była razem z grupą, która złapała Jo — odparł Hunter. — To ona załatwiła mi pobyt w szpitalu. — Ponownie skupił się na rudej, jeszcze raz wydobywając ze swojej broni warkot. — PYTAŁEM, GDZIE ONA JEST?

— Nie wiem, o czym mówisz, ja tu nawet nie pracuję! — Przykryła głowę rękami, wciskając twarz w podłogę. — Proszę, nie rób mi krzywdy...

Brian położył dłoń na ramieniu Huntera.

— Zaczekaj. Nie chcesz tego zrobić. To nie w twoim stylu. — Delikatnie odepchnął lufę miotacza od wielgachnego babska. — Ale w moim już tak. — Kopnął ją w żebra. Mocno. Z jej ust trysnęło coś ciemnego i Brian kopnął ją jeszcze raz.

— Dobra, słonko — powiedział, zwijając dłoń w pięść i łapiąc kaszlącą, próbującą złapać oddech kobietę za gardło. — Wiemy, kim jesteś. — Walnął ją pięścią w twarz, rozplaszczając jej nos jak pastę z tuńczyka. — A ty wiesz, kim my jesteśmy. — Kolejny cios sprawił, że kilka zębów kobiety zaczęło się ruszać. — I wiesz, gdzie jest nasza przyjaciółka. OK?

— Jezu, Brian!

— Nie teraz, Will, pracuję. — Złapał rękę kobiety i wykręcił ją o dziewięćdziesiąt stopni, zakładając dźwignię na łokieć. — To może zabawimy się w *myszka kaszkę warzyła*? — Agent Alexander chwycił mocno za jej palec wskazujący. — Gdzie ona jest?

— Nie wiem, czego...

— Ogonek sobie sparzyła. — Szarpnął do tyłu. Rozległ się miękki trzask, a potem skowyt.

— Gdzie ona jest?

— Skurwiel! Nie...

— Temu dała na łyżeczkę. — *Trzask*.

— Auuu, Jezuuu! Ja nic...

— Temu dała do garnuszka. — *Trzask*.

— Aaaaachhh!

— Temu dała...

— Jest w głównym pokoju przesłuchań! W dół tym korytarzem, pierwszy skręt w lewo, a potem w prawo!

Will skoczył do przodu, zostawiając ich w ciemności.

* * *

— No proszę — odezwał się Brian, jakby zamierzał dać rudej lizaka — wcale

nie było tak trudno, prawda? — Puścił jej rękę, a kobieta przyciągnęła ją do piersi, pochlipując. Biedactwo.

— Dalej, Cat. — Przybrał bohaterską pozę. — Will na pewno wpakuje się w jakieś gówno, jeśli nie przybędziemy mu z pomocą.

— Po kolei. — Posterunkowa McDonald przyłożyła lufę megablastera do poobijanej głowy kobiety. — Masz piękne oczy. — Chwilę wcześniej na podłodze siedziała grubokoścista kobieta, a moment później nie zostało po niej nic oprócz ciemnej, lepkiej mgiełki o żelazistym smaku.

Brian stał z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami.

— Ale... Ty...

— Co? — Cat dźwignęła broń. — A może chciałeś ją tu zostawić żywą, żeby wszczęła alarm i strzeliła nam w plecy? Nie sądzę.

Brian patrzył, jak posterunkowa rusza w ślady Willa i znika w korytarzu. Jezu, ludzie w policji byli teraz o wiele twardsi niż w czasach, kiedy sam był sierżantem.

* * *

Nad głową Huntera zamigotały światła. Czyli zdążyli już włączyć zasilanie awaryjne. Koniec chowania się przed kamerami.

Zatrzymał się przed podwójnymi drzwiami z napisem „SALA GOŚCINNA”. Gdzieś z tyłu rozebrzmiał ryk megablastera, po którym dał się słyszeć warkot miotacza. Z dalszej części korytarza dobiegły kolejne wystrzały. Światła były włączone i ktoś był w domu.

Will aktywował mikrofon na szyi. W słuchawce rozległy się jedynie trzaski zakłóceń, sprzęt do zagłuszania wciąż działał.

Zza rogu wypadła Cat, gwałtownie hamując i wrzeszcząc:

— Padnij! — Korytarz zapłonął niebieskim światłem i znowu rozległ się ryk jej megablastera. Za policjantką nadbiegł Brian. Włosy z tyłu głowy miał teraz dużo krótsze niż jeszcze pięćdziesiąt siedem sekund temu. Wpadł z poślizgiem na ścianę u stóp posterunkowej, po czym wypalił z miotacza w kierunku, z którego przybył.

— BRIAN! — wrzasnął Hunter, przekrzykując hałas. — WYŁĄCZ ZAGŁUSZANIE, MUSZĘ WEZWAĆ POSIŁKI!

Agent Alexander pogrzebał w swoim plecaku i trzaski pobrzmiwające w słuchawce Willa ucichły.

— Centrala, tu Hunter, połączcie mnie z porucznik Brand!

— *Pan wicedyrektor? Pół miasta pana szuka, dyrektor...*

— Połącz mnie z porucznik Brand, natychmiast!

— *Tak jest!*

Brian wyszarpnął z plecaka granat oblepiający, wyciągnął zawleczkę i poturlał go w głąb korytarza. Ktoś zdążył krzyknąć „uwaga g...” — po czym rozległ się ogłuszający huk wywołujący drgania paneli stropowych i wszystko w promieniu rażenia zostało pokryte grubą warstwą kleju polimerowego.

Ponownie zabrzmiał ryk megablastera Cat.

W słuchawce Willa coś stuknęło i dał się słyszeć zmęczony, poirytowany głos, mówiący głośno i wyraźnie:

— *Oby to, kurwa, było coś ważnego!*

— Emily, zamknij się i słuchaj. Jesteśmy w tajnym ośrodku badawczym pod Sherman House. Wiesz, w którym, byłeś tu.

— *Co ty tam, do diabła, robisz? Powiedziałeś mi, że jedziesz do domu!*

— Znaleźliśmy sierżant Cameron, ale jesteśmy pod silnym ostrzałem. — Padł na ziemię, gdy kawałek pobliskiej ściany eksplodował, zmieniając się w obłok gorących plastikowych odłamków.

Cat McDonald wywijiała swoim działem na wszystkie strony, szczerząc przy tym zęby.

Ktoś krzyknął.

Will oddał kilka strzałów w gęstą chmurę pyłu wzbity przez megablaster.

— Namierzaj mój sygnał i jak najprędzej ściągnij tu swoich ludzi!

— *Cholera, Will. Okłamałeś mnie!*

— Nie miałem wyboru. Kiedy nas złapali, wszczepili nam pod skórę podsłuch. Oraz lokalizatory. Gdybym ci coś powiedział, od razu trafiłoby to do ich uszu.

— *Wszczepili mi czipy podsłuchowe i nic mi nie powiedziałeś? Trzeba mi było powiedzieć!*

— Po prostu przyleć tu od razu, OK?

Zapadło krótkie milczenie, a w tle rozległ się dźwięk, który dla Willa brzmiał jak silniki Ważki wchodzące na wyższe obroty, choć trudno było o pewność z powodu ryczącego megablastera posterunkowej McDonald.

— *Szacowany czas dotarcia na miejsce dwie minuty trzydzieści sekund.*

— Dzięki, Emily, jestem twoim dłużnikiem.

— *Powinieneś mi być powiedzieć.* — Porucznik Brand przerwała połączenie.

Will westchnął i odwrócił się w stronę drzwi do sali gościnnej. Brian i Cat ściągali na siebie uwagę wartowników; Emily i jej drużyna byli już w drodze;

musiał teraz już tylko uratować Jo.

Czy to aż takie trudne?

Miotacz zaśpiewał w jego rękach, gdy wziął zamach i kopniakiem wywalił drzwi z zawiasów.

28

Światło, tak jasne, że aż bolesne. Will wyhamował, mrugając i zasłaniając oczy dłonią. Za wyłamanymi drzwiami nie dało się dostrzec zupełnie niczego, całe pomieszczenie skryło się za kurtyną światła świecącego mu prosto w oczy.

— Pan Hunter — odezwał się znajomy, amerykański akcent. — Hej, miło cię znowu widzieć. Rzuć broń.

Will poderwał miotacz, mierząc prosto w kierunku, z którego dochodził głos.

— Nie wariuj! Jeśli strzelisz, to wyrwiesz dziurę w pięknej sierżant Cameron! Chcesz zobaczyć, jak jej głowa wybucha po twojej salwie? Jeśli tak, to śmiało.

Hunter wbił wzrok w oślepiającą jasność, mrużąc oczy.

— Jo, jesteś cała?

Cisza.

Potem odezwał się Peitai:

— Gdzie twoje maniery, kochanie. Ten miły kawaler zadał ci pytanie.

— Zzzzbiiii ttgo skurwllll Will, zasszczlgo... — Jej głos był słaby i niewyraźny, poszczególne głoski zlewały się w jedną całość, ale bez wątplenia była to Jo.

— Chcę ją zobaczyć!

— OK, ale pamiętaj. Jeśli zechcesz wypalić z tego swojego działa, dziewczyna nie będzie już miała pożytku z kapeluszy. — Światło zamigotało i przygasło.

Początkowo wszystkie kształty były rozmazane, same plamy odbijające się bezustannie w otaczającym pokój lustrze, ale po chwili wyostrzyły się w trzy postacie: opartego o tylną ścianę goryla w rynsztunku bojowym i z blasterem w rękę, Kena Peitai, stojącego obok jednego z foteli do przesłuchań, i przywiązaną do tego fotela Jo.

Miała opuchniętą i posiniaczoną twarz, jej lewe oko wyglądało jak obrzmiała szczelina o kolorze śliwkowym. W kącie jej ust widniała zaschnięta krew, a skóra na wardze była rozcięta jak powierzchnia przejrzałego pomidora. Do głowy miała poprzyczepiane z pół tuzina kabelków, a z jej ramienia wystawały dwie rurki połączone z małą skrzynką wielkości kota, pokrytą migoczącymi lampkami.

Will zaczął manipulować ostrością celownika swojej broni, aż zielona kropka

znalazła się dokładnie między oczami kurdupłowatego agenta.

— Żegnaj Ken.

Peitai drgnął.

— Henderson!

Goryl w militarnym wdzianku poderwał swój blaster, a Will strzelił mu w twarz. Po okrągłym pomieszczeniu rozeszło się echo grzmotu miotacza, podczas gdy podrygujące ciało Hendersona padło na podłogę, opryskując lustrzane ściany fontanną krwi.

— Niezły strzał.

Hunter obrócił broń, ale Ken był już w innym miejscu, stał teraz bezpośrednio za Jo, z ręką wczepioną w jej włosy, w drugiej trzymając pistolet soniczny.

— Skoro już się wyżyłeś, to może utniemy sobie małą pogawędkę, jak cywilizowani ludzie? OK?

— Uwolnij ją.

— Opuść miotacz albo przyrządę tu zaraz ludzką pieczeń. Pojmujesz aluzję?

— Powiedziałem...

Ken przyłożył soniczną broń do prawego ramienia Jo i pociągnął za spust. Urządzenie wydało ostry gwizd, a skóra dziewczyny zaczęła puchnąć i pękać, uwalniając małe obłoczki pary i zapach pieczonego mięsa. Obróciła się, by spojrzeć, jak jej staw łokciowy ulega rozgotowaniu, miała zwiotczałą twarz i nie mogła do końca zogniskować oczu... Następnie rozległ się krzyk. Z początku brzmiał jak powolny jęk, ledwie słyszalny wśród syku i skwierczenia jej przypiekanego ciała, potem stał się przeszywająco głośny, słuchanie go było równie bolesne, jak oglądanie całej sceny.

— Jaki befsztyk lubisz? Krwisty czy wypieczony?

Will oderwał wzrok od tego widoku, po czym rozległ się warkot jego miotacza.

— Bez hysterii — powiedział Peitai. — Odlóż to, albo następny w kolejce będzie jej mózg. — Oparł pistolet soniczny o skroń Jo.

— Zrób to, to cię zabiję.

Twarz Kena wykrzywił uśmiech.

— Taak, ale wtedy ona umrze, ja umrę, a człowiek, który stoi za twoimi plecami, przerobi ci flaki na mielonkę. — Will poczuł na plecach dotyk czegoś twardego. Świetlne refleksy skaczące pomiędzy poszczególnymi zwierciadłami sprawiły, że nie zauważył, by ktoś wchodził do pomieszczenia.

Ken puścił do niego oko.

— Więc i ty będziesz martwy. I jaki w tym sens? Będzie o wiele lepiej, jeśli rzucisz ten miotacz i zobaczymy, czy nie zdołamy znaleźć jakiegoś rozwiązania naszego małego nieporozumienia. Sierżant Cameron zawsze może sobie sprawić nową rękę, kiedy się dogadamy. — Wzruszył ramionami. — Ale nie nową głowę.

Skrzynka podczepiona do ramienia Jo zapikowała i jej krzyki ucichły do słabego kwilenia.

Will upuścił miotacz na podłogę.

— No proszę, jak w gronie przyjaciół. — Ken skierował pistolet na odrzuconą broń i stopił jej obudowę w plamę plastikowego żużlu. — Lincoln, wskaż panu Hunterowi jego fotel.

Przed oczami Willa rozbłysły błękitne iskry, a wszystkie mięśnie jego pleców skurczyły się w jednoczesnym spazmie. Padł na podłogę, wstrząsany drgawkami. Paralizator musiał być ustawiony na lekkie rażenie, bo inaczej byłby już nieprzytomny. Szorstkie dłonie chwyciły go za ramiona, wlokąc go na fotel przesłuchań.

Will zacisnął zęby i spróbował zadać Lincolnowi cios w krtań, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa. Czuł, jakby ktoś wbijał mu igły we wszystkie kończyny, podczas gdy podwładny Kena zacisnął na nich więzy i podpiął go do agregatu z monitorami.

— Leci tu grupa interwencyjna, Ken. To koniec. Już po tobie.

Peitai wzruszył ramionami.

— Dam ci szansę wszystko przemyśleć, Will. — Otworzył panel sterowniczy skrzynki przymocowanej do ramienia Jo o zaczął pstrykać przełącznikami. — Nie jesteśmy jak reszta ćwoków z tajnych służb. Jesteśmy Departament 731. Wy jesteście tylko Organizacją. Uwierz mi, jeśli uznamy, że musicie zniknąć, to przejdziecie do historii. Jeśli chodzi o mnie, to uważam, że mimo iż naprawdę uprzykrzałeś nam życie, to jesteś po stronie dobra, tak jak ja.

Skończył grzebanie w skrzynce i położył dłoń na ramieniu Jo. Po jej podbródku pociekła nitka gęstej śliny.

— Uważam, że ty i ja moglibyśmy zrobić tu wiele dobrego, Will.

— Wiesz co, Ken? — Czucie w kończynach zaczynało wracać, Hunter starał się wyswobodzić jedną z rąk. — Nie jesteś „po stronie dobra”. Jesteś kanałą.

— Bardzo mnie krzywdzisz tą opinią. — Peitai westchnął. — Wiem, że to źle wygląda, ale to jedyny sposób na wygranie wojny.

— Nie toczymy *żadnej* wojny!

— Will, Will, Will. *Zawsze* toczy się jakaś wojna. Tyle że teraz się już o niej nie mówi. Jasne, dajemy naszym wojskowym machać flagą, kiedy wyjeżdżają

na międzynarodowe misje pokojowe i inne temu podobne, humanitarne pierdoły, ale to nie tam toczy się prawdziwa walka. Tylko tutaj.

— Sranie w banię.

— Wiesz dlaczego ludzie z Oldcastle zawsze są takimi przygłupami? Wiesz czemu? Bo jakiś skurwiol wpuścił do wody pewien środek chemiczny, który zaburza rozwój neurologiczny. A chcesz wiedzieć, kto to zrobił? Jeden z naszych sojuszników. Żaden z naszych wrogów. Zrobili nam to nasi *przyjaciele*. — Ken pokręcił głową. — Niewiarygodne.

— Widzisz — powiedział, opierając się o fotel Jo — obecnie nie chodzi już o ziemię, religię ani o inne podobne sruty-pierduty. Chodzi o kasę. Jeśli sprawią, że wystarczająco wielu z nas będzie przygłupami, to nie zdołamy z nimi konkurować. Jeśli uczynią wystarczająco wielu z nas bezpłodnymi, to w ciągu dwudziestu lat zabraknie nam siły roboczej. Jeśli podburzą nas do zamieszek i poszczują do zabijania się nawzajem... — Ponownie wzruszył ramionami. — Nie potrafimy dowieść, że syndrom VR nie został wywołany przez patogen wyprodukowany w laboratorium, a potem celowo wypuszczony na wolność. Musimy mieć szczepionkę w razie, gdyby zechcieli to zrobić ponownie.

— Nie wciskaj mi kitu. Wcale nie szukacie leku. To program zbrojeniowy!

Ken przestał się uśmiechać.

— OK, złapałeś mnie. Tworzymy broń, no i co z tego? „Oni” robią to nieustannie. Zobacz, co stało się w Oldcastle.

— Broń chemiczna jest nielegalna!

— Jezu, Will, dorośnij. To nie jakaś cholerna zabawa w wojnę, tylko prawdziwe życie. Na wojnie i w miłości nie ma litości, pamiętasz? — Znowu wykrzywił twarz w uśmiechu, poluzował krawat i delikatnie odłączył rurki od zdrowego ramienia Jo.

— Wykorzystujesz ludzi jako króliki doświadczalne!

— Żeby zrobić omlet, Will, trzeba stłuc jajka. Jak mamy walczyć ze złem, jeśli nie mamy żadnej broni?

Peitai odwrócił się w stronę spojenia na lustrzanej ścianie i otworzył ją w tym miejscu, ukazując sekretne drzwi prowadzące do małego, cichego przejścia.

— Na końcu tego korytarza jest stacja komunikacji miejskiej. — Odłączył elektroniczne czujniki od czoła Jo i rzucił je na ziemię. — Mogę zapakować ją do wehikułu, który podwiezie ją prosto do szpitala. Ma w żyłach tyle różnego syfu, że nic z tego nie zapamięta. Musisz nas jedynie wesprzeć w realizacji projektu. Pomóc swojemu krajowi.

Will spojrzał na niego wilkiem.

— A jeśli się nie zgodzę?

— Dziewczyna umrze. Ty umrzesz. Tych dwoje, którzy tu z tobą przyszli, też umrze... o ile już nie umarli. Nie możemy pozwolić, żebyś łąził po mieście i gadał, co ci ślina na język przyniesie. Kiedy stosujemy formułę, musimy mieć pewność, że nie zostawimy najmniejszych śladów, które mogłyby sugerować udział władz w tym eksperymencie. Potrafisz sobie wyobrazić, w jakie gównno byśmy wdepnęli, gdyby wyszło na jaw, że rząd Szkocji zainfekował obce państwo syndromem VR?

Hunter patrzył na wąski strumyk gęstego płynu sączący się z usmażonej skóry Jo.

— Jak możesz robić takie kurewstwa?

— Bo muszę. Nie jesteśmy strasznymi potworami i nie robimy tego dla zabawy. — Przetarł dłonią posiniaczone i spocone czoło sierżant Cameron.

— To co powiesz, kolego? Ostatnia szansa. Przyłączysz się do nas?

Will przymknął oczy i zwiesił głowę.

— Obiecuj, że ją uwolnisz.

— Masz moje słowo. Dołącz do zespołu, a my puścimy ją wolno. Pokryjemy wszelkie koszty opieki, jakiej będzie wymagać. Będziecie żyli długo i szczęśliwie.

— A pozostali?

— Sami będą musieli zdecydować, ale przynajmniej będą mieli wybór.

Odegrać bohatera i skazać wszystkich na śmierć, czy przejść na stronę zła. Wziąć odpowiedzialność za ich zbrodnie. Uratować życie Jo...

Will opuścił głowę.

— Zrobię to.

Ken kiwnął głową i spojrział na swoje odbicie na lustrzanej ścianie.

— Słyszał pan, szefie?

Z ukrytych głośników popłynął zimny, beznamiętny głos.

— *Kłamie.*

— Jest pan pewny, że on nie...

— *Absolutnie. Wiesz, co masz robić.*

Peitai przygarbił się.

— Tak jest. — Spojrział Willowi w oczy. — Jezu, nienawidzę takich sytuacji.

— Chwycił za pistolet i wycelował mu w głowę. — Bardzo mi przykro. Myślałem, że uda nam się znaleźć inne rozwiązanie. — Pociągnął za spust.

Twarz Willa owiała rozmyta fala gorąca, po czym urządzenie wydało z siebie

ciche piknięcie.

— Sukinsyn. — Ken podniósł broń i spojrzał na licznik mocy. — Pusty. Lincoln, zechcesz obsłużyć naszego gościa?

— Tak jest.

Hunter poczuł na skroni ucisk chłodnej lufy miotacza. Popatrzył spode łba na Peitai.

— Zabiję cię. Na tym albo na tamtym świecie. Znajdę cię i zabiję.

Ken uśmiechnął się smutno.

— To już chyba raczej na tamtym, bo twój czas na tym łoż padole właśnie dobiegł końca. Załatw go.

Mężczyzna trzymający miotacz powiedział „Tak j...”, po czym eksplodował.

29

Na podłogę zwały się z plaśnięciem strzępy czerwonego mięsa, oderwana ręka odbiła się od boku fotelu do przesłuchań i zsunęła się na dół, podrygując nieznacznie. Z paneli stropowych skapywała krew. Przednia część trzymanego przez Lincolna miotacza upadła w kawałkach na podłogę, dzwoniąc i bębniąc na kafelkach jak opakowanie rozsypanych śrubek. Ken cofnął się, odrzucił pusty pistolet soniczny, po czym dał nura w lustrzane drzwi, zatrzaskując je za sobą.

Will wykręcił głowę i jego oczom ukazał się Brian. Stał tam z policzkami upačkanymi czerwoną mazią, szczerząc zęby jak wściekły pies. Jego miotacz drgnął nagle i lustrzane drzwi rozprysły się na tysiąc szklanych okruchów.

— UWOLNIJ MNIE! — Will musiał wrzeszczeć, by przekrzyczeć ogłuszający hałas.

Brian zerknął w otwór prowadzący do ukrytego przejścia, po czym skierował wzrok na Huntera.

— Przetnij więzy! Ten skurwiel ucieka!

— Gównu. — Agent Alexander wyszarpnął z cholewy buta nóż i przeciął krępujące Willa pasy.

Hunter zatoczył się lekko, a do pomieszczenia wparowała posterunkowa Cat McDonald, jej oczy połyskiwały jak zimne, nieoszlifowane diamenty.

— Tędy! — Will wskazał na fragment ściany, w stronę którego odwrócił się Peitai, gdy pytał, jak ma postąpić. To tam musiał się znajdować pokój obserwacyjny. — Tam jest Kikan, szef tego kurdupla. Załatw tego skurwiela!

— Tak jest! — Cat wyszczerzyła zęby i megablaster ryknął w jej rękach, zmieniając lustro w obłok zjonizowanych cząsteczek. Policjantka z okrzykiem skoczyła do środka.

Will przyklęknął obok Jo. Jej oczy zasnuwała szklista mgiełka, z poobijanej twarzy skapywał pot. Była nieprzytomna, a Ken uciekał.

— Zajmij się nią, Brian.

Chwycił blaster leżący przy bezgłowym ciele Hendersona i zanurkował w wybitym w ścianie przejściu, ruszając w pościg za Peitai. Broń pobrzękiwała w jego rękach.

* * *

Pozostawiony samotnie w pokoju przesłuchań Brian podszedł do fotela, na którym zwisała przywiązana Jo i delikatnie odgarnął jej włosy z twarzy.

Biedaczka wyglądała fatalnie, cała poobijana i połamana. Z jej pokrytego pęcherzami ramienia unosił się słodkawy, mięsny zapach pieczonej wieprzowiny.

Brian poczuł dławienie w żołądku... a potem wszystko podeszło mu do gardła.

Całe przedramię było ugotowane, od łokcia aż po czubki palców. Nie został tam ani *skrawek* zdrowej tkanki.

Agent Alexander rozpiął swój pas i zawiązał go na jej bicepsie, zaciskając tak mocno, jak tylko potrafił. Nie wiedział, czy to pomoże, ale nie mogło zaszkodzić.

— Nie przejmuj się, ptaszyno — powiedział. — Wytłuczemy ich wszystkich.

* * *

Korytarz biegł prosto przez jakieś sto jardów, więc to samo uczynił też i Hunter, trzymając blaster w wyciągniętych przed siebie rękach jak jakiś taran. Przedarł się przez bramkę ochrony na końcu przejścia i wypadł na stację, dwadzieścia jardów od głównego wejścia.

Nad peronem wciąż wisiał ciężki obłok zjonizowanego pyłu wyrzucony w powietrze, kiedy Cat rozwalila linię energetyczną. W półmroku dało się dostrzec brudny, białawy zarys zaparkowanego wehikułu komunikacyjnego, którego tylne lampy majaczyły wśród oparów jak rozmazane kule czerwieni.

— Ken! — Will upewnił się, czy jego nowy miotacz jest włączony i gotowy do strzału. — Gdzie jesteś, cholerny sukinsynu?

W ciemnej mgle dał się dostrzec jakiś ruch i Hunter pociągnął za spust, rozbijając tuman pyłu na wszystkie strony. Strzał wybił w nim ścieżkę aż do głównego wejścia, rozwalając podwójne drzwi, przez co obłok cząsteczek jeszcze bardziej zgęstniał.

— Nie bój się, Ken, możesz wyjść. Nie zrobię ci krzywdy!

Rozległ się syk otwieranych drzwi wehikułu. Wewnątrz pojazdu zamigotało światło i Will zdołał z trudem dostrzec rozmazaną postać gorączkowo wystukującą jakieś namiary na panelu nawigacyjnym. Gdy maszyna ruszyła powoli do przodu, Hunter zarzucił blaster na ramię i podszedł do krawędzi peronu.

— O nie, nie ma, kurwa, mowy!

Broń zadrzała w jego rękę, a potem rozległ się ogłuszający warkot. Strzał rozerwał tył wehikułu, zmieniając dużą część maszynierii w trzaskający pył. Ale pojazd zdążył już wystartować, coraz bardziej zwiększając prędkość w miarę oddalania się od peronu. Trafiony wykonał ostry przechył i ześlizgnął się z szyny magnetycznej, wciąż przyspieszając. Dziób maszyny wyrzył brudę w ścianie tunelu i odbił się od niej, koziółkując wzdłuż toru, by w

końcu uderzyć w mur po przeciwnej stronie drogi. Sunąc po betonie, krzesał fontannę gorących iskier, napełniając powietrze okropnym jazgotem.

Tunel skręcał w prawo, podczas gdy rozpadający się wehikuł podążał na wprost. Wytraciwszy całą energię rozpędu, stanął w miejscu. Wreszcie włączyły się bezpieczniki, wyłączając wszystkie mechanizmy, pozostawiając jedynie światła awaryjne pojazdu, migające na pomarańczowo. Ciemność. Pomarańczowy błysk. Ciemność. Pomarańczowy błysk.

Hunter podszedł do krawędzi peronu i zeskoczył na tory, przecinając pylistą mgłę solidnym, zielonym promieniem celownika.

Za plecami usłyszał kroki Briana wpadającego na stację.

— Ja pierdolę... Will? — Na jego ramieniu wisiała Jo, jej twarz była pokryta cienką warstewką pyłu i potu.

— Jest mój, Brian, rozumiesz?

— Nie musisz tego robić. — Brian zszedł ostrożnie na dno tunelu. — Rozpruję zasrańca jak stare gacie, jeśli tylko powiesz. Nikt się nie dowie.

— Ja się dowiem.

Pomaszerowali wspólnie w stronę rozbitego wehikułu, skąpani w pulsującym blasku światła awaryjnych. Ken siedział wewnątrz pojazdu, mocując się z zamkiem. Po jednej stronie jego twarzy widniało długie rozcięcie, z którego sączyła się ciemnoczerwona krew, zalewająca jego kołnierz i koszulę. Ostatnim wysiłkiem wyważył drzwi i wypadł na dno tunelu.

Przyjaciele spojładali, jak dźwiga się na kolana, a potem staje na nogi.

Will wyłączył blaster i podał go Brianowi.

Agent Alexander zmarszczył brwi.

— Jesteś *pewien*, że to dobry pomysł?

— Nie strzelaj do niego, rozumiesz? Nie strzelaj, chyba że będzie próbował mnie zabić i uciec. Wtedy rozwal mu pieprzony łeb.

Do ich uszu dolatywał głos Kena, który mówił do siebie, oddalając się chwiejnym krokiem od zniszczonego pojazdu. — Nie, nie, nie... — Jedną rękę trzymał przyciśniętą do piersi, drugą opierał się o ścianę, próbując utrzymać się w pionie. — O Jezu, nie! — Poślizgnął się i upadł na bok, odbijając się od ściany i padając na dno tunelu. — Dlaczego ten stary sukinsyn to zrobił? O Jezu!

— PEITAI! — Will szedł, omijając szczątki wehikułu. — Mówiłem, że cię znajdę.

— Dlaczego? — Ken spojrzał do góry akurat w momencie, kiedy Will go dogonił. — Dlaczego musiał to zrobić?

— Wstawaj, zasrańcu. Wstawaj albo przysięgam, że skopię cię tu na śmierć tak, jak siedzisz.

Peitai wyciągnął przed siebie rękę, tak by Hunter mógł ją zobaczyć. Ostre odłamki szkła połyskiwały w jego dłoni i wystawały z kieszonki na piersi jego podartej marynarki.

Zaniósł się dziwnym, cienkim śmiechem.

— Ja już nie żyję...

* * *

W pomieszczeniu obserwacyjnym jest ciemniej. Światło docierające z pokoju przesłuchań jest zbyt słabe, by rozjaśnić mrok, którego nie rozpraszają też migotające monitory. Nie ma już żadnego tętna ani fal mózgowych, które można by rejestrować. Monitory błyskają więc same do siebie, wyświetlając jedynie elektrostatyczny szum.

Ładne.

Kobieta staje pośrodku pomieszczenia i pociąga nosem. Stara skóra i płyn po goleniu o zapachu gorzkich migdałów. Daje się go wyczuć mimo smrodu zjonizowanego szkła. Starszy mężczyzna był tutaj.

Wodzi megablasterem po całym pokoju, rozglądając się za jakimś celem.

Nikogo tu nie ma, ale dopiero od niedawna. Drzwi na końcu pomieszczenia wciąż jeszcze nie zdążyły się do końca domknąć. Kobieta podkraada się do nich i otwiera je stopą.

Na zewnątrz jest korytarz biegnący równolegle do wyjścia, dwie kobiety w fartuchach laboratoryjnych kucają na jego dalszym końcu, zdenerwowane i wytrącone z równowagi, zbierając jakieś wydruki porozrzucane po całej podłodze, jak gdyby ktoś przebiegł obok nich, wytrącając im je z rąk.

Jest taka zadowolona, że powstrzymała się od zabicia Huntera, kiedy go ujrzała przed szpitalem. Gdyby to zrobiła, to nie miałyby szansy się tu teraz znaleźć. A tak jest o wiele, o wiele zabawniej. William Hunter zabije za nią Kena Peitai, a potem, kiedy już uda jej się znaleźć jej starego przyjaciela, Tokumu Kikana, i gdy wręczy mu przeznaczony dla niego prezent, odwiedzi Huntera w jego domu, by osobiście wyrazić mu swoją wdzięczność.

Kobieta wybucha śmiechem i rusza korytarzem, mija uwijające się badaczki i pędzi ku wyjściu, podążając śladem zniszczenia i gorzkich migdałów.

Starszy mężczyzna ucieka przed śmiercią. Tropiąca go kobieta tak bardzo się za nim stęskniła.

* * *

Ken miał dreszcze i dygotał. W kącikach jego ust wzbierała czerwona, spieniona ślina, a jego ręce trzęsły się i podrygiwały. W jego prawej dłoni

połyskiwały drobne odłamki szkła.

— Czego ten zasraniec tak się telepie?

Will zmarszczył brwi.

— Nie mam pojęcia.

Głowa Kena odskoczyła do tyłu, odbijając się od ściany tunelu z głośnym stuknięciem. Drżenie zwolna ustąpiło i ciało mężczyzny zwiotczało. Bez ruchu.

— Wykorkował?

Will cofnął się i powiedział:

— Przekonajmy się. — Kopnął leżącego człowieka w klatkę piersiową, tak mocno, jak potrafił. Peitai odbił się od muru, po czym spelzł niezgrabnie na dno tunelu.

Brian splunął gęstą flegmą na tył jego nieruchomej głowy.

— A ja już miałem nadzieję obejrzeć sobie, jak wdeptujesz go w ziemię.

— Cholera! — Hunter kopnął Kena ponownie, ot tak, na wszelki wypadek.

Nic.

Martwy albo nieprzytomny. W każdym razie nie reagował.

Will podniósł rękę i aktywował mikrofon na szyi.

— Porucznik Brand, tu Hunter. Gdzie twoja drużyna?

— *W Sherman House. Gdzie, do diabła, jesteście? Przeszukaliśmy cały parter i nie możemy znaleźć wejścia do tego cholernego laboratorium.*

— Kiedy nas popieścili prądem, byliśmy na czterdziestym siódmym piętrze, a ocknęliśmy się w laboratorium. Najłatwiejszym sposobem na ściągnięcie nas na dół byłyby windy.

— *Floyd, otwórz panel windy!* — Głos Emily był opryskliwy i rzeczowy. — *Będziemy tam najszybciej, jak zdołamy.*

— Dzięki, ja... — Ale połączenie zostało przerwane. Rozłączyła się. — Świetnie.

Brian ostrożnie położył Jo na dnie tunelu, po czym zaczął grzebać w swoim plecaku, szukając zestawu pierwszej pomocy.

— Musimy zawieźć ją do szpitala. Ma rozpieprzoną rękę i Bóg wie, czym ją naszprycowali.

Will pokiwał głową i usiadł obok Jo, głaskając ją po opuchniętym policzku. Kiedy jej mówił, żeby zostawiła go w Kelvingrove Park, sądził, że to jej uda się uciec... A teraz proszę. To całkowicie jego wina, to on ją w to wplątał. Z tym skurwielem Peitai.

— Will?

Podniósł wzrok, natrafiając na spojrzenie przypatrującego się mu Briana.

— Tak... Racja. Emily jest na górze, weźmiemy Ważkę.

— Dobra. Jak na dziś, mam już dość tej dziury.

— Dzwon do Cat i powiedz jej, żeby tu wracała. Nie chcę, żeby sama się tu plątała, kiedy wpadną ludzie Emily, z giwerami gotowymi do strzału.

Brian wstał i kliknął swój mikrofon.

— Cat? — Zrobił pauzę, po czym spróbował ponownie. — Cat? Słyszysz mnie? — Pokręcił głową, wyjmując słuchawkę z ucha, popatrzył na nią, po czym włożył ją z powrotem. — Wszystko się pieprzy... Posterunkowa McDonald, czy mnie słyszycie?

Spojrzał złowrogo na poskręcane ciało Kena.

— Jeśli któryś z twoich sukinsynów zrobił jej krzywdę, to ich pozabijam! — Wymierzył mu kopniaka w zębra, wystarczająco mocnego, by przewrócić go na plecy. Z ust Peitai wydobył się jęk.

— Słyszałeś to? — Brian uklęknął i zaczął szukać tętna. — Ten zasraniec wciąż żyje. Co za radość! — Chwycił Kena za kłapy marynarki i wymierzył mu policzek wierzchem dłoni. Głowa mężczyzny odskoczyła na bok, a spomiędzy warg wydobył się kolejny jęk. Powieki agenta zatrzepotały, po czym otwarł oczy.

Brian poderwał go na nogi, nucąc.

— O Kenny, czy słyszysz, jak cię woła muzyka? — I trzasnął nim o ścianę.

— Przestań! — Will westchnął i spojrzał w bok. Początkowa fala wściekłości ustąpiła, zostawiając po sobie gorzki posmak. Organizacja nie zajmowała się usuwaniem ludzi bez śladu, tylko stawiała ich przed sądem. Wszystko jawnie i legalnie. — Odczytaj mu jego prawa, czeka go randka z chirurgiem.

— Po tym, co ten kutas zrobił Jo? Ubezwłasnowłowiecie to dla niego za mało.

— Przybliżył twarz na kilka centymetrów od usmarowanego zakrzepłą krwią oblicza Peitai i krzyknął:

— Pobudka, Kenny, pora na mały wpierdol!

Peitai wciąż nic nie mówił, ale miał szeroko otwarte i rozbiegane oczy oraz drgające policzki, słychać też było, jak zgrzyta zębami. Brian walnął go jeszcze raz.

— To twój szczęśliwy dzień, Kenny: dwa manta w cenie...

To było jakby ktoś przepuścił przez poobijane ciało Peitai prąd pod napięciem tysiąca woltów. Odbił się gwałtownie od ściany i owinął ręce wokół głowy agenta Alexandra, kłapiąc zębami jak wściekły pies. Zatapiając

je w jego policzku, szarpiąc i rozrywając...

— Aaaach! — Brian odepchnął napastnika. — Ty mały skurwielu!

Ken wypluł kawałek jego ciała, po czym skoczył ponownie, mierząc w gardło.

Brian odrzucił głowę do tyłu, a potem machnął nią do przodu, uderzając Peitai czołem w środek nosa. *Trzask*. Obydwaj polecili w przeciwne strony: agent Alexander na środek tunelu, krwawiąc z dziury w policzku, a Ken pod ścianę. Brian zahaczył nogą o szynę magnetyczną i zwałił się na ziemię jak worek kartofli, uderzając głową o podłogę.

Will złapał Peitai, gdy ten odbijał się od ściany, i wpakował łokieć prosto w jego twarz. Nos kurduplowatego agenta pękł jak jajko, lecz nawet go to nie spowolniło. Obnażył zęby i skoczył, obalając Huntera na ziemię. Padli na dno tunelu spleceni w uścisku.

Ken zaczął sięgać dłońmi w stronę policzków Willa i przez króciutki moment blask migających świateł awaryjnych rozbłysnął na odłamkach szkła powbijanych w dłoń agenta. Skapująca z ostrych, poszarpanych krawędzi krew nie była do końca czerwona: była skażona czymś lepkiem i zielonym. Czymś, co wywołało u agenta Peitai atak szału.

Hunter zaprzestał prób odepchnięcia od siebie zębów napastnika, tylko złapał Kena za grzbiet skaleczonej dłoni, doginając ją w stronę przedramienia, starając się złamać mu nadgarstek. Peitai wciąż nacierał.

— BRIAN!

Krew ciekła z pogruchotanego nosa i rozcięcia na twarzy agenta. Jego głowa wystrzeliła do przodu i mężczyzna zatopił zęby w brwi Huntera. Ostry, przeszywający ból.

— Aaach! Złaż ze mnie! — Will wpakował kciuk w oko Peitai, zagłębiając go aż po knykciec. *Podziałało*. Napastnik puścił twarz Huntera z gardłowym krzykiem i dźwignął się do pionu, przyciskając rękę do rozwalonego oka, starając się utrzymać je w oczodole.

Potem skoczył na środek tunelu i ruszył przed siebie chybotliwym krokiem, znikając w ciemności.

Will pozbierał się na nogi i chwycił blaster, który ukradł nieboszczykowi Lincolnowi. Rozerwana brew pulsowała i paliła rwącym bólem, zalewając oko krwią. Spróbował wytrzeć ją rękawem, krzywiąc się, kiedy tkanina ocierała się o ranę, ale za chwilę napływała od nowa.

Brian wciąż leżał na plecach, jęcząc i przeklinając.

— Pilnuj Jo. — Hunter włączył celownik blastera i ruszył w głąb tunelu, podążając w ślad za odgłosem kroków Kena.

Wszystko pachniało wilgocią, pleśnią, rozgrzaną miedzią, smarem i

śmiercią.

— Nie uciekniesz Peitai, przecież wiesz!

Żadnej odpowiedzi.

Ciemne rozpryski krwi lśniły w zielonej poświacie celownika jak kałuże benzyny. Sukinsyn poruszał się z dużą prędkością i Will musiał pobiec truchtem, by dotrzymać mu kroku. Nie wiadomo, co Peitai trzymał w górnej kieszonce marynarki, ale oprócz tego, że sprowadziło to na niego szaleństwo, wlało to w niego także zupełnie nowe życie.

Tunel skręcał w lewo i Will przystanął na moment, wyteżając słuch, by zlokalizować Kena. Nie było to proste, ale udało mu się w końcu usłyszeć ledwo uchwytny stukot obcasów kowbojskich butów rozbrzmiewający w ciemności.

W powietrzu zaszła jakaś zmiana: odczuwał ją na skórze twarzy, owiewanej w trakcie biegu. Było cieplejsze niż na peronie, mniej zatęchłe, co oznaczało, że główna linia została zamknięta. Przystanął jeszcze raz, nasłuchując...

Wyłącznie cisza.

Albo Ken przerwał swój bieg, albo ta odrobina szkła i środków chemicznych zapędziła go w końcu do grobu.

Will stanął pośrodku tunelu, jedną nogą dotykając zimnego metalu magnetycznej szyny. Kręcił dookoła promieniem swojego celownika, poszukując jakiegoś celu, ale dostrzegał jedynie cienie przyczajone w pustych niszach pomiędzy filarami a miejscem, gdzie tunel łączył się z siecią komunikacji miejskiej.

— Gdzie jesteś, ty...

Coś chwyciło go za kostkę i pociągnęło.

Ziemia usunęła mu się spod nóg i runął do tyłu, waląc się z hukiem na beton. Blaster warknął w jego rękę, wypełniając ciemny tunel błękitnym światłem tańczącym we wciąż rosnącej chmurze pyłu ze zniszczonego fragmentu sufitu. Padając, uderzył głową o jedną ze ścian, i broń wypadła mu z rąk, odskakując z klekotaniem w głąb przejścia. Zatrzymała się w końcu z celownikiem obróconym w kierunku, z którego przyszli. Jego światło padało na beton, tworząc groteskowy teatr cieni, gdy Peitai przystąpił do ataku, szczerząc jarzące się zielonkawym blaskiem zęby.

Will poczuł, jak ręka napastnika chwyta go za twarz, więc wgrzył się w nią, nie zważając na tkwiące w niej odłamki szkła.

Rozległ się wrzask, zwierzęcy skowyt, niemający w sobie zupełnie nic ludzkiego.

Hunter spróbował wydostać się poza zasięg rąk przeciwnika. Nie dość szybko. Coś cięło go w policzek i poczuł ostre ukłucie, a w miejscu uderzenia

otwarła się rana zadana małymi, szklanymi ostrzami.

Skurwiel! Will wpakował kolano w krocze Peitai wystarczająco mocno, by wyrzucić go w powietrze prawie na metr. Ken oklapł i zwymiotował, przyciskając dłonie do genitaliów.

Hunter otarł rozciętą twarz rękawem. Ten pieprzony sukinsyn go zainfekował!

— Kurwa! Kurwa! Kurwa!

W zestawie pierwszej pomocy przyczepionym do skafandra musiało być przecież coś, co mógłby wykorzystać. Will padł na kolana, wyszarpując sakwę z przyczepów i rozsypując jej zawartość na ziemi.

— Ampułki przeciwbólowe, dermoaerazol, bandaże. — Grzebał nerwowo w stosie leków, rozrzucając je na wszystkie strony. — Dermoklej... Gdzie jest, do kurwy nędzy, Biolene? — Jego palce natrafiły na tubkę pasty odkażającej. Nie było to idealne rozwiązanie, ale nie miał nic innego. Rozerwał końcówkę opakowania zębami i wtarł lepkaż w rozcięcie na policzku. Potem powtórzył całą procedurę na rozerwanej brwi, na wszelki wypadek, gdyby miało się okazać, że nieznany czynnik infekujący mógł zostać przeniesiony w zarażonej ślinie Kena.

Will podniósł wzrok, uświadamiając sobie nagle, że na zbyt długo spuścił z oczu tego małego, złowrogiego skurwiela. Peitai nie tarzał się już po betonie z rękami przyciśniętymi do zgniecionych jąder, zdążył się pozbierać i szedł, kuśtykając na wykoślawionych nogach, w stronę leżącego pośrodku tunelu blastera. Hunter zerwał się i ruszył za nim, ale za późno. Ken zdążył już wyjść z prywatnego toru ośrodka badawczego, przedostając się do głównej sieci tuneli, zgarniając po drodze leżącą na ziemi broń.

Peitai odwrócił się i zaczął coś wykrzykiwać bez ładu i składu, mieszając słowa jak wieprzowinę w maszynce do mięsa, a jednocześnie uniósł blaster, kierując zielony promień celownika prosto na Willa.

Leciutki podmuch powietrza zakolysał zasłonę z pyłu powstałą po anihilacji części sufitu. Hunter rozglądał się za jakąś kryjówką, ale wszędzie dookoła rozciągał się jedynie pusty tunel. Ponownie spojrzął na Kena, kurdupłowaty agent zdawał się płonąć wewnętrznym blaskiem, jego sylwetkę otaczała miękka aureola białego światła, rosnąca z każdym uderzeniem serca...

Wehikuł wjechał w niego z taką siłą, że rozsmarował go po wszystkich ścianach jak jakieś powidła.

30

Kobieta podąża tropem starszego mężczyzny pędzącego przez ośrodek w stronę ukrytego wyjścia na plac Potworności, tego samego, które wykorzystywali, by ściągać ją tu na krótkie, urozmaicane torturami przesłuchania. Mężczyzna wie, że to bezcenny sekret, szczególnie kiedy ludzie Organizacji wpadają do ośrodka uzbrojeni po same zęby. Kobieta pozwala mu dobiec aż do samych drzwi i dopiero wtedy go zatrzymuje.

— Stać! Ani kroku dalej! — Oświeśla go promieniem z celownika swojego megablastera.

Mężczyzna nie dygocze, co wzbudza jej podziw. Zamiast tego prostuje ramiona i odwraca się w jej stronę.

— Nie wiem, do czego zmierzasz — mówi z dystyngowanym akcentem, w pełni panując nad mimiką — ale mogę cię zapewnić, że *nie chcesz* ze mną zadzierać.

Kobieta podrywa swoją broń i anihiluje fragment sufitu bezpośrednio nad jego głową. Drobinki betonu opadają zwolna na jego strzeliste, odziane w czarny płaszcz plecy, jak mikroskopijny łupież.

Mężczyzna kaszle i spluwa, próbując pozbyć się pyłu z dróg oddechowych.

— Nie wyobrażasz sobie, z kim masz do czynienia. Twój przyjaciele z Organizacji cię nie uratują. Mogę sprawić, że znikniesz, ot tak! — Pstryka długimi palcami urodzonego chirurga, a kobieta wybucha śmiechem.

— Ja już znikłam. — Wyciąga z kieszeni swojego kombinezonu wypukły dysk, a potem ustawia paralizator na „LEKKIE PORAŻENIE”, przez cały ten czas mierząc w niego swoim megablasterem. — Teraz twoja kolej.

Mężczyzna wypina klatkę piersiową jak jakiś zadziorny kogut.

— Wiesz, kim jestem?

— Jesteś Tokumu Kikan — odpowiada kobieta, wycelowując paralizator prosto w jego twarz. — Ukradłeś wyniki moich badań, ukradłeś mi twarz, ukradłeś mi całe życie. — Uśmiecha się zimnym, ostrym, kanciastym uśmiechem. Potłuczone szkło. — Naprawdę myślałeś, że ujdzie ci to na sucho, Tokumu? — Delikatnie wodzi palcem po spuście i na krawędzi dysku rozbłyskują drobne iskierki. — Powinieneś był to przewidzieć.

— Kim... — W jego oczach pojawia się niepewność. — Kim jesteś?

Kobieta tylko się uśmiecha i razi go prądem.

* * *

Wehikuł nawet nie zwolnił. Popędził dalej wzdłuż głównej trasy, zostawiając za sobą blaknące światło reflektorów. Will stał w coraz gęstszej ciemności upapwany kawałkami Kena Peitai tężącymi na jego kombinezonie.

Z tunelu za jego plecami dobiegły go odgłosy broni palnej przerywane charakterystycznym hukiem miotaczy i blasterów. Will odwrócił się i ruszył chwiejnie z powrotem w stronę peronu i pomarańczowego blasku światła awaryjnych.

Kiedy dotarł do pogruchotanego pojazdu, opadł na ziemię, opierając się o poskręcany metal. Wrak zaskrzypiał współczująco.

— Gdzie ten mały skurwiel? Brian wymierzył swój miotacz w tunel za plecami przyjaciela.

Will spojrzał na swój pochlapany i upapwany kombinezon.

— To chyba jego ucho.

— Nie bądź głupi. — Brian wbił w niego wzrok. — To nerka.

Hunter zeszkrobał to coś ze swojej piersi i odrzucił to na ziemię.

— Tak, chyba masz rację.

W dalszej części tunelu rozległ się głuchy łomot i ocalałe dotąd szczątki drzwi prowadzących na peron eksplodowały burzą szkła i plastiku. Przez rumowisko zaczęły się teraz przedzierać dwie postaci, ledwo widoczne poprzez gęsty obłok pyłu. Obydwie próbowały się ostrzeliwać, ale rozległ się ryk jakiegoś potężnego działa i obie zmieniły się w drobniutką, czerwonawą mgiełkę.

— Jezu! — zawołał Brian. — Emily nie zawraca sobie głowy braniem jeńców.

Ktoś przedarł się przez zrujnowane wyjście, wydostając się na peron z warczącym megablasterem w dłoniach.

— Cat! — Will podniósł się na nogi i ruszył truchtem w stronę słabo widocznej postaci.

— Ani kroku dalej! — To nie była Cat. Głos nowo przybyłej osoby nie przypominał nawet głosu człowieka.

— Dickson? To ty? — Hunter musiał zmrużyć oczy, bo promień z celownika broni przekształcił tuman betonowo-ludzkiego pyłu w gęstą, zieloną zupę.

— Na kolana, ręce tak, żebym je widziała!

Will klęknął na ziemi i zrobił, co mu kazano. Z mgły wyłoniło się coś obcego, coś o zaburzonych, rozdętych proporcjach. Postać podniosła przyłbicę i zsunęła z twarzy aparat oddechowy.

— Pani porucznik — zameldowała Dickson do mikrofonu na szyi — znalazłam go. — Uśmiechnęła się lekko do Huntera i ponownie zasłoniła

usta maską oddechową. — Może pan już wstać.

— Tam z tyłu, obok wraku wehikułu, są jeszcze agent Alexander i sierżant Cameron. Musimy jak najszybciej dostarczyć Jo do szpitala. — Wskazał na trzymaną przez szeregową megablaster. — Identyczną broń ma jeszcze jedna osoba z mojego zespołu, policjantka, która wciąż przebywa na terenie tego ośrodka.

— Nikogo nie widziałam, ale mogę popytać. — Dickson zbyła go gładkim tekstem, podczas gdy z chmury pyłu wyłoniła się kolejna dziwna, obca postać. Na naramiennikach pancerza nowo przybyłej osoby widniały dwie gwiazdki, a na cyfrowym wyświetlaczu na jej piersi jarzył się napis „BRAND”. Emily.

Cała trójka cofnęła się w stronę migających, pomarańczowych świateł awaryjnych, ani na chwilę nie przerywając niezręcznej ciszy.

— Kawaleria przybyła — powiedział do Briana, próbując przerwać lodowate milczenie.

Porucznik Brand uniosła przyłbicę i skinęła głową.

— Brian.

— Nie spieszyło wam się. — Puścił do niej oko. — Nie masz przy sobie jakichś frytek, co? Konam z głodu. — Odgłos wystrzałów był teraz rzadszy, ciszę przerywały jedynie okazjonalne dźwięki salw broni i wywołanych przez nie eksplozji.

— Nienażarty sukinsyn... — Emily spojrzała na poobijaną twarz Jo oraz na jej ugotowaną rękę, po czym włączyła mikrofon na szyi. — Floyd, Patterson, zapieprzajcie na stację i weźcie ze sobą nosze. Mamy tu ranną policjantkę. — Odwróciła się i przemówiła do Dickson. — Masz ich eskortować. Odprowadź ich do śmigłowca i zadbaj, żeby polecili prosto do szpitala. Jeśli dowiem się, że wpadli po drodze na browara, to urwę ci tyłek.

— Tak jest!

— Emily... — Porucznik Brand obróciła się w jego stronę i Hunter umilkł na chwilę, widząc jej zimne i twarde spojrzenie. — Nie możemy zlokalizować jeszcze jednej osoby, policjantki...

— Słyszałam. Jak się znajdzie, to damy ci znać.

Z mgły wybiegli Dickson i Patterson, niosąc ze sobą platformę ewakuacyjną. Delikatnie umieścili na niej Jo, przypięli ją dokładnie i ruszyli na powierzchnię, zabierając ze sobą szeregową Dickson i jej megablaster.

Emily odwróciła się, by pójść w ich ślady, ale Will ją zatrzymał.

— Słuchaj, przepraszam, ja...

Porucznik Brand zerwała z twarzy swój aparat oddechowy.

— POWINIENES BYŁ MI POWIEDZIEĆ!

— Nie chciałem...

— Nawtykali mi pod skórę jakiegoś gówna! A ty wiedziałeś! — Jej dłoń wystrzeliła jak kula armatnia, odrzucając jego twarz na bok. — Sukinsyn!

— Co miałem zrobić? — Splunął obficie krwią na dno tunelu. — Gdybym ci powiedział, toby to do nich dotarło. Zabili Steina i prawie zabili Jo. Tobą też by się zajęli...

— Powinieneś był mi powiedzieć. — Ponownie naciągnęła aparat oddechowy i odeszła, pogrążając się we mgle. Hunter patrzył, jak znika mu z oczu.

Poczuł na swoim ramieniu czyjeś ogromne łapsko.

— Co powiesz na curry?

Will westchnął.

— Będzie mnie teraz nienawidzić całymi latami, prawda?

— Chodź, zobaczmy, czy uda nam się znaleźć Cat.

* * *

Kobieta wstrzykuje ampułkę środka uspokajającego dla ubezwłasnowolwionych w podrygujące ciało Kikana. W miarę jak chemia zaczyna działać, jego oczy rozszerzają się, a drgawki ustępują. Nie może się już poruszać, ale wszystko widzi, wszystko słyszy i wszystko *czuje*.

Szczęściarz.

Zarzucenie jego zwiotczalego ciała na ramię to żaden problem. Wszystkie te lata ciężkiej, fizycznej pracy dały dobry efekt.

Szkoda, że musi zostawić megablaster. Cudowna zabawka, tyle że po prostu za duża. Nie da rady nieść jednocześnie i jej i starszego mężczyzny.

Szkoda...

No cóż, będzie trzeba kupić sobie taką samą, kiedy znajdzie już sobie nowy dom.

Kobieta przeciska się przez wyjście i wychodzi na zewnątrz. Sherman House jawi się jako ciemna bryła na tle chmur mieniących się odbitym światłem sodowych lamp. Dr Westfield zamyka za sobą drzwi, a potem zanurza się w deszczową noc, razem ze swoim nowym przyjacielem.

Ma dla niego zaplanowane całe mnóstwo rozrywek.

* * *

Ośrodek był wypełniony pyłem. W pokoju przesłuchań kilku techników i noszących cywilne ubrania wojskowych leżało twarzą w dół na podłodze z rękami związanymi na plecach. Ktoś przykrył bezgłowe ciało Hendersona

płaszczem, ale kawałki Lincolna wciąż były poprzyklejane do sufitu, posadzki i do ścian...

— Nie ma po niej ani śladu. — Sierżant Nairn przetarł ręką pancerną płytę na swojej piersi, zostawiając na niej wolną od kurzu smugę. — Na górnym poziomie trafiliśmy na megablaster, blisko wyjścia na plac, ale... — Wzruszył ramionami. — Przykro mi.

Po korytarzu rozszedł się znajomy głos, z każdą chwilą przybierając na sile.

— Co się tu wyrabia? Oczekuję wyjaśnienia tej sytuacji i to natychmiast!

— Cholera, to jej sukowatość! — Brian splunął na jednego z leżących ludzi.

— Gdzie jest najbliższy terminal?

Nairn wskazał na dziurę, którą Cat wybiła w lustrzanej ścianie, prowadzącą do pokoju obserwacyjnego.

— Nas tu nie było, OK? — Złapał Willa za rękę i pociągnął go za sobą do małego, zaciemnionego pomieszczenia, zanim dyrektor Smith-Hamilton zdążyła dotrzeć na miejsce.

Po drugiej stronie zwierciadlanej ściany rozległ się charakterystyczny stukot szpilek uderzających o płytki i obaj przyjaciele przykucnęli za regałem z monitorami, chowając się przed wzrokiem szefowej.

Brian wskazał na terminal i szepnął:

— Włam się jeszcze raz do systemu policji i uruchom lokalizator Cat. — Wygrzebał z plecaka aparat namierzający. — Jeśli uwiniemy się dość prędko z jej znalezieniem, to może dożyjemy śniadania.

Will wystukał na klawiaturze odpowiednie komendy, nawet nie próbując zacierać za sobą śladów. Piętnaście sekund później urządzenie namierzające zaczęło dawać gwałtowne oznaki życia.

— Mamy ją! — Twarz Briana rozjaśnił uśmiech, ale po chwili zmarszczył brwi. — Co, do cholery... — Trzepnął trzymany aparat i ponownie spojrzął na odczyt. — Coś w nim nawala.

Hunter wyciągnął rękę.

— Pokaż mi to.

— Spieprzyło się. Według tej maszynki Cat znajduje się po drugiej stronie miasta.

Will wpatrywał się na mapę migoczącą na wyświetlaczu urządzenia.

— Może ci, co ją złapali, mieli ścigacz?

— Fakt, to by... Moment, ona się nie porusza. Sygnał dochodzi cały czas z tego samego miejsca.

— Racja. Potrzebujemy jakiejś podwózki. — Hunter wyłączył terminal i

wykradł się przez drzwi położone na tyłach pokoju obserwacyjnego.

* * *

Pośrodku placu Potworności stało nowiutkie Widmo. Pojazd był elegancki i imponujący, a jego silniki pracowały na jałowych obrotach; maszyna była gotowa do odlotu w razie najmniejszych oznak kłopotów.

Will zapukał w okienko kokpitu, zaczekał aż pilotka je uchyli, po czym powiedział:

— Przejmujemy ten pojazd.

— No pewnie — odpowiedziała kobieta — to wypas. To prywatny statek powietrzny pani dyrektor, więc nigdzie się nie ruszę bez jej polecenia.

— Chcesz do niej zadzwonić? — zapytał agent Alexander. A kiedy pilotka potwierdziła, że chce, walnął ją w nos i wyciągnął z kokpitu.

— Brian!

Kobieta zwinęła się w kłębek na przemoczonej od deszczu betonowej nawierzchni, przyciskając dłonie do twarzy i jęcząc.

Agent Alexander wzruszył ramionami i zarzucił sobie miotacz na plecy.

— Spieszmy się.

Wgramolili się do środka, przypięli się do foteli, po czym Brian chwycił za stery i Widmo poszybowało przez zasnułe ulewą niebo, oddalając się coraz bardziej od Sherman House z ogłuszającym rykiem silników.

— Dokąd lecimy? — Rzucił Willowi urządzenie namierzające.

Hunter spojrział na mały wyświetlacz, mrużąc oczy.

— Kelvingrove Park. — Zmarszczył brwi. To nie miało sensu... Po co ktoś miałby zabierać Cat z powrotem w to miejsce?

* * *

Z powietrza park jawił się jako rozległa plama mroku, rozświetlona jedynie cienką linią sodowych latarni połyskujących bursztynowo w niezmordowanym deszczu. Brian sprowadził lśniący pojazd na niski pułap, młóćąc krzaki odrzutem silników podczas lądowania.

Will chwycił miotacz i wyskoczył na smaganą zimnymi strumieniami monsunu ziemię. Urządzenie namierzające pikało, kiedy brnął przez błoto i zarośla, aż w końcu ją znalazł.

W zmalretowanym, nagim ciele u jego stóp trudno było poznać policjantkę, z którą wdarli się do podziemnego ośrodka Kena Peitai. Jej twarz była zbyt zmasakrowana, by dało się ją rozpoznać, ktoś tłukł w nią tak mocno, że nie zostały się żadne rysy twarzy, a tylko blada, woskowa skóra.

— O Jezusie, Cat. — Brian padł na kolana w błoto tuż obok ciała. — Biedny

dzieciak.

Will przestępował z nogi na nogę, uruchamiając swój miotacz. Coś się tu nie zgadzało.

— Jak ona tu, do diabła, trafiła? — Zatoczył bronią półkole po pogrążonym w ciemnościach parku. — Dlaczego ją rozebrano?

— Daj mi namierzenie. — Głos Briana był przytłumiony.

— Brian, coś tu nie gra.

— Wystarczy! OK? Wystarczy... — Agent Alexander spojrzał na niego gniewnie, po czym opuścił wzrok. — Oczywiście, że coś tu, kurwa, nie gra: ona nie żyje. Spóźniliśmy się. — Wziął głęboki oddech i wyciągnął rękę. — Po prostu daj mi ten aparat.

Will spełnił jego życzenie.

Brian wyciągnął delikatnie dłoń i zniszczył lokalizator zaimplantowany w czaszce posterunkowej McDonald. Nic innego nie mogli dla niej zrobić.

* * *

Tłukący o szybę dyrektor Smith-Hamilton deszcz zaczął zamarzać. W jej biurze było zdecydowanie za ciepło i Will miałby trudności z powstrzymaniem się przed zamknięciem oczu, gdyby nie fakt, że właśnie dostawał opierdół.

— Co ty sobie, do cholery, myślałeś? Nie miałeś prawa wkraczać do tego laboratorium. Nie miałeś autoryzacji, żeby masakrować jego personel. W ogóle nie powinieneś tam zaglądać!

Jedną stronę twarzy Willa pokrywała podobna do szachownicy nowa warstwa dermo-aerolu i dermokleju. Robił wszystko, co w jego mocy, by stać na baczność i nie odpyskować.

— Ma pan cholerne szczęście, panie Hunter — powiedziała, podnosząc gruby folder i machając nim w jego kierunku — że ministerstwo uznało, iż winę za zeszłonocne fiasko ponosi człowiek, który prowadził ten projekt w Sherman House. Masz wielki dług wdzięczności wobec pana Tokumu Kikana, jeśli uda nam się go kiedyś znaleźć. Gdyby nie on, stanąłbyś przed trybunałem, i to prędzej, niż zdążyłbyś powiedzieć „karygodne niedbalstwo”. Rzuciła folder z powrotem na biurko. — I możesz przekazać agentowi Alexandrowi, żeby podziękował losowi, że moja pilotka nie wniesie oskarżenia!

— Tak jest, pani dyrektor.

Kobieta wstała i wyprostowała fałdki na swoim uniformie.

— Sprawą twojego przesłuchania dyscyplinarnego zajmiemy się, gdy już załatwimy konferencję prasową. — Dyrektor Smith-Hamilton spojrzała na

niego wilkiem, krocząc po gęstym dywanie w stronę drzwi biura. — Ministerstwo może zechcieć wręczyć panu medal, panie Hunter, ale *ostrzegam*. Jeszcze jedno takie wykroczenie, a dołączy pan do tłumów bezrobotnych. Czy wyrażam się dostatecznie jasno?

— Tak jest, pani dyrektor.

31

Mieszkanie jest wysprzątane od sufitu aż po podłogę. Nie uświadczy się w nim ani jednego kłaczka kurzu, ani jednej plamki krwi. To dość niezwykle, biorąc pod uwagę, co miało tu miejsce przez ostatnich pięć dni.

Jej nowy gość jest zupełnie spokojny, stoi pośrodku salonu, gdzie może otoczyć go swoją matczyną opieką. W jego anatomii zaszły pewne zmiany w porównaniu z wtorkowym porankiem, kiedy wywlekła jego sflaczałe ciało przez tajemne przejście, ale to, co zostało, nie odczuwa bólu. Twarz Tokumu Kikana kończy się teraz na górnej szczęce — wszystko poniżej zniknęło, oderżnięte rzeźnickim nożem, luźne strzępy skóry zostały przyklejone z zastosowaniem o wiele za dużej dozy dermokleju. Ale przecież chirurgia nigdy nie była jej mocną stroną, w każdym razie nie była taka, która pozwala dalej żyć.

A starszy mężczyzna opowiedział jej tyle różnych rzeczy. Tyle tajemnic, nieczystych, niebezpiecznych sekretów.

Dr Westfield zwilża rąbek jedwabnej chusteczki i wyciera drobniutkie plamki zaschniętej krwi widniejące w kącikach jego oczu. Otwory są właściwie niewidoczne, naprawdę dobrze sobie z nimi poradziła: pełna lobotomia czołowa, wykonana starą metodą. Każe Tokumu Kikanowi, by się obrócił w kółko, prezentując swój nowy, pomarańczowo-czarny kombinezon. Bardzo elegancki.

— Dobrze — mówi w końcu — pora na nas.

Bierze starszego mężczyznę za rękę i wyciąga drugą dłoń ku pani Bexley. Żonie Stephena do twarzy w szarym stroju, który jej kupiła. Ubranie podkreśla jej wiek i brzemienny brzuch. Na głowie ma śliczną, jedwabną chustę kryjącą placek dermoaerolu widniejący w miejscu, gdzie została oskalpowana. Ustawia się, patrząc przed siebie szklistym, nieobecnym spojrzeniem. Naszprycowana, potulna, a co najważniejsze *milcząca*.

Dr Westfield wyprowadza swoją małą rodzinę z lokalu, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Przechodzą korytarzem, trzymając się za ręce, po czym pakują się do windy.

— Posłuchaj — mówi, usuwając maleńki kłaczek z kołnierza kombinezonu starszego mężczyzny podczas podróży na parter. — Masz się tam zachowywać. Zawsze wykonuj polecenia miłych ludzi z przechowalni i pamiętaj o wykręcaniu mopa. — Drzwi windy rozsuwają się z piknięciem i na twarzy dr Westfield pojawia się uśmiech. — Tak to się kończy, kiedy wtrącasz się komuś w badania. Trzeba było trzymać niegrzeczne łapki przy

sobie. — Miętosi żartobliwie jego wydatny nos. — Tak, trzeba było. Trzeba było.

Ale jej pacjent nie odpowiada. Nie może.

Dr Westfield każe pani Bexley podejść do frontowych drzwi i tam na nią poczekać, po czym sama odprowadza Tokumu Kikana do szafki dozorczy i wyciąga stamtąd wiaderko na kółkach i mop. Aż miło patrzeć, jak starszy mężczyzna uważnie napełnia pojemnik mieszanką gorącej wody i detergentu — tak jak go uczyła — a potem chwyta mop i zaczyna szorować brudne szare kafelki, na których stoją. Jest najszcześniejszy na świecie.

Jej badania przepadły. Kikan i Peitai wypaczyli je swoimi topornymi, amatorskimi metodami. Są teraz bez wartości, a potencjał jej dzieci został zmarnotrawiony. Jej celem było studiowanie seryjnych morderców rozwijających się w ich naturalnym środowisku, a nie ich masowa produkcja na podobieństwo klonowanych burgerów.

Nic nie szkodzi, czas, jaki upłynął od jej ekscytującej i zabawnej wizyty w laboratorium, był wystarczająco długi, by mogła to i owo przemyśleć. Nienarodzone dziecko pani Bexley będzie pierwszym osobnikiem nowej odmiany — nie będzie poddawane manipulacjom na odległość za pośrednictwem swoich rodziców, tylko trafi od razu pod jej skrzydła. Już za kilka miesięcy będzie mogła rozpocząć nowe badania. Nowe dziecko i płodna matka, która będzie mogła urodzić następne. Ekscytujące czasy...

Pełnym werwy krokiem podchodzi do pani Bexley, bierze ją za rękę i obie wyslizgują się na zewnątrz, pod strugi lodowatego deszczu. Glasgow jest zimne i mokre, ale tam, dokąd jadą, jest miło i słonecznie. Już za kilka godzin będą popijały margaritę w Południowej Republice Nowych Stanów Zjednoczonych.

Dr Westfield przechodzi na drugą stronę ulicy i rusza do najbliższej stacji komunikacji miejskiej, zatrzymując się jedynie na chwilę, żeby nadać przesyłkę na pocztę. Mały, pożegnalny prezent.

* * *

— Will? Dostałeś paczkę. — Jo wetknęła głowę do kuchni i zmarszczyła brwi, widząc, że Hunter wciąż siedzi nieubrany. — Spóźnimy się na pogrzeb, jeśli nie zaczniesz się spręzać!

Agent specjalny William Hunter westchnął i wylał resztkę herbaty do zlewu. Był już świadkiem tak wielu pogrzebów dobrych mężczyzn i kobiet, że wystarczyłoby mu na całe życie. Ale Cat walczyła u jego boku, pomogła mu uratować Jo. Był jej dłużnikiem, nawet jeśli z megablasterem w rękę stawała się uosobieniem terroru.

— No dalej. — Jo rzuciła w niego płaszczem. — Przypniesz swój order?

— Nie. — Degradacja nie była dla niego *aż tak* bolesnym przeżyciem, a już

na pewno nie w porównaniu z utratą posterunkowej McDonald. Mimo to czuł się jak oszust, kiedy przypięto mu to błyszczące świecidełko do piersi. — Nie tym razem.

Był pełen podziwu dla odporności Jo. Zdołała się pozbierać po wydarzeniach w Sherman House o wiele szybciej niż on sam, a przecież to nie jego torturowano. Dziewczyna zmagala się z niesfornym żakietem — kikut jej prawej ręki zataczał dzikie kręgi, gdy próbowała naciągnąć rękawy.

Will narzucił swój płaszcz i pomógł Jo zapiąć mosiężne guziki munduru, starając się ich nie upaprać swoimi odciskami palców.

— Daj spokój — powiedziała, gdy zaczął rozpakowywać przesyłkę — weź ją ze sobą, możesz ją później otworzyć. Musimy już iść.

* * *

Krople deszczu odbijające się od owalnych kamieni nagrobnych u ich stóp były lodowato zimne. Pragnący schronić się przed chłodem żałobnicy zbili się w ciasną gromadę ukrytą pod rozbębioną kurtyną czarnych parasolek, podczas gdy pani pastor kontynuowała mowę pogrzebową.

Stojąc lekko na uboczu, Jo, Brian i Will obserwowali, jak zaplombowana trumna została ustawiona do pionu i powoli opuszczona do świeżo wykopanego dołu. Gdy znikala wewnątrz grobu, zebrani policjanci zaintonowali *Abide With Me*, śpiewając kolejnej osobie z własnych szeregów chowanej w zimnej, ciemnej mogile. W końcu trumna osiadła na swoim miejscu i kapłanka zaczerpnęła garść ziemi z leżącego obok niej pudełka, wypowiadając rytualną formułkę:

— Z prochu powstałeś...

— Jo — odezwał się Brian — co takiego zrobiła Cat na tej firmowej imprezie? No wiesz, kiedy się nawaliła?

— Hm? Nie mam pojęcia. Spotkałam ją tylko kilka razy.

Will zmarszczył brwi, patrząc, jak sześciu policjantów wystąpiło z grupy żałobników, ustawiając się dookoła grobu. — Powiedziała, że byłaś jej sierżantem.

— Nie. Wydaje mi się, że pracowała dla sierżant McLeod.

W powietrzu rozległ się ryk blasterów, ich salwa zmieniała lejący się deszcz w chmurę zamarzającej pary.

Jo wzruszyła ramionami.

— Jeśli chcecie, mogę popytać.

Blastery ryknęły ponownie, a Will po raz pierwszy rzucił okiem na broszurę z porządkiem nabożeństwa. Na wewnętrznej stronie okładki znajdował się hologram, przedstawiający rudą, piegowatą policjantkę z krzywymi zębami.

Poniżej znajdował się podpis: „POSTERUNKOWA CATHERINE MCDONALD. ODESZŁA, ALE POZOSTANIE W NASZEJ PAMIĘCI”.

O... cholera.

Wepchnął hologram do rąk Briana.

— Spójrz.

— Kto to ma, do diabła, być? — Brian spoglądał na nieznaną twarz. — Przecież to nie Cat!

Jo zabrała mu porządek nabożeństwa. Sprawdziła.

— Skąd, to ona.

— Will...? Jeśli to jest Cat, to kto był z nami w laboratorium?

Hunter nie odpowiedział. Już wiedział, dlaczego wydawała mu się znajoma.

Wyciągnął przesyłkę, otwierając ją pod siekącymi strugami deszczu. W środku były dwie rzeczy. Karteczka z napisem „DO ZOBACZENIA WKRÓTCE!” i ludzka żuchwa.

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION

1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA
 **Helion SA**

Spis treści

[Bez którego...](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)